

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ Nr 1/556-2/557 1994



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. ORŁOŚ I INNI: **PRZESZŁOŚĆ OCENIA SIĘ
MYŚLAĆ O PRZYSZŁOŚCI**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI:
PORTRET WENECKI

MONACHIJCZYK: **KONIEC WOLNEJ EUROPY**
NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1993

SPIS RZECZY

Kazimierz Orłoś i inni:	<i>Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości</i>	3
Leszek Szaruga:	<i>Kultura ty, polska kultura...</i>	24
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Portret wenecki</i>	30
WIERSZE		
Józef Baran:	<i>Letni pastelowy zmierzch</i>	54
Józef Baran:	<i>Liryka polska</i>	55
Horst Bienek:	<i>Barak Niemcy</i>	55
Stanisław Dłuski:	<i>Lipiec</i>	59
Krzysztof Lisowski:	<i>Biedny Orfeusz</i>	60
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i... Królewca</i>	61
Janusz Mondry:	<i>Europa Środkowa-Rosja w oczach Tokio</i>	77
Tadeusz Zachurski:	<i>Dokąd prowadzi NAFTA?</i>	81
Karol Modzelewski:	<i>Pokorne cięły i bezpieczeństwo narodowe</i>	87
—	<i>Akcja Kongresu Polonii Amerykańskiej</i>	90
WYWIADY „KULTURY”		
Ryszard Surmacz — prof. Wiesław Lesiuk:	<i>Szlezwik modelem uniwersalnym</i>	91
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>O Unii Demokratycznej — przed słubem</i>	97
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	105
Ewa Berberyusz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	116
Stanisław Polaczek:	<i>Po Kongresie Ekonomistów Polskich</i>	121
Elżbieta Misiak:	<i>Dlaczego wygrali?</i>	129
SPRAWY I TROSKI		
MONACHIJCZYK:	<i>Koniec Wolnej Europy</i>	132
Jan A. Tomaszewicz:	<i>Wolność słowa w III RP</i>	134
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	136
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraińska mapa polityczna</i>	141
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	147
—	<i>Spotkanie polsko-ukraińskie w Paryżu</i>	152
KRONIKA KULTURALNA		
S. Pourchier, Y. Plasseraud:	<i>Dni pamięci</i>	154
Andrzej Dobosz:	<i>Prośba o opamiętanie</i>	157
Piotr Daszkiewicz:	<i>O poszukiwaniu i ratowaniu pamiątek związanych z J.E. Giliertem</i>	161
E.B.:	<i>Paryska sesja historyków</i>	164
—	<i>Koło naukowe polonistów przy Instytucie Filologii...</i>	166
CI CO ODESZLI		
Piotr Wandycz:	<i>Wspomnienie o Wacławie Jędrzejewiczu</i>	167

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 223

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty-Janvier/Février 1994

INSTYTUT  LITERACKI



P. 9786 Arch. Chr.

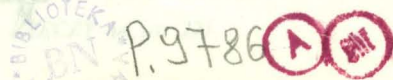
Nr 1/2 6

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Inż. Mieczysław Bornek, Toronto (Kanada), po raz 25-ty	F.	540,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 19-ty — dol. 113,00	F.	655,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA), po raz 21-szy — dol. 34,00	F.	197,00
Dla uczczenia pamięci Witolda Zahorskiego w 5-tą rocznicę Jego śmierci — E. i M. Łopatto z Florencji	F.	300,00
Jan Furdak, Montesson, po raz 3-ci	F.	200,00
Nelly Galster, Vancouver, BC (Kanada), po raz 27-my — dol. 24,00	F.	140,00
Józef A. Jordanowski, Elizabeth, NJ (USA), po raz 11-ty — dol. 20,00	F.	117,43
Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 22-gi	F.	300,00
Tadeusz Maczyński, Des Plaines, IL (USA), po raz 17-ty — dol. 27,00	F.	157,00
Marian Małolepszy, Los Angeles, CA (USA) — w rocznicę śmierci żony, Ewy Capezza-Małolepszy — dol. 50,00	F.	290,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 8-my	F.	100,00
Janusz Morkowski, Rapperswil (Szwajcaria)	F.	100,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 23-ci — Fr.szw. 100,00 ...	F.	400,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, NJ (USA), po raz 26-ty — dol. 38,00	F.	220,00
Stefan Henryk Rosé, Paryż, po raz 15-ty	F.	1.400,00
Aleksander M. Schenker, Hamden, CT (USA), po raz 20-ty — dol. 50,00	F.	290,00
Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY (USA), po raz 17-ty — dol. 34,00	F.	197,00
Franciszek Strociak, Park Ridge (USA), po raz 34-y — dol. 51,00	F.	296,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA), po raz 34-ty — dol. 20,00	F.	116,00
S. Sznalski, St. Agatha (Kanada), po raz 15-ty — dol. can. 80,00	F.	344,00
Dr. Stefan Wowczak, Isernhagen (Niemcy), po raz 14-ty	F.	170,00
Elżbieta i Witold J. Zahorscy, Rzym — w piątą rocznicę śmierci Meża i Ojca, Witolda Zahorskiego	F.	500,00
Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 29-ty — dol. 1.000,00	F.	5.800,00
Henryk Zegadło, Soller, Majorka (Hiszpania), po raz 4-ty — DM 15,00	F.	51,00
Bezimiennie z Mediolanu po raz 31-y	F.	100,00
Bezimiennie z Paryża — w 5-tą rocznicę śmierci nieodżałowanej Idy Jurysiowej-Spira	F.	200,00

Ciąg dalszy WPLAT na str. 224

1994 W 1258



Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości

26 października 1993 w studiu Radia Wolna Europa w Warszawie odbyła się dyskusja na tematy związane z artykułem prof. O. J.M. Bocheńskiego: „Co to znaczy być Polakiem?” (nr 4 *Kultury*, 1993). Wzięli w niej udział: Kazimierz Orłoś (prowadzący), Aleksander Małachowski, Włodzimierz Bolecki, Tomasz Łubieński, Andrzej Więckowski i Kazimierz Wóycicki. Na antenie Rozgłośni Polskiej RWE rozmowa była nadana 7 listopada 1993.

Oto zapis dyskusji, opracowany redakcyjnie i przygotowany do druku przez Andrzeja Mietkowskiego oraz Kazimierza Orłosa.

Kazimierz ORŁOŚ: — Proponuję zastanowić się nad pytaniem, które prof. Ojciec Bocheński postawił w tytule swego artykułu „Co to znaczy być Polakiem?” Proponuję jednocześnie uściślenie tego pytania „Co to znaczy być Polakiem teraz, w 1993 roku?”, w zupełnie nowej sytuacji historycznej i politycznej.

Na wstępie krótko przypomnę podstawowe myśli prof. Bocheńskiego. Uważa on, że świadomość narodowa może być podstawowa lub pełna. Ta podstawowa, czy ludowa świadomość, którą posiadają ludzie niewykształceni, prości, ograniczona jest do świadomości wspólnoty miejsca na ziemi, języka i obyczaju. „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy” — ten fragment „Roty” odwołuje się właśnie do podstawowej świadomości narodowej Polaków.

Pełną świadomość narodową ma warstwa inteligencji, a na pewno jej elity naukowe, polityczne, artystyczne. Wyksz-

tałcony człowiek potrafi lepiej ocenić dodatnie i ujemne cechy swego narodu. Jego świadomość jest wzbogacona o wiedzę historyczną, obejmuje sferę kultury oraz ideologię. Bardzo ważne jest pojęcie ideologii narodu, które można by określić jako opowiedzenie się za pewnym modelem życia w danym kraju.

W Polsce dwa takie modele były wyraźnie widoczne w przeszłości. Model klasyczny Polski Jagiellońskiej w wieku XV, XVI i XVII, i późniejszy model saski.

Jeżeli chodzi o model klasyczny — jagielloński — to charakterystyczna jest dla tego okresu świadomość dwupiętrowości narodu, związana z Unią polsko-litewską, istnieniem Korony i Litwy, czyli Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Prof. Bocheński przypomina, że to właśnie tamta Polska Litwinów, Rusinów, Polaków, Żydów, Niemców była otwarta, europejska i tolerancyjna.

Polska saska stała się Polską zamkniętą, zaściankową. Koniec jagiellońskiego pojęcia dwupiętrowości oznacza opowiedzenie się za ideologią jednego narodu. W okresie międzywojennym, już w XX wieku, zaowocowało to hasłem „dobro narodu najwyższym celem” — i ksenofobią wobec sąsiadów-cudzoziemców.

Także kategorię afirmacja katolicyzmu, jak mówi Ojciec Bocheński, wrogość w stosunku do innowierców, miały źródła w okresie saskim.

To jest ten rys historyczny. Dziś słyszy się czasem, że Polska nie ma wokół siebie wrogów, nie ma więc realnych zagrożeń zewnętrznych, ale nawet gdyby istotnie tak było (przeczą temu np. ostatnie wypadki w Moskwie) — czy to oznacza, że zagrożenia wewnętrzne są mniej istotne dla Polaków? Te zagrożenia widzę właśnie w modelu saskim, który niespodziewanie wysunął się jakby na plan pierwszy.

Megalomania narodowa wielu partii i środowisk, przekonanie, że zawsze tylko Polacy mają rację (na co dziesiątki przykładów życia publicznego można przytoczyć), koncentrowanie się niektórych polityków na celebrowaniu niezliczonych uroczystości państwowych, na obchodach świąt kościelnych — czasy saskie przypominają się żywo, wystarczy zajrzeć do „Dziejów kultury polskiej” Aleksandra Brücknera! Dalej fatalna sfera obyczajów. Widoczny jest upadek etosu pracy. Wiara w układy, kombinacje, ustawienie się w życiu.

Nawiązując do wyników ostatnich wyborów, zagrożenie widzę również w niezdecydowanym i niewystarczającym odzuceniu dziedzictwa komunistycznego. W tym miejscu pozwo-

łę sobie odczytać fragment ustawy przyjętej przez Parlament Czeski 9 lipca bieżącego roku. W paragrafie drugim powiedziane jest: „Reżim oparty na ideologii komunistycznej zarządzający państwem i losami obywateli Czechosłowacji od 25 lutego 1948 do 17 listopada 1989 był przestępczy, bezprawny i zasługujący na potępienie. Komunistyczna Partia Czechosłowacji była organizacją zbrodniczą i zasługującą na potępienie, podobnie jak inne organizacje opierające się na jej ideologii, które w swej działalności naruszały prawa człowieka i zasady prawa państwa demokratycznego”.

I dalej, w paragrafie trzecim: „Opór obywateli przeciwko temu reżimowi przejawiany indywidualnie i grupowo w oparciu o przesłanki demokratyczne, religijne czy też moralne, poprzez ruch oporu, inne formy działalności, czy też świadome i publiczne wyrażanie sprzeciwu był prawowity, sprawiedliwy, moralnie uzasadniony i jest godzien szacunku”.

W Polsce takiej ustawy nie uchwalono. Dlatego uzasadnione wydaje się pytanie: czy brak właśnie takiej ustawy nie spowodował zamętu w głowach Polaków — i to nie tylko na niższych piętrach świadomości narodowej, jak to określa Ojciec Bocheński, ale również wśród warstw inteligentkich, wśród elit?

Czy jednocześnie w sferze prawnej nie popełniono ogromnych zaniedbań? Niezliczona ilość afer gospodarczych, brak zdecydowania w sprawie postawienia przed sądem zbrodniarzy stalinowskich... Teraz fakt, że do Sejmu weszli ludzie, którzy są objęci postępowaniami sądowymi oraz osoby pozbawione immunitetu przez poprzedni Sejm, wszystko to może wywołać u wielu Polaków wrażenie, że nie ma istotnej różnicy między PRL, a wolną Polską. Sprawiedliwość nadal nie jest ostoją Rzeczypospolitej i nadal nie wszyscy są równi wobec prawa.

Powracając do pytań zasadniczych proponuję, abyśmy zastanowili się jakim zagrożeniem dla Polski jest dziś model saski, który, jak się zdaje, nadal kształtuje postawy wielu Polaków i jakim zagrożeniem jest to zamazanie granicy między PRL a Polską dzisiejszą zwaną III Rzeczpospolitą. W jakim stopniu te dwa zagrożenia kształtują postawy współczesnych Polaków?

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Mnie się wydaje niebezpieczne przerzucenie pomostu tak daleko wstecz, bo oczywiście wiemy wszyscy, że Polska Jagiellońska to już nie

była tylko Polska, to już była Rzeczpospolita wielu narodów. Charakterystyczne jest, że jeden z największych pisarzy polskich, a na pewno największy z przełomu XVIII i XIX wieku, Jan Potocki w ogóle nie znał języka polskiego. Znał język ukraiński, którym rozmawiał ze służbą i język francuski, w którym pisał swoje liczne arcydzieła, bądź prace naukowe. Język polski nie był mu do niczego potrzebny. Otóż wydaje mi się, że jest tu duże uproszczenie, nazywanie konsekwencji tego, o czym powiem zaraz, epoką saską.

Pod koniec XIX wieku, w obliczu bardzo realnych zagrożeń bytu narodu polskiego, została przez Popławskiego i Dmowskiego sformułowana ideologia zwana dziś popularnie endecką i myślę, że to tutaj raczej, w wynaturzeniach tego, skądinąd zasadnego pomysłu na obronę przed obcymi (obcy to był okupant, urzędnik, często człowiek innej religii, a więc Niemiec, kolonista bardzo często) — tu były realne zagrożenia. Nie trzeba zaraz sięgać do XVIII wieku.

Na przełomie stuleci polskość była zagrożona. Wystarczy powiedzieć, że tak bardzo później zniemczona Opolszczyzna w 1905 roku była bardziej polska, niż Poznańskie. Poznańskie już w tym czasie było bardziej zniemczone, a przecież potem te procesy poszły inaczej. A dzisiaj mamy w Sejmie mniejszość niemiecką składającą się z Polaków czystej krwi. Wszyscy ci panowie to są Ślązacy czystej krwi, których rodziny nieraz przechodziły przez wiele pokoleń prześladowania ze strony Niemców.

Otóż polskość była w naszym kraju zagrożona, dlatego została sformułowana ideologia, która potem — jak wiele rzeczy na świecie — uległa pewnym wynaturzeniom, kiedy stała się antysemityzmem, kiedy stała się ksenofobią itd. Uważam, że nie ma potrzeby tak daleko cofać się w przeszłość, żeby znaleźć konkretne korzenie tych zdarzeń, których częściowo byliśmy świadkami w czasie okupacji, kiedy z tej ksenofobii czy tego antysemityzmu rodziło się szmelcownictwo, dochodziło do mordowania Żydów także przez Polaków. Takie były fakty. Sam uczestniczyłem w dochodzeniach przeciwko ludziom, którzy dopuszczali się tych zbrodni. Więc ja bym to zawęził do wydarzeń XX wieku, bardziej współczesnych, bo chociaż bardzo ładne są paralele z Rzeczpospolitą wielu narodów, boję się, że one dzisiaj są słabiej zakorzenione w naszej rzeczywistości, niż to, co się wydarzyło później.

I druga sprawa: wyrażam sprzeciw wobec analogii pomiędzy czeską ustawą, a sytuacją w Polsce. Wydaje mi się,

że to są dwa inne kraje i nie można wyciągać podobnych wniosków.

Tomasz ŁUBIENSKI: — Ja uważam, że pytanie „Co to znaczy być Polakiem?” nie znaczy, niestety, zbyt wiele. Co mnie niepokoi właśnie w postawie Polaków, nas wszystkich, to że określamy się przez negację, przez zagrożenia. Kiedy jest zagrożenie — polskość jakoś kwitnie, daje o sobie znać, daje się określić. Natomiast w momencie, gdy bezpośredniego zagrożenia nie ma, następuje jakby „dekompresja patriotyczna”. Tymczasem niezależnie od tego, czy przyszedł układ sił w Europie będzie wynikiem rywalizacji gospodarczej, wojskowej czy jakiegokolwiek innej, powstaje pytanie, które dla mnie jest pytaniem kluczowym: Czy rzeczywiście Polska jest potrzebna Europie? Czy potrafi udowodnić, że jest niezbędna?

Historia ostatnich dwustu lat, z przerwą międzywojenną, wykazuje, że to nie było zupełnie jasne, nawet dla sympatyzujących z nami krajów zachodnich. Czy rzeczywiście ten kłopotliwy naród, który nie jest dostatecznie mały, ale też nie jest dostatecznie wielki, ma coś do powiedzenia, ma jakiś własny wkład? Mówię to w kontekście tych wszystkich dyskusji na temat Europy, integracji itd. Co do analogii historycznych, tak jak wszystkie efektowne analogie, oczywiście są dyskusyjne.

Przede wszystkim nie ma co tej Polski Jagiellońskiej tak bardzo przywoływać po prostu dlatego, że to była Polska która odgrywała dość znaczną rolę międzynarodową, aczkolwiek, upieram się przy tym, rolę zawsze peryferyjną. To były kraje peryferyjne: Szwecja, Węgry, Polska, nawet Rosja do pewnego momentu. Otóż wydaje mi się, że to jest sprawa pięknej przeszłości. W okresie międzywojennym Polska okazała się za słaba, jak na te jagiellońskie idee. Czasy saskie, aczkolwiek jednoznacznie są symbolem upadku, to przecież historycy ten obraz niuansują.

Natomiast nawiązując do wypowiedzi Ojca Bocheńskiego, chciałbym wyrazić stosowny protest, kiedy czytam: „O nowej ideologii i kulturze Polski pod ponownym jarzmem moskiewskim 1945-1989 nie ma co mówić”. Mnie się wydaje, że tego typu stwierdzenie jest wyraźnym „przejęciem”. Jedną z przyczyn, dla której grzechy PRL nie zostały rozliczone, były właśnie tego typu ogólnikowo-radykalne, dyskwalifikujące stwierdzenia. Przepraszam, że biorę siebie jako przykład, ale całe moje świadome życie przeżyłem „pod

jarzmem moskiewskim”, i nie wydaje mi się żebym tak bardzo źle na tym wyszedł, przynajmniej w sensie umysłowym. Myślę, że wszyscy obecni również.

Kazimierz WÓYCICKI: — Nie jestem historykiem i trudno mi sięgać tak głęboko w przeszłość. Terminy: „jagielloński”, „saski”, to są symbole, które większość Polaków rozumie. Jeżeli mowa o słowie „saski”, to mam w tej chwili na myśli naszą rozdrobnioną prawicę, która w pewnym sensie winna jest wyników tych wyborów. To jest rzeczywiście efekt skłócenia, polskiej zawiści i tak dalej.

Wydaje mi się, że ważne pytanie dotyczy zamazania granicy między PRL, a chwilą obecną. Wyniki ostatnich wyborów w sensie politycznym są na pewno istotne, ale nie aż tak szalenie ważne, ponieważ będą następne wolne wybory. Natomiast w sensie kulturowym znaczenie tych wyborów jest ogromne. Sądzę, że granica między PRL, a III Rzeczpospolitą została wynikiem tych wyborów zamazana.

Wyobraźmy sobie taką sytuację, że obecne rządy będą rządami udanymi, że poprowadzą rozsądną politykę finansowo-gospodarczą, że nie dojdzie do odruchów rewanzizmu itd. Załóżmy, że te rządy dociągną z tak znaczną sejmową większością do następnej kadencji.

Co to będzie znaczyło kulturowo? Przede wszystkim elita polityczna, która będzie rządziła krajem w stabilny sposób przez cztery lata, ukształtuje też swoją własną polityczną kulturę. Napisze też pewną wersję historii ostatnich czterdziestu lat, która wciąż nie została do końca napisana. Będzie to na pewno inna wersja historii Polski niż ta, którą pisał ruch Solidarności. Część solidarnościowej elity starała się włączyć ruch Solidarności w pewną wersję historii: akowskiej, wyzwolenczej, legionowej, aż po romantyzm XIX-wieczny. Niezależnie od zróżnicowania inteligencji, która w tym ruchu tkwiła, gdzieś to wszystko było w tle. Teraz historia Polski zostanie napisana inaczej. Nowe elity zbyt są zakorzenione swoimi biografiami w PRL, żeby nie bronić wartości, które tam być może tkwiły: awansu społecznego, zmian, jakiejś demokratyzacji całego społeczeństwa. Bo przecież społeczeństwo II Rzeczypospolitej miało wiele znamion podziału między warstwę inteligentką a warstwy ludowe, nawet znamię pewnego feudalizmu w kulturze. Słowem, „oni” napiszą tę historię zupełnie inaczej. Być może ukążą komunistów jako pragmatyków. Zresztą mamy tego pierwsze zwiastuny: całą literaturę najrozmaitszych wywiadów i książek, które ukazały

się zaraz po 89 roku, w których najrozmaitsi prominenci i osoby związane z byłym reżimem usiłowały przedstawić swoją wersję nie tylko wypadków ostatniego okresu, ale i własnych biografii.

Co z tego wyniknie? Polska kultura, w sensie kultury elit, podzieli się na dwie części, jak Francja jakobińska i Francja monarchistyczna, wandejska — czy jak podział w Wielkiej Brytanii na wigów i torysów, który był głęboko kulturowo zakorzeniony w najrozmaitszym sensie. Podobnie w Polsce będziemy mieli dwie kultury. Spór o PRL, to nie będzie spór o ustawę lustracyjną, ale będzie bardzo głębokim sporem kulturowym.

Można oczywiście zadać sobie pytanie czy to będzie dobrze, czy źle? Ja bym powiedział, że z punktu widzenia sprawiedliwości dziejowej być może źle, ale ta druga strona, będzie argumentowała inaczej. Może po raz pierwszy w historii Polski, zyskamy w naszej kulturze poczucie dramatu dziejowego. Dotychczas byliśmy zawsze krzywdzeni, gdzieś tam byli ci niesprawiedliwi — a my, Polacy, byliśmy sprawiedliwi. Natomiast tutaj zyskamy, być może, poczucie tragiczności dziejów: np. postawy ludzi, którzy walczyli w polskim podziemiu po 45 roku, postacie niewątpliwie bohaterkie i piękne, zostaną przez jedną część kultury świadomie zepchnięte na kompletny margines. Zobaczymy, że pewne sytuacje w naszej historii, osądzone są przez samych Polaków w sposób skrajnie zróżnicowany, nie do zinterpretowania przy pomocy klasycznego, polskiego etosu romantyzmu, bohaterstwa, poświęcenia itd. Może to być ciekawa i płodna sytuacja dla pisarzy, eseistów. Podejście do historii może się bardzo głęboko zmienić.

Oczywiście, jest jeszcze inna płaszczyzna którą można tu analizować: czy gdyby prowadzono inną politykę, to by do tego doszło? Gdyby ta „saska” prawica współczesna połączyła się, zdobyła więcej procentów, czy sytuacja byłaby inna? Gdyby rząd Mazowieckiego i kolejne rządy prowadziły również jakąś inną politykę? Czy nie mógłby być inny wynik wyborów?

Oczywiście, można snuć takie rozważania, ale jest to całkowicie bezpłodne zajęcie. Skoro zdarzyło się to, co się zdarzyło, wołó powiedzieć, że pewne rzeczy były nieprzypadkowe. Kiedy armia idzie w rozsypek, to nie można powiedzieć, że gdyby batalion trzeci lub czwarty nie zaczął uciekać, tylko ruszył do ataku, wówczas bitwa potoczyłaby się inaczej. Nie, pewien etos, pewien typ polskości zaczął prze-

grywać bitwę i skutki stawały się nieuchronne.

Sądzę, że jest to bardzo poważna sytuacja. Jednocześnie w polskiej kulturze dokonała się jakaś głęboka zmiana. Ale nie wiem, panie Aleksandrze, czy taka postawa jak w Czechach u nas była niemożliwa.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Widocznie niemożliwa, skoro nie powstała.

Kazimierz WÓYCICKI: — Z tego wynikają bardzo poważne konsekwencje dla polskiej kultury. Jak będziemy rozumieć poczucie sprawiedliwości dziejowej, w ogóle sprawiedliwości? Teraz nie będzie można mówić: ot, jakieś zachowanie, jakaś mina, jakaś biografia, jakiś styl życia — to jest dostojnik PRL. Nie, teraz to jest człowiek wybrany przez naród, zaakceptowany przez to społeczeństwo. Jeżeli chcemy żyć jak cywilizowani ludzie, to musimy tę odmienność zaakceptować. Z tym łączy się poczucie głębokiego tragiczmu. Ale z tym trzeba żyć.

Andrzej WIĘCKOWSKI: — To są bardzo wnikliwe, mądre rozważania: te podpory, pępowiny — historyczne analogie do czasów współczesnych, szukanie pod stopami gruntu dla tożsamości narodowej — to wszystko jest bardzo potrzebne, bo nasza historiozofia jest matecznikiem, w który rzadko kto się zapuszcza i nie wiadomo, czym on jest. Wiadomo, że jest mglisty i bagnisty. Więc z całą pewnością trzeba napisać jeszcze mnóstwo książek, esejów, wiele razy dyskutować i kłócić się o historyczne podstawy tożsamości narodowej. Nie wiem, czy zrozumiałem Kazimierza Wóycickiego, gdy mówił o jakoby nowej jakości dramatyizmu naszych dziejów. Wydaje mi się, że nie jest ona nowa: wieloznaczność postaw w tradycji naszych powstań narodowych — to przecież bardzo stary problem „bycia Polakiem”. To na marginesie, nie chciałbym już do tego powracać.

Chciałbym bowiem zwrócić uwagę, że tak jak ważny jest poziom rozważań kulturowych i historycznych przy rozpatrywaniu pojęcia narodu, tak coraz ważniejszy dzisiaj staje się poziom identyfikacji cywilizacyjnej, na którym naród coraz bardziej staje się społeczeństwem nie zwracającym uwagi na narodową tożsamość, wielokulturowym i wielonarodowym. Niemalże modelowo, poprzez skrajności, widać to we współczesnych Niemczech. Z jednej strony cała gama postaw od brunatnego nacjonalizmu poprzez czarny, czerwony i żółty pa-

triotyzm, z drugiej strony zaś mamy do czynienia z jakimś „patriotyzmem” konstytucyjnym, orientacją wokół określonego prawa, porządku gospodarczego, poziomu cywilizacyjnego. W praktyce postawy te są często paradoksalnie na pozór pomieszane, ale w przypadku tej drugiej postawy dominuje zdecydowane odejście od nacjonalizmu i nieostre, bardzo szerokie, otwarte podejście do tożsamości narodowej. I wtedy nie można już użyć formuły, której użył Aleksander Małachowski mówiąc o mniejszości śląskiej, że to są „Polacy czystej krwi”. Nie mówiąc już o tym, że ta mniejszość całkiem inaczej się obecnie definiuje, to cóż to znaczy dzisiaj kategoria „czystej krwi Polaków”, „czystej krwi Niemców”? Jak takie kategorie definiować? Jest to w każdym razie niebezpieczne zadanie. Ale to również na marginesie.

Wydaje mi się, że Polacy dzisiaj tęsknią do mierzalności „bycia Polakiem”. Imponderabilia narodowe, zawsze grząskie, stają się wręcz trujące, jeśli nie towarzyszy im żadna praktyka codziennego życia społecznego, która z narodu tworzy sprawdzalną doświadczeniem wspólnotę losową. I dla Polaków dzisiaj, tak ja to widzę i rozumiem, takim sprawdzianem „Polactwa”, jest droga ku wyższym standardom cywilizacyjnym. Jeśli na tej drodze będziemy błodzić, słabnąć będzie poczucie więzi narodowych, co widzieliśmy na przykładzie masowej emigracji w latach osiemdziesiątych, której motywy sformułowano walką z komunizmem, dążeniem do wolności, prześladowaniami — co było niepodważalną prawdą — ale w swojej masie Polacy uciekali od biedy do bogactwa, wyszukując wstydliwie schowane na strychach niemieckie książeczki wojskowe dziadków, o których wcześniej wcale nie myślano, że będą potrzebne. Nieoczekiwane stały się potrzebne. Historyczne odniesienia znajdziemy np. w powstaniu styczniowym, kiedy dla chłopów polskich ważniejsze było zniesienie poddaństwa niż hasła narodowej wolności.

Niewiele przesadzę, jeśli powiem, że kamieniem węgielnym współczesnego niemieckiego patriotyzmu jest pojęcie *Deutsche Mark*, co nie jest tylko nazwą waluty, ale przede wszystkim pojęciem społeczno-etycznym. Jest bardzo znamienne, że sędziowie Federalnego Sądu Konstytucyjnego przesłuchując świadków w związku ze skargą grupy polityków przeciwko traktatowi z Maastricht, pytali właśnie, czy unia walutowa nie zagrazi *Deutsche Mark* jako pojęciu społeczno-etycznemu. Niemcy płacąc swoimi markami, wynagradzają się też za takie stereotypowe już cnoty jak solid-

ność, jakość itd. Jest to nie tylko transakcja handlowa, ale także umowa gwarantująca pewien porządek (*Ordnung*) społeczny. I biada Europie, jeśli *Deutsche Mark* przestanie być taką wzbudzającą zaufanie umową. To wstrząsane obecnie kryzysami nowoczesne społeczeństwo niemieckie przestanie być nowoczesne. Już odżywają tam upiory. Na razie jest to przyszczaty neonazizm, ale on się intelektualizuje, i mogą — choć nie muszą — pojawić się tam przepastne, kulturowe, profesorskie i razem z tym wszystkim tandetne ideologie na temat narodowości, którymi coraz więcej ludzi będzie się zaczadzać.

Po co ta niemiecka dygresja? Nie trzeba jej rozumieć jako analogii wprost, zbyt wiele jest różnic. Chodzi mi raczej o uzmysłowienie koniecznej więzi między narodowymi imponderabiliami a sprawdzalnością ich w codziennej praktyce społecznej. Myślę, że Polacy tęsknią do takiej sprawdzalności i kierować się będą nie w stronę rozważań na temat tożsamości kulturowej zakorzenionej w odległych czasach, bardzo ważnych i ciekawych, ale potrzebnych tylko wąskim elitom (przecież żywa tradycja tożsamości kulturowej Polaków została nie raz przerwana), lecz w stronę współczesnych odniesień cywilizacyjnych. Takim odniesieniem mogły się stać również na przykład i między innymi solidarnościowe elity polityczne. Ten proces się nie udał. Lud wie, że ryba psuje się od głowy, obserwował Sejm i wszystkie awantury, o których nie musimy tu bliżej opowiadać, i poczuł się oszukany. I nie wolno teraz do tego ludu mieć pretensji, bo to są pretensje do skrzywdzonego, to są pretensje, z których wynika, że popełnione błędy będą powtarzane.

Polacy potrzebują klarownych, dających się przełożyć na rzeczywistość odniesień dla tożsamości narodowej, albo — wolę tak mówić — społecznej. I one mają — takie są realia — więcej wspólnego z dążeniem do standardów cywilizacyjnych, niż z szukaniem w tradycji. Tradycja, jeśli jest, jest tradycją żywą, a nie sylogizmem historyków i intelektualistów. Poza tym uważam, że jeśli Polacy złączą sobie ufać, odnajdą się też tradycje. Wypłyną z podziemi.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Ja *ad vocem*, jeśli pan pozwoli. Mówiąc o „Polakach czystej krwi” miałem oczywiście na myśli to, że dziadkowie tych ludzi mówili czystą polszczyzną, a ich wnuki uważają się za Niemców. To była polszczyzna śląska, polszczyzna jednego z plemion, które utworzyły naród polski, niemniej bliska polszczyźnie

Kochanowskiego. Nie byli to Niemcy, którzy na co dzień posługiwali się językiem niemieckim.

Andrzej WIĘCKOWSKI: — Panie Aleksandrze, ci ludzie wykorzystują możliwości wynikające z zapisu konstytucyjnego.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Nie, tam się stało coś więcej. Tam się stała tragedia. Proces germanizacji Opolszczyzny, trwający od niepamiętnych czasów, uległ przyspieszeniu dzięki działalności władz komunistycznych, które stworzyły tam bardzo niekorzystne warunki dla kontynuowania wątku polskiego. Dlatego oni wybrali inną cywilizację.

Andrzej WIĘCKOWSKI: — To nie tylko odwrót od polskości, ale także sprzeciw wobec komunistów, wobec zacofania.

Włodzimierz BOLECKI: — Zagadnienie o którym dyskutujemy składa się z wielu pięt, także historycznych, ale jego główny problem dotyczy współczesności, tzn. pytania: co to znaczy być Polakiem dzisiaj? Jest to więc problem identyfikacji jednostki ze strukturami szerszymi niż rodzina, grupa, środowisko zawodowe czy regionalne, inaczej mówiąc jest to problem identyfikacji Polaków. Dlaczego w ogóle o tym zagadnieniu dyskutujemy? Ponieważ — jak mi się zdaje — jest ono dziś dość powszechnie odczuwane właśnie jako problem, jako sprawa niejednoznaczna, wielowymiarowa i, co najbardziej charakterystyczne, sprawa konfliktowa. Takie odczucie problematyczności tego zagadnienia jest oczywiście wynikiem obecnej sytuacji historycznej, to znaczy zachwiania zarówno dotychczasowych struktur ustrojowych i zmian politycznych w Europie, ale też chyba przede wszystkim rozchwiania dotychczasowych punktów odniesienia, swoistych punktów orientacyjnych wokół których krystalizowała się dotychczas świadomość społeczna. Dotyczy także języka jej ekspresji i jej opisu, ale to osobny temat. Inaczej mówiąc, pytanie „Co to znaczy być Polakiem?” stało się przekładalne na pytania dotyczące III Rzeczypospolitej, które wcześniej — gdy dotyczyły PRL — można było pominąć. Chodzi np. o takie pytania jak: Co to znaczy być obywatelem III Rzeczypospolitej? Czym jest III Rzeczypospolita? Jaki jest stosunek III Rzeczypospolitej do PRL? Jakie jest jej miejsce w Europie? Jakie są relacje pomiędzy takimi pojęciami jak „naród” i

„społeczeństwo”? A przede wszystkim, jaki jest nasz stosunek do dziedzictwa przeszłości, czyli jaką wybieramy sobie z niej przeszłość (bo tradycja to wolny wybór a nie determinizm).

Otóż wydaje mi się, że wszystkie kwestie dotyczące dyskusowanego ostatnio problemu narodowości przedstawiane są w deformującym ten problem kostiumie historycznym — to znaczy w kostiumie tylko jednej tradycji historycznej. Nawiązuję do tego, co mówił wcześniej pan marszałek Małachowski. Rzeczywiście, dzisiejsze rozumienie pojęcia „narodu” i narodowości bardzo silnie związane jest z tradycją endecji i deformowane przez takie myślenie, które można nazwać „mentalnością endecką”. Cechą tego myślenia jest traktowanie narodowości jako związku krwi, czyli jako sprawy etnicznej. Mentalność endecka gruntownie wyparła zupełnie inne rozumienie „narodowości”, tzn. takie, które ujmuje ją jako dobrowolną przynależność do pewnej wspólnoty. Toteż w dzisiejszych wypowiedziach na temat „narodowości” często występuje kompletne pomieszanie tych dwóch różnych znaczeń pojęcia narodu. A mianowicie: rozumienia politycznego i rozumienia etycznego, które nawiasem mówiąc powstało znacznie później, i jest *de facto* tworem XIX i XX wieku.

Polityczne rozumienie narodu lub narodowości jest niezależne od narodowości w sensie etycznym. W tym politycznym znaczeniu narodowości, Polakami byli i są ci wszyscy, którzy uważają się za obywateli III Rzeczypospolitej. Są więc nimi Ukraińcy i Litwini, Białorusini i Rosjanie, Niemcy i Żydzi, Szwedzi, Włosi czy Francuzi. To rozumienie zawdzięczamy w wielkiej mierze wielonarodowej Polsce Jagiellonów — i o tym zawsze warto pamiętać. Dzisiejsze użycie pojęcia narodowości w Polsce to niewątpliwie skutek kilkudziesięciu lat rozumienia państwa jako tworu jednonarodowego. Identyfikacja „nowoczesnego” państwa z monoetnicznością była tworem ideologicznym a nie historycznym i — rzecz charakterystyczna — była wspólna dla nacjonalistów jak i komunistów. Tymczasem właśnie nowoczesność państw jako organizmów cywilizacyjnych jest bardzo silnie związana z ich wielonarodowością — dość wspomnieć USA czy Szwajcarię. Zresztą wszystkie państwa stają się dziś coraz bardziej wielonarodowe. To rozumienie państwa jak wspólnoty wielonarodowej, a narodu jako politycznej wspólnoty wielu narodów (a więc wielu kultur, języków i religii) zostało dramatycznie zakłócone przez rozwój nacjonalizmów, które do dziś kształtują świadomość narodową w wielu częściach świata. Mówiąc

w skrócie: opozycja pomiędzy rozumieniem narodowości w kategoriach politycznych (obywatelskich) a etnicznych będzie jeszcze długo determinowała wydarzenia na świecie. To, co się dzieje w Jugosławii jest wystarczającym przykładem.

Przyjęcie, że wyznacznikiem narodowości jest pochodzenie etniczne doprowadziło do koncepcji, że „prawdziwym” stanem danego narodu jest stan jego „czystości”. Inaczej mówiąc, idea narodowości etnicznej, np. jako związku „prawdziwych Polaków” implikowała i implikuje koncepcję „oczyszczania”. Skrącając rzecz do naszego tematu: w koncepcji endeckiej, Polska żeby była Polską musiała być „oczyszczona” z obcych, czyli żeby kultura polska była „kulturą polską” trzeba było ją „wyczyścić” z tego co „niepolskie”. Toteż „prawdziwi Polacy” zawsze chcieli wyczyścić Polskę: a to z Ukraińców i Rosjan, a to z Białorusinów i Litwinów, a to, z Niemców czy Żydów.

Nieszczęście polegało na tym, że na endecki model „oczyszczania” nałożył się model „oczyszczania” komunistycznego. Bo to właśnie komuniści zrealizowali endecki ideał Polski jednonarodowej przywołując jako wzór genealogiczny wymyśloną w jego monoetniczności tzw. Polskę Piastowską. W ten sposób komuniści utrwaliли stereotyp owego „idealnego Polaka”: obywatela świata zamkniętego i jednowymiarowego, np. jednonarodowego i jednoklasowego. Ideałem Polaka miał być — jak pamiętamy — abstrakcyjny proletariusz o stuprocentowym pochodzeniu społecznym, dokładnie tak samo jak dla endeków miał nim być abstrakcyjny Polak o stuprocentowej „czystej krwi” polskiej. Te upiory rosy przez dziesięciolecia i zawsze ożywiała je tęsknota albo za „oczyszczeniem” społeczeństwa z „obcych” klas lub „obcych” narodowości, albo za „oczyszczeniem” społeczeństw z pojęcia narodu, czyli faktycznie tęsknota za zlikwidowaniem tego pojęcia i rozpuszczeniem go w jakiejś abstrakcyjnej, ahistorycznej i wyłącznie ideologicznej całości. Skutkiem takiego „rozwiązywania kwestii narodowej” było — jak wiadomo — powstanie takiego konceptu jak „naród radziecki”. Ale i tę sprawę pomijam.

Kilka miesięcy temu słyszałem w radio wypowiedź członka Stronnictwa Narodowego, kierowanego przez Bolesława Tejkowskiego, który oświadczył, że jak SN dojdzie do władzy to rządy obejmą tylko stuprocentowi Polacy — i to nie byle jacy, bo „łacinnicy”... Tak więc ta maskara poczęta w przeszłości bezustannie powraca w majaczeniach o Polsce, której „prawdziwość” będzie realizowana za pomocą czystek:

„niech wyjadą”, „deportować”, „są tu tylko gośćmi” — wszyscy znamy te hasła.

Zmierzam do pointy. Narodowość w sensie politycznym, nowoczesnym jest w istocie rzeczą wielonarodowością i oznacza identyfikację z pojęciem obywatelstwa jako przynależnością do danej wspólnoty. Amerykanami są wszyscy, którzy mają paszport amerykański. Oczywiście pod tym cywilizowanym pojęciem narodowości gotuje się wiele głębokich i dramatycznych konfliktów. Dość wspomnieć różne fronty narodowe, represyjny stosunek do imigrantów, etc. Niemniej jeśli ktoś jest obywatelem USA, Wielkiej Brytanii czy Francji, to nie może mieć wątpliwości, że autorytet państwa zapewnia wszystkim równość — niezależnie od pochodzenia — to znaczy przynależność do narodu w sensie wspólnoty obywatelskiej. Jest dziś rzeczą niemożliwą, by ograniczać czyjeś prawa obywatelskie na tej podstawie, że ktoś nie ma stuprocentowej „narodowości”. A w Polsce — jak pamiętamy z niedawnej przeszłości — można to uczynić twierdząc, że ktoś jest „prawdziwym” Polakiem np. od czterech pokoleń.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Ale we Francji jest Le Pen, który może dokładnie to samo powiedzieć, co Tejkowski.

Włodzimierz BOLECKI: — Pan marszałek ma rację, jednak państwo francuskie wyraźniej strzeże tej granicy, której przekroczenie jest naruszeniem prawa. Le Pen jest zresztą jednoznacznie postrzegany jako rasista...

Mam wątpliwości; ale wracam do głównego wątku. Myślę, że w Polsce istnieje problem szybkiej edukacji społecznej, tzn. przewyciężenia konsekwencji ideologii państwa monoetnicznego. Dzisiaj świadomość społeczna w państwach zachodnich nieustannie kształtowana jest przez problemy współżycia ludzi różnych kultur, ras, narodów, języków czy religii. Izolacja od tych problemów spowodowała, że w Polsce wykształciło się silne przeciwstawienie „swoi-obcy”, które nadal decyduje o rozumieniu „narodu”.

Kończąc: mam wrażenie, że w Polsce dzisiaj silniejsza jest identyfikacja „narodowości” np. z językiem, z wyznaniem (rzymskokatolickim), czy etnicznym rozumieniem narodu, niż pojęciem obywatelstwa. A przecież jedno drugiego nie tylko nie wyklucza, lecz wspomaga, albowiem umożliwia istnienie na bardzo różnych poziomach tej wspólnoty, którą jest Rzeczpospolita. Problem w tym, że w Polsce te dwa rozumie-

nia narodowości niekiedy traktowane są jako wykluczające się nawzajem, a nawet konkurencyjne. Jest to nonsens, choć dziesięciolecia pracowały na jego powstanie. Narodowość nie dzieli (jak uważają nacjonałiści), lecz łączy, nie zamyka, lecz otwiera na innych. A przy takim rozumieniu nie ma przeciwstawienia pomiędzy „narodowością” a „ludzkością”, „lokalnym” a „uniwersalnym”, czy — jak to jest ostatnio formułowane — między „polskością” a „europejskością”. Brzmi to jak utopia lub banał, ale nic na to nie poradzę.

Kazimierz WÓYCICKI: — Pan Więckowski postawił nam za wzór sytuację niemiecką, „patriotyzm marki niemieckiej”: „To jest takie nowoczesne, Polacy w tym kierunku zmierzają”. Czy to jest istotnie takie nowoczesne? Otóż wydaje mi się, że to zahacza o tę narodowość obywatelską.

Fakt że w społeczeństwach zachodnich następuje zdefiniowanie narodowości, silnego poczucia tożsamości narodowej poprzez państwo, to jest oczywiście ważne i nam tu wiele brakuje, ale taką tożsamość państwową uzupełnia wiele elementów kultury. Dla współczesnych Niemców — cały ich rozrachunek z okresem wojny, ogromne ciśnienie wszelkiego typu dyskusji historycznych, ich znakomita świadomość położenia geopolitycznego w środku Europy, z tym klasycznym dylematem prawie mocarstwa, które ma ogromne trudności z konsumowaniem swojej siły, itd. — poczucie bycia Niemcami wyposażone jest w atrybuty współczesnego państwa. Oni wiedzą, że to posiadają. Ale ta świadomość bycia Niemcami jest w istocie znacznie szersza.

Kiedy dyskutowano w Niemczech o patriotyzmie marki niemieckiej, czy nawet w szerszym pojęciu — o patriotyzmie konstytucyjnym, często mówiono o tym z pewną ironią czy niepokojem, że to zbyt wąski i uproszczony patriotyzm. W momencie kiedy Niemcy napotkają jakieś trudności, taka forma patriotyzmu, czy takiego związku między sprawami obywatelskimi a kulturą jednostki jest jakby zbyt uboga.

Przenosząc to na grunt polski, mnie się wydaje — i to jest uwaga polemiczna do tego, co powiedział Pan Bolecki — że w Polsce inteligencja była za bardzo nastawiona na walkę z nacjonalizmem. Myślę, że z uwagi na ksenofobię podsycaną przez komunistów. Muszę powiedzieć, że cztery lata III Rzeczypospolitej nie potwierdziły zasadności pańskich obaw. Nacjonalizm jest oczywiście zawsze niebezpieczeństwem, i zawsze trzeba przed nim ostrzegać. Ale to nie nacjonalizm stał się wrogiem numer jeden rozsądnego układu w Polsce. To

nie nacjonalista zagroził Wałęsie w wyborach, tylko taki hybrydalny twór, jak Tymiański. A więc groźne okazało się totalne rozmycie, jakaś totalna nijakość, pozbawienie jakiegokolwiek zakorzenienia. To stało się przyczyną braku poczucia sensu, braku klarowności. Dlatego ja bym postawił polskim elitom kulturalnym, intelektualistom którzy „tworzą idee”, zarzut, że źle rozpoznali sytuację. Że nie potrafili dostrzec, czym jest to zjawisko. Nie potrafiono dodać jakiejś siły ludziom zaniepokojonym gigantycznymi przemianami cywilizacyjnymi, powiedzieć im czegoś głębszego, natomiast zafundowano im w gruncie rzeczy to, o czym wy Panowie mówicie: nowoczesność. „Bądźmy tacy jak na Zachodzie! Niech będzie silna złotówka! Zwiążmy nasze poczucie narodowości z państwem!” My musimy naśladować Zachód i dążyć w kierunku Zachodu, ale przecież ta ścieżka cywilizacyjna jest zawsze, dla każdej społeczności inna. Otóż myśmy nie pomyśleli, co na tej naszej, polskiej ścieżce jest oryginalnego. I dlatego polskie elity przegrały wybory. Szeroko rozumiane elity nie potrafiły objaśnić sytuacji, nie potrafiły nawiązać rozmowy. Pewne pragnienia ludzkie, pytanie „Kim ja jestem w tych przemianach, jaka jest moja tożsamość?”, nie zostały w ogóle poruszone. Z jednej strony zobaczono wroga w nacjonalizmie, który miał być tym najpoważniejszym zagrożeniem, a z drugiej strony, jako receptę na wszystko — supernowoczesność! Między tymi dwoma biegunami umknęło coś szalenie ważnego.

Włodzimierz BOLECKI: — Nie rozumiem tej polemiki. To co ja mówiłem dotyczy innego problemu i nie ma związku z wynikami wyborów. Gdyby wygrała tylko i wyłącznie Unia Demokratyczna czy tylko i wyłącznie partie Solidarności — problem by pozostał.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — To co powiedział Pan Bolecki, to jest jedna z najmądrzejszych wypowiedzi jakie na ten temat w życiu słyszałem. Natomiast sądzę, że wyniki wyborów zostały wplątane w naszą rozmowę, i one są jakby trochę obok tego, co Pan mówił. Wybory w Polsce przebiegały tak jak przebiegały. Tu powołałam się na Karola Modzelewskiego: w wyniku zastosowania wadliwego narzędzia transformacji, jakim było bardzo surowe i proste przeniesienie teorii monetarno-liberalnych na procesy transformacji gospodarki od komunizmu do kapitalizmu, nastąpiło gwałtowne obniżenie stopy życiowej, ponadto bezrobocie, niezależnie od tego, czy było obiektywnie konieczne czy niekoniecz-

ne; to były przyczyny które określiły wyniki wyborów. Hasło „Komuno, wróć!” nie jest chęcią przeżywania tortur, tylko tęsknotą do bezpieczeństwa socjalnego. Ludziom się wydało — zobaczymy, jak to będzie przebiegać — że z chwilą gdy wróci dawny układ, szansa na bezpieczeństwo zwiększy się, i tutaj leży w moim przekonaniu tajemnica. Natomiast przestrzegam przed sięganiem do analogii czeskiej, bo my mówiąc o tym, że Czesi wydali taką czy inną ustawę, zapominamy, że w Czechach doszło do największej bodaj politycznej tragedii w Europie obok tragedii jugosłowiańskiej: tragedii państwa. Istniało sprawnie działające przez kilkadziesiąt lat państwo czechosłowackie. Dzisiaj tego państwa nie ma. Jeżeli się mówi o Czechach, to nie można się fascynować taką czy inną ustawą, którą oni wydali, zastanawiać się, czy u nas taka ustawa mogłaby być uchwalona. Trzeba zdać sobie sprawę, że tam się dzieją rzeczy o których my w ogóle nie mamy wyobrażenia. Państwo czechosłowackie przestało istnieć. Mogę to porównać tylko z tragedią Jugosławii. Na szczęście w Czechach odbyło się to bezkrwawo, ale to jest kwestia rozumu ludzi, umiaru Czechów, którzy nigdy się nie angażują w zbyt daleko idące posunięcia, nie lubią siły, tam nie było nawet ruchu oporu, okupacja sowiecka też przebiegała łagodnie.

Kazimierz ORŁOŚ: — Przecież był rok 68!

Aleksander MAŁACHOWSKI: — No tak, ale to nie jest państwo gwałtownych ruchów. Może Karta 77, ale to też bardzo znikomy ruch. Przeciętny czeski obywatel nie brał w tym wielkiego udziału. I wreszcie pytanie: czy jest granica między PRL a III Rzeczpospolitą? Mnie się wydaje, że jej nie ma w życiorysach ludzkich, to znaczy, że życiorysy ludzkie przeciętnego obywatela w naszym kraju nie są życiorysami męczeństwa, tego wszystkiego, co spotkało pewną grupę działaczy Solidarności, co spotkało nas, żołnierzy Armii Krajowej. Przeciętny człowiek w Polsce tak znowu wiele przez te 45 lat nie ucierpiał. My to wyolbrzymiamy. Dla niego ta granica przebiegała nieco inaczej, dla niego czas PRL to był czas stabilizacji, kiedy kształci się dzieci, kiedy się dorabiał, kiedy — szczególnie na wsi — mógł wybudować dom, dostawał tanie kredyty. I to wszystko nagle pękło w wyniku tego, co nazywamy ogólnie planem Balcerowicza, czy też niesłusznie rządami Solidarności. Na marginesie dodam, że nigdy w Polsce żadna Solidarność nie rządziła. Rządzili ludzie, któ-

rzy jakby się przyłączyli do naszego związku i potem się od niego oddalili.

Otóż, wydaje mi się, że te wszystkie przyczyny sprawiły, że nie da się wytyczyć ścisłej granicy między III RP a PRL. Uchwalenie takiej jak w Czechach ustawy było po prostu niemożliwe, choćby dlatego, że władza komunistyczna została w Polsce wprowadzona w wyniku spisku międzynarodowego. To znaczy Jałta przekazała nas, Polaków, w ręce obcego mocarstwa, podczas kiedy tam powstało wolne państwo czeskie, które zostało następnie siłą zniszczone. Nie zapominajmy, że inna jest historia obu tych krajów. Istniało wolne państwo czeskie w 45 roku. Ono było skazane, ale istniało. Nie było, jak nasze, od razu satelitą. Dlatego ja nie sądzę, żeby kiedykolwiek udało się wyznaczyć ścisłą granicę między PRL a III Rzeczpospolitą. To przejście dokonało się płynnie i tego już nikt nie cofnie.

Kazimierz ORŁOŚ: — Może kilka słów polemicznych w stosunku do wypowiedzi pana Małachowskiego. Mnie się zdaje, że jednak wytyczenie takiej granicy, niedopuszczenie do tego wielkiego rozmazania było konieczne. Tutaj kwestia krótkiej pamięci wysuwa się jakby na plan pierwszy. Niedawno odślonięto na Służewcu pomnik ofiar stalinizmu. Czytając relację z uroczystości dowiedziałem się, że tam, w tym miejscu, pochowano dwa tysiące osób. Dwa tysiące ludzi potajemnie zamordowanych tylko w więzieniu na Rakowieckiej! W ogóle w okresie 1944-56, w okresie powojennym, przeszło przez więzienia PRL dwa miliony Polaków. Te liczby są może mało znane, ale potem były przecież dalsze etapy. Jest w historii PRL i grudzień 70, i 1976, i 1981 rok, stan wojenny. Za każdym razem mniejsza czy większa ilość Polaków traciła życie. Ja już nie mówię o tej wielkiej zapaści cywilizacyjnej, moralnej, jaka nastąpiła w czasach PRL.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Przepraszam, że przerwę, ale gdyby stopa życiowa ludzi przez ostatnie 4 lata wzrosła o 15 %, a nie obniżyła się o 20 czy 30 %, to zapewniam Pana, że to wszystko poszłoby jeszcze bardziej w zapomnienie, niż obecnie. To materialne przyczyny oburzyły społeczeństwo. Mnie nie trzeba przekonywać, że to wszystko należy potępić. Przeszedłem to na własnej skórze, byłem w tym czasie wielokrotnie aresztowany. Chodzi o to, że to wszystko teraz jest za słabym bodźcem, aby, krótko mówiąc, wykonać akt zemsty na komunie. Może akt sprawiedliwości.

Kazimierz WÓYCICKI: — Trudno przeczyć, że poziom życia ma gigantyczny wpływ na wybory polityczne, ale istnieje także pojęcie kultury politycznej, która usiłuje syntetyzować różne wątki. Czy nie nazbyt technokratyczny jest Pan w swym podejściu?

Aleksander MAŁACHOWSKI: — To jest kwestia liczenia pieniędzy. Jestem specjalistą od budżetu i może dlatego mam technokratyczne podejście.

Kazimierz WÓYCICKI: — Na pewno poziom życia ludzi ma bardzo silny wpływ na wybory. Ale ludzie również poprzez politykę zdobywają poczucie tożsamości. Również państwa poprzez zachowania elity politycznej kształtują ogólną kulturę. To, że nami rządzi Wałęsa mówiący określonym językiem, a teraz premierem jest Pawlak, mówiący określonym językiem, to wszystko stwarza jakieś standardy językowe. Zresztą jest to bardzo skomplikowany kompleks zagadnień. I w tym sensie decyzje czysto polityczne stwarzają też pewne fakty kulturowe. Brak czy nieobecność takiej ustawy w Polsce stwarza pewną rzeczywistość, która już nie jest dalej rzeczywistością prawną, tylko pewną rzeczywistością kulturową, świadomością.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Tylko czy możliwe było uchwalenie takiej ustawy?

Włodzimierz BOLECKI: — Panie Marszałku, to zależało przecież od posłów i senatorów, od nikogo innego. Ja jestem pełen podziwu dla Czechów. To nie był akt zemsty ale akt pewnej deklaracji moralnej. Chcę przypomnieć tu zdanie Jana Nowaka, który w jednym z ostatnich wywiadów — a trudno Jana Nowaka posądzać o radykalizm polityczny — powiedział, że on jest zdumiony, że w Polsce tego rodzaju ustawa sejmowa nie została uchwalona.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Ja na zakończenie chcę tylko przypomnieć Panom, że dwa razy otwierałem dwie kolejne kadencje Sejmu jako marszałek-senior, i za każdym razem powtarzałem: „Szukajmy tego, co nas może łączyć w przyszłości, a nie grzebmy w tym, co nas dzieli w przeszłości”. To zostało przez większość społeczeństwa, jak moge sądzić z listów, przyjęte z uznaniem.

Andrzej WIĘCKOWSKI: — Ale tu nie ma sprzeczności.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Wiem. Ja jestem w trudnej sytuacji, bo to nie Pan spędził te wszystkie lata w stałym konflikcie z władzą, nie Pan jeździł po Rosji w wagonie bydłowym, nie Pan był aresztowany. Mówię: dość tego! Jeżeli my nie potrafimy szukać przyszłości tylko ciągle sięgać do przeszłości, to się rozmijamy z odczuciami społeczeństwa. I o to mi chodzi. Bo społeczeństwo *per saldo* nie jest nastawione na tego rodzaju gry. To nie jest przypadek, i myślę że potrafiłby Pan to lepiej wyjaśnić ode mnie, że w tym Sejmie nie udało się takiej rzeczy nie tylko uchwalić ale nawet wprowadzić. Dlaczego posłowie grup, które wyznają podobną teorię, nigdy nie przygotowali projektu takiej ustawy?

Kazimierz WÓYCICKI: — Panie Aleksandrze, jeżeli prawo i pewne poczucie państwowości, jakiej życzyłby sobie pan Bolecki, ma kształtować obywatelskość, to czy brak ustawy lustracyjnej nie jest znakomitym przykładem, że Polacy nie mają poczucia takiej obywatelskości jak Czesi? Pan obawiał się, tak jak wielu spośród polskiej inteligencji, aktu zemsty po okrągłym stole. Otóż ustawa lustracyjna w wersji czeskiej to nie jest akt zemsty, to jest wydanie historycznej oceny. I nie doszło w Czechach do żadnych aktów zemsty. Natomiast myśmy nie wierzyli, że z pomocą prawa można coś takiego zrobić. Wy posłowie nie wierzyliście. I w rezultacie mamy Sejm jaki mamy, ludzi z biografiami jakie znamy. Ten Sejm na pewno nie powróci do sprawy lustracji. I powstaną przez to odpowiednie fakty w naszej kulturze politycznej. Do pewnego stopnia nieodwracalne.

Aleksander MAŁACHOWSKI: — Ja byłem za ustawą lustracyjną. Głosowałem za ustawą lustracyjną zgłoszoną przez dwa kluby. Natomiast ustawa, która została uchwalona w Czechach, jest ustawą dekomunizacyjną. Nie widzę szansy, żeby w jakimkolwiek najbliższym czasie, w polskim Parlamencie taka ustawa została uchwalona. Może to źle, ale ja stoję na stanowisku, że trzeba szukać w przyszłości, a nie wracać do przeszłości, bo to się musi jednoznacznie źle skończyć.

Włodzimierz BOLECKI: — Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości. Panie Marszałku, jeżeli Sejm pierwszej

kadencji, po 1989 roku był w stanie ocenić agresję na Czechosłowację w 68 roku, a to przecież był Sejm kontraktowy, to dlaczego Sejm pierwszej kadencji III Rzeczypospolitej nie mógł uogólnić tamtego głosowania, tamtej ustawy? Ocena agresji na Czechosłowację w 68 roku była czymś szczegółowym, natomiast wszystkie przesłanki polityczne i moralne w gruncie rzeczy były oceną systemu komunistycznego.

Kazimierz ORŁOŚ: — Uważam, że tej oceny w Polsce zabrakło. Dziękuję Panom za udział w dyskusji.

Warszawa, październik 1993

(Tekst autoryzowany przez uczestników dyskusji. Dwóch autorów — Włodzimierz Bolecki i Andrzej Więckowski — przeredagowało i opracowało ponownie swoje wypowiedzi nadając im charakter pisemny.)

Kultura ty, polska kultura...

Rok 1989 stanowi bez wątpienia przełom w życiu kulturalnym Polski. Nie chodzi o wydarzenia polityczne, nie chodzi też o zniesienie cenzury, choć fakt ten bez wątpienia ma swoje znaczenie, lecz — zważywszy zadomowienie się kultury w obiegu pozacenzuralnym w poprzednich latach — raczej marginalne. Chodzi przede wszystkim o zachwianie struktur samej kultury i życia kulturalnego kraju. W dalszym ciągu artykułu piszę przede wszystkim o sytuacji literatury, lecz z pewnością wiele tych uwag można odnieść i do innych dziedzin życia artystycznego.

Wśród faktów o znaczeniu pierwszoplanowym wymienić trzeba: 1. inwazję kultury masowej, z której istnienia twórcy polscy sobie co prawda zdawali sprawę, nie doceniali jednak jej siły; 2. załamanie się systemu dotacji zarówno państwowych i „opozycyjnych” (wyjazdy na stypendia, dopłaty do niezależności z różnych źródeł zachodnich itp.); 3. ogólne zubożenie zarówno twórców i konsumentów kultury; 4. rozpad instytucji pośredniczących, jak choćby kolportażu prasy i książki; 5. decentralizację kultury narodowej; 6. upadek autorytetów artystycznych (ani Wajda, ani Szymborska nie są dziś w tym stopniu postaciami publicznymi, jakimi byli — chcieli tego czy nie — w poprzednich dziesięcioleciach). Wszystkie te wydarzenia mają zarówno wymiar pozytywny i negatywny. Z jednej więc strony stajemy się powoli społeczeństwem normalnym, w którym kultura „wysoka” zajmuje miejsce jej z natury niejako przynależne (świetny szkic Miłozsa o życiu „na wyspach” w *Gazecie Wyborczej* najlepiej tę sytuację ilustruje), a więc znajduje się niejako na marginesie życia publicznego. Z drugiej strony w obecnej sytuacji — miejmy nadzieję, że jednak przejściowej — nie tylko pozycja,

lecz samo istnienie kultury elitarnej zostało zagrożone: przykładem częsta wciąż, i zrozumiała, postawa wydawców, którzy nie chcą podejmować ryzyka związanego z wydaniem ambitnego debiutu, który nie przyniesie kasy.

Okres jest przejściowy, to pewne. Pytanie jednak z czego do czego przechodzimy. Zdezorientowani są sami twórcy, zdezorientowane jest też państwo, które w gruncie rzeczy jak na razie nie wie, co zrobić z tym fantem, jakim jest kultura. Czytelnicy łapią książki Ludluma czy kolejne tomy Harlequina, widzowie chodzą na filmy amerykańskie. Przy czym postawieni są przed trudnym wyborem: muszą zdecydować, na co wydać skromne sumy, jakie mogą ze swych budżetów wykroić na kulturę — w końcu nie sposób zapomnieć, że 40% rodzin żyje poniżej progu ubóstwa, a z pozostałych 60% większość poważnie się zastanawia, jak związać koniec z końcem. Inteligent, który jeszcze nie tak dawno czytał „wszystko”, a w każdym razie dużo i który gromadził w domu wszystkie wartościowe książki, teraz wielokrotnie międlł w rękę banknot (o obracaniu monetą dawno zapomniał, gdyż ten rodzaj pieniądza wyszedł z obiegu) zastanawiając się nad tym, które pisma i które książki kupić.

Co więcej, załamał się cały system pośrednictwa, który w Polsce przez dziesięciolecia oparty był na systemie tygodników społeczno-kulturalnych przynoszących liczne (i poważne, a nie zredukowane do notek i notatek) recenzje i omówienia i które to pisma — stosunkowo tanie — czytane były powszechnie. Teraz nie ma tych pism, ostatecznie zniszczył ich sięć stan wojenny (to w ogóle problem zasługujący na osobne omówienie). Przetrwały *Polityka* i *Tygodnik Powszechny*. Ta pierwsza dociera do szerszych kręgów, ten drugi jest jakoś słabiej obecny (dlaczego?). Trwa *Tygodnik Solidarność*, lecz z czasów świetności (1980-81) pozostały jedynie wspomnienia. Pisma codzienne działają kulturalne mają skandaliczne — nawet dodatek *Gazety Wyborczej* o książkach jest słabiotki: nie można takiego pisma adresować „do wszystkich”, gdyż przemienia się to w felietonową paplaninę bez ambicji. W ogóle żadne pismo bliskie większej ilości czytelników — może z wyjątkiem *Ex Librisu* — nie ma pomysłu na kulturę (a miał np. przedwojenny *Robotnik*, w którym pisali i Irzykowski, i Peiper, w którym potrafiiono zorganizować dyskusję o poezji itp.): teksty są na ogół przypadkowe, nie widać żadnej myśli przewodniej, którą by miały podbudowywać. Nie sposób z kolei podobnej „polityki kulturalnej” realizować w miesięcznikach i kwartalnikach, które nie są w stanie

reagować na sprawy najbardziej aktualne.

W miejsce tradycyjnego modelu tygodnika poważniej wchodzi model zachodni, typu *Der Spiegel* (nieudana próba *Spotkań*, lecz udana *Wprost*), w którym kultura zredukowana jest do jakichś list bestsellerów i „kącików”. Tu może najwyraźniej widać wybór, przed którym się znaleźliśmy. Interesujące są dzieje takich pism jak reaktywowane *Po prostu*, *Potop*, *Tygodnik Literacki* czy ledwie dziś dychający *Przegląd Literacki*. Krakowska *Dekada Literacka* jakoś dziwnie pokonuje przeciwne jej naturze koleje losu, lecz nie wiadomo jak długo uda się redakcji ta sztuczka. Żaden koncern prasowy w Polsce nie jest w stanie utrzymać poważnego tygodnika, zaś upadek sieci kolportażu i zubożenie publiczności nie pozwalają na wielogłosowość. A honoraria płacone przez tego rodzaju pisma to śmiech na sali w porównaniu z tym, co płać ilustrowane magazyny za papkę, którą można wyprodukować na boku i bez wysiłku (dobrze, że w ogóle jest w nich miejsce na kulturę).

Wspaniałym zjawiskiem jest rozkwit prowincjonalnych (w najlepszym znaczeniu tego słowa) miesięczników i kwartalników: lubelskie *Kresy*, gdański *Tytuł*, ostrołęcka *Pracownia*, poznański *Czas Kultury*, katowicki *Fa-art*, krakowska *Arka*, wrocławska *Odra* (trwająca jakoś i utrzymująca poziom), olsztyńska *Borussia*, ambitne warszawskie pismo debiutantów *Ogród* — to tylko kilka przykładów wskazujących na pojawienie się nowego zjawiska. Większość z tych pism finansowana jest przez miejscową administrację, lecz ich żywot jest stale zagrożony. Podobnie zresztą, jak trwanie i rozwój takich pism jak *Dialog*, *Twórczość*, *Teksty Drugie* czy *Literatura na Świecie*. Trochę inaczej wyglądają szanse przetrwania pism katolickich — *Znak*, *Więzi*, *Przeglądu Powszechnego* czy *W Drodze* (tu zresztą warto zwrócić uwagę na ich rozwój w okresie stanu wojennego, gdy stały się miejscem schronienia dla wielu „źle widzianych”), lecz są jakby dziś dyskretniej obecne w życiu publicznym niż to było jeszcze przed paru laty. Osadziły się na rynku pisma do niedawna emigracyjne — *Kultura*, *Zeszyty Literackie* oraz *Puls*, lecz też docierają do niewielkiej ilości czytelników (choć spełnił się mój sen sprzed laty, gdy marzyłem o tym, by w kioskowym dworcu móc kupić *Kulturę* — jeszcze parę miesięcy temu na warszawskim Dworcu Centralnym było to możliwe). Jedno wszakże jest pewne — nie da się z nich żyć, gdyż w większości płać raczej symbolicznie i inaczej nie mogą.

Ten wspaniały i mający chyba tendencje rozwojowe roz-

kwit miesięczników i kwartalników jest jednak niedostrzegalny z perspektywy zwykłego uczestnika kultury. By wszystko móc prenumerować, ma zbyt mało pieniędzy (adiunkt na uniwersytecie zarabia ok. 3,5 mln, nauczyciel mniej, zwykły student nie ma co marzyć o kompletowaniu zbiorów czegokolwiek). Jednocześnie nie ma — w szczególności poza Warszawą — żadnej szansy na przeglądanie tych pism w bibliotekach, gdyż biblioteki, jeśli w ogóle potrafią żyć, też mają zbyt małe fundusze, by wszystko kupować. Obawiam się nawet, że nie ma żadnej instytucji w Polsce, która z całą pewnością mogłaby powiedzieć, że kontroluje ruch wydawniczy — dotyczy to tak czasopism i książek: nawet Biblioteka Narodowa nie otrzymuje, jak to bywało, egzemplarzy obowiązkowych wszystkich krajowych publikacji. Nie ma dosłownie żadnego miejsca w kraju, gdzie można by się dowiedzieć z pewnością, jakie wydano ostatnio książki poetyckie — by wskazać tylko jeden przykład. Rozpadowi uległa cała infrastruktura kultury narodowej. Pisma — by tylko przy tym przykładzie pozostać — istnieją nie razem, ale obok siebie: to, że powstają i trwają jest zjawiskiem pozytywnym; negatywna jest ich wzajemna izolacja i izolacja ich kręgów czytelniczych.

Przy czym państwo jest w tym wszystkim bezradne. Każdą instytucję wydawniczą traktuje w zasadzie tak samo, choć można na przykład wypracować model, który pozwoli Ludlumom finansować wydawanie poezji. Państwo musi albo zacząć w elity inwestować, albo stworzyć innym instytucjom takie możliwości (wypróbowany gdzie indziej model ulg podatkowych, który w karykaturze liberalnej gospodarki, która była u nas forsowana, nie miał szans): to nowe państwo jest na to podobno zbyt biedne — czas, by państwo zaczęło myśleć o tym, kim staną się jego ograbieni z kultury obywatele, którzy co prawda nie muszą czytać rzeczy „trudnych”, lecz muszą mieć zapewnioną taką alternatywę nawet wtedy, gdy z niej nie korzystają. Inwazja kultury masowej nie musi być nieszczęściem i zagrożeniem, tym bardziej, że nie można ludziom zabronić czytania i oglądania tego, co się im podoba — jednakże robione tu „wielkie” pieniądze (piszę w cudzysłowie, gdyż to wszystko jest dość relatywne) powinny pracować nie tylko na rzecz samych wydawców czy animatorów, lecz także, w rozsądnych granicach, na rzecz kultury „elitarniej”. Na rynku księgarskim z oczywistych względów „Odwrócone światło” Karpowicza (książka droga i skazana na bardzo wąskie grono czytelników) nie wygra z best-

sellerem fantastycznonaukowym lub szpiegowskim, ale rzecz w tym, że musi powstać możliwość wydawania takich tomów. Inaczej kultura zacznie pożerać sama siebie, żywić się własną tkanką. Jest rzeczą oczywistą, że nawet Tadeusz Konwicki nie wygra konkursu popularności z gwiazdą rocka czy tylko z zespołem „Piersi”, ale nie powinien być przez sytuację zmuszany do sprzeniewierzenia się swojej dotychczasowej pracy artystycznej (ja wiem, że był kiedyś „finansowany przez komunę”, zaś później przez „opozycję” — teraz trzeba stworzyć warunki, by mógł być finansowany przez kogo innego) — ma, oczywiście, prawo robić co chce, chodzi mi tylko o zlikwidowanie sytuacji, w której książka ambitna (w szczególności autora dopiero początkującego, a więc podnoszącego stopień ryzyka wydawniczego) nie ma szans na druk.

Procesy negatywne przeważają nad pozytywnymi: rozpad wspólnoty życia kulturalnego jest szybszy niż próby przeciwdziałania temu procesowi. Przed czterema laty można się tym było nie przejmować — dotychczasowy model kultury musiał ulec przekształceniu. W efekcie braku przemyślanego programu państwowego i zepchnięcia spraw kultury na nic nie znaczący margines nastąpił rozpad. Można się tym nie przejmować — jakaś kultura w końcu będzie istniała, jakoś to się będzie toczyć i być może wyłoni się z tego jednak całość. Osobiście jednak w automatyzm takich procesów nie wierzę. Można uważać, że to, co następuje, jest koniecznością. Kultura, jak wspominałem, musi się przyzwyczaić do tego, że nie będzie na planie pierwszym czy w ogóle na pozycji eksponowanej. Jest jednak absurdem brak inwestycji w elity (choćby miały żyć na tych swoich „wyspach”), uporczywe spychanie warstw kulturotwórczych w nędzę, dopuszczanie do tego, że placówki naukowe nie mogą wypełniać swych zadań. Przy czym nie tylko o pieniądze — choć o nie również — chodzi. Chodzi też o takie drobiazgi, jak niemożność uchwalenia wreszcie prawa autorskiego (cztery lata to jednak spory szmat czasu zważywszy, że istnieją na świecie przepisy, które można z powodzeniem na początek skopionować — nowelizacją można się zająć później: coś jednak musi działać).

Jest oczywiście lepiej niż „za komuny”. Lecz zarazem zbyt wielu ludziom w Polsce wolność pomyliła się z samowolą, prawa rynku z rozbojem, zaś o dyscyplinie demokracji w ogóle nie można mówić. Rzuca się to ludziom na móżgi: tak w polityce, jak w innych dziedzinach — język, którym posługują się zarówno władza jak i społeczeństwo (pisał o

tym Herbert na łamach *Tygodnika Solidarność*) jest w stanie agonialnym (a warto dodać, że jest to agonia w rymsztoku: dość posłuchać ludzi na ulicach, ale także w instytucjach kultury). Osobiste i grupowe egoizmy skutecznie przeciwstawiane są dobru publicznemu i niedługo braknie powodów, by używać w nazwie państwa określenia Rzeczpospolita.

Kultura być może nie musi być widoczna, lecz musi mieć zapewnione podstawowe warunki rozwoju. Ludzie kultury bowiem są w społeczeństwie jak czyściciele kanałów — nie widać ich, nie słycać, ale woda do domów dochodzi i nie topimy się w gównie. By jednak te kanały czyścić, muszą mieć dostateczne narzędzia (biblioteki, uniwersytety) i możliwość wyszkolenia następców. A tym musi się zająć państwo, które jest odpowiedzialne za przyszłość. Lub może trzeba pomyśleć o jakimś zorganizowaniu się inteligencji — twórców, nauczycieli, działaczy kultury — w obronie własnych interesów, a nie interesów poszczególnych partyjek i ugrupowań, z których żadne nie jest w dodatku do końca pewne swej tożsamości. Jak na razie bowiem, zarówno stare jak nowe stowarzyszenia i związki twórcze oraz zawodowe służą głównie do zbierania składek członkowskich, które nie pokrywają nawet kosztów korespondencji. Zapewne przesadzam, ale jestem pewien, że nie tak znów bardzo.

Leszek SZARUGA

Portret wenecki

Przeczytałem wczoraj w dziale nekrologów *Corriere*: „W Wenecji, w swoim domu na *Calle San Barnaba*, zmarła 87-letnia Contessa Giuditta Terzan. Usnęła na wieki, pogodzona z Bogiem. O czym zawiadamia jej siostra Giovanna Olindo w Rzymie. Uprasza się o niezakłócanie cichego odejścia zmarłej kondolencjami”.

Zauważyłem przypadkowo nekrolog wieczorem, szukając programu telewizyj. I nie ruszyłem się już z fotela. Jak przypływają naraz dalekie wspomnienia? U każdego chyba inaczej, u mnie w formie bezładnej, gwałtownej nawałnicy. Dopiero nazajutrz, po przespanej niespokojnej nocy bez snów, zdarzenia, twarze ludzkie, daty wskakują na swoje miejsca jak płytki podczas stopniowego układania wzoru w rozsypanej łamigłówce.

Wiosną 1946 roku, na przełomie kwietnia i maja, wybrałem się do Wenecji w ważnych dla mnie (i dla moich przełożonych w rzymskim urzędzie wojskowym) sprawach. Spodziewałem się że podróż potrwa najwyżej dwa tygodnie, i taki termin powrotu podałem mojej żonie. Po drodze, w tych samych sprawach, miałem się zatrzymać na krótko w Florencji.

Można już było wtedy swobodnie podróżować pociągami i dalekobieżnymi autobusami, ale my umundurowani ufaliśmy tylko transportom wojskowym. Ich wadą w razie pośpiechu, a zaletą w razie pokus turystycznych, były częste i długie postoje. Moja wyprawa była pilna, ale nie aż tak pilna, bym nie mógł jej dowolnie przedłużyć pod byle jakim pretekstem. Pierwszy *jeep* (amerykański) zabrał mnie do Orvieto, i tam spędziłem popołudnie i noc, załatwiwszy uprzednio z angielskim kamionem osobowym (wycieczka wojskowa) następnym etapem do Florencji.

Żałuję, że nie da się we wspomnieniach, po tylu latach!, odtworzyć klimatu *pierwszych* spotkań z włoskimi urokami architektury, malarstwa i pejzażu, owych odkryć dziewiczego wzroku zacieranych potem lub zmienianych przez kolejne spotkania w przyszłości. To jedynie pamiętam, że w stanie odrętwienia i wewnętrznego drżenia, które nie miało nic wspólnego z przeżyciem estetycznym, wiele godzin to siedziałem to klęczając w *Duomo*, zwłaszcza w kaplicy Sądu Ostatecznego. Było w tym coś z oczyszczenia z wojny i wszystkich doświadczeń minionych sześciu lat, coś z bezgłośniejszej modlitwy o łaskę. Dziwne, że Rzym nie popychał mnie do takich aktów.

Wieczorem upiłem się orwietąńskim winem w tawernie obok *Duomo*, po czym nie zważając na wiosenny chłód przespałem noc na kamiennych ławach po przeciwnej stronie Placu Katedralnego, a każde przebudzenie nasycalo mnie i znowu usypialo zamazanym nieco konturem frontonu *Duomo*, fasady podobnej w wiosennych ciemnościach do ogromnych kamiennych organów.

W Florencji załatwiłem szybko własne i poruczone mi sprawy, obszedłem zabytki w centrum i zniechęcony tłumem wojskowych i turystów, uciekłem nad Arno. Tam, u bukinyści w małym i zakurzonym sklepiku, kupiłem za grosze wielkie tomisko *Album di ritratti*. I z tym *Albumem portretów* w chlebaku stanąłem o świcie, po nocy przespanej u adresatów rzymskiego polecenia, na rogatkach miasta, czekając na samochód do Wenecji lub w okolice. Nadarzyła się okazja tylko do Padwy.

W Padwie natknąłem się na znajomych oficerów polskich i z nimi dotarłem około południa do Wenecji. Wojskowa komenda miasta w uliczce obok Placu Świętego Marka była już zamknięta, otwierano ją znowu wczesnym wieczorem. Przez chwilę, rezygnując z należnego mi przydziału kwatery, byłem gotów zapukać do któregoś z nielicznych nie zarekwirowanych hoteli. Wszystkie były rzekomo przepelnione; rzekomo, bo prawda malowała się w niezycliwych spojrzeniach recepcjonistów.

Wróciłem więc na Plac, gdzie szczęśliwym trafem udało mi się zająć jedyny wolny jeszcze stolik w kawiarni naprzeciw Bazyliki. I z chlebaka wyciągnąłem moje tomisko.

Album portretów był wyraźnym przedsięwzięciem handlo-

wym z lat trzydziestych, którego nie musnęła nawet ręka fachowego kuratora, historyka sztuki. Ale wybór był bogaty, reprodukcje dobre, a noty o portrecistach zapożyczone z poważnych biografii i monografii.

W antologicznych wydawnictwach tego rodzaju usiłuje się przede wszystkim uchwycić istotę ich głównego tematu. W wypadku *Albumu* chodziło o zaprezentowanie możliwie szerokiej gamy odcieni w sztuce portretowej. Ogromnie cienka jest nić dzieląca dobry portret konwencjonalny od portretu, który w intencjach malarza ma być *odczytaniem*: charakteru, psychiki, umysłowości, bagażu życiowego modelu (lub samego siebie w autoportrecie). Z grubsza rozróżniłbym trzy kategorie portretów, naturalnie z pominięciem konwencjonalnych, w których główną rolę odgrywa czynnik podobieństwa i ubioru. 1) Celne od pierwszego spojrzenia portrecisty, trafiające natychmiast w esencję wyrazu twarzy (dla przykładu, Holbein i Rembrandt), skoro dla mnie przynajmniej jest pewne, że każda znacząca i należyte zobaczona twarz przemawia pełnym głosem od pierwszego wejrzenia. 2) Poetycko-emocjonalne, tak odkrywczyste i intensywne jak dobry wiersz (powiedzmy, Van Gogh). 3) Indagacyjno-psychologiczne, bardzo personalne w ujęciu portretowanej twarzy (Lorenzo Lotto), w przeciwieństwie do typowości Tycjana.

Lorenzo Lotto! Padło nazwisko wielkiego, i długo zapoznanego malarza — głównie portrecisty — weneckiego. Piszę je z pewnym zażenowaniem. Czy czytelnik uwierzy — a zależy mi by uwierzył, — że zaraz na początku mojej podróży (i mojego opowiadania) natrafiłem na trop tak ważny w *Portrecie weneckim*? Jeśli czytając dalej, przymruży sceptycznie oko, proszę go tylko o pamiętanie, że nie autor jest panem kapryśnych, przecinających się nieoczekiwanie i rozchodzących się ni stąd ni zowąd, linii losów; autor bywa sam zaskakiwany Ręką, która prowadzi jego rękę.

Nota o malarzu w *Albumie portretów*, upleciona z szacownych bardzo cytatów, odsłaniała życie wiecznego pechowca. Lotto urodził się pod koniec XV stulecia w Wenecji. Nasze stulecie i schyłek poprzedniego dojrzały w nim nareszcie twórcę przewyższającego niekiedy swoich współczesnych — Tycjana, Michała Anioła, Rafaela, Dürera, — choć podczas długiego dosyć życia ledwie zauważanego i wciąż niedocenianego przez mecenasów i znawców sztuki. Malował dużo, ale bez powodzenia; był włóczęgą, nieustannie poszukującym skromnych bodaj zamówień. Płacono mu grosze w kościołach

i za portrety. O jego charakterze najlepiej świadczy okrzyk jadowitego Aretina: „Lotto, jak dobroć dobry, jak cnota cnotliwy!”. W świadectwach epoki mowa o jego „ciemnym duchowej”, o „religijnym niepokoju”, co budziło podejrzenie, że sprzyjał potajemnie luteranizmowi. Uchodził za ucznia Belliniego (dziś wiadomo, że jego mistrzem był Alvise Vivarini). W freskach o tematyce religijnej zdawał się krewniakiem Correggia, w portretach przewyższał ulubieńca Stendhala. Nigdy się nie ożenił, włóczęgowski tryb życia pogłębił w nim pociąg do samotności. Mówiono, że jest „bez korzeni”. Chciał być pochowany w rodzinnej Wenecji, był jednak zbyt biedny by zamieszkać w niej przed śmiercią. Ostatnie lata życia spędził jako „oblat” w klasztorze w Loreto, mając zapewniony codziennie talerz zupy. I tam umarł w osiemdziesiątym (w przybliżeniu) roku życia. W dwadzieścia lat po wydaniu *Albumu portretów* wielką monografię napisał o nim Bernard Berenson. Przepisuję z niej dzisiaj zdanie: „Nigdy, ani przed Lorenzo Lotto ani po nim, nie zdarzyło się artyście odmalować na twarzy modelu tak wielkiej części jego życia wewnętrznego”.

Poszarzało, mogłem już iść do wojskowej komendy miasta.

Mój urzędowy papierek został natychmiast, bez zastrzeżeń, zaakceptowany. Angielski sierżant z wydziału mieszkaniowego zapytał, czy wolę pokój w hotelu, czy w domu prywatnym obłożonym częściową rekwizycją. Wybrałem to drugie. Przeglądał spisy, miał minę zafrasowaną, wreszcie powiedział z ulgą, stuknąwszy palcem w jeden z adresów na liście, że mogę dostać cały parter w domku na *Calle San Barnaba*. „Ale uprzedzam lojalnie (dorzucił), domek jest na wpół zrujnowany, zapuszczony, należy do weneckiej hrabiny, która zajmuje całe piętro. *She is a bitch and a witch*”.

Znalazłem wieczorem domek bez większego trudu, jakkolwiek położony był w tyle, za rzędem kamienic, i połączony z ulicą wąskim, brudnym przełazem. Contessa (tak ją wszyscy w okolicy nazywali, nie używając ani imienia ani nazwiska) wzięła z moich rąk skierowanie, obejrzała mnie od stóp do głów z ledwie hamowaną odrazą i iskrą gniewu w czarnych oczach, rozpogodziła się nieco na wiadomość że jestem Polakiem, dała mi klucz do drzwi wejściowych i z góry zapowiedziała, że „nie zajmuje się domem”. Z komody wyrzuciła na łóżko prześcieradła i ręczniki, ostrzegła że kuchnia jest nieczynna, podobnie zresztą jak łazienka, w któ-

rej mogę brać tylko zimny prysznic. Kawę pije się w barze na *Campo San Barnaba*, obok kościoła. Poinformowała mnie, że jest restauratorką i kopistką obrazów, pracuje często po nocach, ceni zatem ciszę i spokój. „Byłoby najlepiej, gdybyśmy nawzajem nie wiedzieli o naszym istnieniu. Proszę też nie uprawiać tu życia towarzyskiego” (co było eufemizmem na temat żołnierskiego zwyczaju przyprawiania prostytutki).

Sierżant angielski miał rację: zapuszczenie dwupokojowego parteru, kuchni i łazienki było rewoltujące; na szczęście, prócz szerokiego łóża, można było liczyć na fotel przystawiony do szafki bibliotecznej, pełnej książek i albumów malarskich. Reszta — stół, krzesła, komoda — była zarosnięta brudem, chwiejna i wywrotna za byle poruszeniem. Także dom był prawie ruiną, z dziurami po odpadniętym tynku, z zewnętrznymi schodami żelaznymi, które przylegały do muru i prowadziły na piętro (wewnętrzne, nie często chyba używane, trzeszczały niepokojąco, gdy Contessa zeszła aby mi otworzyć drzwi). Ale było widoczne, że w drugim pokoju ktoś stosunkowo niedawno mieszkał, jego ściany były obwieszane reprodukcjami malarskimi i fotografiami, a blisko oszklonych drzwi wychodzących na zewnętrzne schody, i teraz zablokowanych stała duża, stylowa, zamknięta (bez klucza w zamku) szafa na ubrania. Na zewnętrznych schodach żelaznych, jak się nazajutrz rano okazało, drzemały w dzień trzy puszyste koty, odstraszać szczury, dla których przełaz od ulicy był drogą w stronę kanału.

Po latach, kiedy stałem się admiratorem *The Aspern Papers*, podczas każdorazowej lektury noweli Henry James'a wspominałem domek na *Calle San Barnaba*. Był co prawda nędzny w porównaniu z domem dwóch bohaterów *Aspern Papers*, ale panowała w nim podobna atmosfera, jak ją określić?, zapewne ukrytego, pełzającego rozkładu. Mimo, że moja Contessa była dorodną, na oko czterdziestoletnią kobietą, a stara Miss Bordereaux, za młodu kochanka sławnego poety Asperna, warowała zazdrośnie na jego drogocennych listach miłosnych o włos już od grobu.

Upadłem ze zmęczenia na łóżko, kiedy się obudziłem, zegarek wskazywał dziesiątą. Czuję głód. Ciemnym przełazem wyszedłem na ulicę, blisko było *Campo*. Bar obok kościoła był jeszcze otwarty, lecz pusty (w Wenecji przed sezonem letnim dziesiąta jest bardzo późną godziną). Wszedłem do pokoiku w głębi, gdzie dawano coś zimnego do zjedzenia i butelkę wina. Gospodarz opuścił serrandę w drzwiach wejścio-

wych, zgasił światło w barze i przysiadł się do mnie. Wiedział już, że zamieszkałem u Contessy.

Nie trzeba było zachęcać go do mówienia, wieczorna gadanina „na luzie” przy szklance wina jest rozkoszą każdego barysty (od *barista*). Contessa nie była hrabiną z urodzenia. Młodziutką studentkę Akademii Sztuk Pięknych uwiódł grubo od niej starszy hrabia Terzan. Zaszła w ciążę. Terzan zgodził się dać jej i dziecku swoje nazwisko wraz z tytułem, ale pod warunkiem, że po ślubie nigdy więcej nie spróbuje go zobaczyć. Kupił jej domek na *Calle San Barnaba*, który był wtedy jeszcze solidny, i wyjechał do swojego majątku pod Sondrio, w Valtellinie. Nigdy go tu więcej nie widziano, nie przyjechał nawet na pierwszą komunię chłopca. Chłopiec skończył gimnazjum, zapisał się na architekturę. Alvisie, nazywano go zdrobniałym imieniem Alvi. Matka zarabiała na życie obojga odnawianiem starych obrazów i kopiowaniem arcydzieł w Akademii na zamówienie bogatych klientów. Była w Alvim zakochana (z wzajemnością), nie widziała poza nim świata, tak, tak, ładny i dobry chłopiec. Sama — choć pan widział, że młoda jeszcze i piękna — żyje jak zakonnica. Zaniebagała dom, zaniebagała siebie. Dziś ledwie wiąże koniec z końcem — komu teraz w głowie odnawiać stare obrazy i zamawiać drogie kopie w Akademii, — tak się zadłużyła, że w sklepach spożywczych przestano jej dawać na kredyt. Ja daję jej rano *capuccino e cornetto*, robię dobrą minę do złej gry, gdy każe mi to zapisywać w zeszytach dłużników. Contessa! Jest córką nieślubną woźnej w szkole (ta woźna potem wyszła za mąż i urodziła drugą córkę, dziś bogatą kobietę w Rzymie), a nosi się jak prawdziwa hrabina. Od trzech lat żyje tylko jednym: syna powołano na początku 1943 do wojska, po roku służby przestał się odzywać. Zobacz pan, jak matka zbiega rano i po południu do skrzynki pocztowej przed domem. I nic, od dwóch lat ani słowa, wszyscy o tym wiemy, a przecież wojna skończyła się równo rok temu, tylu weneckich żołnierzy wróciło już do rodzin. Zobacz pan, sam pan zobaczy: rano do skrzynki, potem do Akademii, po południu do skrzynki, wieczorem i czasem całą noc ostre światło w jej pokoju. Na światło wydaje pewnie większość tego, co zarabia. Rzadko wychodzi z domu. Mówią, że tylko do antykwariatów i sklepów z płótnami i farbami. Ten jej domek któregoś dnia się zawali. Zawali się, przysięgam, i pogrzebie Contessę z jej obrazami. No, trzeba zamykać, już północ. Naplotłem ile mogłem, ale lepiej wiedzieć u kogo się mieszka. Podejrzewam, że te parę groszy od wojska za pokój

to obecnie ważna pozycja w jej budżecie. Sęk w tym, że mało kto potrafi tam wytrzymać dłużej, niż trzy-cztery dni.

Sprawy mojego urzędu i własne załatwiłem w ciągu dwóch dni, tak że właściwie mogłem już szukać samochodu do Rzymu. Ale nie przyjeżdża się po raz pierwszy w życiu do Wenecji, aby pożegnać ją natychmiast po powitaniu. Więc z uczuciem lekkości, i rosnącego wciąż olśnienia, przemieniłem się w turystę. Zresztą daleko jeszcze było nawet do spodziewanego przeze mnie początkowo dnia powrotu.

Wenecja była dla mnie trzecim dużym miastem włoskim, oglądanym zaraz po wojnie, po Neapolu i Rzymie; pomijam Florencję, w której mój postój był błyskawiczną wizytą w mieście-muzeum, bez możliwości zajrzenia głębiej.

Każde z tych trzech miast inaczej wynurzyło się z wojny. Neapol z obolałym uśmiechem (jednak uśmiechem) i oszukańczym błyskiem w oku, jak przystało miastu, które nie jednego już w swojej historii najeźdźcę i nie jedno obce panowanie potrafiło znieść i pokonać niewidzialną bronią przebiegłej i szyderczej uległości. Rzym z grymasem desperackiej paniki, z nieprzytomnym i pokornym wzrokiem nędzarza, który nagle stracił prawie wszystko co posiadał i wszystko co mu jeszcze zostało gotów jest oddać za szansę zwykłego przeżycia. Wenecja (może dlatego, że minął już rok od końca wojny) z niezrównaną elegancją, godnością i tajemną wyniosłością istoty nietykalnej, miasta tak dumnego, że nie ma śmiałka zdolnego podnieść na nie rękę.

Najtrudniej ominąć pułapkę banalnej repetycji, usiłując dać wyraz zachwytowi. Ale podobnie jest w wyznaniach i zaklęciach miłosnych. Następuje coś w rodzaju samorozgrzeszenia banału, przestaje się zwracać nań uwagę, bo wytarte i oklepane zdawałoby się słowa zaczynają świecić nowym światłem, zaczynają same z siebie wykraczać poza własne, potoczne znaczenia.

Takie było moje wtajemniczenie miłosne w Wenecję. Zakochiwałem się z każdym dniem mocniej w mieście, o którym poeta mówi, że jest zbudowane z widzeń sennych, a które ja podziwiałem za szczególny związek, chciałoby się powiedzieć: za zaślubiny, snu z jawą. Ten krótki moment przebudzenia, gdy ulatujący sen jeszcze trwa i już rozwiewa się w świetle dziennym. Taki był, dla mnie, budulec Wenecji. Rzeczywisty jeszcze? Już nierealny? Na mostach nad kanałami przystawałem długo, bardzo długo, jakbym w ciemnej wodzie chciał ujrzeć lustro, które zachowało to co przeminęło,

odbity upływ czasu. Na ulicach i placach wsłuchiwałem się w kroki, odchodzące czy dopiero nadchodzące? Nie używałem statków, zależało mi by wszędzie dotrzeć pieszo. Zjawą wydawała mi się gondola. Wiedziałem, i pogodziłem się z tym szybko, że nigdy, choćbym tu zamieszkał lub często przyjeżdżał w ciągu wielu lat, nie przebiję się do jądra Wenecji, jak bywa w innych miastach. Bo go nie ma. Nie ma jądra czy serca Wenecji, zbyt płynnej i ulotnej, uchwytniej i umykającej. Nie lubiłem Placu Świętego Marka i przepysznej Bazyliki, nie lubiłem Pałacu Dożów, nie lubiłem miasta zanadto konkretnego, wspartego na skrawku twardego gruntu. Wolałem Wenecję balansującą na pograniczu, gdyż była dowodem realności snu. Nawet na *Canal Grande*, tym węzlu (tak go przecież nazywa większość podróżników) utkanych Bóg wie z czego pałaców, kruchych jak przywidzenie, Wenecja była i nie była, władała samą ideą Europy i zarazem groziła zniknięciem, chyliła się do upadku. To właśnie w niej z gorączką i równocześnie zachwytem kochałem, przemierzając ją od świtu do nocy wszystkimi dostępnymi szlakami. Lecz prawdą, której nie wolno mi zamilczeć, było i to, że od pierwszej chwili Wenecją mojej miłości była również kobieta u której zamieszkałem.

Ordynarne żołdackie określenie *bitch* stosowali żołnierze angielscy i amerykańscy do kobiet w ogóle, najczęściej do kobiet których nie znali, albo które znali tylko z widzenia; było więc formą obelgi i splunięcia pod nogi. Natomiast określając Contessę słowem *witch*, sierżant angielski z komendy miasta utrafił przypadkowo, bądź na podstawie kilku przelotnych zetknięć urzędowych, w to co w niej tkwiło naprawdę. Wydobywała się z niej także czarownica, gdy w jej czarnych płonących oczach, kontrastujących z długimi i bardzo jasnymi włosami, pojawiała się furia. Wyglądała wtedy groźnie, nie tracąc nic ze swej urody, ba — rzadkiej piękności. W chwilę później jej twarz powlekała się ciemnym, łagodnym aksamitem, czarne oczy nie tyle gasły, co oczekiwały gdzieś daleko, w rejonach nieosiągalnych dla nikogo poza nią samą. Wysoka, szczupła, zgrabna, nie wyglądająca nawet na swoje przypuszczalne czterdzieści lat, miała dar błyskawicznych transformacji, jakby zależało jej na tym, by ciągle mutacje w zamieszanie wprawiały patrzącego. Zdawała sobie sprawę ze swej piękności, ale bez cienia próżności. Jeśli pominąć dochodzące w niej czasem do głosu gniewne wybuchy, była po anielsku łagodna, rozmarzona i skupiona, adorując

dwie rzeczy: syna i malarstwo weneckie (syn był tematem tabu, malarstwo weneckie terenem zawsze otwartym do rozmów). Nie zadawała pytań i najostrożniejsze próby indagacji zbywała zmarszczeniem brwi i zaciśnięciem ust. Zdawała się świadomie, celowo strzec swojej zagadkowości. Ten profil szkicuję *ex post*, z okresu gdy na jej zaproszenie wdrapywałem się wieczorami na górę. Rychło powstała mi w głowie szalona myśl: była po jakimś uosobioną Wenecją, nie, nie w tym sensie że była (jak to się mówi) nieodrodną córką miasta na lagunie, odtwarzającą niektóre jego cechy, ale w tym sensie, że była *sama* Wenecją, przedmiotem podziwu włączonym integralnie do cudownego miasta, jak świat uwięziony na zawsze w zwierciadle kanałów. Była dzieckiem plebejskim, w którym nabyta arystokratyczna patyna stworzyła czysty, dźwięczny stop z niskim pochodzeniem.

Po kilku dniach pieszej eksploracji, „wzdłuż” i „wszerz”, zapuszczania się w najwęższe *calle*, brodzenia nad kanałami, przesiadywania w słońcu na małych *campo*, zwisania na poręczach i murkach mostów, musiała przyjść kolej na malarstwo. Wracalem późno do domu skonany, przed snem wpatrywałem się w fotografię syna Contessa. Były cztery, oprawione za szkłem, powieszzone na ścianie w formie schodków: od wieku dziecięcego, poprzez chłopięcy, do dwóch młodzieńczych, uniwersyteckich. Pasowało do nich jedno tylko słowo: cherubin. Dziecięce skręty i sploty oczów ustąpiły miejsca bujnym czuprynom, wciąż jednak w oczach, w całej pulchnej a potem pociągłej twarzy, malowała się dobroć i niewysłowiona słodycz. W najpóźniejszej fotografii wzrok nieco stwardniał, nie na tyle jednak by zabić cherubinowy wyraz. Do matki był trochę podobny dziewczęcnością rysów dokoła warg.

Wiedziałem, wchodząc do Akademii, czego w niej przede wszystkim szukam. Rzuciłem roztargnione spojrzenia na obrazy w pierwszych salach, zaglądałem do bocznych, myślałem już że spotka mnie zawód, gdy w kącie kolekcji mistrzów weneckich spostrzegłem moją gospodynię. Kontynuowała kopiowanie portretu Lorenzo Lotto *Giovane nel suo studio*. Była tak pochłonięta pracą, że nie zauważyła iż ktoś z tyłu na skos obserwuje pilnie jej drobniawgowy haft na płótnie tych samych rozmiarów co oryginał. Ach, Lotto! Lewa ręka przewracająca kartki książki, stanowiąca piękny kontrast dość ascetycznej, gładko zaczesanej głowy, która nie upoważniała do nadania portretowi nazwy *Giovane*. Młodzieniec wychodził a raczej wyszedł już z młodzieńczości. Zbliżyłem

się trochę i przez jej ramię zajrzałem, jak sobie radzi z tą wspaniałą ręką na zagiętych foliach. Dopiero wtedy, odwróciwszy się, odpowiedziała na moje powitanie. Oparta o ścianę, stała gotowa już na sprzedaż kopia *Burzy* Giorgiona, zdumiewająca w precyzji i starym niuansie kolorów, prawie lepsza od oryginału w postaci nagiej kobiety z niemowlęciem na kolanach.

Wyszliśmy przed Akademię, nad kanał. Było dla niej zaskoczeniem, że sporo wiem o malarstwie, zwłaszcza o sztuce portretu. Dla niej nikt nie dorównywał portrecistom weneckim, najwyżej cenila Lotto. Mógłbym lekko zaoponować, ale nie miałem ochoty, wpatrzony w nią jakby sama była żywym portretem. Przytakiwałem więc machinalnie, aż dostrzegła tę moją półobecność w rozmowie, roześmiała się nie bez odcienia ledwie dostrzegalnej zalotności i powiedziała: „Niech pan przyjdzie wieczorem na górę, muszę teraz wracać do sztalug”.

Odtąd zaczęły się moje wizyty na górze, wracałem wieczorem z wędrówek po mieście podniecony i zniecierpliwiony, w gruncie rzeczy cały dzień czekałem tylko na ten wieczór, coraz bardziej mieszając a może i utożsamiając Wenecję z Wenecjanką. Taszczyłem się na górę trzeszczącymi schodami z butelką whisky i konserwami z weneckiego sklepu wojskowego. Cóż to była za przyjemność rozmawiać z nią o malarstwie po kolacji, trzymając szklankę whisky w ręce! Zapomniałem o Rzymie, o mojej żonie, o moich obowiązkach służbowych. Upływały „nadprogramowe” tygodnie mojego pobytu w Wenecji, trzeci, czwarty. W skrzynce pocztowej, do której rzeczywiście Contessa zbiegała dwa razy dziennie po przejściu listonosza, pojawiły się listy do mnie, monity, wezwania, wymówki. Odpowiadałem euforycznymi widokówkami, bez słowa wyjaśnienia, jak pijany który nie słyszy co się do niego mówi.

Górne piętro było tej samej wielkości, tyle że wyburzono w nim przegrodę między pracownią i sypialnią, a na obu skrzydłach poszerzono kuchnię i łazienkę. Całe piętro było w gruncie rzeczy jedną wielką pracownią, wszędzie dominowały płótna, szkicowniki, albumy, luźne reprodukcje, zginął pod nimi nawet szeroki tapczan, nie lada zaś zrzęczości wymagało przedarcie się do któregoś ze skrzydeł. Właściwą pracownią, która była także salonikiem z dwoma fotelami, odróżniała od sypialni dekoracja ścian. Ściany sypialni obwieszane były fotografiami syna, na głównej ścianie

pracowni wisiały dwie bardzo duże, doskonale i porządnie oprawione reprodukcje Lotto: *Giovanetto* z mediolańskiego Zamku Sforzów i *Ritratto d'uomo visto per tre lati* z galerii wiedeńskiej. Obok okna wychodzącego na przelaz, z widokiem także na *Calle* i na kanał, stały sztalugi; średnich rozmiarów płótno na nich zasłonięte było wzorzystą chustą wenecką. Mediolański *Młodzieńczyk* w berecie (z ozdobami) i pasiastym kaftanie, z książką na kolanach podtrzymywaną rękami, sportretowany został przez Mistrza w pozycji pośredniej między profilem i *en face*; siedział bokiem do widza, odwróciwszy do niego częściowo twarz efeba, nadzwyczaj regularną w swoich rysach, o urodzie zaakcentowanej przez wielkie, przepaściste oko (drugie było ledwie widoczne). Wiedeński *Trójportret* robił wrażenie igraszki Lotto. Mężczyzna, może trzydziestopięcioletni, z rzadką brodą, z ręką na piersi, ciężkawy w swojej powadze i doświadczeniu życiowym, a po obu stronach jego dwa profile, ostrzejszy prawy i niezbyt wyraźny lewy. Uderzające było zestawienie na ścianie portretu mediolańskiego i trójportretu wiedeńskiego: mogło się wydawać, że ten sam model pozuje we wczesnej młodości i w wieku dojrzałym.

Byłem w niej zakochany? Może ta fascynacja była chorobą, piękną chorobą? O ile pamiętam traktat Stendhala *De l'amour* (nie mam go tutaj pod ręką), wielki znawca serc ludzkich wskazywał i opisywał uczucia poboczne wobec miłości głównej, nie wypartej i nie zagrożonej przez urzeczenie, zauroczenie, to co Włosi (a Stendhal władał świetnie włoskim językiem miłosnym), mówiąc o zadurzonym w ten sposób, wyrażają słowami *è stato stregato*, został zaczarowany. Rzecz jasna, również w takim miłosnym odgałęzieniu na pniu uczucia do innej, naprawdę kochanej kobiety może po jakimś czasie dojść do stendhalowskiej „krystalizacji”. W moim wypadku nie doszło. A raczej zostało zatrzymane o krok od dojścia.

Było to chyba w miesiąc od inauguracji moich wieczornych wizyt na górnym piętrze. (Tego dnia rano dostałem oficjalny list z mojego rzymskiego biura wojskowego z ostrzeżeniem, że dalszy pobyt w Wenecji może być poczytany za dezercję; mój biurowy kolega dopisał, że zaczyna się „poważnie niepokoić” moja żona). Około jedenastej, w trakcie rozmowy i wspólnego opróżniania butelki, Contessa położyła mi dłoń na kolanie. Na jej dłoni położyłem moją. Nie cofnęła jej, przymknęła natomiast oczy. Następny ruch należał do mnie, poczułem suchość w gardle, wiedziałem że

nasz stosunek zmienia jakość; to zapewne była owa „krystalizacja”, gwałtowna i wydłużająca czas. Nagle ktoś krzyknął na nią koło furtki, głosem wyraźnie zirytowanym. Zerwała się i podeszła do okna: „Dziękuję, idę, proszę wybaczyć”. A do mnie: „Zaraz wrócę, telefon do mnie u sąsiadów”. (Nie chciała założyć u siebie telefonu „z zasady”, albo z obawy przed kosztami). Zbiegła trzeszczącymi schodami, z góry widziałem że zostawiła drzwi od dolnego piętra otwarte.

Kiedy trochę ochłonąłem, opanowała mnie pokusa odsłonięcia płótna na sztalugach. Nie było tylko płótnem. Było obrazem w starych, złoczonych ramach, nadjezdzonych i podziurawionych przez korniki. Oto mediolański młodzieńczyk, wyraźnie już naszkicowany z półprofilu, z twarzą cherubina; tak, to był Alvi, napatrzyłem się na jego fotografię. Na prawo Alvi *en face*, podobizna jeszcze bardziej uderzająca. Kompozycja pomyślana była jako dwójportret.

Na czas zarzuciłem chustę na obraz, słychać już było zatrzaśnięcie furtki. Contessa drżała ze zdenerwowania, zdawało się że nie potrafi wymówić poprawnie kilku słów. Powiedziała jednak, zacinając się lekko: „Błagam, niech pan się jutro wyprowadzi, potrzebne mi jest mieszkanie na dole, błagam, błagam”.

Rano wyszedłem wcześniej z chlebakiem, ale zamiast popędzić na plac obok dworca, zanurzyłem się ostatni raz w Wenecji. Cudowna Wenecja, cudowna Wenecjanka, czy jeszcze was kiedyś zobaczę? O zmierzchu uprzytomniłem sobie, że mam w kieszeni klucze od domu, a w chlebaku brak mi *Albumu portretów*. Wieczorem zakradłem się na *Calle San Barnaba* jak złodziej, otworzyłem bezszelestnie drzwi, nie zapaliłem w pokoju światła, po omacku i na palcach podszedłem do stolika przy łóżku, gdzie leżał *Album*. W tej chwili rozległy się na żwirze kroki, na żelazne schody wszedł wysoki mężczyzna w kurtce wojskowej i w furazerce, z góry zbiegła Contessa i zawisła mu na szyi, cicho łkając. Widziałem ich, nie będąc widzianym. Jego twarz była zarośnięta, gdy zajrzał naraz przez szybę do pokoju w którym stałem wrosnięty niemal w ścianę, ujrzałem na mgnienie oka twarz twardą, okrutną, z dwoma rozżarzonymi węgielkami zamiast oczu. Takie zachowałem wspomnienie o powrocie „cherubina” z wojny.

Miałem szczęście. Na placu obok dworca szykowałą się do nocnej jazdy do Rzymu nowozelandzka ciężarówka z ładunkiem skrzyń pokrytych brezentową plandeką. W szerokiej kabinie znalazło się dość miejsca dla trzeciego pasażera, wciśniętego między szofera i jego zastępcę.

W Rzymie — co nie uszło uwadze moich kolegów w biurze, ani mojej żony w domu — zawładnął mną dziwny nastrój, skrzyżowanie euforii z niepokojem. Stosunkowo łatwo było za jedno i drugie obciążyć Wenecję. Zakochałem się w Wenecji, stąd euforia miłości; a niepokój budziła wątpliwość, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę, skoro nasze wojsko weszło już w stadium przygotowań do wyjazdu z Włoch do Anglii.

Latem wybrałem się z żoną na tydzień urlopu na Capri. Tam, na plaży, znalazłem porzucony przez jakiegoś amerykańskiego wojskowego numer *Stars and Stripes*, codziennej gazety dla żołnierzy angielskojęzycznych, do której prawie nigdy nie zaglądałem, mając do dyspozycji gazetę 2 Korpusu i gazety włoskie, szczególnie dla mnie ważne jako narzędzie ćwiczeń językowych. W *Stars and Stripes* cała „rozkładówka” poświęcona była weneckiemu reportażowi z fotografiami; rozpoznałem natychmiast kiepsko odbite podobizny Contessy i jej syna. O wypadkach opisanych przez amerykańskiego reportera milczały gazety włoskie (nie mówiąc o naszej skromnej polskiej gazetce), z powodów których do dziś nie rozumiem. Czyżby włoscy dziennikarze, rozmiłowani przecież w *cronaca nera*, czuli się tą historią zażenowani w atmosferze powojennych Włoch?

W największym skrócie historia wyglądała tak. Hrabia Alvisse Terzan, syn hrabiny Giuditte, w ostatniej fazie wojny zaciągnął się do oddziału specjalnego w Republice Salò, do oddziału wstawionego szybko okrucieństwami, nazwanego przez reportera „oddziałem oprawców”, także przez Włochów napiętnowanego słowami *la squadra fascista degli aguzzini e dei boia*. Po klęsce wrócił do rodzinnej Wenecji, był przez matkę ukrywany w jej domu na *Calle San Barnaba*. Mieli zwyczaj bardzo późno, grubo po północy, wychodzić na spacer w opustoszałym już całkowicie mieście. Przedwczoraj, 27 lipca (donosił wenecki korespondent i reporter), z bramy domu na *Campo San Barnaba* wyskoczył zamaskowany mężczyzna, podbiegł do idącej pary, i bez słowa oddał trzy strzały do młodego hrabiego. Po czym zbiegł w kierunku *Canal Grande*, gdzie prawdopodobnie czekała na niego motorówka. Zamykająca reportaż scena nie musiała być owocem wyobraźni autora. Po pierwsze, ktoś z okna na *Campo* mógł ją widzieć. Po drugie, zgadza się z *moją* wyobraźnią. Zanim zjawiła się zaalarmowana policja, czyli w ciągu dwudziestu minut od zabójstwa, hrabina Giuditta najpierw klęczała w milczeniu nad zwłokami syna, potem położyła się

na nich „jakby był jej kochankiem a nie synem” (słowa reportera). Tak trwała do przyjazdu policji, i dwóch silnych mężczyzn długo nie potrafiło jej oderwać od zastrzelonego.

Osobliwe, że nie chciałem tego numeru *Stars and Stripes* dać do przeczytania leżącej obok na plaży mojej żonie, lecz pozorując roztargnienie, skoczyłem z nim do morza i ostrymi ruchami odbiłem się daleko od brzegu. Rozmokła gazeta zaczęła stopniowo tonąć; utrzymywałem się na powierzchni blisko niej bez ruchu, wpatrzony w dwie rozmywane fotografie.

„Drużyna oprawców i katów”, według określenia Włochów. Było za wcześnie jeszcze, by zebrać o niej jakieś relacje czy choćby informacje. Ale strzępy, chaotyczne strzępy, tak. Napływali do Rzymu uczestnicy czy świadkowie walk na Północy. Nie byli zanadto rozmowni, to prawda, końcowa faza wojny sprzyjała okrucieństwom obu stron, zarówno faszystów jak partyzantów; najczęściej używanym słowem była wówczas „eskalacja”. Mimo to, przy winie, przy butelce alkoholu, rozwiązywały się czasem języki. Dwukrotnie w moich ostrożnych indagacjach natknąłem się na nazwisko młodego hrabiego Terzana. Za każdym razem mówiono o nim *belva*, co jest połączeniem „bestii” i „okrutnika”. Jeden z opowiadających posunął się nawet dalej: *belva umana* brzmi ostrzej.

To o nim, o „cherubinie” imieniem Alvi, myślałem wtedy bezustannie; o nim a nie o jego matce. Wojna nie poskąpiła nam przykładów ludzkiego zezwierzęcenia i niewyobrażalnego dawniej okrucieństwa. Zwłaszcza w moim kraju. Słuchając wieści z Europy podbitej przez armie Hitlera, a także zajętej (najpierw częściowo, potem szerzej i szerzej) przez wojska sowieckie, ulegaliśmy niekiedy odruchowej, głupiej i egoistycznej, reakcji: „Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego”. W tym zdaniu krył się załączek totalitarnej „reedukacji”. Było kłamstwem, wsączanym nam jak trucizna do dusz kłamstwem. Chodziłem po Rzymie z tą świadomością, wiedząc jednak dobrze, że koniec wojny, który zapowiadał odzyskanie elementarnych uczuć ludzkich, nie pozwoli mi wytrwać w niej bez przeszkód. Wreszcie skupiła się w twarzy Alvisse Terzana. Pamiętałem chłopcę, miękka, prawie dziewczęcą, twarz z fotografii; i twarz za szybą, gdy zjrzał do swego pokoju w ów wieczór powrotu do domu, twardą i pełną zastygłej, stężełej nienawiści. Co się stało pomiędzy? Jak odbyła się ta zdumiewająca przemiana?

Rzecz jasna, zbieranie okrucich informacji nie mogło dać odpowiedzi na te pytania. Mignął tylko dwukrotnie coraz zacieklejszy w torturowaniu „podejrzanych”, w strzelaniu do starców i dzieci, w gwałceniu kobiet, w puszczaniu z dymem domów uważanych za „wrogie”. Jego imię budziło strach. Tam gdzie przechodziła jego drużyna, niewielu pozostawiała zdolnych jeszcze do płaczu.

W fetującym tłumie na ulicach Rzymu, w samotnych (lub w towarzystwie żony) spacerach nocnych nad Tybrem, szła za mną wiernie Twarz Zła. Zrodzonego z potrzeby, nieodpartej potrzeby, zadawania Bólu.

Nasze wojsko zostało już przewiezione z Włoch do Anglii, nie licząc żołnierzy którzy postanowili wrócić do Polski lub z rodzinnych względów pozostali we Włoszech. Znalazłem się w niewielkim gronie osób, zmuszonych do przedłużenia jeszcze na pewien czas pobytu w Rzymie. Należało jednak poddać się w końcu aktowi demobilizacji, a przeprowadzano ją w Anglii. Zawiadomiono mnie, że nie mogę przekroczyć okresu późnej jesieni 1947. Załatwiłem przejazd do Londynu, dla mnie i dla mojej żony, na początek listopada. We wrześniu, spełniając daną żonie obietnicę, pojechałem z nią do Wenecji. Miało to być (dla mnie) przypuszczalne pożegnanie Wenecji.

Pojechalismy pociągiem, życie w powojennych Włoszech wracało szybko do normy. Ale skasowano już przywileje dla byłych *liberatori*, musieliśmy więc na własną rękę szukać noclegu. Pamiętałem z poprzedniej podróży, że na skromny hotel zamieniono dawny Dom Ruskina na *Zattere*. Był w dość opłakanym stanie po wojskowej rekwizycji, natomiast gospodyni czy właścicielka, lekko postrzelona stara Angielka, zapalała do nas sympatią od pierwszego wejrzenia i urządziła nam znośny pokój z ładnym widokiem na wyspę *Giudecca*.

Nie ukrywałem przed moją żoną historii pierwszej podróży do Wenecji, zatajając tylko, że byłem bliski zadurzenia się w Contessie. Podobnie jak teraz ja, skoncentrowała się na tragedii z synem, dość znamiennej dla burzliwych lat po upadku faszystów. Towarzyszyła mi, nazajutrz po przyjeździe późnym wieczorem, w wizycie u barysty na *Campo San Barnaba*. Pamiętał mnie, o dziwo!, zaprosiliśmy go o północy w pustym barze do naszego stolika. Nadmienię tu, że w dniu przyjazdu pobiegłem sam do domku na *Calle San Barnaba*, kilkakrotnie i bez skutku nacisnąłem guzik dzwonka u wejścia, po czym wrzuciłem napisaną na kolanie kartkę do skrzyn-

ki pocztowej, zdając sobie sprawę że *obecnie*, według wszelkiego prawdopodobieństwa, Contessa przestała do niej zaglądać. Była chyba godzina pierwsza a może i druga, gdy barysta przywołał nas na migi do pokoju wejściowego, ciemnego już, i kazał nam stanąć obok szyby wystawowej, wychodzącej na *Campo*. Contessa szła równym, energicznym krokiem, straciliśmy ją z oczu na kwadrans; miała widocznie ustaloną trasę nocnego spaceru, bo takim samym krokiem wracała przez *Campo* do domu. Nie mogłem się powstrzymać, wyskoczyłem na placyk i zabiegłem jej drogę. Spojrzała na mnie bezbarwnym, zmęczonym wzrokiem (gdzie podziały się jej płonące oczy?) i powiedziała cicho: „To nieporozumienie, nie znam pana, proszę nie molestować samotnej kobiety”. Oniemiałem i usunąłem się na bok.

Była (według opowiadań barysty) zupełnie sama, wychodziła z domu rano do Akademii i nocą na krótki spacer, nie zachodziła już do baru na poranną kawę, kopiowała dalej w Akademii i malowała w domu (całą noc paliło się światło w jej pokoju), sprzedawała częściej swoje reprodukcje, nie tyle jako dobra kopistka, co jako głośna bohaterka zeszlatorocznego dramatu. Podobno w niedziele, bardzo wcześnie i niezależnie od pogody, jeździła na grób syna.

W trakcie szlifowania i poprawiania tego co dotąd napisałem wyłonił się z całą jaskrawością wątek autobiograficzny mojego opowiadania. Dobrze to czy źle? W zasadzie lubię narrację w pierwszej osobie, na ogół jednak w grę wchodzi pierwsza osoba narratora, który niekiedy tylko i oględnie może być utożsamiany z autorem. A tutaj autobiograficzność jest zuchwała, bez hamulców i wędzideł dyskrekcji. Czemu? Czuję instynktem pisarza, że inaczej być nie mogło, ale czuję też wyraźnie, z siłą nakazu, że rzecz powinna być wyjaśniona.

Istnieją różne rodzaje zdarzeń w naszym życiu. Bywają zdarzenia, które przepływają obok nas, przyciągając naszą uwagę, lecz nie wciągając nas bezpośrednio w mechanizm swego „dziania się”, jakby nie posiadały dostatecznego styku z głębszymi pokładami naszej wrażliwości. To najprostsze, pisarz może lub nie „wejść” wyobraźnią w bieg wypadków. Bywają zaangażowania pośrednie, takie w których dystans zewnętrzny waha się ciągle i co jakiś czas przestaje być dystansem, aby przybrać formę większego lub mniejszego uczestnictwa (mowa wówczas o „wczuwaniu się”). I wreszcie przytrafia się, choć rzadko, poczucie silnej przynależności do

zdarzenia, które w rzeczywistości dotyczą nas dość naskórkowo; osobliwe a nawet niedorzeczne poczucie, że nasz udział w nim znaczy o wiele więcej, niż mogłoby się na oko wydawać. Wtedy dochodzi do głosu, i to coraz donośniej, nuta autobiograficzna. Taki jest przypadek *Portretu weneckiego*.

W listopadzie 1947 przyjechaliśmy do Anglii. Pominę demobilizacyjne preliminaria oraz administracyjną procedurę osiedlenia w obcym kraju, przejdę od razu do naszego ciemnego pokoju w kamienicy położonej blisko stacji metra *Gloucester Road*. Z perspektywy tylu minionych lat nasz pokój kojarzy mi się z głęboką studnią. I wówczas właśnie — a nie w późniejszym mieszkaniu obok starego, pięknego parku, — patrząc w dni wolne od pracy na ścianę zamkniętego i mrocznego podwórza, padałem ofiarą weneckiego majaczenia i bredzenia. Jak to możliwe? Jak mogłem dostrzegać czy raczej ewokować obrazy Wenecji na skrawku obrapanego i brudnego muru? Nie wiem, to pewne jednak, że w miarę jak nasze życie w ciemnym pokoju nabierało cech sennego koszmaru, mnożyły się przed moimi oczami krótkotrwałe przywidzenia euforyczne. Później zjawisko wyszło poza naszą kamienicę i zdarzało mi się ulegać podobnym rojeniom na brzydkich i nędznych uliczkach, powlęczonych żółtym światłem latarni. Niepojęte było jak udało mi się przewieźć i przechować w żywej (powiedziałbym nawet: z dnia na dzień żywszej) pamięci odpryski weneckiego krajobrazu i dwie twarze: Wenecjanki oraz jej syna.

Aż do końca prawie mojego pięcioletniego pobytu (z długimi, co prawda, przerwami w nowym mieszkaniu) działał ten mechanizm przelotnych ucieczek do Wenecji z londyńskiej studni. Słowo „prawie” obejmuje półroczny okres stopniowego, lecz niepowstrzymanego zapadania się na coraz niższe piętra czy dna studni (ileż ich było?) naszej londyńskiej egzystencji. Odplynęły nagle widzenia weneckie, Londyn był tylko Londynem. Myśleliśmy oboje, że nigdy już nie będzie nam dane wydobyć się z gęstniejącego mroku na światło dzienne. Po śmierci mojej żony spędziłem trzy lata w Monachium. Ożeniwszy się powtórnie, osiadłem we Włoszech.

W rok po moim osiedleniu się w Neapolu wszystkie gazety doniosły, przy wtórce fachowych artykułów i reprodukcji, o wielkiej wystawie Lorenzo Lotto w weneckim Pałacu Dożów. Uroczyste otwarcie, w obecności Prezydenta Republiki i członków rządu, wyznaczono na drugi dzień Bożego Narodzenia 1956. Miała trwać do 1 maja następnego

roku. W księgarniach pojawiło się ciężkie tomisko Berensona *Lotto*. Zastanawiano się w prasie nad sekretem dość dziwnych dat. Zimą, z różnych względów, Wenecja omijana jest przez turystów zagranicznych, co organizatorów skłoniło zapewne do przedstawienia wystawy najpierw publiczności włoskiej, a dopiero pod koniec przybyszą z innych krajów. Jeden z dziennikarzy, na skrzydłach „licencji poetyckiej”, zabawił się w oryginalne wyjaśnienie: oto „tajemniczy”, „niedoceniany za życia”, „przygarnięty z biedy przez klasztor w Loreto”, „ignorowany przez rodzinną Wenecję” Lotto ma po pięciu stuleciach stanąć na ojczystej ziemi „w kłębach zimowej weneckiej mgły”. O niedostrzeganiu przez współczesnych wielkości malarza („wybornego portrecisty!), o jego peregrinacjach w poszukiwaniu zarobku, o częstym przymieraniu głodem, o samotności, pisano najwięcej. „Wenecja bije się w piersi i chyli głowę, świat odkrywa Mistrza”, brzmiał tytuł jednego z artykułów.

Wszystkie artykuły zawierały paruzdaniową, tajemniczą informację: ozdobą wystawy będzie nieznany obraz Lotto, odnaleziony ostatnio na strychu loretańskiego domu, w którym niegdyś, przed wiekami, mieszkał najbogatszy w mieście kupiec, *collezionista degli oggetti preziosi*, zbieracz cennych przedmiotów, dobrodziej malarza; w roku 1954 obraz został przypadkowo odgrzebany i zakupiony przez antykwariusza weneckiego Mariniego, rozpoznany jako dzieło Lotto przez znawczynię jego malarstwa hrabinę Terzan i przez nią odrestaurowany.

Przyjechałem do Wenecji 20 grudnia, sam bo moja druga żona musiała się zająć naszym małym dzieckiem. Wcześniejszy przyjazd — z zaproszeniem na wieczór wigilijny u mojego wojennego przyjaciela w Padwie, Polaka ożenionego z Włoszką — nie złagodził trudności w znalezieniu pokoju w hotelach weneckich. Wszystkie były pełne, zarezerwowane co najmniej od miesiąca, Lotto dzięki prasowej wrzawie stał się „ewenementem kulturalnym roku”. W ostateczności mogłem na kilka dni skorzystać z gościnności w Padwie, ale zależało mi na tym, by nie opuszczać ani na chwilę Wenecji (z wyjątkiem padewskiej willei). Nie bardzo licząc na powodzenie, poszedłem do *Ruskin House*. Stara Angielka pamiętała mnie, pamiętała też moją pierwszą żonę, i tak się przejęła spotkaniem po latach, że natychmiast wpakowała mnie do zagraconego pokoju, naszego pokoju z powojennej podróży weneckiej, który był zamówiony przez małżeństwo z Bolonii dopiero od dnia inauguracji wystawy. Obiecałem jej, że po

zobaczeniu wystawy wrócić do Neapolu wieczornym pociągiem, a walizkę wstawię od rana do recepcji.

Spędziłem noc nie zmrzywszy oka, owinięty kocem (*Ruskin House* był hotelem bez ogrzewania) siedziałem przy oknie, wpatrując się uporczywie w kopułę kościoła na *Giudecca*, jak gdybym wierzył, że usiądzie obok mnie duch osoby, z którą dokładnie ten sam wycinek nocnego pejzażu weneckiego oglądałem przed laty; jak gdybym był święcie przekonany, że umarli niematerialnie ożywają, gdy trwa bez ruchu obraz, w którym niegdyś utonął na długo ich wzrok.

Noc była czysta, chłodna i bezwietrzna, niebo migotało bladymi gwiazdami, ciemny kanał marszczył się delikatnie jak postaw aksamitu. Blisko świtu na miasto spadła niespodzianie pokrywa mgły, gęsta i zaborcza, wystarczył kwadrans by znikła w niej Wenecja, niewidzialna do tego stopnia, że można było zwątpić czy przed chwilą jeszcze istniała. Odezwały się syreny statków, na przystaniach oberwaną białą chmurę poczęły przebijać ostrza błyskawicznie skądś dobytých latarni i żagwi. Mgła, z rzadkimi i krótkimi przejaśnieniami, trwała przez cały czas mojego pobytu. Ale jakież to były przejaśnienia! Wenecja stawała się serią przemitych i szybkich obrazów. Oczom odsłaniały się, by natychmiast zniknąć, portrety przechodniów, tak, portrety, dopiero wtedy — niby w przygotowaniu do wystawy Lotto — nauczyliśmy się dostrzegać w ludzkich twarzach ich przyrodzoną, lustrzaną zdolność „pozowania do portretów”. Każdy z nas jest żywym portretem, zwłaszcza gdy wyłania się na minutę z mgły; takie minuty są substancją wielkich portrecistów.

Długi ogonek wczłgiwał się wolno do Pałacu Dożów, ciągnąc za sobą strzępy mgły do zagrodzonego hallu, w którym mieściły się kasy i kioski wystawowe. Za linią kontrolnych przejść obstawionych bileterami otwierały się sale wystawowe. Szedłem zwawym krokiem, rzucałem powierzchnowe spojrzenia na znane mi z reprodukcji obrazy Lotto, spiesząc się do „ozdoby wystawy” do jej (według gazet z poprzedniego dnia) „sensacji”.

Wreszcie, dość daleko, w ostatniej chyba sali, ujrzałem oświetloną niszę, otoczoną tłumnym półkolem. Tam należało dotrzeć, jeśli oglądanie wystawy miało się zacząć od nowego nabytku, od nieznanego dotąd i cudownie odnalezionego portretu Lotto.

Nisza — to widziałem — obita była ciemnoczerwonym czy fioletowym sukniem, może brokatem, z obu boków, z gó-

ry i z dołu nacelowane na nią były podłużne lampy stylizowane w kształcie świec, nad górną lampą wisiała tablica z obszernymi wyjaśnieniami, nieczytelnymi jednak na dystans. Mam alergiczną niechęć do dużych ludzkich zbiorowisk, więc nie pozostawało mi nic innego jak czekać. Moje rachuby okazały się próżne: ilekroć topniało trochę półkole dokoła niszy, nowoprzybyli zastępowali natychmiast odchodzących. Chcąc nie chcąc, musiałem zapomnieć o mojej alergii i stanąć blisko tłumu, czujny na nagłe w nim luzy. Przyszedł w końcu moment ogarnięcia wzrokiem niszy, choćby między głowami czy ponad ramionami osób z pierwszych rzędów.

Najpierw zobaczyłem Contessę. Siedziała na wózku inwalidzkim, nogi aż do stóp miała otulone pledem, od pasa w górę zachowała w pełni dawną urodę, tylko twarz nie tyle zestarzała się po latach, ile omroczona była cieniem jakby szaleństwa. Oczy płonęły jak niegdyś, może nawet żywszym i trochę zatrważającym ogniem. „Jest sparaliżowana — powiedział stojący przede mną mężczyzna do swojej towarzyszki, — w cztery lata po zastrzeleniu syna straciła władzę w nogach”. Odpowiadała na pytania tych, którzy zdołali się do niej przycisnąć. Słyszałem jej odpowiedzi — ten sam głęboki i miękki głos! — były rzeczowe, wyczerpujące, zauważyłem w nich (może tylko ja) domieszkę dumy. Kiedy udało mi się stanąć tak blisko niej, że nie mogła mnie nie widzieć, przylgnęła na bardzo krótko wzrokiem do mojej twarzy, po czym, bez drgnienia w jej szlachetnych rysach, wróciła do swoich odpowiedzi na zadawane jej pytania. Miałem absolutną pewność, że rozpoznała mnie, lecz nie chce się do tego przyznać. Więcej — że oczekuje ode mnie tego samego.

Nie bez pewnego wysiłku, torując sobie drogę łokciami, przesunąłem się ku portretowi. Zależy mi na uniknięciu tanich efektów dramatycznych, ale nie mogę przecieżyć, w imię maksymalnej ścisłości opisu, pominąć składników pierwszego wrażenia: silny cios między oczu, drżące nagle, waciane nogi, rumieniec który zdawał się być efektem gorącego i gwałtownego poddmuchu z otwartego pieca, utrata tchu. Kompozycję obrazu, nazwanego *Ritratto d'uomo visto per due lati*, czyli *Dwójportretu* spokrewnionego z wiedeńskim *Trójportretem*, znałem z płótna na sztalugach Contessy, które samowolnie odsłoniłem w jej pracowni. Tylko kompozycję. Wtedy, zdjawszy z płótna jedwabną chustę wenecką, stanąłem przed zaczętym ledwie, lecz wyraźnym już, portretem z profilu i *en face* młodego syna malarki w postaci uroczego cherubina. Teraz stałem przed *Dwójportretem* Alviego po powrocie z woj-

ny; takiego Alviego, jakiego na okamgnienie zobaczyłem (prawdopodobnie tylko ja) przez szybę oddzielającą jego pokój od schodów. Był męski, twardy, wzrok miał zuchwały i nieustraszony, nie dostrzegało się jednak wyrazu zaciekłości i okrucieństwa w jego twarzy młodego kondotiera. Był piękny (przypominał właśnie świeżo zverbowanego kondotiera), jak piękny był jego podwójny portret.

Tablica nad górną lampą informowała dokładnie o okolicznościach odnalezienia obrazu, podawała (ze znakiem zapytania) 1555 jako przypuszczalną datę powstania portretu, stwierdzała że niemożliwy do ustalenia okazał się jego model, wyjaśniała „że zupełnie już dojrzały, a nawet odrobinę przejrzały, styl sztuki portretowej Lotto” (*pienamente maturo e forse anche un po stagionato*) każe myśleć o roku lub najwyżej dwóch przed śmiercią artysty. Jak zgłębiła tę sztukę, w odcieniach kolorów, w układzie głowy i ramion, Contessa! Jak bezbrzeżna miłość do prawdziwego modelu uskrzydliła jej sztukę!

Raz jeszcze, ochłonawszy nieco przed cofnięciem się do pozostałych sal wystawy, przeszedłem blisko jej wózka. Ale choć poczułem na sobie dotknięcie jej oczu, nie spojrziałem w jej stronę.

Uptęnęło kilka lat. Kupowałem regularnie pisma poświęcone malarstwu, nie raz zdarzało mi się podziwiać w nich barwne reprodukcje *Dwójportretu* Lotto, z uczonymi komentarzami historyków sztuki, z pochlebnymi opiniami *en passant* o restauratorskim wysiłku Giuditty Terzan. W związku z nabyciem obrazu przez wenecką Akademię, prestiżowy kwartalnik *Il Mondo dell'Arte* ogłosił obszerny wywiad z Contessą, ozdobiony fotografiami restauratorki, jej domu i jej pracowni. Podziwiałem ten wywiad, nienasycony czytałem po wielokroć zręczną i inteligentną ekwilibrystkę Contessy, jej fachowe rozważania o malarstwie wenecko-loretańskiego Mistrza, przede wszystkim zaś jej zimną krew. Ja, który znałem prawdę i chowałem głęboko w sercu sekret, jako jedyny może na świecie człowiek obok weneckiego antykwariusza Mariniego, zachodziłem w głowę skąd ta sparaliżowana kobieta czerpała siły na igranie z ogniem. Nie wątpiłem bowiem, że fałszerstwo, choć wyborne i graniczące z wielkim, ukrytym dotąd i ujawnionym naraz talentem malarskim, długo nie potrwa. Miałem słuszość, nie przypuszczając jednak że potrwa aż tak długo, do roku 1975. A co do źródła sił i zdumiewającego opanowania Contessy w tym jej szalonym wyzwaniu, coś niecoś miał przelotnie odsłonić proces.

Pierwszą błyskawicą nadchodzącej burzy był w październiku 1975 artykuł znawcy malarstwa Lotto w dużej gazecie codziennej pod perfidnym tytułem *La Contessa Van Meege-ren?* Nie wskazując palcem *Dwójportretu* weneckiego, nie wymieniając nazwiska Contessy, lecz podrzucając jej nazwisko genialnego fałszerza obrazów Vermeera (jakkolwiek ze znakiem zapytania), autor pisał ogólnikowo o niebezpieczeństwie, w jakim znajduje się szczególnie Lotto, pechowiec i nędzarz, „rozsiewający swoje arcydzieła gdzie popadło, daleki od elementarnego bodaj obwarowania swoich praw malarskich — łatwy żer dla naśladowców (co nie jest przestępstwem) i fałszerzy (co jest zbrodnią)”. Artykuł otwierał sprawę i wzywał „szanownych kolegów” do dyskusji.

Nie wiem czy był błędem, czy też śmiałym i rozumnym posunięciem, list Giuditty Terzan do gazety. Mogła przecież nie reagować, skoro użyty został tylko jej tytuł bez nazwiska i ani razu nie wymieniony w tekście *Ritratto d'uomo visto per due lati*. Widocznie sądziła, że opłaci jej się taktyka natychmiastowego postawienia kropki nad i. „Domyślałam się — pisała w liście, — że profesor Salimbeni, rzeczywiście wybitny znawca malarstwa Lotto, miał w swoim artykule na myśli, wybierając z jakichś względów formę niedopowiedzenia, *Dwójportret* z głośnej wystawy weneckiej, którego byłam restauratorką. Sam cień, a raczej cień cienia, insynuacji jest dla mnie dostatecznym powodem, by domagać się orzeczenia komisji ekspertów, naturalnie z udziałem profesora Salimbeni”.

Salimbeni zareplikował rzeczowo i sucho. Tak, z różnych względów (tu delikatna aluzja do osobistej tragedii Contessy) wolał kluczenie wokół tematu od chwycenia go za rogi. List hrabiny Terzan rozwiązuje mu ręce. Uważa istotnie *Dwójportret* Lotto za bardzo udany, w pewnym sensie nawet podziwu godny, falsyfikat. Bez chwili wahania zgadza się na powołanie komisji ekspertów, proponuje sześciuosobowy skład i swoje uczestnictwo w komisji. Jego zdaniem komisja powinna powstać i działać z ramienia Trybunału. Akademia, jako właściciel portretu, ma przecież prawo wystosować pozew sądowy przeciw hrabinie Terzan i antykwariuszowi Marinemu.

Tak się też stało. Zanim jeszcze doszło do rozprawy przed weneckim Trybunałem, sześciuosobowa komisja podzieliła się na dwie połowy: trzech rzeczoznawców uznało portret za autentyczne, odnalezione dzieło Lotto; trzech za niezmierne umiejętne fałszerstwo. Podczas całej, tygodniowej roz-

prawy ten stosunek nie uległ zmianie. Nie zapadłby żaden wyrok, czyli w praktyce Contessa i Marini wyszliby z sali sądowej z podniesionymi (do połowy) głowami, a portret wróciłby z sali sądowej do sal lub piwnic Akademii, gdyby nie oświadczenie Giuditty Terzan. Zastanawiano się po procesie w prasie dlaczego je złożyła; dla mnie, wyznaję, nie był niespodzianką. Przyznała się do fałszerstwa i dokładnie odtworzyła jego przebieg i okoliczności, nie odmawiając sobie drobnej satysfakcji podkreślenia połowicznego sukcesu. Zapytana co ją do tego skłoniło, odpowiedziała że pokusa znacznego zarobku. „Ale nie tylko — dorzuciła i załamał się wtedy lekko jej spokojny i równy głos, — chciałam także zostawić światu na wieki portret mojego utraconego i ukochanego (*amatissimo*) syna”.

Antykwariusza weneckiego skazano na pięć lat więzienia, bez zawieszenia. Ją także, lecz z zastrzeżeniem że jako kaleka ma wyrok odbyć w karnym zakładzie inwalidów w pobliżu jeziora Como. Portret, *corpus delicti*, został obłożony sekwestrem przez sąd.

Siedzieliśmy przy otwartym oknie na czwartym piętrze kamienicy nad Tybrem. Przejrzyste, ażurowe powietrze pozwalało obejmować za mostem, po tamtej stronie rzeki, pomnik wielkorządcy sonetów w dialekcie *romanesco*, Giocchino Belli; szyderycy z nadmiaru miłości, którego próbował przekładać zakochany w nim Gogol. Kamienica znajdowała się poza terenem starego getta, w niewielkiej odległości od Synagogi, i była siedzibą ludzi zamożnych. Siedząca naprzeciw mnie Giovanna Olindo, przyrodnia i młodsza siostra Contessy, wdowa od wielu lat po wyjątkowo bogatym przedsiębiorcy budowlanym, podobna była do starej, oskubanej indyczki: przymykała wciąż oczy, wydobywała co jakiś czas z zasuszonej figurki skrzekliwe czy zgrzytliwe, również oskubane zdania.

Nie było łatwo wyblagać tę wizytę. Pozwoliłem sobie na kłamstewko („z Pani siostrą łączyło mnie coś więcej, niż przelotna wojenna znajomość”), z którego się tu wypowiadam i równocześnie rozgrzeszam: nie widziałem innego sposobu dotarcia do jedynej osoby, która mogła mi opowiedzieć o losach Contessy od wyroku do śmierci.

Giudi (nazywała ją rodzinnym zdrobnieniem) odsiedziała cały wyrok w zakładzie karnym dla inwalidów, apatyczna, jakby nieobecna duchem, nieskora do żadnych zajęć, nawet do skorzystania z przywiezionych jej przez siostrę przyborów

do malowania. Od siostry oczekiwała jednej tylko rzeczy: opłacania adwokatów za ponawiane bezustannie próby odzyskania obrazu obłożonego sekwestrem przez sąd. Wszystkie wysiłki okazywały się daremne, najwidoczniej sąd obawiał się recydywy w eksploatacji fałszyfikatu. Ciągłe odmowy doprowadziły Giudi do głębokiego rozstroju nerwowego. Po wygaśnięciu wyroku przewieziono ją, na koszt siostry, do zakładu dla nerwowo chorych w Dolinie Aosty. Tam spędziła osiem lat, „umarła za życia” (według określenia pani Olindo). Z zupełnej prostracji wytracił ją dopiero orzeczony przez sąd zwrot obrazu. Odżyła. Pojechała natychmiast do Wenecji, do swojego zamkniętego i zapuszczonego przez lata domku. Siostra łożyła na jej utrzymanie i znalazła dla niej stałą guwernantkę, daleką krewną ich matki, żelazną starą pannę. Przez kilka lat, aż do śmierci na atak serca, Contessa żyła podejrzliwa i wiecznie najeżona na straży swojego skarbu.

Nie zawiodła mnie więc intuicja. Cała ta historia była w pewnej przynajmniej mierze nowoczesną wersją *The Aspern Papers*, opowieści weneckiej Henry James'a. Aż do drobnego szczegółu krewniaczki Contessy, odpowiednika staropanińskiej Tity, siostrzenicy Miss Bordereaux.

Przeszliśmy na herbatę do sąsiedniego pokoju. Na ścianie nie osiągnętej przez słońce wisiał, pod małym krucyfiksem, *Dwójportret* Giuditty Van Meegeren. Wpatrywałem się weń tak długo, że pani Olindo musiała mi przypomnieć o podanej herbacie z nutką rozdrażnienia w głosie. Portret wenecki był doprawdy arcydziełem, kto wie czy Lotto potrafiłby był namalować coś podobnego. Autorce fałszyfikatu powiodło się namalowanie dwóch szlachetnych, nieugiętych, zniewalająco urodziwych twarzy Zła.

Czerwiec 1993

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

LIRYKA POLSKA

nam się stale
 coś zdaje
 i zwiduje tęczo-
 wybiegamy z siebie na oślepe
 i wracamy z pustymi rękami
 bo oto znowu ujrzeliśmy tylko
 smugę na niebie
 po Czymś co miało nas przemienić
 a przemknęło przez serce fatamorgana
 prześwietlając przez mgnienie
 przyszłość
 horyzontami zalakowaną

Józef BARAN

Horst BIENEK

BARAK NIEMCY

O Niemcy, wciąż jeszcze blada matko,
 nie czuję się jeszcze bezpieczny na twym łonie,
 przy tym pragnąłbym, żeby było inaczej,
 ale odtrącałaś mnie już trzy razy,
 i wciąż na nowo szukałem opieki
 w twoim domu, zbudowaliśmy go teraz od nowa,
 i wielu nam przy tym pomagało, ale
 niczego sobie nie założyliśmy, jest prowizoryczny,
 taki barak — jak długo wytrzyma?
 I siedzisz w nim, janusogłowa, patrząc
 na Wschód i na Zachód, wśród ludów
 wciąż jeszcze rzucasz się w oczy.
 Dodam: nie ufam ci.
 (Tylko w twoim języku czuję się w domu.)

Wiersze

Józef BARAN

LETNI PASTELOWY ZMIERZCH

gwiazdy zapalają się od gwiazd
 w dolinę napływają cienie
 czułość światła wzbierająca od szyb
 i samotność między niebem a ziemią

stłumione głosy pastelowy zmierzch
 psów ujadanie czyjeś kroki na ścieżce
 po ogrodach szeleszczą wspomnienia
 i na pogodę cykają świerszcze

szarówka utkana cała z domysłów
 aż po lasu czarny widnokrąg
 i chce się iść nie wiadomo z kim
 na nieskończony spacer Bóg wie dokąd

i z zachwytu chce się wstrzymać oddech
 wiecznie trwać w tym wieczornym czerwcu
 i jest tak jakby ktoś daleki kochany
 łaskotał cię piórkiem po sercu

Już trzy razy ciągnąłem z jednych Niemiec do Niemiec odmiennych.
 W 1921 roku kawałek Śląska, gdzie mieszkali moi rodzice, po krwawych powstaniach został utracony. Teraz stał się polski.
 Zatem pociągnęli na zachód nad rzekę aż do Gliwic, gdzie urodziłem się nad brzegiem Kłodnicy, którą wciąż jeszcze (delikatnie) nazywali *Kłodką*. I pewnego dnia nasza ulica została przemieniona, *Pruskestrasse* na *Schlageterstrasse* a *plac Republiki* na plac SA. I w tym samym roku spłonęła synagoga na ulicy Dolnych Wałów.
 A w Wielki Piątek 1943 roku zabrali ostatnich Żydów z Domu Wspólnoty i wywieźli ich do Oświęcimia, który nie był oddalony dalej niż pięćdziesiąt km.
 O Niemcy, blada matko.

W styczniu 45 roku, gdy organy Stalina zawyły nad miastem, pochód uciekinierów potoczył się nad Odrę, lód chrzęścił w oczach, tak zimno było wtedy, wysadzono już linie kolejowe.
 Proboszcz Pattas, który ukrywał się tak długo: zważajcie teraz znowu na Boga i moje słowo, powróćcie i pozostańcie w waszych mieszkaniach, tutaj jest wasza ojczyzna i mowa wasza, i dlatego pozostaliśmy, przeżywając parę łamanych polskich słów: *mój Boże kochana*.

A potem przyszli wypędzający, którzy sami byli wypędzonymi, ze Lwowa, i udałem się, z dziesięcioma kilogramami bagażu na plecach, ku Zachodowi, gdzie mówiło się po niemiecku, i przypadek wypłutł mnie w Köthen, gdzie Bach napisał kiedyś *Klawesyn dobrze temperowany* i *Koncerty Brandenburskie*, tutaj żyłem w baraku Niemcy, a wiatr przenikał mnie na wskroś.
 W Berlinie uczyłem się wówczas Organonu teatru epickiego, potajemnie czytałem *Kafkę* i *Faulknera*, i przemyciałem teksty do moich przyjaciół

o Bogu, którego nie było, pisałem o posiadaniu i nie-posiadaniu i płakałem jak chłopiec z Perudii, aniołem, który rozgląda się za domem.
 I miałem dość wojen, wielkiej Kartaginy...
 O Niemcy, blada matko.

Potem zabrali i przesłuchiwali mnie w świetle reflektora, a na ich czapkach błyszczała Czerwona Gwiazda, i wywieźli mnie na Wschód, tak daleko ktoś mógłby pomyśleć, do Workuty, Taiszetu i Nowosybirsk, nieskończony Archipeląg Gułag, który ma — tego nie zapomnijcie! — cały plac Zachodni. A jednak, po czterech latach znowu szło się na Zachód, z *czapką* i *buszlatem*, ale wolny — do Frankfurtu, do Kolonii i do Monachium.
 Tak daleko nie dotarł nikt z Bienków.
 I po raz trzeci w inne Niemcy, barak Niemcy, i uczyłem się moich lekcji, Niemcy, blada matko. Tak, uczyłem się...

Widziałem lud w namiocie Oktoberfestu, lud kapów, gdzie jedna połowa czyha na to, żeby drugą połowę umieścić za drutem kolczastym...
 przerażenie, wizja, alpejski sen?
 Gdzie jak na Dzikim Zachodzie wyznacza się premie za głowy upolowanych; raz był to Goerdeler, i prosta robotnica rolna otrzymała sto tysięcy reichsmarek.
 Przypominam sobie jeszcze, byłem wtedy dzieckiem. Co mogło się z nią stać?
 Nie byłby to temat, tak opisywać życie?
 I kto dzisiaj kogo zadenuncjuje?
 Za inflacyjne marki?
 I komu przyniesie śmierć, komu nieszczęście?

Czyż więc pewnego dnia prześladowani muszą stać się prześladowcami a prześladowcy pewnego dnia prześladowanymi?

O Niemcy, błada matko, czy
 pewnego dnia będę musiał pociągnąć
 jeszcze trochę dalej na Zachód, aby
 nie siedzieć splugawiony wśród ludów
 i nie rzucać się w oczy wśród poplamionych?
 Mam nadzieję, że już nikt nie polegnie
 zabity przez twoich synów.
 Nikt już nie będzie głodny, i nikt
 nie podniesie ręki na brata.
 W twoim na dwie części podzielonym
 baraku powinien trwać spokój,
 już bez marszów i lekcji *obronnych*
 dla dzieci, i niech zamilkną kłamstwa,
 i prawda będzie drukowana, także tam?
 O Niemcy, tajemnicza matko.

Dookoła chwalą cię bogaci,
 ale biedni oskarżają cię,
 pokazują na ciebie palcem —
 gdyż coś więcej mogłabyś dla nich uczynić.
 Oczywiście, narody przemysłowe chwalą
 ten system, który został wymyślony
 w twoim domu i gdzie indziej.
 A przy tym widzą cię wszyscy
 zakrywają skraj twojej sukni
 który jest okrwawiony. Krwią innych,
 tak, a także krwią
 twoich własnych synów. Tego nie zapomnij.
 Ach, to nie było jeszcze tak dawno.

„Kocham mój kraj. Kocham
 mój lud. Kocham moją ojczyznę”. Czechow.
 Dlaczego takie zdania przechodzą
 przez moje wargi tylko jako cytaty?

Słuchając mów, które przenikają z tego baraku,
 trzeba pomyśleć, że także na zewnątrz. Kilku
 się zmieniło. Jeszcze więcej się zmieni.
 Nie pozwolimy, żeby jeszcze raz
 stało się to, co już kiedyś się wydarzyło.

Będę musiał przyczynić się do tego, błada matko.
 My będziemy musieli to uczynić. Żebyś

siedziała wśród ludów jak inne,
 a nie szyderstwo i obawa.
 Wówczas urzędę się
 w twoim baraku. I będę spokojny.
 Niemcy, moja matko. Moja mowa.

Horst BIENEK

Przełożył Andrzej Pańta

Za: Horst Bienek, *Wer antwortet wem. Gedichte. Mit
 einem Nachwort von Tilman Urbach. Carl Hanser Verlag,
 München-Wien, 1991.*

Stanisław DŁUSKI

LIPIEC

dla Wacława IWANIUKA

drzewa nad miastem
 pochylone od słońca
 i od ciężaru żaru który
 uciska serca starych kobiet
 wznosi się wysokim
 ciśnieniem krwi drżącej
 w czerwieni porzeczek
 spływa brązowym morzem
 z twarzy Matki Boskiej
 Nieustającej Pomocy

tylko dzieci odbijają
 kolorową piłkę świata
 i śmieją się do oranżady

nie ma wiatru i ciebie
 bólu przemieniony we
 wniebowstąpienie
 samotnego wędrowca
 w święty ogień
 milczenia Raskolnikowa
 w lipiec zasłuchany

Stanisław DŁUSKI

Krzysztof LISOWSKI

BIEDNY ORFEUSZ

wszystko przydarza im się tylko raz

po Eurydyce ciemnookiej wiotkiej
w czerwonej sukience
zostały ptaki krążące przed oknem
chmury nad zamkiem
zimny park po wieczornym deszczu
szafa i prysznic z którego kapie
łza nieobecności
długi włos na poduszce
karteczka z adresem
niebieska litera

w pustych pokojach zamkniętych na klucz
dnieżą nazajutrz nowe mitologie
pociągi jadą z miejsca A do B
biedny Orfeusz zasypia w przedziale
śni mu się Anioł Ślązak
w różanym ogrodzie
a wtedy Hermes
chwyta dziewczynę za rękę
i gasi w lustrze serce Orfeusza

Krzysztof LISOWSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli i Królewca

SKAZY NA BURSZTYNIE

Co mają ze sobą wspólnego Immanuel Kant i Wołodia (nazwisko mi nie znane)? Dwie rzeczy. Po pierwsze, i Kant i Wołodia urodzili się w Królewcu. Po drugie, ani Kant ani Wołodia nigdy z Królewca nie wyjechali. Na tym się analogia kończy. Kant żył i nauczał w XVIII wieku, a umarł w Königsbergu w zaraniu XIX. Tam napisał m.in. „Krytykę czystego rozumu” i „Krytykę praktycznego rozumu”, i tam jest pochowany. Przylegający do walących się (ale odbudowywanych właśnie) murów starej katedry, jego grobowiec jest właściwie jedynym ocalałym w oryginalnym stanie śladem dawnego kształtu Królewca. Kant nigdy nie wyjechał z Królewca, bo nie chciał. Jak sam powiedział, „gwiazdziste niebo” nad Królewcem całkowicie mu wystarczyło.

Wołodia żyje. Żyje. Jeździ najstarszym i chyba najbardziej zdezelowanym Oplem na wschód od Łaby. Bezrobotny, zarabia „na łebka”, robi konkurencję taksówkom, których jest mało, a które przede wszystkim są okropnie drogie. Za kurs na lotnisko biorą 20 dolarów, czyli pół miejscowej przeciętnej miesięcznej pensji. Wołodia ma mniejsze wymagania. Spędziłem z nim kilka dni, pomagając pchać „samochód”, kiedy nie chciał zapalić na 10 stopniowym mrozie, i asystując przy kontrolach policyjnych, które, z uwagi na stan samochodu, w normalnym kraju kończyłyby się zakazem kursowania i „skasowaniem” pojazdu, a tu rozmywały się w kilkutysięcznym mandacie. Bez pokwitowania. Miły, mało-mówny, dyskretny i punktualny. Wołodia ceni zwłaszcza pasa-

żerów zagranicznych. W kilka dni zarobił ze mną dwa razy więcej niż jego żona w ciągu miesiąca w fabryce.

Wołodia także nigdy nie wyjechał z Królewca. Nie dlatego, że nie chciał, ale że nie mógł. Najpierw mu nie było wolno, potem nie miał za co. Wołodia nie pisze dzieł filozoficznych, rozumu nie krytykuje, w ogóle chyba z pisaniem może mieć trudności, ale można się od niego dowiedzieć rzeczy, o których filozofom się nie śniło. I które, rzeczywiście, mogą zmienić świat, a nie tylko go objaśnić.

Na zachód — do Rosji

To dziś bardzo dziwne miejsce. Na przykład granica Królewca z Litwą to chyba jedyne dziś miejsce w Europie skąd, by udać się do Rosji trzeba iść na zachód, a nie na wschód. Tu jednak nie tylko geografia stoi na głowie, ale i historia. Im bardziej się podróżny oddala od Moskwy w kierunku na zachód tym bliżej jest nie tyle Rosji co...ZSSR. Ale na tym się dziwy tego miejsca nie kończą. Widziane z Niesterowa na granicy Litwy, czy ze Światłogorska nad Bałtykiem, rysuje się obraz jedynej właściwie dziś prawdziwej enklawy w Europie. Miasto Kaliningrad, dawniej Königsberg, polski Królewiec, stolica Prus Wschodnich, najbardziej na wschód wysunięty bastion niemieckiego *Drang nach Osten*, najbardziej na zachód wysunięty bastion sowieckiego *Drang nach Westen*, forteca skąd Krzyżacy łupili słowiański wschód, potem — siedem wieków później — forteca skąd Stalin kontrolował swoje łupy u ujścia Wisły, pochylał się nad Polską, Białtami i Bałtykiem, obecnie najbardziej na zachód wysunięty region Federacji Rosyjskiej, jest dziś całkowicie odcięty od matki-Rosji.

W te ponure dni listopadowe, kiedy zmrok szybko zapada, tu wszystko wydaje się inne. Morze ma na przykład dziwny kolor. Jest ciemnoszare jak niebo nad miastem, jest brudne jak śnieg na ulicach, który spadł w tym roku wcześniej niż się spodziewano, i niegościnne jak mróz, który skuł miasto nagle, bez uprzedzenia i zamienił ulice w ślizgawki, a Wołodię w cudotwórcę i mistrza kierownicy. Starsi ludzie powiadają, że kiedyś morze miało tu także kolor czerwony jak cegła, z której zbudowane były domy na starówce w Königsbergu. Ale już nie ma.

Królewiec założony został w XIII wieku przez Krzyżaków. Nazwa miasta pochodzi od króla czeskiego (König)

Ottokara II, który pomagał Krzyżakom, i od wzgórza (Berg) Twangste. W 1340 roku, Königsberg wszedł do Hanzy. Razem z nią przeszedł przez okres świetności, kiedy Hanza, rozciągnięta od Londynu poprzez Antwerpię, Hamburg, Lubekę, Gdańsk, Rygę, Kłajpedę, po Nowgorod, dominowała nad Europą nie tylko w handlu, ale i w polityce. Po opanowaniu, w 1457 roku, Malborka przez Polaków, Königsberg zostaje siedzibą wielkich mistrzów zakonu, a potem ksiąząt pruskich. Fryderyk I koronował się tu na króla Prus. Polakom reszty opowiadać nie trzeba, jest mniej więcej znana. Królewiec stał się symbolem prusactwa, buty, a w końcu hitlerowskiej zarazy. Potem był „korytarz” i druga wojna światowa, która załatwiła sprawę. Na dość długo chyba. Jak powiedział Stalin do Churchilla: „Coś się nam nad Bałtykiem należy”. Być może, ale żeby do tego stopnia...?

Poeta — nie strzelać

Albowiem ze starego Królewca pozostał prawie właściwie tylko bursztyn. Kilka niewielkich domów przeżyło, ale w jakim stanie? Kilka ruin znaczą dawne bramy miasta, kilka murów pozostało ze wspaniałej katedry gotyckiej zbudowanej, w kilka lat, na przełomie XIV i XV wieku. Nie ma śladu starego miasta na wyspie, na Pregole, jego strzelistych domów o ostrych dachach, budowanych z czerwonej dachówki, charakterystycznej dla portowych miast hanzeatyckiej Europy.

Druga wojna światowa wymazała pejzaż Królewca. Najpierw było dywanowe bombardowanie angielskie. Potem bomby i wielotygodniowe oblężenie sowieckie. W ciągu 100 dni zniszczono wtedy — tak się wówczas wydawało — siedem wieków niemieczyny. To zaś co się jednak cudem uratowało, zostało starte przez Sowietów, którzy najpierw siłą, a potem na zasadzie traktatu poczdamskiego, anektowali miasto w 1945 roku. Całość została niedługo potem ostatecznie „zsovietyzowana”. Deportacje zmiotły mieszkańców. W 1948 roku na terenie Königsberga żyło jeszcze 1.000 Niemców. Rozwalono „ostatnie ślady pruskiego ducha”, stawiając na miejscu starych mieszczkańskich hanzeatyckich domów, ogromne betonowe bloki mieszkalne w czysto sowieckim, ponurym stylu.

Obronął się chyba jedynie pomnik Fryderyka Schillera, stojący ciągle na wprost teatru. Opowiadają, że jakiś żołnierz

powiesił na cokole — w chwili wkroczenia Armii Czerwonej — tabliczkę z napisem: „Nie strielat', eto poet". Schiller nie Majakowski, ale się udało. Niestety, takich tabliczek zabrakło gdzie indziej. Rekord głupoty i pasji niszycielskiej pobili Kosygin i Breżniew, którzy postanowili wysadzić dynamitem resztki, nawet fundamenty, zamku krzyżackiego, gdzie było pochowanych sześciu ostatnich mistrzów Zakonu.

„No i proszę spojrzeć, co dostaliśmy w zamian”, powiadają miejscowi. I rzeczywiście, koszmar. Na miejscu starego miasta rozpościera się obecnie szara kamienna pustynia, gdzie mroźny wiatr tak hula, że przenika najcieplejsze gacie. A w środku tej pustyni wznosi się, ba, straszy wydartymi oknami, ogromny gmach, na kilkanaście pięter, dziwny zespół kilku wież, niewykończony i totalnie pusty. Zjawia prawdziwa... Miała to być siedziba władz partii czy sowietu. Ale partia i sowiet znikły, a ponadto okazało się, że gmach postawiono na mokradłach. 600 lat temu budowniczowie katedry to wiedzieli i budowali na palach, obecni gospodarze odkryli to kiedy już było za późno. Co zrobić z tym kolosem brzydoty? — zapytano francuskich ekspertów. To, co Breżniew zrobił z resztkami zamku, odpowiedzieli, wysadzić w powietrze...

Działa nad Bałtykiem

Wysadzić w powietrze można mury, ale nie rzeczywistość. Ona także ma swój kolor. Zielony jak mundury armii po-czerwonej, niebieski jak mundury marynarzy. Stwierdzenie, że na terenie Kaliningradu, miasta i *oblasti*, zamieszkałych przez około miliona ludzi (80% Rosjan, a także Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Polacy i kilkanaście tysięcy Niemców) znajdują się bazy wojskowe, *would be an understatement*. Kaliningrad, a w tym Bałtyjsk, dawna Pilawa, jedyny niezamierzający port północnej Rosji, jest jedną wielką bazą, a przede wszystkim aglomeracją wojskową. Stacjonuje tu około 300.000 żołnierzy, oficerów i ich rodzin, w znacznym stopniu oddziały wycofywane z krajów bałtyckich, Polski i dawnej NRD. Dlaczego się tutaj akurat zatrzymały? A gdzie miały się zatrzymać — pytają fachowcy. Dokąd można je było wysłać. W stępy? Ryzykować bunt?

A zresztą, Moskwa jest przekonana, że jest to naprawdę ważny dla Rosji punkt strategiczny. Minister Obrony, generał Graczow, powiedział niedawno, że Rosja ma ważne interesy w rejonie Bałtyku i prawo obecności wojskowej w tym rejonie.

Z tego punktu widzenia nie ma różnicy między Stalinem a Jelcynem: obaj są zdania, że Bałtyk to klasyczne „bliskie sąsiedztwo” Rosji, że od Bałtyku wieje groźba, że trzeba na Bałtyk bardzo uważać, zwłaszcza teraz, kiedy poza Kaliningradem właśnie, wszystkie inne kraje nadbałtyckie są, jak by to powiedzieć, nieufne wobec zamiarów Moskwy. Że dla tych krajów osią bezpieczeństwa jest nie tylko stosunek się zachód-wschód, ale dziś już także wschód-wschód, albo północ-wschód.

Stan rzeczy da się łatwo obliczyć. 300.000 żołnierzy na milion mieszkańców, to największe zagęszczenie wojskowe na świecie. Garnizony rosyjskie w Kaliningradzie są liczniejsze od wojsk Polski, Litwy, Łotwy i Estonii razem. Według oficjalnej wersji, na terenie Kaliningradu nie ma już broni nuklearnej. „Ale to przecież stąd wypływały atomowe łodzie podwodne szpiegujące Szwecję — na przykład” — nalegam niewinnie. To się skończyło, powiadają. A jak pan nie wierzy, to niech pan sprawdzi. Nie radzę. Bałtyjsk czyli Pilawa ciągle nie figuruje na liście obiektów do zwiedzania. Otwarty jest raz do roku, w dzień święta marynarki wojennej. Fachowcy uważają, że w Pilawie nie ma już żadnych tajemnic i że chodzi przede wszystkim o ukrycie cementarzystka floty wojennej byłego ZSSR. Wzdłuż nabrzeży Bałtyjska od strony morza leżą rzekomo, dziobami w dnie, wycofane z Rygi czy Tallina, dziś porzucone i rdzewiejące okręty, niedawno jeszcze duma Bałtyku. Leżą albo nie, nie radzę się zbliżać. Wszystko co wojskowe, jest tu ciągle jeszcze traktowane bardzo poważnie. Za poważnie...

„Macie złotówki? Kupujemy wszystkie”

Wysadzić w powietrze można stare mury, ale nie ludzkie nadzieje. Jest kilka sposobów omięcia wojskowego progów w mozolnej drodze z dna. Pomijam drogę najtrudniejszą, to znaczy wzmoczoną wydajność i dyscyplinę pracy, właściwą organizację przemysłu, oddanie ziemi chłopom, uczciwą administrację itd., itp. bo o tym wyraźnie jeszcze nie wszyscy są tutaj przekonani. Jest za to kilka innych.

Pierwszy praktykowany jest przez...wojsko właśnie. Powiadają tutaj, że baza marynarki w Bałtyjsku to najbardziej dynamicznie rozwijająca się prywatna przedsiębiorczość w Królewcu. Wojsko, indywidualnie lub w zorganizowanych grupach, handluje albo po prostu na własną rękę, albo „świad-

czy usługi” dla cywilów. Powiadają — ale jak to sprawdzić? — że z Królewca regularnie odchodzą transporty miedzi i odpływają tankowce wojskowe z ropą, o połowę tańszą od ceny światowej, do portów w Amsterdamie czy Antwerpii.

Drugi sposób odkryła przed dziennikarzem młoda para spotkana w hallu Aeroflotu, gdzie kupowała właśnie *voucher'y* uprawniające do wyjazdu do Polski. On — trener szachowy, ona — po studiach uniwersyteckich. „Macie dużo złotych? Kupujemy każdą ilość”, powiedzieli na dzień dobry. „A po co wam tyle złotych?”. „Na handel...” Gdzie pracują? „Pracować, a po co, odpowiadają. My nie mamy czasu na pracę. My handlujemy”. Średnia płaca w nauczycielstwie sięga 50.000 rubli na miesiąc. W ciągu kilku obrotów między Kaliningradem a Elblągiem, bo taka była strefa działalności handlowej młodej pary, sprzedając tutaj na rynku na przykład czekoladę, cukierki czy... musztardę (w restauracjach brak, proponują keczup) kupioną w Elblągu, zarabiają kilkakrotnie więcej.

Trzeci sposób, ma też związek z rynkiem. Można na nim wszystko kupić, przede wszystkim tanie barachło zagraniczne, ale także soki, papierosy, wódki, mizerne jabłka czy pomidory lokalne, mięso z gazety i prawdziwe banany. Można kupić jeżeli się ma pieniądze. Wszystko jedno jakie, najlepiej dolary albo marki, które można natychmiast wymienić w kantorze, zawsze pod ręką, lub „prywatnie”. Trudno przy tym mówić o czarnym rynku, bo handel idzie otwarty. Jedyne kontrolę rynku sprawują mafie. Okup, a więc i ceny, rosną, oporni ryzykują, że ich stragan czy kiosk następnego ranka znajdą już tylko w zgłiszczach.

Jest także, mówiąc poważnie, projekt naprawdę ciekawy i daleko idący. Kaliningrad ma, pod każdym względem, wyjątkowe szanse wyjścia z zapaści. Charakter enklawy, geograficzny rozwód z metropolią, oddalenie od Moskwy, to prawdziwe wyjątkowe atuty. „Tak daleko od Moskwy, tak blisko Zachodu”, powiadają miejscowi, trawestując — bezwiednie — meksykańskie „tak daleko od Boga, tak blisko USA”, aby — odwrotnie od Meksykańczyków — podkreślić szansę jaką stanowią nie tylko dystans od metropolii, a więc łatwiejsza autonomia, ale także port, a więc otwarcie na świat. No i fakt, tak ważny, że prawie symboliczny: Królewiec to jedyne miejsce w Rosji dokąd dochodzi europejska, normalna, sieć kolejowa, o tym samym co w Polsce czy w Niemczech rozstawie szyn.

Zrozumiał to także profesor Jurij Matoczkin, gubernator

Kaliningradu, człowiek prezydenta Jelcyna. Matoczkin jak Luther King, miał sen: zamienić Kaliningrad w Hong Kong nad Bałtykiem (ciekawe jaką karierę robią w posowieckim świecie odniesienia azjatyckie, Polska przecież też miała się stać nadwiślańską Japonią). W jaki sposób przenieść Hong Kong nad Zalew Wiślany? Proste: dekretem.

W grudniu roku 1992 Jelcyn podpisał dekret o nadaniu miastu i regionowi Kaliningrad statusu wolnej strefy handlowej, coś na wzór statusu nadanego już rejonowi Władystoku, na drugim końcu Rosji. Projekt nosi piękną nazwę „Kraj Bursztynu”, albo, bardziej poetycko „Bursztynowy Kraj” i zakłada daleko idące ulgi podatkowe dla inwestorów zagranicznych. Rok po dekreście ciągle jednak jeszcze, poza poezją w nazwie, nie bardzo wiadomo na czym ten status miałby polegać. Na razie jest tylko bursztyn, prawdziwych inwestorów nie widać.

Jest tak z wielu powodów. Największą przeszkodą w wydobyciu tego regionu z niebursztynowego dna, w jakie wrzucił go system sowiecki, jest kolosalna militaryzacja. Wszyscy zdają sobie z tego sprawę, ale nikt nie znajduje wyjścia. Ponad rok temu odbyła się w Kaliningradzie międzynarodowa konferencja na temat tego właśnie jak przekształcić bursztynowy sen w dochodową rzeczywistość. Autorzy projektu dowodzili, że jeżeli projekt doczeka się realizacji, to wymiana handlowa i usługowa Kaliningradu z Zachodem przewyższy jego wymianę z Rosją. Zagraniczni mówcy, zwłaszcza Skandynawowie, dowodzili zaś, że żaden kapitalista o zdrowym umyśle nie będzie inwestować w bazę wojskową, zwłaszcza rosyjską.

Dyskusję przeciał wtedy generał Mironow, były dowódca wojskowego rejonu bałtyckiego, a obecnie wiceminister obrony. Powiedział w krótkich żołnierskich słowach, że o demilitaryzacji Kaliningradu nie ma mowy, bo Rosja ma tu ogromne interesy strategiczne. A przypominam, że było to ponad rok temu, przed szturmem na parlament w Moskwie, kiedy jeszcze generałowie mówili skromnie i po cichu. A co oni o demilitaryzacji enklawy myślą i mówią dzisiaj, ujawnił admirał Feliks Gromow, dowódca floty rosyjskiej. Zapowiedział on, że jednostki wycofywane z portów Łotwy i Estonii spłyną do Bałtyjska aby stać się „tronem przyszłego zgrupowania, mającego zapewnić bezpieczeństwo Kaliningradu jako integralnej części Rosji”. Admirał nie powiedział, kto zagraża bezpieczeństwu „integralnej części”, ale aluzja została zrozumiana. „No to co będzie z bursztynowym krajem?” pytam. Pożyjemy, zobaczymy...

Pępek świata

Kto może wygrać wojnę z wojskiem w Kaliningradzie? Nikt, poza cywilami z Kaliningradu. Gdzie ich szukać? Gdzie i jak?

W środku wydmuchu, w środku nie istniejącej starówki, zamieszkałej kiedyś przez pruskich burżujów, tam gdzie kiedyś, codziennie o tej samej porze, profesor Kant chodził na spacer, stoimy, z Jarkiem Kurskim z *Gazety Wyborczej*, przed koślawym, nieforemnym stożkowatym słupem, którym jakiś ułomny propagandysta postanowił naznaczyć chyba centrum świata. Studiujemy metalowe tabliczki-drogowskazy podające odległości między Kaliningradem a resztą globu. Kilku napisów już brak, wykute, chyba w mosiądzu, zostały starannie odkryte i gdzie indziej zużyte. Te, które zostały wystarczająco aby, mimo mrozu, ogrzać wyobraźnię.

Zimno rzeczywiście, jak cholera, kilkanaście stopni poniżej zera, wiatr mrozi ciało, Jarek skostniałymi palcami notuje: Kamczatka — 10.000 km, Chabarowsk — 8.500 km, Władywostok — 7.000 km, Odessa, Moskwa, Leningrad — ponad 1.000 km, ale za to Helsinki — 650 km, Ryga — 330, a na miejsce ukradzionych tabliczek my dopisujemy nowe: Wilno — 200 km, Warszawa 400 km, Gdańsk — 220 km. Można by dopisać Sztokholm, Szczecin, Kłajpedę, Tallin... i jeszcze dziesiątki innych dużych miast, wszystkie położone bliżej Kaliningradu niż nie tylko Władywostok, ale najbliższe duże miasto rosyjskie.

Nie jestem przekonany, że człowiek, który wymyślił stózek miał najlepszy pomysł. Nic przecież lepiej niż ta geografia stosowana nie wykazuje gdzie szukać i gdzie leży przyszłość bursztynowego kraju, którą przebiega front wojny między wojskiem a cywilami, między artylerią a bursztynem.

Pierwsze pokolenie kaliningradczyków było sowieckie. Składało się z żołnierzy armii, która oblegała i wzięła Królewiec. Przyszli tu ze wszystkich stron Związku Sowieckiego, Kaukazu i Azji, i wobec ziemi, której wzięcie trwało sześć tygodni i kosztowało tak wiele tysięcy istnień, to pokolenie nie miało żadnych uczuć poza nienawiścią. Żaden z nich nie był stąd. Pierwsze pokolenie czuło się obco, nie u siebie. Ale rozkaz był zostać, zsovietyzować te ziemie i został wykonany. Stare miasto Królewiec znikło z powierzchni ziemi, ostatni Niemcy — resztki tych, którzy nie zdołali się ewakuować — zostali wyrzuceni w 1948 roku. Została pustynia.

Nowych nieboszczyków chowano na starych cmentarzach, tablice nagrobne rozbijano lub odwracano, stare kości wyrzucono do rowów. Tak wszak było wszędzie i zawsze na podobianych obcych ziemiach, ale, bardziej niż gdzie indziej, tak było w Królewcu. Dynamitowa śmierć ruin zamku krzyżackiego znaczy ostateczne zwycięstwo tego pierwszego pokolenia pionierów sowietyzmu na ziemi pruskiej.

Ostateczne zwycięstwo, ale i pierwszą klęskę. Drugie pokolenie sowieckie było już nie tylko sowieckie, ale było także trochę rosyjskie. Zaczęło żałować zniszczonej przeszłości, zastanawiać się kim i skąd są, gdzie są ich korzenie, co ich łączy z Chabarowskiem, a co z Rygą, Wilnem czy Gdańskiem? Odpowiedzi nie znajdowali. Ani w oddalonych, egzotycznych nieraz, bardzo często po prostu nieznanach rejonach, skąd wywodzili się ich rodzice, wysłani tu, a czasem zesłani, aby rusyfikować Prusy. Ani na miejscu, w tym mieście czy tej ziemi bez historii, którą ozywiano tylko po to, aby się jej wyrzekać i ją przeklinać. To drugie pokolenie doszło już do wniosku, że nie można, i że nie należy, wymazywać w ciągu 50 lat siedmiu wieków życia wielkiego miasta. I to ono zaczęło nieśmiało podróż w czasie. Z powrotem.

Trzecie pokolenie, obecne, pieriestrojkowe, nie ma już historycznych kompleksów. Dla niego nazwa Königsberg nie pachnie siarką, nie wywołuje patriotycznego oburzenia, paniki, ani poczucia świętokradztwa. Niektórzy zastanawiają się nawet nad zmianą nazwy miasta. Przecież — powiadają — Kaliningrad to dziś nic nie znaczy. Młodzi wiedzą, że stoi pomnik, ale nie mają — i słusznie — pojęcia kto to był Kalinin, błąd figurant z okresu wczesnego Stalina. Na powrót do krzyżackiej nazwy jest może za wcześnie, choć, według sondaży, prawie połowa mieszkańców nie byłaby temu przeciwna, zbyt wielu ludzi nosi tu jeszcze order „za wzięcie Königsberga”, ale padały już propozycje Königsgradu, a nawet Kantogradu. Dziś można kupić w Królewcu proporczyki (500 rubli sztuka) z dumnym napisem gotykiem *Ost-Preussen*, albo *Königsberg* oraz kolekcje pocztówek przedwojennego miasta, umiejętnie i w kolorach skopiowanych gdzieś w Niemczech. Nikt się nie dziwi, że Niemcy odbudowują katedrę, lub że jedna z miejscowych gazet drukuje jedną stronę po niemiecku, a swój tytuł cyrylicą w... gotyku.

To pokolenie zaczyna odczuwać coś w rodzaju zażenowania. W sferze ciała pytają (znalazłem to w *Nowej Europie* zacytowanej w bezcennym dla zainteresowanych *Biuletynie Kaliningradzkim*, wydawanym przez Ośrodek Studiów Wschod-

nich w Warszawie): „Mamy ropę, ale nie mamy benzyny; mamy morze, ale nie mamy ryb, mamy ziemię, ale nie mamy żywności, mamy kopalnie soli, ale nie mamy soli. Ot sowiecki bardak”. Sowiecki, nie królewiecki.

W sferze ducha, też nie brak wątpliwości. Inaczej przecież brzmi „mieszkam w Königsbergu” niż „mieszkam w Kaliningradzie”. „Jestem z Tylży” brzmi lepiej niż „jestem z Sowiecka”. Niektórzy kiwają głową kiedy stają przed domem, w którym — aby podpisać traktat tylżycki (a nie sowiecki) — mieszkali się Napoleon i car Aleksander, a gdzie teraz mieści się marny sklep z zabawkami. Studia i dyplom z uniwersytetu w Königsbergu, gdzie wykładał Kant i który szykuje właśnie obchody 450-lecia swego istnienia, to jednak coś innego niż uniwersytet i dyplom z Kaliningradu, o którym niewiele kto na świecie słyszał.

Wszystko to nie znaczy, że trzecie pokolenie skłonne jest już zmienić obywatelstwo, sprzedać się, jak oskarżają młodych starzy komuniści, za niemieckie marki. Pokusa istnieje, siła przyciągania mitu zachodniego dobrobytu jest tu żywsza niż gdzie indziej na Wschodzie, tym żywsza, im mniejsze jest poczucie przywiązania do nie swojej ziemi. Dla młodych inteligentów z Kaliningradu czy pierwszych przedsiębiorców, nawet dla tych, którzy handlują bananami i musztardą na rynku, nie ma żadnego znaczenia, że po to aby dotrzeć na Prospekt Lenina trzeba przejść przez niszczone resztki, tonącej w błocie, Brandenburger Tor, że ulica Bagrationa to po prostu Berliner-Allee. Dla nich ważne są nie nazwy ulic, a miejsce w życiu, do którego te ulice prowadzą.

Przygoda z SAS'em

Jedna z tych ulic o podwójnej nazwie prowadzi na przykład na lotnisko — międzynarodowe, znaczy się. Kwestia wyobraźni. Lądowanie SASem z Kopenhagi, to już małe przeżycie. Prosto z samolotu w kopy śniegu, potem przez wicher i mróz, z walizką w rękę, kilkadziesiąt metrów do „dworca”: obskurny barak, ciemny, nieogrzany. Formalności prawie żadnych, poza ceremoniałem absolutnie niezrozumiałego, bezsensownego wypełniania i stemplowania deklaracji dewizowej, o którą przy wyjeździe nikt nawet nie pyta (mam ich już w domu chyba sześć).

Ale dopiero wylot z Kaliningradu, to prawdziwa przygoda. Tu przeżycie jest nie tylko klimatologiczne. Najpierw

jest geograficzne: trzeba znaleźć „dworzec lotniczy międzynarodowy”, do którego droga jest absolutnie tajna, nigdzie nie jest oznaczona. Logicznie więc, Wołodia, który w życiu w ogóle na lotnisku „międzynarodowym” nie był, zawozi mnie na lotnisko „normalne”, wyraźnie oznaczone. Na szczęście, wiedziony genialnym przecuciem, poprosiłem go aby poczekał, stanowczo podkreślając „nie gasząc motoru”. Te trzy słowa uratowały mi życie. Okaże się bowiem za chwilę, że barak międzynarodowy jest zupełnie gdzie indziej, że trzeba wrócić kilka kilometrów i właściwie okrążyć pół lotniska aby tam trafić. To, naturalnie, pod warunkiem, że zna się nieco język rosyjski, aby zrozumieć informacje urzędniczki Aeroflotu, jeżeli ma się szczęście na nią w pustym budynku krajowego dworca w ogóle trafić.

I jeżeli SAS przyleci i wyleci. Bo o tym czy lata i czy są na przykład miejsca, w mieście Kaliningrad dowiedzieć się nie można. Nie można zwłaszcza w biurze Aeroflotu. Ogromny gmach naprzeciwko dworca, kilkanaście okienek, ale informacje o lotach i miejscach w SASie można otrzymać tylko na lotnisku. Tam stoi mały domek fiński z biurem i naziemną obsługą SAS (jeden człowiek) w Kaliningradzie. Otwiera się tylko w dni lotu, na chwilę przed przylotem. Inaczej mówiąc po to, aby się dowiedzieć czy jest lot i czy są miejsca trzeba specjalnie jechać 30 km na lotnisko albo ryzykować, tak jak ja, podróż w nieznanie.

Udało się, samolot i miejsca były. Nie było właściwie niczego innego. Wołodia uratował reportera, nie zgasił motoru i odjechał dopiero kiedy SAS wylądował a ja już miałem *boarding-pass*, którego zresztą nikt nie sprawdzał. I słusznie. Nie było warto. Pasażerów było... tyle co załogi SASu: trzech, ja i dwóch Szwedów. Bardzo było przyjemnie. Spóźnienie wyniosło tylko dwie godziny, lot do Kopenhagi trwał półtorej godziny, wystarczy aby porozmawiać, rozważyć kilka wielkich spraw strategicznych i geopolitycznych, załatwić kilka spraw związanych z przyszłością Kaliningradu.

Marzenia na mrozie

Jest kilka możliwych scenariuszy. Najprostszy to ulepiony *status quo*, to znaczy rosyjska enklawa zamieniona w Eldorado, w dużym stopniu, choć nie całkowicie, zdemilitaryzowana, ofiarowująca inwestorom własnym, a przede wszystkim zagranicznym, bardzo daleko idące ułatwienia podatkowe

i logistyczne. Można sobie ją wyobrazić jako taki, *toutes proportions gardées*, obecny Hong Kong, ale już po przekazaniu go Chinom w 1997 roku pod warunkiem utrzymania przez Pekin obecnego charakteru miasta. Zakłada to dla Kaliningradu zupełnie inny status niż dla reszty Rosji, szybki rozwój, fazę „dzikiego Zachodu” i naturalnie niesie ogromne ryzyko spontanicznych ruchów ludności itd.

Bardzo niewiele osób bierze taką perspektywę poważnie. I ze względu na opór wojska, ale przede wszystkim na opór biurokracji i na miejscu i w Moskwie. Nic dziwnego, że ludzie zaczynają marzyć. Najpierw o rzeczach prostych. O tym na przykład, żeby można było zjeść choćby drogą (złą, na dwie osoby, kosztowała połowę przeciętnej miesięcznej pensji), ale przyzwoitą kolację w ogrzanej restauracji. Bez ogłuszającej muzyki. Moi Szwedzi potwierdzili, jakby czytali, stary już reportaż Pawła Smoleńskiego w *Gazecie Wyborczej*. Grupa turystów próbowała zjeść kolację w hotelu w Kaliningradzie. Po niejadalnej zupie mieli dość i chcieli już tylko wyjść, ale przewodniczka ich złapała mówiąc: „A nie, nie można, jest jeszcze drugie danie, mięsne”.

Mnie nikt do niczego nie zmuszał, ale bywały sytuacje bez wyjścia. Bar hotelowy, gdzie można było zjeść coś w rodzaju pierwszego śniadania, nigdy nie otwierał się punktualnie. Możliwość alternatywna tkwiła w rękach „etażnej”, osoby powołanej do kontroli moralności lokatorów na jej piętrze. Miała elektryczny samowar i dzieliła się chętnie „kipiatkiem”. Kiedy pewnego dnia o bladym świetle zatelefonowałem z prośbą o „kipiatok”, odpowiedziała: „Kipiatoka nie ma, ale może być szampanskoje...”

Jeszcze inna przygoda spotkała firmę „Shell”. W związku z rozporządzeniem o używaniu języka rosyjskiego w reklamie, musieli — aby umieścić swoją reklamę na autobusach — zmienić tekst *Machine Oil-Shell*, na „Maszinnoje masło-Rakuszka”...

W tych warunkach, bursztynowa szansa jest kwestią wyobraźni. Znana już, od pewnego czasu, jest hipoteza „kondominium” polsko-rosyjsko-litewskiego, ewentualnie bez... Niemców. Jest to pomysł abstrakcyjny, ale nie anonimowy. Zgłosiła go Marion Gräfin von Dönhoff, *la Grande Dame* królewieckiego uchodźstwa, założycielka i — przez wiele lat — naczelny redaktor jednego z najlepszych tygodników niemieckich *Die Zeit*. Według wersji szeroko rozpowszechnionej przez pewnego dziennikarza niemieckiego w anglojęzycznej gazecie bałtyckiej, jej własny tygodnik nie odważył się tej pro-

pozycji wydrukować. „To ma zbyt kolonialną tonację”, powiedziano. Wydrukować to miała natomiast warszawska *Polityka*. Po sprawdzeniu w *Polityce*, okazało się, że artykuł, po poprawkach, wydrukowały oba tygodniki. Ale, elegia ciągle kursuje...

Skoro marzymy, to jedźmy dalej. Dlaczego nie „Autonomiczna Republika Bałtycka” w ramach Federacji Rosyjskiej, takie „Rosyjskie Prusy Wschodnie”? Dlaczego nie czwarta i niepodległa „Bałtycka Republika Królewiecka”, zdolna do utworzenia z pozostałymi trzema czegoś w rodzaju północno-wschodniego Beneluxu? Może jakaś neo-Hanza, z Królewcem mocno wprzęgniętym w już istniejące albo nowe struktury ogólnobałtyckie? Albo, jak mruczą niektórzy, „Niemiecka Republika Bałtycka”? A może protektorat ONZ? A może po prostu kupić ten cały interes. Rosjanie już kiedyś sprzedali Alaskę za garść dolarów. Niemcy są bogaci, mogą dać dobrą cenę.

Widziane z okna hotelu „Kaliningrad”, to wszystko pomysły z dziedziny fikcji politycznej. Co nie znaczy, że problem jest fikcyjny. Odwrotnie. Bez większego ryzyka można przewidzieć, że będzie to jedno z największych wyzwań najbliższych lat. Że, z jednej strony, u mieszkańców Królewca narastać będzie przekonanie o tym, iż nie wolno zmarnować geograficznej i kulturalnej szansy, że oddalenie od Moskwy, enklawa i port to jedyna droga w lepszą przyszłość i że narastać równolegle będzie „enklawowa” i portowa, inna i oddzielna od wszechrosyjskiej, świadomość kaliningradczyków.

I że, z drugiej strony, przywódcy Rosji dojdą do wniosku, że specjalny status dla Kaliningradu to dla nich zarazem także i wielki test i wielka szansa. Test, albowiem Kaliningrad stanowić może wyjątkowo dogodny, o ograniczonym zasięgu i ryzyku, teren makro i mikro-gospodarczego doświadczenia, zanim by je zastosowano w skali całej Rosji. Szansa, albowiem skuteczny status Kaliningradu może, trzeba o tym mówić ostrożnie, ale otwarcie, stanowić model do zastosowania w nieuniknionych wszak przetargach, każdy w swoim rodzaju, w dwóch innych „krańcowych” problemach terytorialnych Rosji: na Dalekim Wschodzie, to znaczy na Wyspach Kurylskich w przetargach z Japonią, i na południu, to znaczy na... Krymie, w sporze z Ukrainą. Przy jakiejś tam okazji, manifestanci w Kaliningradzie niesli transparenty z hasłem: „Nie oddamy Kuryłów, obronimy Kaliningrad...” Takie sprzeczanie, to czysty nie Kant a Freud.

Poetka bez tabliczki

Wygrać wojnę z wojskiem w Kaliningradzie mogą, już to powiedzieliśmy, cywile z Kaliningradu, tu przecież o ich, i ich dzieci, przyszłość chodzi. A kto mógłby pomóc Rosji w zrozumieniu wielkości królewieckiego wyzwania? Zagranica, Zachód, Europa, naturalnie Europa? Jaka Europa? Zamilczmy nad tą trumną, Europa ma inne zmartwienia, chociaż, naturalnie, odpowiednio potraktowany Królewiec byłby wymienionym koniem trojańskim w procesie cywilizowania i demilitaryzowania Rosji. Ale, milcz serce. Pozostają Niemcy i Polacy.

Agnes Miegel była największą poetką Königsberga. Umarła na wygnaniu, to znaczy w Niemczech zachodnich, ale pamięć o niej nie umarła. Kiedy więc czasy odtajały, władze Kaliningradu wyraziły zgodę na umieszczenie tablicy pamiątkowej poetki Miegel w mieście gdzie żyła i tworzyła. Specjalna delegacja przyjechała z RFN, deklamowano wiersze poetki, przyśrubowano tablicę, złożono hołd. Następnego dnia, kiedy delegacja chciała jeszcze ostatni raz uronić łzę i złożyć ostatnią wiązankę kwiatów, okazało się, że tablicy nie ma. Została ukradziona, metal był cenny, przydatny gdzie indziej. Zamiast do autobusu do Berlina, delegacja udała się więc prosto do gubernatora. W ciągu 24 godzin tablica była z powrotem na swoim miejscu. „No tak, komentują dzisiaj tubylcy, dla Niemców nawet nasza policja pracuje jak trzeba”.

Dla Niemców w Kaliningradzie, wszystko, albo prawie, pracuje jak trzeba. Postarali się o to sami Niemcy. Wracają do Königsberga. Robią to umiejętnie i ostrożnie. Nic na siłę i nic oficjalnie rządowego. Ale są wszędzie. Dwa wybudowane niemieckim kosztem domy, w tym jeden, że proszę siadać, czerwona królewiecka cegła, białe okiennice, Dom Kultury Rosyjsko-Niemieckiej, stanowią bezcenny punkt tranzytu, informacji i pośrednictwa dla gości z Niemiec: biznesmenów, a także, „turystów nostalgicznych”, poszukujących lub pokazujących dzieciom ślady przodków i dawnej świetności.

Humanitaryzm niemiecki ma też określone oblicze. Niemieckie wozy straży pożarnej ratują miejscowy dobytek, przy pomocy niemieckiej powstają domy starców czy domy sierot. „Kiedyś, powiadają miejscowi, z sierot będą dorośli i będą wiedzieć komu i za co powinni być wdzięczni”. Nawet

kiedy okręty wojenne z Niemiec składają wizytę matrosom z Bałtyjska, to zaczynają od wręczenia paczek dla rodzin i dzieci marynarzy rosyjskich...

To na jutro. A na jutro? Inwestycje niemieckie są większe od innych (42% całości) ale na razie skromne, bo interes ciągle niepewny. Wszystko jednak będzie gotowe w razie gdyby... Krupp już pomógł w uzupełnieniu brakujących torów kolejowych na trasie „Berlinki” — pociągu Berlin-Königsberg (przez Polskę, rzekomo, kursuje, jak Lenin, z zaplombowanymi drzwiami); wnuk Kaisera, Oskar, książę pruski, (34 lata), chce uruchomić autostradę na tej samej trasie. Jakiś biznesmen niemiecki kupił dawną cesarską posiadłość Trakehnen, słynną niegdyś z chowu koni wyścigowych. Dziś konie rodzą się w Niemczech, a w Trakehnen ma powstać nowoczesny a nawet luksusowy hotel. Małe hotele niemieckie już powstały w podmiejskich okolicach Królewca, noszą nazwy pruskie, w Sosnowce jeden nazywa się po prostu „Ost-Preussenhaus”, a ludność chwali sobie „pracę u Niemca...”

W takim najzupełniej zrozumiałym, umiejętnym i normalnym postępowaniu niemieckim nie ma najmniejszej aluzji do jakichkolwiek aspiracji rewindykacyjnych. Były naturalnie rozmaite pomysły. Pierwszym gościem zagranicznym jakiego przyjął Gorbaczow na starcie pieriestrojki był Friedrich Wilhelm Christians, ówczesny prezes Bundesbanku. Proponował wtedy finansowanie osiedlenia w Królewcu Niemców nadwołżańskich ongiś przez Stalina deportowanych do Kazachstanu. Pomysł humanitarny, ale i egoistyczny: Niemcy rekolonizujący Königsberg nie jechaliby do Niemiec. Ale pomysł nie wypalił. Nie spodobał się Polakom i Litwinom, ale przede wszystkim Rosjanom. I sowieckim Niemcom, którzy dość się nacierpieli i jeżeli mieliby się ruszyć z Azji, to nie zatrzymaliby się aż dopiero za Łabą.

Pasja Jerzego Babra

W obecnym stanowisku Niemiec jest więc, na pozór, tylko interes, humanitaryzm i nostalgia. Delikatność i dyskrecja Niemców posunęły się tak daleko, że ustąpili Polakom nawet pierwszeństwo w otwarciu konsulatu generalnego w Królewcu. Polska ma w Królewcu — gdzie znajduje się jedyna granica polsko-rosyjska — do odegrania ogromną rolę. W każdej koncepcji i w każdym scenariuszu. Polska mogłaby

w ogromnym stopniu wykorzystać wspólną granicę, bogate zaplecze gospodarcze, poważne możliwości kulturalne, to wszystko co jest albo geograficznie łatwe (Niemcy nie mają granicy z Królewcem), albo kulturalnie i językowo bardziej dostępne i... przyjemniejsze, łatwiejsze do przelknięcia. Kaliningradzcy chętnie wykorzystaliby nie tylko możliwości, jakie daje musztarda z Elbląga, ale także te, jakie przynieść może kultura polska, nie tylko prowincjonalna, ta z Elbląga czy Gdańska, choć i tych nie należy lekceważyć, ale ta naprawdę wielka.

Trzeba bowiem wspiąć się wyżej, aby na przykład uczestniczyć w pracach nad przygotowaniem jubileuszu uniwersytetu królewieckiego. Komitet przygotowawczy składa się jednak tylko z Rosjan i Niemców, tak jakby Polaków na tym uniwersytecie nigdy nie było. A przecież można spotkać w Kaliningradzie inteligenta, który kiedy jedzie do Moskwy to mówi, że jedzie do Rosji tak jakby nie z Rosji wyjeżdżał, i że w Moskwie czuje się bardziej za granicą niż w Gdańsku...

Pytanie jednak czy Polska ma środki na realizację polityki obecności mogącej konkurować z niemieckim delikatnym ale skutecznym nowym *Drang nach Osten*? Na razie, poza raczej przygraniczną obecnością, Polska dysponuje w Królewcu właściwie tylko jednym, ale za to ogromnym kapitałem, jakim jest osoba konsula generalnego Jerzego Baha. Rzadko spotkałem dyplomatę, nie tylko polskiego, o takim zasobie entuzjazmu i wiedzy na temat terenu jego działalności. Na pytanie skąd taka wiedza, pan Bahr odpowiada, że zaczął się interesować Królewcem przed 20 laty, kiedy Kaliningrad nie figurował jeszcze na żadnej liście dyplomatycznych priorytetów. A na pytanie dlaczego, odpowiada: „Bo ktoś powinien był się tym interesować”.

Na razie Jerzy Bahr, konsul generalny i minister pełnomocny, urzęduje w małej klitce hotelowej i choć mieszka w *przystrojonej kwartirze* musi czasem nosić wodę na szóste piętro na piechotę, bo winda też bywa nieczynna.

Powrót na szlak

Ze słownika Kopalińskiego dowiedziałem się, że „szlakiem bursztynowym” nazywano arterię, którą w starożytności rzymscy kupcy przybywali do ludów zamieszkałych na północ od środkowego Dunaju. Szli oni drogą przez Morawy, Górny

Śląsk, Wielkopolskę, Kujawy do ujścia Wisły i półwyspu Sambia, aby kupować bursztyn i niewolników. Niewolników już kupować nie można i nie warto, ale bursztynowy szlak warto na nowo otworzyć. Tak aby, drepcząc w ponurym kaliningradzkim błocie listopadowym, móc mieć nadzieję, że królewiecka wiosna jednak nadejdzie.

Pisane 2 grudnia 1993

Leopold UNGER

Europa Środkowa — Rosja w oczach Tokio

Komentatorzy sceny politycznej Rosji już od dłuższego czasu zwracają uwagę na nowy, agresywny trend w rosyjskiej polityce wobec byłych republik sowieckich, dążącej do odzyskania kontroli polityczno-gospodarczej nad dawnym obszarem imperium sowieckiego. Pojawiają się coraz częściej terminy „doktryny Monroe”¹, a nawet nowej „Jałty”, sugerujące cichą aprobatę Zachodu na taki stan rzeczy. Japonia, uwikłana w spór terytorialny z Rosją i odczuwająca coraz bardziej brak odpowiedniego systemu bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie, śledzi z najwyższą uwagą rozwój „staronowej” polityki Moskwy na zachodnich rubieżach dawnego imperium. Szczególne zainteresowanie Tokio wzbudza tu stosunek Polski i innych krajów Europy Środkowej do Rosji, na tle toczących się przetargów o włączenie tych krajów pod parasol ochronny NATO, oraz w odniesieniu do kluczowej sprawy *zagrożonej niepodległości Ukrainy*.

W celu zorientowania się na miejscu, jeden z czołowych ekspertów japońskich odwiedził niedawno stolicę państw tzw.

1. Nakładem londyńskiego Instytutu Badań Obronnych RUSI ukazało się solidne opracowanie rosyjsko-sowieckich doktryn strategicznych, wykazujące iż nawet Rosja Jelcyna musi dążyć do odzyskania pełnej kontroli nad obszarami byłego ZSSR. *Mark Smith: „Pax Russica: Russia's Monroe Doctrine”, The Royal United Services Institute for Defence Studies, Whitehall Papers series 1993, London.*

Grupy Wyszehradzkiej, przeprowadzając rozmowy z wysoko ustawionymi politykami na temat problemów bezpieczeństwa w tym rejonie, na tle potencjalnego zagrożenia ze strony Rosji. Wyniki jego badań i dociekań ukazały się drukiem na łamach wpływowego periodyku politycznego *Sekai Shubo*².

Według wstępnych wyjaśnień Akino, dwa największe problemy dla Moskwy dziś to utrzymanie spójności terytorialnej samej Rosji, oraz utrzymanie wpływów w tzw. niezależnych państwach byłego ZSSR (WNP, łącznie z krajami bałtyckimi). Na tym tle wyróżnia on w dzisiejszej polityce Rosji dwie linie strategiczne: stopniowe odzyskiwanie kontroli nad krajami WNP, oraz próby utrzymania krajów Europy Środkowo-Wschodniej w strefie wpływów Rosji. Jeżeli Rosji uda się osiągnąć zamierzone cele, to może oznaczać to, zdaniem Akino, powrót do swoistego „bezideologicznego” ZSSR.

Grupa Wyszehradzka-NATO-Ukraina

Szczególnie znamienym przypadkiem takiej polityki Rosji jest sprawa przetargów o włączenie Polski i innych krajów Europy Środkowej do NATO. Najpierw w czasie wizyty w Polsce Jelcyn potwierdził prawo Polski do suwerennej decyzji w tej sprawie, żeby następnie w liście do szefów NATO poddać w wątpliwość takie stanowisko. Pobieżne opinie ekspertów zachodnich tłumaczą taką wolę presją ze strony wojskowych, których wpływy znacznie wzrosły po stłumieniu antyjelcynowskiego puczu w październiku 1993. Są to jednak, zdaniem Akino, bajki przedkładane opinii publicznej dla usprawiedliwienia tradycyjnej polityki *appeasement*'u wobec Moskwy, ktokolwiek by tam nie rządził. Przytacza on tutaj opinie swego rozmówcy (nie wymieniając z nazwiska) w węgierskim Ministerstwie Obrony, który określił ubiegłoroczne

2. Akino Yutaka: „Roshia wa kyutoo-soku jinei de maki-kaeshini deta” („Rosja w drodze powrotnej do dawnego bloku”), *Sekai Shuho*, 23-30/11/93. Sprawozdanie Akino ukazało się w dwu częściach, pt. „W kierunku bezideologicznego ZSSR” oraz „Przetargi w NATO wokół Europy Wschodniej”.

Autor jest kierownikiem Ośrodka Badań Stosunków Wschód-Zachód w Tokio, specjalistą od spraw Europy Środkowo-Wschodniej/Rosji. W czasie objazdu stolic państw Grupy Wyszehradzkiej przeprowadził liczne rozmowy i wywiady w kołach rządowych, lecz pod ścisłym warunkiem „nieujawniania nazwisk rozmówców”.

straszenie Zachodu przez Kozyriewa (jego występ w Sztokholmie) następstwami ewentualnego dojścia do władzy Ruczoja i spółki jako „zręcznie wyreżyserowany teatr”. W rzeczywistości nie tylko ludzie starej nomenklatury, lecz również obecne kierownictwo polityczne na Kremlu (z Jelcynem na czele), kontynuuje tradycyjną, wielkomocarstwową politykę Moskwy. Członkostwo państw Europy Środkowej w NATO jest tutaj w rękach Rosji głównie wygodną kartą przetargową, „osłoną dymną” dla dużo istotniejszej dla Moskwy sprawy, a mianowicie kompletnego podporządkowania sobie Ukrainy.

Dla krajów Grupy Wyszehradzkiej odbudowa nowej, niepodległej Ukrainy stanowi wyjątkową, historyczną szansę stworzenia „strefy buforowej” między nimi a Rosją. Dlatego też pierwsze, z Polską na czele, pośpieszyły z uznaniem suwerenności Ukrainy, uprawiając politykę „równego balansu” między Rosją a Ukrainą. Równocześnie nieustannie zabiegały o poważne potraktowanie Ukrainy przez kraje zachodnie, lecz bezskutecznie. Ukraina jest dziś wprawdzie formalnie niepodległą, lecz w stanie chaosu polityczno-gospodarczego, coraz bliżej wewnętrznego rozłamu i groźby interwencji zbrojnej Rosji, co byłoby równoznaczne z utratą niezależnej państwowości. W tej sytuacji, wg wyjaśnień udzielonych Akino w Warszawie i innych stolicach tego rejonu, polityka „równego balansu” staje się dla tych krajów niezmiernie trudną, wręcz ryzykowną. Nie mają one innego wyboru jak nalegać na przyspieszone włączenie do NATO (bez oglądania się na los Ukrainy), albo, czy raczej równolegle, szukać jakiegoś *modus vivendi* z Rosją. Polska, jak wynika z dalszych relacji Akino, jest pierwszym krajem w tym rejonie, który praktycznie odpisał już Ukrainę na straty.

Polska-Rosja-Ukraina

Będąc w Polsce, Jelcyn wyraził publicznie „zgodę” Rosji na wejście Polski do NATO, co jednak nastąpiło dopiero po rzekomo twardych, zakulisowych rozmowach z Wałęsą, w których jako główna karta przetargowa wypłynęła sprawa Ukrainy. Jelcyn schlebiał Polakom, określając Polskę jako kraj o „wyjątkowym znaczeniu” w tym rejonie, lecz w praktyce chodziło mu o uzyskanie cichej zgody Warszawy na wolną rękę Rosji w podporządkowaniu sobie Ukrainy i Białorusi. Według wyjaśnień uzyskanych przez Akino w kołach polskiego MSZ-tu i MONu, sprawa niepodległej Ukrainy jest wi-

dziana w Warszawie jako praktycznie stracona. Polska nie chce uwikłać się w konflikty na Wschodzie, lecz chce zabezpieczyć się przez jak najszybszą integrację z NATO — które ewentualnie obejmie wszystkie państwa Europy Środkowej aż do Bugu. Tam zaczyna się strefa wpływów Rosji, co zostało już przypieczętowane przez Zachód. Polska nie ma więc rzekomo innego wyboru jak zaakceptowanie postulatów Rosji, a przy okazji zabezpieczenie interesów własnej „racji stanu”. List Jelcyna do NATO Warszawa traktuje tylko jako dalszy ciąg taktycznych presji w sprawie Ukrainy. Zresztą niedługo potem Polska podpisała z Rosją bardzo znaczący układ o budowie rurociągu przez Polskę dla dostaw gazu syberyjskiego do Niemiec. Według pierwotnych planów rurociąg taki miał przechodzić przez teren Ukrainy (co dałoby jej ważny atut wobec Rosji), a więc nic dziwnego iż zgoda Polski na ten projekt została odebrana w Kijowie jako przysłowiowy „nóż w plecy”. W zakończeniu Akino przytacza fragmenty wypowiedzi swego rozmówcy w polskim MON, w której oświadczył on m.in. iż „na dobrą sprawę zniknięcie niepodległej Ukrainy z horyzontu będzie oznaczać o jeden problem mniej dla Polski”. Zapytany przez Akino, czy może przytoczyć tę wypowiedź w swym sprawozdaniu w Japonii, zaniemówił na kilka minut, odpowiadając w końcu iż „nie, publicznie tak tej sprawy postawić nie można”...

Istotnie, relacje Akino jakoś nie licują tu z oficjalnymi założeniami „polityki wschodniej” Warszawy, szczytującej się prekursorstwem w tzw. „dwutorowości” polityki wobec Rosji i byłych republik sowieckich. Jeżeli w długofalowej strategii Warszawy rzeczywiście mieści się poświęcenie Ukrainy na rzecz polskiej „racji stanu”, to należy od razu zapytać jakiej „racji stanu”. Czy sternicy polskiej polityki zagranicznej rzeczywiście nie dostrzegają, iż nie tylko Ukraina (plus WNP), lecz również Polska i inne kraje tego rejonu zaczynają być znów, coraz wyraźniej traktowane przez USA jako naturalna „strefa wpływów” Rosji — do czego zresztą Polacy sami się przyczyniają (na co już zwrócił uwagę Leopold Unger w listopadowym numerze *Kultury*). Na dziwną „prorosyjskość” polskiej polityki zwracają już od dłuższego czasu uwagę politycy i eksperci rządowi w Tokio, szczególnie od czasu nieśczęśliwej wizyty w Japonii, jesienią 1992, ówczesnego Ministra

Spraw Zagranicznych Skubiszewskiego³. Odwracanie się tyłem do Ukrainy i Białorusi jest, w oczach ekspertów japońskich, przejawem niezrozumiałej krótkowzroczności politycznej, za jaką może jeszcze Polsce przyjdzie drogo płacić w przyszłości.

Relacje japońskie stawiają tu jeszcze raz poważny znak zapytania nad kierunkami, celowością i sensem polityki zagranicznej III Rzeczypospolitej — kto i w czym interesie nią rzeczywiście kieruje?

Janusz MONDRY

Dokąd prowadzi NAFTA?

„...Podział świata na trzy wielkie supermocarstwa można było przewidzieć i w istocie przewidywano w pierwszej połowie XX wieku. Po tym jak Rosja wchłonęła Europę, a Stany Zjednoczone Imperium Brytyjskie, pojawiły się dwa z trzech istniejących supermocarstw. Trzecie supermocarstwo — Wschodnia Azja — pojawiło się jako odrębny twór dopiero po dekadzie chaotycznych walk. [...] Te trzy supermocarstwa — w jednej bądź w innej kombinacji prowadziły ze sobą ustawiczną wojnę w przeciągu ostatniego ćwierćwiecza. Wojna ta, jakkolwiek nie była desperacką, wyniszczającą walką tak jak we wczesnych dziesięcioleciach XX wieku...”

(George Orwell, *Rok 1984*)

Przed waszyngtońską siedzibą Międzynarodowego Związku Elektryków w okresie nielegalnej działalności NSZZ „Solidarność” powiewał dumnie transparent z napisem „UWOLNIĆ Z OKÓWÓW POLSKI ZWIĄZEK SOLIDARNOŚĆ”. „Solidaryca” napisu kłuła w oczy dyplomatów, licznych szpie-

3. W dn. 1-3 października 1992 Minister Spraw Zagranicznych Skubiszewski złożył oficjalną wizytę w Tokio, która miała być próbą większego otwarcia naszej polityki zagranicznej na Japonię. Skończyła się jednak skandalem dyplomatycznym, na skutek nietaktownych wypowiedzi Skubiszewskiego w sprawie Wysp Kurylskich, w których zajął prorosyjskie stanowisko.

gów i pracowników ambasady sowieckiej zlokalizowanej naprzeciw siedziby Związku Elektryków. Transparent zdjęto po kolejnym zalegalizowaniu NSZZ „Solidarność”; flagę sowiecką w budynku po drugiej stronie 16 ulicy zastąpił trójkolor Federacji Rosyjskiej, a na murach Związku Elektryków pojawiły się plakaty z napisem „Unieważnić NAFTA”. Elektrykom i innym związkowcom z federacji związkowej AFL/CIO chodzi o unieważnienie bezprecedensowego porozumienia o wolnym handlu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, Meksykiem i Kanadą (*North American Free Trade Agreement*) znanego pod akronimem NAFTA. Mimo szantażu politycznego, grózb zemsty związkowców w tegorocznych wyborach do Kongresu — porozumienie NAFTA podpisane jeszcze za czasów administracji George’a Busha zostało przyjęte przez Izbę Reprezentantów solidną przewagą 34 głosów 17 listopada, zatwierdzone przez Senat i uroczystie podpisane przez prezydenta 8 grudnia. Porozumienie NAFTA wchodzi w życie 1 stycznia, aby w ciągu kolejnych 15 lat doprowadzić do zniesienia taryf celnych i innych ograniczeń w wolnym handlu pomiędzy Kanadą, Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi. W ciągu 15 lat powstanie obszar wolnego handlu rozciągający się od Jukonu na północy Kanady do Jukatanu na południu Meksyku, z 365 milionami mieszkańców produkujących dobra i usługi wartości 6,5 biliona dolarów rocznie. Ponieważ porozumienie o wolnym handlu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Kanadą już obowiązuje, poziom życia w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych jest porównywalny, a rozmiary wymiany handlowej pomiędzy Meksykiem a Kanadą mizerne — najwięcej emocji i największe znaczenie ma rozszerzenie strefy wolnego handlu na Meksyk, który już obecnie jest trzecim najważniejszym partnerem handlowym Stanów Zjednoczonych. Jednak waga układu NAFTA nie sprowadza się tylko do jego gospodarczego znaczenia. Zdaniem ekspertów, w tym licznych laureatów nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, wiele wody upłynie w dzielącej Stany Zjednoczone i Meksyk rzecze Rio Grande zanim skutki porozumienia zaczną być odczuwane. Bezpośrednie znaczenie układu NAFTA jest zwycięstwem — z politycznej emerytury — wolnorynkowej filozofii byłych prezydentów Reagana i Busha nad zwolennikami protekcjonizmu i izolacjonizmu. Ratyfikacja NAFTA jest także istotnym sygnałem dla państw Ameryki Łacińskiej, że reformy gospodarcze są najpewniejszym krokiem do stabilności politycznej. Waszyngton nie ukrywa swoich ambicji rozszerzenia stre-

fy wolnego handlu do południowych krańców Chile.

O wadze jaką Waszyngton przywiązuje do układu NAFTA może świadczyć chociażby wystąpienie sekretarza stanu, Warrena Christophera, który wyliczając w Kongresie cele amerykańskiej polityki zagranicznej na pierwszym miejscu wymienił właśnie zatwierdzenie porozumienia NAFTA. Konflikt w Bośni nie znalazł się na tej priorytetowej liście.

Przyjęcie przez Kongres spisane go w pięciu tomach wagi 7 kilogramów porozumienia — po porażkach w Bośni, Somalii i na Haiti — z pewnością było największym sukcesem politycznym prezydenta Clintona i jego ekipy od momentu przejścia władzy w Białym Domu. NAFTA wzmocniła pozycję Clintona zarówno w sondażach popularności jak i na arenie międzynarodowej. Czasami obserwując zabiegi Białego Domu, „wykręcanie rączek”, kolejne kompromisy i ustępstwa wobec kluczowych w debacie ustawodawców — miało się wrażenie, że to Clinton jest republikaninem zmagającym się, razem ze swoimi neokonserwatywnymi kolegami z Partii Republikańskiej, z opozycją Partii Demokratycznej.

W lipcu 93 roku Thomas Foley — marszałek (*Speaker*) Izby Reprezentantów wyznał jednemu z dyplomatów, że jego zdaniem porozumienie NAFTA jest „martwe”. W sierpniu w szeregu publikacji prasowych pojawiły się „przecieki” sugerujące, że najbliższe otoczenie Clintona nakłania prezydenta do rezygnacji z walki o zatwierdzenie porozumienia NAFTA. Clinton mimo opozycji kluczowych demokratów, tradycyjnych sojuszników: grup ekologicznych, związków zawodowych — postanowił brnąć dalej, zwiększając stawkę batalii o porozumienie NAFTA. Wcześniej, Clinton oskarżany podczas kampanii przedwyborczej przez obóz George’a Busha, że w wypadku każdego problemu „jest za, a nawet przeciw”, wycofał swoje przedwyborcze zapowiedzi podjęcia zdecydowanych kroków w Bośni, poniósł dotkliwą porażkę w kwestii przyjmowania do wojska homoseksualistów, zrezygnował z wielu elementów swojego planu ożywienia gospodarczego oraz wydawał się skłonny do rezygnacji z istotnych elementów planu reformy opieki medycznej. W wypadku porozumienia NAFTA był niewzruszony. A przegrana w Kongresie, gdzie Partia Demokratyczna posiada przewagę, w batalii o zatwierdzenie porozumienia nie wynegocjowanego przez Clintona ale przez jego poprzednika George’a Busha byłaby miażdżącym ciosem politycznym stawiającym pod znakiem zapytania realizację innych planów Prezydenta, jak np. reforma systemu opieki medycznej. Na przekór wszystkim Clin-

ton zbudował koalicję, w której było więcej Republikanów niż Demokratów i zapewnił porozumieniu NAFTA solidne zwycięstwo. Tym samym Clinton udowodnił, że jest demokratą nowego typu bliższym środowisku biznesu, tworzącemu miejsca pracy, niż związkom zawodowym tradycyjnie broniącym swoich świadczeń i *status quo*.

Następnie, w glorii zwycięstwa — Clinton udał się na spotkanie przywódców 15-tu państw wchodzących w skład kolejnego wylaniającego się bloku handlowego APEC (*Asian Pacific Economic Council*) Rady Gospodarczej Państw Azji i Basenu Oceanu Spokojnego, która podczas kampanii o zatwierdzenie porozumienia była traktowana jako rodzaj odskoczni na inne rynki w wypadku przegranej. Zatwierdzenie układu NAFTA dało także Stanom Zjednoczonym istotne narzędzie nacisku na EWG i Japonię w światowych negocjacjach w obrębie Ogólnego Układu o Cłach i Handlu (GATT) tzw. rundy urugwajskiej. Uplynie jednak sporo czasu zanim zostaną zaleczone rany w Partii Demokratycznej, a związki zawodowe — tradycyjnie wspierające politycznie i finansowo Demokratów — zapomną, który z wspieranych przez nie ustawodawców głosował za zatwierdzeniem porozumienia NAFTA.

Bezprecedensowa debata nad układem — była sporem o wizję przyszłości — nie tylko gospodarczej — Stanów Zjednoczonych. Dla zwolenników NAFTA, układ ten stał się współczesnym odpowiednikiem planu Marshalla, który pomógł w powojennej odbudowie Europy z korzyścią dla wszystkich stron — największą prawdopodobnie dla Ameryki. Były sekretarz stanu, Henry Kissinger, scharakteryzował NAFTA jako „pojawiającą się raz w ciągu generacji szansę uczynienia czegoś zasadniczego w tworzeniu nowej struktury międzynarodowej”. Wiceminister Skarbu, Lawrence Summers, zapowiedział, że „NAFTA w ciągu następnych lat będzie podstawowym, definiującym zagadnieniem w amerykańskiej polityce zagranicznej nie tylko w stosunku do Ameryki Łacińskiej ale także świata”.

Zdaniem sceptyków, NAFTA wprowadzi Stany Zjednoczone na tę samą drogę upadku jaka zgubiła potęgi kolonialne — kiedy inwestorzy zaczęli szukać bardziej obiecujących i intratnych możliwości poza granicami. Przeciwnicy porozumienia, związki zawodowe, grupy ekologiczne i populistyczny miliarder z Teksasu, Ross Perot (którego opowiedzenie się po jakiejś stronie dla wielu jest gwarancją, że to właśnie strona przeciwna ma rację), argumentowali, że NAFTA

spowoduje olbrzymi odpływ miejsc pracy do Meksyku, gdzie siła robocza jest 10-krotnie tańsza niż w Stanach Zjednoczonych, regulacje w dziedzinie prawa pracy i ochrony środowiska niewystarczające, a system polityczny od prawie 70 lat zmonopolizowany przez Partię Rewolucyjno-Instytucjonalną. W argumentach przeciwników NAFTA pojawiły się obawy o przyszłość z zanikającymi, dobrze płatnymi miejscami pracy na liniach produkcyjnych, i ograniczonymi szansami dla Amerykanów bez wyższego wykształcenia i specjalnych umiejętności.

Zwolennicy NAFTA, w tym wszyscy żyjący byli prezydenci Stanów Zjednoczonych od Richarda Nixona do George'a Busha, argumentowali, że porozumienie doprowadzi do stworzenia kilkuset tysięcy dobrze płatnych miejsc pracy w zakładach produkujących w oparciu o nowoczesną technologię. Przeciwnicy straszili — jak to określił Ross Perot — „dźwiękiem setek tysięcy miejsc pracy wysysanych przez biedniejszy Meksyk”. Każda ze stron starała się przedstawić debatę nad układem jako spór o przyszłość Ameryki, jako test — jak się wyraził prezydent Clinton — zaufania Ameryki w swoje własne siły. „Nasze dzisiejsze głosowanie określi jaki rodzaj amerykańskiej gospodarki odziedziczą nasze dzieci. Dyskutujemy czy Ameryka jest krajem wierzącym we własne siły, chętnie spoglądającym w przyszłość, gotowym do współzawodnictwa, czy też krajem znajdującym się w upadku, uczepionym wspomnień przeszłości” — powiedział podczas debaty w Izbie Reprezentantów przewodniczący wpływowej Komisji Środków i Sposobów, kongresman Dan Rostenkowski, Demokrat ze stanu Illinois.

Równie emocjonalne argumenty pojawiały się z drugiej strony: „Co jesteśmy w stanie zaoferować setkom tysięcy robotników, którzy utracą pracę w wyniku przyjęcia tego porozumienia? Resztki jedzenia. Resztki jedzenia” — dramatycznie pytał kongresman David Obey, także Demokrat.

„Podstawowym celem układu NAFTA jest ochrona własności, patentów i zysków amerykańskich korporacji, które umieszczają swoje zakłady w Meksyku. Układ daje amerykańskim korporacjom łatwe i bezpieczne środki ucieczki od zapewnienia podstawowych warunków życia i pracy, które Amerykanie wypracowali w procesie demokratycznym dla siebie i dla swoich dzieci” — grzmiał na konferencji prasowej w dzień po pamiętnym głosowaniu prezes największej amerykańskiej federacji związkowej AFL/CIO, Lane Kirkland.

Podziały te są także silnie widoczne w sondażach ame-

rykańskiej opinii publicznej. Za ratyfikacją układu NAFTA opowiadały się przede wszystkim osoby z wyższym wykształceniem, pracownicy umysłowi z dochodami rodziny przekraczającymi 75 tysięcy dolarów rocznie. Przeciwników porozumienia można było znaleźć wśród robotników fizycznych, wśród związkowców i ich rodzin, w końcu wśród osób niezadowolonych ze stanu gospodarki amerykańskiej.

Mimo, że przywódcy murzyńscy, jak pastor Jesse Jackson, opowiedzieli się przeciwko układowi NAFTA — podziały pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami porozumienia nie przebiegały wzdłuż linii rasowych ale właśnie majątkowych.

Dodatkowo zaledwie co 6 osoba w badaniach dziennika *The New York Times* i sieci telewizyjnej CBS (*The New York Times*, 16 listopada 1993) wyraziła przekonanie, że przyjęcie porozumienia będzie miało wpływ na życie najbliższej rodziny. Świadczy to, że w przeciwieństwie do ustawodawców, publicystów, ekonomistów i ekspertów — w tzw. szerokim społeczeństwie NAFTA nie wzbudzała silnych emocji. Stawia to także pod znakiem zapytania możliwość zemsty na tych ustawodawcach, którzy wbrew zaleceniom związków głosowali za przyjęciem porozumienia.

NAFTA diametralnie zmieni stosunki Stanów Zjednoczonych z Meksykiem, stwarzając nadzieję, że napływ i przyspieszenie inwestycji amerykańskich przyczynią się do zmniejszenia nielegalnej imigracji z Meksyku do Stanów Zjednoczonych (jak wynika z danych Biura Statystycznego Ministerstwa Pracy, obecnie nielegalnie pracuje w Stanach Zjednoczonych od 2,5 do 4 milionów Meksykanów). Przeczuleniu na punkcie godności narodowej Meksykanie, którzy stracili prawie połowę swojego terytorium w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi, w okresie tej batalii musieli przełknąć wiele zarzutów i pogodzić się z paternalistycznym traktowaniem przez amerykańską prasę i niektórych polityków, jak chociażby przez wzmiankowanego Rossa Perota. Zmiana nastawienia jest z reguły procesem powolnym, dokonującym się nie w parlamentach ale w codziennych kontaktach, także gospodarczych. Przysłuchując się dyskusji nad porozumieniem NAFTA, dyskusji z polskiego punktu widzenia zdawałoby się egzotycznej — starałem się wyobrazić sobie emocje i dyskusje w Polsce, gdyby to np. Bundestag debatował porozumienie o wolnym handlu pomiędzy Niemcami, Polską i powiedzmy Austrią...

W tym kontekście, warto może przypomnieć, że prezy-

dent George Bush w walce o tzw. „etniczne głosy”, występując w roku 1992 pod Detroit luźno zaproponował zawarcie porozumienia o wolnym handlu z krajami Środkowej Europy, w tym z Polską. Propozycja ta nie wzbudziła wtedy zbytniego entuzjazmu Warszawy. Po zwycięstwie Billa Clintona w wyborach prezydenckich przedstawiciel zespołu przejmującego władzę, podczas rozmowy z grupą dziennikarzy polskich w Waszyngtonie, wyznał że pierwszy raz o takiej koncepcji słyszy. Podobną ideę rzuciła ostatnio na łamach dziennika *The Washington Post* była ambasador w ONZ, Jeane Kirkpatrick, jako antidotum na protekcyjalistyczne poczynania Wspólnoty Europejskiej w stosunku do eksportu ze Wschodu (*The Washington Post*, 6 grudnia 1993). Próba reanimacji tej idei jest chyba równie warta zachodu jak dobijanie się do NATO.

Tadeusz ZACHURSKI

Pokorne ciała i bezpieczeństwo narodowe

Przez cztery lata mnóstwo ludzi w Polsce odczuło na własnej skórze dolegliwości forsownego marszu od socjalizmu do kapitalizmu. Nie dostrzegano w tym czasie, a w każdym razie nie doceniano tego, że w dziedzinie zewnętrznego bezpieczeństwa kraju były to lata wyjątkowego komfortu. Nawet o przemyśle obronnym, dotkniętym ciężką zapaścią, premierzy i ministrowie mówili jak o każdym biznesie: co w nim może być zyskowne, a co nie, jak złagodzić socjalne skutki upadku nierentownych przedsiębiorstw zbrojeniowych i jak dać sobie radę z protestami związkowców. Względ na obronność kraju wydawał się mniej istotny. Na tym przykładzie widać najlepiej, jak bardzo polscy politycy, publicyści i dziennikarze byli przekonani, że nic nam z zewnątrz nie zagraża.

Dopiero po październikowych wydarzeniach w Moskwie odkryliśmy, że komfort się skończył. Odkąd generałowie armii i KGB, którzy uratowali Jelcyna oraz on sam i szefowie rosyjskiej dyplomacji sprzeciwili się naszemu wejściu do NATO, a Zachód uznał weto Rosji za wiążące, w polskich kręgach rzą-

dzących i w prasie nie ma już atmosfery bez troski. Może więc powinniśmy spojrzeć bardziej krytycznie na politykę zagraniczną minionych czterech lat i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy wszystkie jej założenia mają pozostać bez zmian?

Busolą naszego postępowania była chęć zaskarżenia sobie przychylnych ocen w zachodnich stolicach, zwłaszcza w Waszyngtonie i Brukseli. W poczekalniach EWG i NATO nie dorobiliśmy się (i nie mogliśmy się dorobić) własnej polityki wschodniej. Nasze kręgi rządzące uważały, że pełnoprawny udział Polski w obronnych i gospodarczych strukturach Zachodu będzie prostym następstwem naszej prozachodniej orientacji i jest tylko kwestią czasu. Tymczasem NATO nie zostało powołane dla wspierania i ochrony wschodnich sąsiadów, lecz po to, by stawić czoła potędze militarnej sowieckiego imperium. Po rozpadzie Układu Warszawskiego i ZSSR przyjęcie odpowiedzialności za bezpieczeństwo targanej rozmaitymi konfliktami postkomunistycznej Europy nie jest chyba marzeniem Zachodu. Jego bezradność i kunktatorstwo w obliczu tragedii jugosłowiańskiej świadczą raczej o braku politycznej woli, a nawet niezdolności do przyjęcia na siebie takiej roli.

Musimy wreszcie pojąć, że nie jesteśmy dla możnych tego świata najważniejsi. Stosunek mocarstw zachodnich do Polski zależeć będzie przede wszystkim od ich stosunków z Rosją. Gdyby stosunki te zmierzały w stronę konfrontacji, moglibyśmy zostać frontowym państwem NATO. Ale wariant konfrontacyjny jest właśnie tym, czego polityka zachodnia stara się uniknąć. Nie wiem, czy trzeba dowodzić, że i dla nas nie musi to być wariant korzystny. W warunkach zaś amerykańsko-rosyjskiego zbliżenia rachuby, że przyjmą nas do NATO, ponieważ tego chcemy, nie były bardziej realistyczne od oczekiwań, że napłynie tu ławą zachodni kapitał żądny inwestowania w Hutę im. Lenina, dziś Sendzimira.

Kołatanie do zamkniętych drzwi NATO nie przyniosło nam, jak dotąd, większego bezpieczeństwa. Raczej przeciwnie. Wraz z odmową przyjęcia usłyszeliśmy deklarację, że Zachód nie zamierza udzielić nam gwarancji bezpieczeństwa. Taka deklaracja będąca skądinąd skutkiem naszych zabiegów jest dużo gorsza od milczenia, ponieważ stanowić może zachętę dla napastnika.

W przeciwieństwie do prezydenta Clintona czy premiera Balladury nie mamy interesu w wystawianiu Borysowi Jelcy-nowi fałszywego świadectwa demokracji. Polska opinia pub-

liczna zdaje sobie na ogół sprawę, że po rozstrzygnięciu moskiewskiej wojny na gorze Rosja zmierza w stronę systemu autorytarnego i rosną tam wpływy armii. Nie jest niespodzianką, że towarzyszy temu nawrót polityki imperialnej. U nas zwraca się uwagę głównie na sprzeciw wobec wejścia Europy wschodniej do NATO oraz na te elementy rosyjskiej doktryny wojennej, które dotyczą interwencji w innych państwach. Mamy swoje uczulenia i wspomnienia o doktrynie Breżniewa. Na pierwszej linii zagrożenia nie znajduje się jednak suwerenność Polski ani nawet krajów bałtyckich, lecz niektórych republik WNP. Rosja będzie zawsze mocarstwem, ale odbudowa imperium zależy od przywrócenia moskiewskiej kontroli nad Ukrainą i być może Kazachstanem. Instrumentem odzyskiwania dominacji nie wszędzie musi być rozgrywanie wewnętrznych konfliktów etnicznych i obecność militarna. Skutecznym środkiem nacisku są też ropa czy gaz, o czym upewnia porozumienie Jelcyn-Krawczuk w Jałcie.

Zdolność Ukrainy do zachowania suwerennej pozycji zależy w dużym stopniu od możliwości oparcia się na współpracę, zwłaszcza gospodarczej, z partnerami zachodnimi. Obecne zbliżenie amerykańsko-rosyjskie dokonuje się ponad głowami i kosztem wschodniej Europy. Naprawdę izolowana, a w konsekwencji podatna na moskiewskie naciski, okazuje się jednak Ukraina. Ale po odbudowie imperium w strefie zagrożenia znajdą się dalsi sąsiedzi, w tym Polska. Powróci wtedy także konfrontacja supermocarstw, w której łatwo stać się możemy terenem rywalizacji lub państwem frontowym.

Polska polityka zagraniczna nie decyduje o losach świata. Powinniśmy jednak starać się na miarę swoich środków o zmniejszenie zagrożeń. Nie ma co zabiegać o pozycję prymusa we wschodnioeuropejskiej klasie, jeżeli za tę pozycję mamy płacić brakiem własnej polityki wschodniej, od której zależy nasze bezpieczeństwo, a w dużym stopniu także kondycja naszej gospodarki. Powinniśmy na własną rękę budować stosunki, zwłaszcza gospodarcze, zarówno z Moskwą, jak z Kijowem i Ałma-Atą. Może też powinniśmy w Europie środkowo-wschodniej i na Zachodzie szukać partnerów, którym nie dogadza dwubiegunowe porządkowanie świata według osi Waszyngton-Moskwa. W polityce międzynarodowej pokorne cięło nie ssie dwóch matek, lecz jest spychane na bok, a nawet może stać się cięłąciną.

Karol MODZELEWSKI

AKCJA KONGRESU POLONII AMERYKAŃSKIEJ

Dnia 6-go grudnia w biurze Kongresu Polonii Amerykańskiej w Waszyngtonie, odbyło się zebranie przedstawicieli organizacji grup etnicznych Europy Środkowo-Wschodniej. Obecni byli reprezentanci Polaków, Ukraińców, Litwinów, Estończyków, Łotyszów, Rumunów, Bułgarów i Armeńczyków.

Obecni wysłuchali referatu Jana Nowaka-Jeziorańskiego, informującego o mnożących się znakach odradzania się imperiaлизmu rosyjskiego i wspólnych zagrożeniach jakie z niego płyną, oraz polityki Stanów Zjednoczonych u progu spotkania Clintona w Brukseli, w Pradze i w Moskwie. Zebrani postanowili wznowić koalicję swych organizacji etnicznych, która została odnowiona dwa lata temu i ogłosić „pospolite ruszenie” wszystkich grup etnicznych z Europy Środkowo-Wschodniej w celu przeciwstawienia się koncepcji „strategicznego partnerstwa” Moskwy i Waszyngtonu, niosącego ze sobą groźbę ponownego podziału na strefy bezpieczeństwa kosztem narodów dawnego ZSSR i Europy Środkowo-Wschodniej. Powzięta została decyzja odbywania wspólnych spotkań raz na tydzień w celu wzajemnego informowania się o akcjach i wystąpieniach podejmowanych przez członków koalicji.

Według oficjalnego federalnego spisu ludności ponad 21 milionów Amerykanów poczuwa się do pochodzenia i związku z Europą Środkowo-Wschodnią, 21 kongresmenów, siedmiu senatorów ma w swoich obwodach ponad 10% pochodzących z tej części świata.

KPA obecnie wysyła odezwę do wszystkich swych członków aby kontaktowali się z prezydentem Clintonem, sekretarzem departamentu stanu, i całym szeregiem prawodawców, w wyżej wymienionej sprawie.

Wywiady „Kultury”**Szlezwik modelem uniwersalnym**

ROZMOWA Z PROF. WIESŁAWEM LESIUKIEM
Z PAŃSTWOWEGO ŚLĄSKIEGO INSTYTUTU
NAUKOWEGO W OPOLU

RYSZARD SURMACZ: — *Panie Profesorze, jest Pan specjalistą z zakresu problematyki mniejszości narodowych. Czy istnieją regiony w Europie porównywalne w jakiś sposób z pograniczem Śląska Opolskiego?*

WIESŁAW LESIUK: — Na początku należy zastrzec, że Śląsk Opolski jest pograniczem realnym tylko w układzie: Polska-Czechy. W relacji Polska-Niemcy jest jedynie pograniczem w rozumieniu socjohistorycznym, a nie rzeczywistym.

Istnieją w Europie różne pogranicza, ale wymienilibym szczególnie dwa pogranicza historycznie ukształtowane, jako porównywalne w pewien sposób ze Śląskiem Opolskim — są to Śląsk Cieszyński (także Opawsko-Karniowski) oraz Szlezwik na pograniczu niemiecko-duńskim. Ten ostatni jest od kilku lat rejonem moich badań porównawczych.

W Szlezwiku od wielu lat rozwijano teoretycznie i praktycznie problem tamtejszych mniejszości narodowych. Jak wiadomo nie ma aktualnie prawnomiędzynarodowej normy w zakresie regulowania problemów mniejszości narodowych czy etnicznych. Funkcjonują natomiast określone standardy. Szlezwik jest jednym z nich. Przy okazji warto powiedzieć, że kontakty naszego Instytutu z tym regionem, zwłaszcza z jego południową częścią w granicach RFN (Schleswig-Holstein) trwają już ponad 20 lat.

R.S. — *W sierpniu 1992 r. był Pan na seminarium międzynarodowym poświęconym problematyce mniejszościowej. Odbyło się ono w kilku miastach Szlezewiku, po obu stronach granicy niemiecko-duńskiej. Czy rzeczywiście model wypracowany przez Niemców i Duńczyków jest tak uniwersalny?*

W.L. — Z całą pewnością nie. I nie była to tylko impresja uczestników z Polski, ale również wyraźne stwierdzenie przedstawicieli obu mniejszości: duńskiej i niemieckiej oraz samych organizatorów. Nie jest to model uniwersalny, dający się zastosować zawsze i wszędzie. Jest to pewien standard wypracowany tam, w tamtejszych warunkach, który rozwijał się ewolucyjnie przez 40 lat, a ściślej mówiąc przez lat 70, licząc od poplebiscytowego podziału tego regionu w 1920 r. Pozostaje sprawą otwartą, jak dalece możliwe jest adaptowanie niektórych tamtejszych rozwiązań do warunków innych pograniczy. Możliwość taka istnieje, przynajmniej teoretycznie, na takich pograniczach, przez które przebiega rzeczywista granica, po której obu stronach sąsiadujące państwa „mają swoje” mniejszości narodowe. Nie jest to zatem model do zastosowania w sposób bezpośredni na Śląsku Opolskim, pomimo pewnych podobieństw historycznych w dziejach obu regionów czy analogii społecznych i etniczno-narodowych. Zresztą, także w innych pograniczach niemieckich problemy etniczno-narodowościowe rozwiązuje się w różny sposób. Postawmy zresztą kropkę nad „i”: standard szlezwicki rozwiązuje bilateralne problemy niemiecko-duńskie w kwestii mniejszości narodowych w skali regionalnej, bo tylko w tym jednym konkretnym regionie problem ten występuje. Dzięki temu problemy te można było względnie łatwo rozwiązać — na zasadzie pełnej analogii. Tymczasem polsko-niemieckie problemy narodowościowe, regulowane w płaszczyźnie bilateralnej traktatowo, mają znacznie szerszy zakres. Śląsk Opolski jest jedynie elementem większej i daleko bardziej skomplikowanej całości. W Niemczech ludność polska ma różny status i żyje w diasporach a nie w zwartych skupiskach. Nie ma zresztą statusu mniejszości narodowej, czego się coraz głośniej zaczyna domagać. Rząd niemiecki w stosunku do ludności pochodzenia polskiego stosuje indywidualne prawa człowieka, ludność pochodzenia niemieckiego na Śląsku Opolskim korzysta natomiast ze statusu mniejszości narodowej. Szerszy kontekst całej sprawy jest jeszcze bardziej skomplikowany, m.in. wskutek utrzymania w mocy art. 116 ustawy zasadniczej RFN, kontrowersji w sprawie podwójnego obywatelstwa itd., itd.

R.S. — *Jak to wygląda w praktyce? Czy rozwiązano problem mniejszości na terenie Szlezewiku?*

W.L. — W warstwie prawnomiędzynarodowej kwestia została uregulowana bardzo precyzyjnie, na zasadzie równowagi symetrii parytetu, stanowiąc skuteczny sposób tonizowania napięć interetnicznych. Problemy narodowościowe i etniczne oczywiście pozostały. Jednak ich rozwiązanie do końca nie jest chyba możliwe, a w każdym razie jest to jeszcze kwestia czasu. W stosunkach wzajemnych pomiędzy większością a mniejszością proces ten, jak określają Niemcy, może mieć cztery fazy: pierwsza — wzajemnej wrogości, czyli życia przeciw sobie; druga — izolacji, czyli życia obok siebie; trzecia — integracji, czyli razem ze sobą i czwarta, idealna — dla siebie nawzajem. Dziś po 45 latach po obu stronach granicy, osiągnięto tam więcej niż etap bycia obok siebie. Szacunkowo mniejszość duńsko-fryzyjską ocenia się po stronie niemieckiej na 50-60 tysięcy osób a mniejszość niemiecką po stronie duńskiej na około 10-20 tysięcy.

R.S. — *Panie Profesorze, jak sprawdza się model niemiecki w stosunku do mniejszości fryzyjskiej?*

W.L. — Rozumiem, że jest to pytanie uzupełniające do poprzedniego. Sprawdza się podobnie, jak w odniesieniu do mniejszości duńskiej. Jest to bardzo nieliczna grupa narodowa mająca świadomość własnej tożsamości kulturowej i odrębności zarówno od Duńczyków, jak i Niemców. Fryzowie północni, podobnie jak Duńczycy w Szlezewiku południowym mają obywatelstwo niemieckie a co za tym idzie te same prawa i obowiązki względem państwa niemieckiego. Sytuacja grupy fryzyjskiej jest o tyle trudniejsza, że jest to grupa reliktowa, stanowiąca jak gdyby skansen etniczny. Język fryzyjski jest mocno zróżnicowany i posiada dziewięć gwar, a każda z nich ma dodatkowo różne naleciałości lokalne.

R.S. — *Czy są jakieś podobieństwa między grupą fryzyjską a śląską?*

W.L. — Dokonywanie takich porównań byłoby bardzo ryzykowne. Sami Fryzowie swoją sytuację porównują do sytuacji Serbów łużyckich w Brandenburgii i Saksonii. Obydwie grupy nie mają też swojej ojczyzny ideologicznej — są narodem bez państwa. Natomiast w odniesieniu do rdzennej ludności śląskiej — która nie jest odrębną grupą narodową, narzucałaby się jedynie powierzchowna analogia i to tylko w

stosunku do tej części ludności górnośląskiej, która posiada wyraźne poczucie swej odrębności zarówno od Polaków, jak i Niemców. Na powierzchni takich niewczesnych analogii wskazuje chociażby język. Fryzowie posługują się swoim własnym, zaś gwara górnośląska wskazuje wprawdzie wpływy językowe niemieckie i czeskie, ale jest dialektem języka polskiego.

R. S. — *Jaki jest stosunek tamtejszych władz niemieckich do mniejszości duńsko-fryzyskiej?*

W. L. — Byliśmy gośćmi parlamentu krajowego Szlezwicka-Holsztynu. Władze regionalne zainteresowane są uregulowaniem sytuacji mniejszości po obu stronach granicy. Natomiast władzom centralnym zależy na tym w dwójnasób, ponieważ dotyczy to życia społecznego w obu częściach podzielonego historycznie Szlezwicku, w którym granica państwowa jest praktycznie linią na mapie. Podobne stanowisko zajmują władze duńskie ponieważ wymaga tego wspomniana wcześniej zasada symetrii.

R. S. — *Rozmawialiście państwo z pewnością na tematy specyfiki Śląska Opolskiego. Czy była ona w ogóle znana waszym rozmówcom?*

W. L. — Poziom znajomości spraw górnośląskich był bardzo różny, ale różne aspekty regionalnej swoistości Śląska Opolskiego były dla Niemców i Duńczyków bardzo interesujące. Mielśmy dużą satysfakcję bo było to zainteresowanie rzeczywiste. Miejscowi uczestnicy tego seminarium chcieli istotnie poznać problematykę śląskiego pogranicza socjologicznego. Organizatorzy natomiast to ludzie światli, dobrej woli i prawdziwi rzecznicy dobrosąsiedzkich stosunków polsko-niemieckich. Założeniem tego seminarium było po prostu pokazanie jednej z możliwości stworzenia potencjalnie najlepszych warunków bytowania obok siebie różnych grup etnicznych i narodowościowych na pograniczu, które kiedyś dzieliło a obecnie niewątpliwie łączy dwa państwa: Niemcy i Danię. Ale jednocześnie przestrzegano przed automatyzmem i bezkrytycznym kopiowaniem standardu szlezwickiego i traktowaniem go jako model. Co więcej, mówiono to pod adresem również obecnych w polskiej grupie przedstawicieli mniejszości niemieckiej z Gdańska. Sądzę, że i oni wyciągnęli podobne wnioski, jak cała grupa polska, ponieważ w Szlezwicku nie rozwiązano do końca wszystkich napięć między wię-

szością a mniejszością. Nie jest to teren wolny od konfliktów jawnych i ukrytych. Rozwiązanie tych problemów nie wynika automatycznie z deklaracji prawnej lecz należy do mieszkających tam ludzi.

R. S. — *Jakie fazy rozwoju przewiduje Pan na Śląsku Opolskim?*

W. L. — No więc właśnie... Problemu tego nie da się wyizolować z szerszego kontekstu stosunków ogólnopolskich, polsko-niemieckich czy wręcz europejskich. Mniejszość niemiecką na Śląsku Opolskim i większość polską czeka ewolucyjna droga ułożenia odpowiednich wzajemnych stosunków. W Niemczech i Danii, zresztą wszędzie przy każdej okazji podkreślano bardzo mocno zasadę równoważności konstytucyjnych praw i obowiązków mniejszości narodowych, a przede wszystkim kwestię ich rzeczywistej i jednoznacznej lojalności wobec państwa, swojego państwa „obywatelskiego”, które nie jest dla nich państwem narodowym. Istotą tak pojętej lojalności jest więc coś więcej niż jego akceptacja i niełamanie obowiązującego w nim prawa. To integracja obywatelska, poczucie odpowiedzialności za państwo obywatelskie, ba, działanie w jego interesie z wewnętrznej potrzeby. Myślę — bardzo ostrożnie rzecz biorąc — że jesteśmy w województwie opolskim na pośrednim etapie, czymś między życiem przeciw sobie a obok siebie. Zresztą, doprawdy trudno tu generalizować, bo różnie wygląda to w różnych środowiskach lokalnych. Ale bez wątplenia poziom integracji w stosunkach interetnicznych w Szlezwicku jest bez porównania daleko bardziej zaawansowany niż na Śląsku Opolskim, co jest zrozumiałe. A jeśli idzie o prognozy, trudno być prorokiem. Możliwe są teoretycznie różne warianty rozwoju sytuacji. W ostatecznym rozrachunku dużo zależy od samej mniejszości.

R. S. — *W jakim stopniu sytuacja materialna jest czynnikiem stymulującym i stabilizującym proces kształtowania się grup mniejszościowych?*

W. L. — Ten problem będzie istniał zawsze, jest niewątpliwie jednym z czynników kształtujących opcje narodowościowe na pograniczach kulturowych — to jest oczywiste. Uzewnętrznia się silnie przy dużych różnicach w poziomie życia po obu stronach granicy, wygasa przy ich wyrównywaniu się. Niemcy i Duńczycy doskonale wiedzieli co kryje się

w podtekście zadawanych im pytań o przyczyny znacznego zmniejszenia się liczebności mniejszości po obu stronach granicy niemiecko-duńskiej od 1945 r. Jedną z przyczyn był właśnie czynnik ekonomiczny. Pojęcie „Speck-Dänen” funkcjonowało tam wcześniej niż w relacjach polsko-niemieckich „Volkswagen-Deutsche”. Przykładowo mniejszość duńska po stronie niemieckiej skurczyła się od końca wojny co najmniej dwukrotnie i to wcale nie wskutek emigracji, podobnie jak mniejszość niemiecka po stronie duńskiej.

R. S. — *Dziękuję za rozmowę Panie Profesorze.*

20. 10. 1992 r.

Rozmawiał Ryszard SURMACZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kraj

O Unii Demokratycznej — przed ślubem

1.

Pisałem poprzednim razem (*Kultura* Nr 12/1993, „Pierwsze rozstawienie figur”) że przed Unią Demokratyczną „otwierają się teraz nowe możliwości: klęska koalicji i koaliantów stwarza dla UD szanse nowych ruchów i niespodziewanych zysków, po trosze jak wycięcie odcisków (...) Chodzi mianowicie o to, czy Unia Demokratyczna zdecyduje się szukać dla siebie przyszłości politycznej w odtwarzaniu, w zarysie, poprzedniej koalicji, od liberałów poczynając, to zaś jako alternatywy do obecnych rządów — czy też podejmie raczej grę o rozłam w rządzącym układzie i sojusz z SLD, a przynajmniej jego częścią”. Zaznaczyłem, że są to strategie rozłączne i tacy jak Władysław Frasyniuk rzeczniczy drugiej z tych możliwości nie zdają sobie z tego sprawy. „Frasyniuk — pisałem — nie dostrzega, że liberałowie są dziś partią zdecydowaną ideologiczną (i w tym sensie klasową), SLD zaś niezależnie od szczerzej woli «kontynuowania» reform u takich działaczy jak Kwaśniewski, Borowski czy Kaczmarek nie może sobie po prostu pozwolić na akceptację takiej ideologii i postawy”. Innymi słowy strategia sojuszu z SLD nie mogła oznaczać kombinacji parlamentarno-ministerialnych pomiędzy liberałami wszelkiej maści — od czarnej do czerwonej — ale wysiłek zjednania i pozyskania tego elektoratu, przynajmniej miejskiego, który 19 września wybrał lewicę, SLD czy UP. Przy czym jałowe najpewniej byłyby próby pozyskania tego elektoratu wbrew politykom, którym on aktualnie sprzyja, to znaczy próby odebrania go formacjom lewicowym, skaptowania, przeciągnięcia na swoją stronę. Przeciwnie, to

Unia Demokratyczna, w razie obrania tej strategii, musiałaby się do tego elektoratu zbliżyć, przesunąć się w lewo. W każdym razie, takie zbliżenie byłoby nieporównanie istotniejsze niż umowy i konszachty między politykami.

Obserwowałem przygotowania do dwudniowej sesji Rady Krajowej Unii Demokratycznej (4-5 grudnia), zapoznałem się z treścią obrad. Przypuszczam, że Unia Demokratyczna nie wykorzysta swojej szansy, nie podejmie żadnej świadomej decyzji i pozostanie przy wypróbowanej taktyce niezauważania punktów zwrotnych w polityce, kiedy konieczny jest ponowny namysł nad sobą i świadomy wybór pomiędzy kontynuacją a zmianą. Świadomość zaś wyboru oznacza w takich momentach zwrotnych przede wszystkim zrozumienie, iż ani kontynuacja ani zmiana nie będą już tym, za co zwykliśmy je uprzednio uważać. Kontynuowanie tego samego nie będzie już tym samym, ale i zmiana nie to będzie oznaczać, co by znaczyła dwa lata temu. W tym konkretnym przypadku Unia Demokratyczna, która nieodmiennie chce się widzieć „partią reform” musiałaby pojąć, że teraz kontynuacja to już nie jest — jak się do niedawna łudzono — jeszcze jeden wysiłek a otworzy się przed nami cywilizowany raj normalności — ale kontynuować oznacza po prostu: utrwać wdrożoną już tymczasem cywilizację wilczego kapitalizmu. I że, odpowiednio, zmiana nie byłaby teraz tylko zmianą proporcji (w budżecie, opodatkowaniu, barierach importowych), lecz zmianą całego *behaviouru* politycznego, stylu rządzenia, stosunku pomiędzy państwem i społeczeństwem, a także wewnątrz struktur władzy i wewnątrz obywatelskiego społeczeństwa.

Rada Krajowa Unii Demokratycznej odmówiła zrozumienia sytuacji. Wystąpienia większości liderów (Mazowieckiego, Geremka, Suchockiej) były żenująco puste. Trudno było nie podejrzewać, że pustka była zamierzona. Nawet w najgorszej formie i nawet w opinii prześmiewców — ludzi z Unii Demokratycznej stać jednak intelektualnie na więcej. Zresztą również przywódcy głównych zwalczających się grup, Rokita i Frasyniuk, wyjaśniali swój spór w sposób, który dowodził że chodzi im raczej o kombinacje polityczne, czy wręcz politykierskie niż o politykę w poważnym rozumieniu. Frasyniuk boi się jednostronnych przechyłów na prawo, ku liberałom, bo teraz prawica przegrywa, prawa strona „jest zadżumiona”. Czy to oznacza, że kiedy Kwaśniewski z Oleksym, Borowskim i Kaczmarkiem zostaną uroczyście dokoopowani do obozu reform, to dżumę odczarują? Frasyniukowi i jego zwolennikom flirt z SLD są najwyraźniej potrzebne

do zrównoważenia *image'u*, nie zaś rzeczywistości.

Rokita z kolei wdał się w wyjaśnianie swej idei wielkiej partii przyzwoitych mieszczan. To wcale nie ideologia, twierdzi eks-minister, który nawykł uważać ideologię za słowo wstydlive. Przyzwoici mieszczenie to ci, których stać na magnetowidy, współczesne Dulskie, owe ostoje rodzin, własności i stabilizacji, zabiegane i przedsiębiorcze, niesłusznie spotwarzane przez Zapolską. Nie wiem, czy działacze KLD są zachwyceni podsunętą przez Rokitę parantelą, w Unii Demokratycznej już kwalifikacja „przyzwoici mieszczenie” wywołała zgrzytanie zębami. W każdym razie, w opinii społecznej dominuje przekonanie, że bohater snów eks-ministra, przyzwoity mieszczanin Dulski, przypomina raczej karykaturę z Brechta niż z Zapolskiej. Pamiętacie państwo czymże jest obrabowanie banku wobec założenia banku! A także: że mieszcuch jest gangsterem, rzecz to banalna; ale oto w dzisiejszych czasach gangster jest mieszcuchem...

Mimo oporów terminologicznych stanowisko Rokity raczej przeważało. Głosowano dwa teksty. Pierwszy, w domniemaniu „lewicowy” zebrał 20 głosów, drugi poparty przez liderów ze starej gwardii — 37. Zgodnie postanowiono połączyć się z KLD i równie zgodnie decyzję o tym, kiedy i w jakim trybie, odesłano na nadzwyczajny zjazd Unii, który obradować będzie pod koniec lutego. Ciekawe, czy też będzie udawał, że nie rozumie, o co właściwie chodzi.

2.

Wokół sesji Krajowej Rady UD było trochę interesujących komentarzy. W *Tygodniku Powszechnym* (5. XII. 93), który się ostatnio całkiem rozpolitykował — wiadomo, pod wpływem kłęski wyborczej władze kościelne wycofały się na z góry upatrzone pozycje, oddając część politycznego pola inicjatywie świeckich, tym razem nie tylko tych z prawicy — w *Tygodniku Powszechnym* zatem wypowiedzieli się Aleksander Smolar i Marcin Król. Obaj poszukiwali przyczyn kłęski i wobec tego nie mogli uniknąć krytyki rządu Suchockiej, Smolar bardzo oględnej (rola doradcy b. pani premier obowiązuje), Król znacznie śmielszej. U tego ostatniego szczególnie istotny wydał mi się postulat „przywrócenia polityce wymiaru ideowego”. „Unikano ideologii (w liczbie mnogiej) dlatego, że była jedna ideologia, a mianowicie rozropne budowanie demokratycznego ładu i wolnorynkowej gospodarki (...), rzeczywistość uznano za z istoty pragmatyczną (...), całkowicie zlekceważono rzeczywiste podziały ideowe, a

w każdym razie takie, które w dalszym ciągu, wbrew tezie o „końcu wieku ideologii”, funkcjonują w większości zachodnich społeczeństw. Niestety, rozkoszna idea międzynarodówki socjalistyczno-liberalno-konserwatywnej nadaje się tylko do intelektualnej zabawy” (zapewne kamyczek do ogródka szkoły Kołakowskiego i jej prymusa, Michnika).

W konkluzji jednak, obaj intelektualisci wnosili o wyraźny podział sceny politycznej na alternatywne siły, które w demokratycznym trybie mogłyby wymieniać się u władzy. U Króla bardziej ideowy — na rządzącą dzisiaj socjaldemokrację i opozycyjną centroprawicę dopiero do skonstruowania, u Smolara celowo niedoprecyzowany, aby nikomu nie zamykać drogi, i w rezultacie bardzo formalny — w demokracji, jak jest rząd, to powinna być wyraźna opozycja. Postulowany podział pozostaje jednak podziałem tylko dzisiaj danej materii, u Smolara cała konstrukcja jest w ogóle skopiowana z francuskiej *alternance*. Problem w tym, że w Polsce ta materia się zmienia, na scenę wchodzi nowi aktorzy, inni zaś znikają. Upadek etosu obozu solidarnościowego, co dziś już konstatają wszyscy, nie jest przecież wyłącznie zestarzeniem się kodu, niewiarygodnością czy niewydolnością języka. Jeśli nikt już nie mówi po łacinie, to widać Rzymianie wymarli. Społeczeństwo obywatelskie, które mówiło językiem Solidarności, już nie istnieje. Jedynym działaczem Unii Demokratycznej, który próbuje autentycznie zgłębić problem nowej polityczności w Polsce i zdaje się wiedzieć, że społeczeństwo obywatelskie trzeba konstruować od nowa — jest Jacek Kuroń.

3.

W *Gazecie Wyborczej* z 20–21 listopada Kuroń ogłosił artykuł pt. „Rynek z ludzką twarzą”. Inaczej niż wszyscy inni unioniści autor odrzuca żalną jeremiadę o tym, jak to *homo sovieticus* opiera się reformom. „Postawa roszczeniowa to nie tylko bierność, ale i świadomość własnych praw, która czasem przeradza się w wolę walki i rodzi ruchy społeczne. Ruchy takie występowały na dużą skalę w latach 1956, 1968, 1970, 1976, 1980, ale przecież na poziomie przedsiębiorstwa akty społecznej solidarności miały miejsce stale”. „...Większość Polaków wysoko w hierarchii wartości umieszcza sprawiedliwość społeczną, rozumianą jako prawo do pracy za godziwą płacę, do mieszkania, opieki zdrowotnej, oświaty, kultury, świadczeń w wypadku niezdolności do pracy. Jak się zdaje, przekonania te łączone są z poczuciem godności czło-

wieka, pracownika. Warto zwrócić uwagę, że niewątpliwie osiągnięcie solidarnościowych rządów — nowoczesny, sprawny system pomocy społecznej — zostało społecznie odrzucone, kojarzy się bowiem z jałmużną”. Przytaczam, ponieważ właściwym twórcą tego odrzucanego systemu był sam Jacek Kuroń i wydaje mi się naprawdę świadectwem politycznej i ludzkiej klasy działacza, że umie rozumieć i uznać racje, dla których ludzie nie chcą dobrodziejstw. Jego polityczni przyjaciele mówią w takich przypadkach, że trzeba się uczyć przyjmować jałmużnę w pokorze i po chrześcijańsku. W przeciwieństwie do innych unionistów Jacek Kuroń rzeczywiście życzy powodzenia aktualnej koalicji, nie tylko tej jej części która gotowa jest kontynuować poczynania gabinetu Suchockiej. „Jeśli obecny parlament upadnie w klimacie społecznej frustracji, następne wybory przyniosą jak najgorszy wynik”. Kuroń widzi trafnie, jak nierealne są rojenia w rodzaju Smolarowych o jakiejś bezbolesnej *alternance*, o zabawie na huśtawce znad Sekwany: jeśli Pawlak z Kwaśniewskim przegrają zawiódłszy ruch rewindykacyjny, który ich wyniósł do władzy („ruch wielokrotnie większy niż elektorat obu ugrupowań”), to po nich przyjdzie kolej na ugrupowania w rodzaju „Samoobrony”. Otóż, niezależnie od życzeń „program rewindykacji jest nieograniczony, a wyniki wyborów wzmocniły siłę ruchu roszczeniowego (...) Zwycięska koalicja na pewno nie zaspokoi tych roszczeń. Tym bardziej, że każde wywalczone ustępstwo władzy zwiększa żądania. Znosi się więc na klęskę koalicji (...) Etatystyczno-technokratyczny program będzie skutecznie blokowany przez ruch rewindykacyjny i nic nie pomogą osłony socjalne ani tym bardziej ograniczenia demokracji. Jedynym sposobem przewyciężenia sprzeczności między roszczeniami społecznymi a wymogami budowy gospodarki rynkowej jest uspołecznienie tego ostatniego procesu...” Po czym stary KORowiec, znów wierny sobie, proponuje „program działań, które pozwolą społeczeństwu zawłaszczyć państwo, przezwyciężyć schemat «my» i «oni». Każde z takich działań jest znane, było już wielokrotnie propagowane i wdrażane: samorządy, stowarzyszenia, fundacje, związki zawodowe, związki pracodawców, kółka rolnicze, izby gospodarcze... Ale: „Integracja różnych programów i ruchów społecznych jest sprawą zasadniczą. Każdy robiłby to, co dla niego najważniejsze: działał na rzecz przekształcania swego przedsiębiorstwa, w fundacji budowy wodociągów swojej wsi, w towarzystwie społecznego budownictwa mieszkaniowego itd. Koniecznym warunkiem powodzenia całego programu jest jednak społeczna świadomość

mość uczestnictwa wszystkich w jednym wielkim ogólnopolskim ruchu budowy sprawiedliwości i dobrobytu”.

Mam nadzieję, że zreferowałem lojalnie główne myśli tekstu. Jeszcze raz podkreślam, że sprawił mi on osobistą satysfakcję: rozpoznałem w nim dawnego Jacka. Teraz jednak — wątpliwości.

4.

Przede wszystkim, nie wiem, co robi jeszcze Jacek Kuroń w Unii Demokratycznej, zwłaszcza takiej, która się będzie łączyć z liberałami. Nie wystarczy przyznać, jak to właśnie czyni w omawianym tekście, że zwycięży z 4 czerwca 1989 „porzucili” swój ruch, zwłaszcza zaś owe, według jego oceny, 1,5 miliona najbardziej aktywnych działaczy, których „wystarczyłoby do zaangażowania zdecydowanej większości społeczeństwa w przebudowę”, nie zaproponowali im programu działania, że tym samym zwolnili ich od odpowiedzialności za państwo. Zbyt to zdumiewające przeoczenie, by nie zapytać: a może nie chcieli tego ruchu, może chcieli go jak najprędzej uspić, żeby nie przeszkadzał w operacji Balcerowiczowskiego „skoku w rynek”?

Jacek Kuroń chce ciągle jeszcze wierzyć, że ów skok był konieczny, a przedsięwzięcie słuszne: krytykuje metody i instrumenty realizacji, nie kierunek, nie cele etapowe i nawet nie konkretne dokonania. Wierzy nadal, że można na tej drodze budować „sprawiedliwość i dobrobyt”. Aleksander Smolar (*Gazeta Wyborcza* z 4–5 grudnia 1993) oceniając propozycje Kuronia potraktował go z całą rewerencją, ale niedwuznacznie, by znów nadużyć francuszczyzny, jako *doux rêveur*, słodkiego marzyciela. „Choć rozwój społeczeństwa obywatelskiego ma fundamentalne znaczenie dla utrwalania rynku i demokracji, to proces jego tworzenia jest bardzo długi. Ralf Dahrendorf mówi o możliwości ustanowienia demokracji politycznej w sześć miesięcy, gospodarki rynkowej w sześć lat, społeczeństwa obywatelskiego w 60 lat”. Najistotniejsza pozostaje dla realisty Smolara płaszczyzna polityczna. Zarzuca Kuroniowi, że za najważniejsze uważa porozumienie Unii Demokratycznej z SLD, głównej siły reformatorskiej z główną siłą rewindykacyjną, co znaczy, że „nie wiąże nadziei ze zmianą pejzażu, swoją *alternance*”, czyli po polsku wańkę-wstańkę. Podkreśla też, zapewne trafnie, że Kuroń jest sceptyczny wobec mechanizmów parlamentarnych i partii politycznych. Nie chce jednak dostrzec, czego w istocie ten scepty-

cyzm dotyczy, mianowicie aktualnych krystalizacji partyjnopolitycznych, które stworzyły takie właśnie twory jak SLD i Unię Demokratyczną, z jednorodną dominantą każdy: tam rewindykacje, tu reformy (charakterystyka zresztą trafniejsza wobec UD, bo wszak w przeciwnym razie nikt nie mógłby liczyć na układ z Kwaśniewskim). Dopóki takie krystalizacje przeważają, nie ma żadnych szans nie tylko na dokończenie, ale nawet na zapoczątkowanie Kuroniowej konstrukcji społeczeństwa obywatelskiego.

Stąd też moje pytanie: co robi jeszcze Jacek Kuroń w Unii Demokratycznej?

5.

Najpewniej, jak wielu ludzi w tej partii, nie ma dokąd pójść. Ale w przypadku Jacka Kuronia ten fenomen niemożności odejścia jest szczególnie paradoksalny, gdyż proponuje on przecież zainicjowanie ruchu, który jest niezgodny z samą istotą tej formacji. Dowodzą tego nie tylko jej perypetie ze spadkiem po dawnej Solidarności, np. radami pracowniczymi i programem Republiki Samorządnej z września 1981, ale również całkiem aktualne poczynania, jak zwłaszcza tzw. reforma samorządowa — główny tytuł do chwały rządu Suchockiej — będąca w istocie tylko próbą oparcia administracji terenowej na kaście lokalnych notabli z poziomu powiatowego. Tymczasem, gdyby rzeczywiście chodziło o samorządność, aktualne struktury gminne należałoby rozbudować w dół, nie w górę. Nie jest to wynik złej woli. Unia Demokratyczna jest w tym sensie formacją parlamentarno-elitarną, że im bardziej złożone są problemy a consensus wydaje się trudniej osiągalny, tym na wyższe i bardziej elitarne forum chce je przenosić.

Z Unii Demokratycznej nie bardzo można pójść na prawo. Ostatni, który tego dokonał, Aleksander Hall ze swoją garstką konserwatystów, osiadł na mieliźnie. Niedawny zjazd tej partyjki został jej zafundowany w hotelu Marriott w Warszawie — salę wynajęto za 22 mln złotych — przez niezidentyfikowanego sponsora dobroczyńcę z Business Center Club. Dużo ostatnio słychać o tym *lobby*, które m.in. przygotowuje „kodeks etyczny businessmana”, gdzie główną karą byłby... bojkot towarzyński. Bozewicz się kłania. KLD zresztą również liczy na wsparcie z tego źródła i gotów jest (w zamian?) uznać prezesa BCC Goliszewskiego za „mędrca-rozjemcę” w rozmowach zjednoczeniowych z UD. Im zresztą dalej na prawo, tym żałośniej. Tak więc prawica Unii Demo-

kratycznej rzeczywiście nie miałyby dokąd wystąpić.

A lewica?

Tutaj sprawy są bardziej złożone. Ze względów historycznych nie wchodzi w grę SLD, socjologicznych zaś — PSL (choć tu już są wyjątki). Pozostaje w praktyce Unia Pracy, którą w Unii Demokratycznej coraz częściej określa się jako socjalistyczną, co ma być złośliwością ale całkiem serio (Marcin Król pisze elegancko o „lewicy socjaldemokratycznej”, a Jacek Kuroń o formacji „na lewo od SLD”). Ten domniemany socjalistyczny charakter Unii Pracy jest główną barierą oddzielającą od niej unionistów z UD — Labudę, Frasyniuka i Kuratowską równie skutecznie jak Rokitę i Suchocką. Wprawdzie w wyborach 19 września sporo dawnych wyborców UD przeniosło swe głosy na Unię Pracy, ale dla członków Unii Demokratycznej jest to tylko dodatkowy powód do urazy.

Unia Pracy nie jest jednak socjalistyczna. Unia Pracy nie bardzo zresztą wie, jaka jest, w sensie ideowym. Wie natomiast, jaka nie jest. Jeszcze nie wie, co przyjmuje za swoje, ale już rozumie, czego w żadnym razie akceptować nie może. Nie może przyjąć tego, co Jacek Kuroń zawarł niegdyś w historycznym zdaniu, że on teraz buduje kapitalizm, nie może więc być socjaldemokratą, na to dopiero przyjdzie czas po ukończeniu konstrukcji. Unia Pracy jest natomiast zdania, że wynik będzie taki, jaki ruch. Innymi słowy, Unia Pracy odrzuca pewną historiozofię wywiedzioną z heglowskiej dialektyki, w imię której w ubiegłym stuleciu taki np. Fryderyk Engels popierał gorąco brytyjskie podboje w Indiach jako przyspieszające nadejście światowego rynku a zatem również, w następnym ruchu, światowej rewolucji... Wedle opinii, które w Unii Pracy są bardzo rozpowszechnione, „gospodarka rynkowa” jest określeniem zbyt mało szczegółowym i precyzyjnym, by można było odpowiedzialnie obiecywać wyborcom, że w niej właśnie znajdą „sprawiedliwość i dobrobyt”. Ponadto, choć już nie tak powszechne, żywe są w Unii Pracy wątpliwości, czy rzeczywiście leseferyzm doprowadzi nas u schyłku XX stulecia na dobre miejsce na światowym rynku, i czy w ogóle można dziś powtarzać skutecznie i z sukcesem znane z historii drogi do takiego rynku. Wiadomo, by wspomnieć tylko ostatnie przykłady, przez jaką mękę i ucisk przeszły i nadal przechodzą społeczeństwa azjatyckich tygrysów — i jak nawet w tak sławionej Hiszpanii, w tyle lat po otwarciu na świat i wejściu do EWG, bezrobocie nie spada poniżej 22 procent...

Unia Pracy na pewno nie jest socjalistyczna, ale na pewno nie zna też bardzo wielu odpowiedzi na bardzo wiele istotnych pytań, które dotyczą kształtu Polski, tego pożądanego i tego możliwego za 5, 10 czy 20 lat. W tym sensie Unia Pracy jest rzeczywiście na antypodach wobec formacji, która od czasu wicepremiera Balcerowicza wie wszystko.

I to jest chyba główna przyczyna, dla której ludzie z Unii Demokratycznej nie mają dokąd pójść. Musieliby wyrzec się wielu z mądrości, które posiadli.

Tymczasem idą do ślubu.

Wróżę mezalians.

Warszawa, 12 grudnia 1993

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Nowy rząd kiedy już dobrze osadził się na miejscu jeszcze ciepłym, po swych poprzednikach, zaczął szybko ujawniać różne ułomności, a w kilku przypadkach nawet coś popsuł. Zaś Premier Waldemar Pawlak przysparza coraz więcej kłopotów swojej ekipie. Podobno otaczający go doradcy modlą się by możliwie mało mówił, bo jak wiele mówi, to zawsze są problemy. Nie udało się jednak wyperswadować Premierowi pomysłu mianowania na stanowisko rzecznika rządu Ewy Wachowicz, czyli Miss Polski. I proszę jak to się dziwne plecie, za komunistów rzecznikiem rządu był najbrzydszy mężczyzna, a postkomuniści mają najpiękniejszą kobietę. Jej widoczne zalety to 90-60-90. Takiego rzecznika można podważyć rozumowo, ale zmysłowo nie da rady. Czy ładny rzecznik dobrze zrobi rządowi wątpię, bo oburzone są wszystkie kobiety, które wyglądają nieco gorzej. Natomiast prestiżową katastrofą było polowanie na bażanty, na które premier wybrał się z wielkim adiutantem Prezydenta, czyli z Mieczysławem Wachowskim. Premier poleciał samolotem do Wrocławia w wielkiej tajemnicy, a ku motelowi „Rondo” sunęła potem kawalkada sześciu ciemnych mercedesów. Przeciek po co i gdzie jedzie Premier, wybrany głosami chłopów, musiał wyjść z kół najlepiej poinformowanych, a dziennikarze

byli gotowi na miejscu. Tego dnia wieczorem Premier odmówił udziału w koncercie w ramach charytatywnej akcji pomocy chorym dzieciom, a tłumaczył się „ważnymi obowiązkami państwowymi”. Gdy w kilka tygodni później Premier odwiedzał Śląsk, zaproponowano mu polowanie na zuba.

To stanowi jeszcze jeden dowód, jak niemal wszystko jest w Polsce podszyte pańskością. Czy polscy chłopci zgięci wół od pług, wybaczą swojemu premierowi te polowania?

Exposé Premiera, nie był to głos chłopca, przepraszam... nastąpił chyba czas by o naszych chłopach zacząć mówić farmerzy. Na razie to ciężko przechodzi przez gardło, ale przecież jeszcze trudniej powiedzieć amerykańscy chłopci, czy chłopci szwedzcy. Nasi chłopci nie są jeszcze farmerami, ale trochę głupio ich tak schłopiać. Sami o sobie wolą mówić — rolnicy.

W tym *exposé* sporo miejsca poświęcono kulturze, o wiele więcej niż armii. Że zaniedbano, a oni będą dbać. „Do spraw kultury rząd odnosić się będzie z największą wrażliwością”. Poczulem łzy wzruszenia w oczach, może więc da się jakoś z kultury wyżyć? „Polacy chcą by władza traktowała ich po partnersku, by mówiła im prawdę” — oświadczył dalej Premier, z czego wynika, że dotychczas tak ich nie traktowała, prawdy nie mówiła. Były też słowa o pragmatyzmie i twardym chodzeniu po ziemi, czyli poprzednicy żyli w nierzeczywistości. Premier przeleciał się po wszystkim, co ważne: zdrowie, ekologia, bezpieczeństwo obywatela, a więc nie ma dziedzin, która by nie została zawałona i zabagniona przez poprzedników. Zaś „stan budżetu jest dramatyczny, bo polityka gospodarcza poprzednich kilku rządów ułożyła się w sekwencję dezorganizującą stan finansów publicznych...”. Czyli wielki upadek i taki upadek przejmuje nowy rząd. Ale rząd wiejsko-socjalistyczny bierze ten straszny upadek w swoje mocne ramiona i zamierza sobie poradzić. Daj Bóg, gospodarzu.

Czołowy polityk SLD Aleksander Kwaśniewski, oficjalnie chociaż trochę późno przeprosza naród za komunizm. Bujak przeproszał za „Solidarność”, a Kwaśniewski przeprosza za komunizm. Ten rachunek jednak się nie zgadza. I żenuje ich hasło wyborcze, które mówiło, że „serce jest po lewej stronie”, bo pamiętamy, że jeszcze niedawno mieli serce w tej części ciała na której się siada. Ale coś w tym jednak jest, że serce bywa po lewej stronie, pod warunkiem, że jego właściciel nie ma monopolu na swoją prawdę.

Bardzo powszechne niestety przekonanie, że wraca PRL. Ktoś owo zjawisko nazwał PRL bis. Ale nie jest to powrót rzeczywisty bo PRL nadal jest wczepiona korzeniami w naszą rzeczywistość. Czasami te korzenie wychodzą na wierzch, jak na zamrożonej ścieżce stare nawyki, układy i niemożności. I jest poczucie, że wielka Zmiana zmalala i zastygła. Nawet autobusy jakby gorzej jeżdżą, telefony znowu cierpią na wszelkie możliwe choroby układu słuchowego, a urzędy osadziły się głębiej na swoim tłustym zadzie. Może to wina zimy nadzwyczaj mroźnej, która kasa nasze policzki nadwątłone przez czas przemian. Był taki moment, gdy wydawało się, że Polska ruszyła z miejsca, jak rusza pociąg tak zardzewiały, że nikt już nie spodziewał się, że koła zdołają oderwać się od szyn. I zaczęliśmy się jednak toczyć w kierunku wyższej cywilizacji. Obecnie nie jest to już pewne. Wtedy otworzył się margines, puste miejsce, które czekało, by wypełniła je wolność. Weszły tam lekkim krokiem towary z całego świata, sklepy nabrały rumieńców. Gdy ten margines się wypełnił stanęła przed nami ściana. Jedni pod nią stoją i narzekają, inni dźbią palcem, lub biją głową, a czasami ktoś się nawet wspina. W zimie ta ściana wydaje się szczególnie stroma i trudna do przebycia.

Organizacja prawie każdej większej imprezy ujawnia u nas niebywałe zasoby ignorancji. Rzadko jednak nie dochodzi do finału, który każe zapomnieć o poprzednich katastrofach. Byłem niedawno świadkiem takiego wydarzenia. Obawiam się, że scenariusz był raczej typowy, chociaż młody wiek i wstępna energia organizatorów dodała wszystkiemu wiele pieprzu. W pewnym mieście najpierw założono fundację, potem był bardzo dobry pomysł, i nawet jakimś cudem zdobyto spore pieniądze. Przyjechali ludzie z całego świata. Kto by się spodziewał ich aż tylu. Lecz gdy festiwal się rozpoczął organizatorzy właśnie dobiegli kresu swych sił. Teraz twierdzą, że miasto było przeciw nim, cała sieć zastających układów i zawiści. Jakże licznie i hojnie zaproszeni goście ze zdumieniem odkryli że mają do dyspozycji bez żadnych ograniczeń taksówki marki mercedes wzywane na telefon — byli już na wielu imprezach, ale czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Jednocześnie musieli zauważyć, że w toalecie nie ma w co wytrzeć rąk. Czyli luksusy i braki zupełnie nagie jak na antycznej Olimpiadzie ściagały się ze sobą. Szczeliny, przez które z łopotem wyfrunęły pieniądze otwierano z dobrej woli, ale jakże nierozsądnie. Kiedy pytano potem organizato-

rów czemu nie poradzili się kogoś z pewnym doświadczeniem, mówili, że gdyby się radzili, to by utracili niezależność a oni są przecież dziećmi wolności. Pruło się więc nadal wszystko wzdłuż i wszerz, aż któregoś dnia organizatorzy poczęli sprzedawać swoje prywatne dobra, by ratować całość, czyli zastaw się a postaw się. Trochę nieswojo, gdy się jedzie taksówką w poczuciu, że ta podróż jest za mebel z czyjegoś mieszkania. Kiedy finał jednak zatknął flagę na szczycie, organizatorzy oświadczyli, że właśnie umierają. Jako, że od tego na ogół się nie umiera, pewnie w przyszłym roku będzie następny festiwal, jeśli wygrzebią się z długów? Czy wiele nauczyli się na błędach? — pewnie coś, ale czy wystarczająco raczej wątpię.

Pytanie, czy to jest wydarzenie wyjątkowe, czy jedynie skala imprezy ujawniła normalny dzisiaj stan chaosu i niekompetencji. Jest sporo przesłanek, by obawiać się, że ma miejsce to drugie.

Dzisiejsza wolność obnażyła fakt, że Polacy przez wieki braku wolności hodowali w sobie pojęcie demokracji, które na tak dziwnym podłożu zrodziło przedziwny twór. Rozmawiając z dziesiątkami ludzi, od szatniarek, taksówkarzy, do ulicznych przechodniów, odkryłem ze zdumieniem, że dla przeciętnego Polaka demokracja to przede wszystkim stan gdy wszyscy są bogaci i szczęśliwi, kiedy istnieje pełne poczucie bezpieczeństwa, a władzę piastują nasi ludzie, których myślenie o wszystkich sprawach tego świata jest do naszego bliźniacze. Każde odejście od tej reguły powoduje, że Polak bez wahania oświadczy — demokracji nie ma. Gdy upierałem się, że u nas jednak jest demokracja, może kulawa lub z wysoką gorączką, ale jest, ludzie wyśmiewali mnie mówiąc: „tak, demokracja, ale dla cwaniaków”, lub „dla bogatych”, albo „aferowa demokracja”, albo „panie, to to jest demokracja! To ja taką demokrację chromolę!”

Odrzebałem gdzieś badania OBOPu sprzed trzech lat, które częściowo to potwierdzają. Aż 56% pytanych stwierdziło, że „demokracja to przede wszystkim rządzenie państwem zgodnie z wolą większości, a tylko 37%, że jest to „rządzenie państwem w taki sposób, by przestrzegano prawa jednostek”.

Odchodzący Prezes Telewizji udaje, że nic go nie obchodzi co stracił, ale tżę ma w oku tak wielką, że patrzę przez nią na jego nadobne oblicze, jak przez szkło powiększa-

jące. A wtedy widać nabrzmienia i gruzły typowe dla choroby władzy.

W przypadku telewizji to szczególna choroba, bo i władza dotyczy tego nad czym zwykle nie panowali najwięksi tyrani dawnych czasów — zbiorowej wyobraźni, snów śniomych na jawie, i niemal całego wolnego czasu składanego na ołtarzu ekranu. Wszyscy, którzy tam byli, na tej szklanej górze, są zarażeni i gotowi wrócić w każdej chwili, jak marynarze wabieni w mroczny ocean mitycznym śpiewem syren.

Gdy myślę o odchodzącym Prezesie, to nie jestem w stanie sprawdzić nawet kropli z morza złego, które się uzbierało przeciw niemu w powszechnym gadaniu tak elity jak i mas, bo są też liczni co Prezesa bronią. Gdzie tu jest prawda, może jej wcale nie ma w tym szczególnym miejscu? A sam Prezes mówi, że właściwie nic go tam nie zaskoczyło, bo wiedział, że o telewizję jak o mięsistą kość będą walczyć wszyscy posiadacze stałego uzębienia. Zdziwiło go tylko, że zdecydowanie najczęściej dzwoniли nie ministrowie, jak się sądzi, ale posłowie, a brzmiało to zwykle tak. „W imieniu moich wyborców z ziemi... stanowczo protestuję!”. Czyli PRL znowu się kłania.

Toruń i jaka w nim zima. Jakie piękne stare miasto. To miasto upokorzyło mnie, bo jak mogłem go nie znać? Trzy wspaniałe gotyckie kościoły, ratusz gdzie gotyk pogodził się z renesansem. Kościół Najświętszej Marii Panny swoją ścianą niemal dotyka murów śledczego więzienia. Jego wysoka okratowana wieża kojarzy mi się z londyńską Tower. To tam trzymano zabójców księdza Popiełuszki. Wokół więzienia a pod kościołem stoi tłum i prowadzi rozmowy z więźniami. Matki z dziećmi, poczciwe staruszki o lasce, element kryminalny, wszyscy dyskutują z wieżą, skąd jedynie dochodzą głosy. Tak oto trwa publiczna debata między wieżą i miastem nad stanem zdrowia, nie wyłączając chorób kobiecych, nad stanem ducha i stanem rodzinnych finansów. A kościelne organy i chóralne śpiewy idą przez szczeliny kościoła do nieba, gdy obok po sąsiedzku fruną rozmowy między ziemskim czyścicem a ulicą. W kościele, w nawie przy ołtarzu, leży w gęstym mroku bielutka Anna Waza, jakże podobna do swojej matki Katarzyny Jagiellonki, królowej Szwecji, z którą tyle razy rozmawiałem we wspaniałej uppsalskiej gotyckiej katedrze. Jagiellonka leży w tej szwedzkiej katedrze, w gęsto fałdowanej kamiennej spódnicy, też zupełnie biała, a jej

wzruszająco małe stopy ledwie wystają. Naprzeciw mąż Jan, król Szwecji, jakby przysypiał w przedziale pociągu wsparty na łokciu. W górze ówczesnie malowany bardzo wielkomięski Kraków, i równie małomiasteczkowy Sztokholm, tak było, a teraz co się porobiło, co się porobiło! Toruń i Uppsala, a przepaść między nimi nie tylko w przestrzeni, lecz też w cywilizacji. Czy ją teraz zasypujemy, czy się w nią zsuwamy?

Te trzy gotyckie kościoły, są potężne z bujnym w środku barokiem. W jednym z mrocznych zakątków świątyni widzę płomień światła. To konserwator trzymając w ręce elektryczną lampę oddziela biały tynk od niebywałych średniowiecznych malowideł, na jednej ze ścian widać zarys łodzi i dziwne czlekoopodobne stwory, jak na obrazach Boscha. Na skarpach wewnętrznych idą w magicznym korowodzie już dawno odsłonięte malowidła z 13 i 14 wieku. Ten polski gotyk jest gęsty w swoim wewnętrznym mroku i cały w bliznach po kolejnych wojnach, dlatego jego mrok jest jak zakrzepła krew. Gdy katedra w Uppsali została starannie wypłukana z krwi, i nie ma już blizn. A przecież przed wiekami, brat Jana starszy syn Wazy, szalony Eryk, mordował na jej progu, z rozmachem godnym króla wariata. Lecz wieki wewnętrznego spokoju przy umiejętności eksportowania niepokoju na zewnątrz, zagoiły wszystkie ślady. To widać w ścianach skandynawskich domów a przede wszystkim w twarzach ludzi, poszarpanych u nas, a tam gładkich.

Te polskie kościoły są żywe. W niedzielę wypełniają się po brzegi wiernymi, tyle młodzieży. Ale i w zwykły dzień wielu ludzi rozmawia z Bogiem, gdy na północy Europy świątynie są niemal wymyte z modlitwy. Gniewając się na słabości polskiego kleru zapominamy o wielkiej roli kodeksów moralnych tkwiących w religii, w czasach, gdy podpiłowano u nas właściwie już wszystkie korzenie.

Gdy moja rodzina została poddana drobnemu jak na te czasy szantażowi kryminalnemu, byłem zmuszony zwiedzić policyjne komisariaty. Pierwsze pytanie w kontakcie z policją — czy mówili z akcentem rosyjskim? Najbardziej wzruszyła mnie komenda na Malczewskiego, bo znam ją od dołu, a teraz wizytowałem ją od góry. Policjanci porozpinani, byle jacy, ale życzliwi, szczególnie jeśli nie zawraca im się za bardzo głowy. I jednak po mojej stronie. To zdumiewające jak się te strony pomieszały. Kiedyś byliśmy, my i Oni, oraz ich milicyjna potęga. Teraz jestem „ja”, a naprzeciw jakiś wielo-

głów kryminalny, który wylega się w mrokach naszej społecznej tkanki, i jest niby ze mną policja, delikatna, biedna, bezradna. Aż człowiek ma czasami ochotę ich wziąć i przewinąć. A tłem są komendy i komisariaty, w stanie pożał się Boże, jak ochlapana błotem stodoła. Nic dziwnego, że wszystkie wolne miejsca na ścianach są obwieszane kobietami z nagich kalendarzy. Te policyjne salony bardziej przypominają burdel dla najuboższych, niż miejsce gdzie człek ma otrzymać pomoc. Protokoły są pisane ręcznie, bo nikt ich nie wyposażył w komputery, na komisariacie, gdzie mnie odesłano, nie ma nawet czynnych maszyn do pisania. Coś czasami podobno kapnie od jakiegoś sponsora, ale już nie raz okazało się, że fundują policji to i owo firmy wyrosłe na kryminalnym procederze, dlatego, bo mają taki gest.

Oficer młody i rzeczowy, ale rozgoryczony w stosunku do życia, pisze protokół długopisem. Komisariat dysponuje samochodem pościgowym marki „Nysa”, a kiedy prosili o środki łączności dostali... tu otwiera szufladę i wyjmuje gwizdek, plastikowy, w kolorze niebieskim. I jest instrukcja w sprawie gwizdania w sytuacji alarmowej. „U nas bardzo opłaca się być przestępcą” — mówi — „wykrywalność nawet nie jest taka tragiczna, ale prawie wszystkich się potem puszcza, takie są luki w prawie, a i miejsc więziennych przecież nie ma”. Skarży się. „Ja nieustannie spotykam bandziorów, których dopiero co złapałem, kłaniają mi się w pas na ulicy z uśmiechem”. Narzeka, że właściwie broni użyć nie mogą, zresztą mało kto w policji potrafi celnie strzelać.

Mój syn oświadczył, że jego to wszystko nie rusza. — Czemu — pytam, trochę zdziwiony, bo kiedyś narzekał, że nie jest przyjemnie chodzić po ulicach z poczuciem, że w każdej chwili można dostać w zęby. — Ja już się przyzwyczaiłem, że się boję — wyjaśnia.

Spotykam poetę S. Skarży się, że chociaż jest biedny jak mysz kościelna, to miał wczoraj drugie włamanie. Do sąsiada X., u którego byłem niedawno, przybyli bandyci klasy zerowej, a ich coraz więcej. Gosposi dali w głowę, młodego sublokatora zmaltretowali, a właściciela skrupowali i poprosili grzecznie o „słoneczko” do ocieplania mieszkania. Jako że takowego nie posiadał, użyli gorącego żelazka, które przytękali mu do stóp prosząc by sam wskazał, które obrazy są cenne. Maltretowany ma 86 lat.

Ta niebywała brutalność, jeszcze wczoraj była w Polsce wielkim wyjątkiem, teraz staje się regułą, tworząc obowiązującą obyczajowość w świecie przestępczym. Jeśli Warszawa

ma mieć wszystkie upiorne wady Nowego Jorku, to niech ma przynajmniej kilka jego zalet!

Jedyny wniosek jaki osobiście nabyłem po kontaktach z naszą policją, i z naszą rzeczywistością — jesteśmy już oto po tej samej stronie, ale ja, niestety, znowu teraz jestem po stronie słabszej. Następny wniosek — trzeba będzie nabyć narzędzia, którymi dysponują moi potencjalni przeciwnicy, czyli broń krótką. Mój znajomy przekonuje mnie jednak, że pewniejszy jest automat, a i granaty się przydadzą, nie do użycia w mieszkaniu, ale bardzo skuteczne na klatce schodowej. Ceny na naszych bazarach są podobno ludzkie. Ja jednak nadal jestem przywiązany do idei broni krótkiej.

W miejscu gdzie było owe słynne Studium Wojskowe przy ulicy Podchorążych, dzisiaj rośnie trawa, bardziej zielona niż gdzie indziej, bo trawa na grotesce bujniej rośnie. Czasami boli, że nikt nie opisał tej studenckiej kuźni podoficerów, ale to nieprawda, bo całą robotę odważył już Haszek. Pamiętam podwarszawską strzelnicę i świeży zapach prochu po strzelaniu z pistoletu do tarczy. Stanowiliśmy szarozieloną gromadę, która wydzielala przejmująco ostry zapach zgrzybiałych baraków Studium. Ten zapach przemieszczał się w ślad za majorem Kucejko, który szedł czołem a poprzedzało go własne kaweczenie. Miał on niezwykle dar wiązania przekleństw z elementem uproszczonej myśli filozoficznej. I tak od tarczy do tarczy major Kucejko spiętrzał gorycz i pogardę wobec inteligenta, który nie trafi nawet w słońca zajętego sranem. Podobnie wzgardliwie chciał minąć moją tarczę, zatrzymał się jednak, odwrócił głowę, spojrzął jeszcze raz. Wzrok go nie mylił. Popatrzył w moją szarozieloną stronę i zamilkł. Stoczyłem krótką walkę wewnętrzną, by nie poczuć dumy z dziur, które tak trafnie zrobiłem w tarczy, ale tę walkę sromotnie przegrałem. Major Kucejko doszedł do siebie i wygłosił do zgromadzonych szarozielonych postaci wykład, jak to niemożliwe jest możliwe a mówiąc, patrzył w oczy podchorążych jak buldog spogląda w oczy spaniela. Na koniec zaklął szpetnie, jeszcze raz splunął i zamknął wykład tradycyjnym westchnieniem, które jak zwykle sięgało głębi jego duszy „tak, wy kulturtregery”.

Skąd moje celne strzelanie? Z powodów teraz dla mnie niejasnych byłem kiedyś przez kilka chwil w klubie sportowym, gdzie ćwiczyłem strzelanie z pistoletu. Dzisiaj czas wrócić do dziwnych rzeczy, które się robiło w głupiej młodości, takie czasy.

Wałęsa coś knuje, szepce mi znajomy urzędnik. Odwołał — mówi — Onyszkiewiczza z funkcji Ministra Obrony Narodowej a nie musiał i na jego miejsce mianował staronomenklaturowego admirała Kołodziejczyka. Nie inaczej stało się z Urzędem Ochrony Państwa. Widoczna też była niechęć Prezydenta, by nie powrócił Kukliński, czyli nie chce się narażać kadrze oficerskiej. Z tego wnioskuje mój znajomy, że Sulejówkę coraz bliżej, a i zamach majowy w powietrzu, bo szanse Prezydenta na ponowny wybór jednak maleją. Ostatnio Prezydentowi wyrządza wielką krzywdę własna rodzina. Kolejny syn Wałęsów, Przemysław, w stanie kompletnego zamroczenia alkoholowego, powoduje groźny wypadek samochodowy, a prasa — jednak wolna — opisuje całe zdarzenie. Młody Wałęsa awanturował się na policji, jak syn jakiegoś dyktatora, uderzył kilku funkcjonariuszy, a pani prokurator zaproponował coś takiego, że nie powtórzę. A „to coś” wywaliła na pierwszych stronach wielkimi tytułami prasa brukowa, bo mamy już taką, jak przyjemnie. Prezydent mówi, że to jego osobista tragedia, lecz osobiste tragedie Prezydenta są również publiczne. A rozpad norm moralnych w licznej rodzinie Wałęsów, to zjawisko anomii, typowe dla grup społecznych w czasie nagłej zmiany sposobu życia. Ten problem dotyczy całego społeczeństwa.

Kolejni prezesi Telewizji wymieniają się funkcjami w stanie silnego wzburzenia wewnętrznego i wzajemnej niechęci. Nowi gospodarze różnych państwowych instytucji tropią ślady swoich poprzedników i nie zadrzy im powieka by wyróżnić wszystkich fachowców, tylko dlatego, że pracowali z poprzednikiem. Nowy rząd węszy wokół dziennika *Rzeczpospolita*. Jego obszerny wilgotny nos szuka miejsca gdzie można by temu pismu przegryźć tętnicę, bo jak na pismo rządowe jest zbyt niezależne. Prezydent pozbędzie się każdego kto zbyt mocno odbija jego własne światło, kto jest za wysoki, lub za niski, za mało lub za wiele mówi. Generalnie pozbędzie się zawsze każdego po jakimś czasie, bo czuje się bezpiecznie tylko z tymi co nie zapuścili korzenia. Wyjątkiem jest minister Wachowski, on jak dąb, korona już spora, ale ile korzeni pod spodem tego nikt nie wie.

Tyle władza. A na dole, jedni obywatele próbują przeżyć, inni dorobić się, to są dwa skrajne i drapieżne stany. Zarówno tonący jak i polujący myślą przede wszystkim o sobie. Tak oto po czterech latach wolności, można powiedzieć, że w Polsce jest już prawie wszystko, od nowych kościo-

łów po domy publiczne, od bezrobocia po pałace milionerów, a nie ma nigdzie poczucia dobra wspólnego.

Wedle socjologów nasze społeczeństwo za socjalizmu posiadało górę i dół a nie miało środka. Zdumiewające, bo to w dużej mierze przetrwało do dziś. Dół, to siatka nieformalnych powiązań, głównie rodzinnych, bardzo rozbudowanych, a ramionami ogarniających też grupy gromadzące się wokół jednej butelki. Nadal zdumiewająco silna jest identyfikacja z miejscem, czy to jest praca, czy wódczany bar.

Na górze są narodowe symbole, orły, które teraz fruną trochę niezręcznie bo jednym skrzydłem przytrzymują korony na łbach. Jest hymn narodowy, którego jednak nie umiemy nigdy zaśpiewać zgodnie. Jest tradycja, w strasznym bałaganie, ale ta tradycja nie jest straszna, wprost przeciwnie.

A co w środku? No właśnie, podobno źle jest ze środkiem. Do wczoraj było tam zimne obce państwo, zapyziałe urzędy, wroga policja i armia, która po 45 roku miała jedną wielką grudniową wojnę, ze swoim własnym społeczeństwem. W środku więc było zimno i nieswojo. Swojsko było na dole, a krzepiąco na górze. Dzisiaj w miejscu po lodowcu jest wielkie kamienisko. Na tym gruncie klasa średnia miała budować swoje siedziby. Tak pragnęliśmy tej średniej klasy, że nawet uczciwi obywatele pogodzili się, że ona zrodzi się w szczelinach naszego prawa. I rodzi się, ale kto się spodziewał, że będzie taka drapieżna, że na jej widok nieraz przyjdzie tłumić wymiotne odruchy. Miała tam też wejść cywilizacja Zachodu, wstrzyknięta wielką igłą sięgającą od Berlina do Warszawy. Ale igła jest za krótka, a nasze kamienie mają zbyt grubą skórę. Ten środek jest też dzisiaj niemal zupełnie zatopiony w kurzu. Bo trwa wielka przeprowadzka. Dzieje się to w pośpiechu a nawet w panice jakby trwał jakiś *exodus*. Prawie nikt nie wie gdzie się przeprowadza i po co, ale wiadomo, że nie da się już tak żyć jak kiedyś. Przy okazji stratowano naszą słynną polską gościnność, bezinteresowność, różne formy solidarności.

„Nie wiem o co właściwie chodzi temu społeczeństwu?” Dziwi się mój znajomy, wysoki urzędnik państwowy. Potem dywaguje jak to ludzi uraziła pańskość i elitaryzm Unii Demokratycznej oraz innych ugrupowań, ale — zauważa — „na biegunie jest Wałęsa, i jego ludowy korzeń, a ta ludowość przecież ludzi jeszcze bardziej denerwuje”.

Rozmawiam z Panią Zosią, po 35 latach pracy w służbie zdrowia jest na emeryturze, po odjęciu podatku zarabia 1 mln

700 tysięcy złotych. Za mieszkanie płaci 1 mln 100. Te 600 tysięcy na życie to jest nic. Byle jakie zakupy artykułów spożywczych i wydaje się 100 tysięcy. Jej mąż pracuje w magazynie wojskowym i zarabia 1 mln 500 tys. Takie dochody mają miliony ludzi. Bardzo wielu z nich głosowało na postkomunistów, a ci obiecali wiele, lecz gdy zajrzeli do budżetu okazało się, że nie ma. I teraz są już pierwsze podwyżki, więc rośnie nienawiść do tych co zawiedli, na których głosowano nie z przekonania, a z rozpacz.

Próbuje się tłumaczyć zachowanie naszego społeczeństwa na wielce wyrafinowane sposoby, gdy rzecz jest dosyć prosta. Bieda zagląda w oczy i coraz mniej jest nadziei. I właśnie o to chodzi temu społeczeństwu. Ono nie wie jak żyć? Kiedy bolą zęby to nawet słodka wolność jest gorzka. A żyć dla przyszłych pokoleń nikt już nie potrafi.

Polska jest dzisiaj bardzo dobrze widziana z zewnątrz, zachodnie *mass media* szumią, „najwyższy przyrost ekonomiczny w Europie, Polska najlepiej sobie radzi na wschodzie, polskie ulice, polskie sklepy maszerują w stronę cywilizacji”. Potwierdzają to przynajmniej częściowo dane statystyczne. I kolorowe magazyny, których u nas coraz więcej. Ciekawe, że ten obraz zupełnie nie przystaje do własnego siebie oglądu Polaków. Złość i brak nadziei zajmuje nadspodziewanie duże obszary. Gdzie jest więc prawda? Mieszkałem kilka dni w hotelu w niewielkim mieście, ten hotel był przyzwoity, bywało świetne jedzenie, kelnerzy zachowywali się czasami perfekcyjnie, czasami czynili głupstwa. Budzono mnie punktualnie kiedy trzeba, bo obsługa krzyczała na schodach jak woła się na polu. Kiedyś wszystkich gości zerwano o świcie, bo zmieniano instalację telefoniczną. Był to akt przeprowadzany skandalicznie brutalnie, ale, ale... przecież zakładano nowoczesną automatyczną centralę. I tak to jest chyba ze wszystkim, gibamy się gdzieś pomiędzy amatorstwem i profesjonalizmem.

Bo Polska jest bardzo stara, z niekompletnymi bolącymi zębami, pocięta licznymi bliznami, ale jest też młoda, pełna smukłych przystojnych chłopców, i dziewcząt, których uroda jest produktem najwyższej światowej jakości.

Polska dzisiaj jest jak wielkie wahadło, w połowie złote w połowie z rdzą, które z wielkim trudem się waha, między Azją a Europą, socjalizmem a kapitalizmem, powagą i śmiesznością, między wielką klęską a równie wielkim sukcesem.

Kartki ze skażonej strefy

Czepianie się fartucha

Na kozetce wciśniętej gdzieś w kąt szpitala, umiera młoda kobieta. Puls i ciśnienie gasną. Jest zimno, więc mąż bezradnie poprawia zsuwający się z niej kożuch i rozpaczliwie czepia się fartuchów przechodzących korytarzem lekarzy błagając, żeby przyjęto ją na oddział.

Taki obraz opisany w reportażu sprzed blisko dwudziestu lat utkwiał mi w pamięci — zapamiętałam też, że mną wstrząsnął. Wyznam: nie tyle dramatem sytuacji, co faktem, że mógł się wówczas ukazać drukiem. „Oskarżam służbę zdrowia w osobach lekarzy (tu nazwiska) o spowodowanie śmierci przez nieudzielenie pomocy żonie mojej” — reportaż rozpoczynał się słowami pozwu do sądu.

Mąż poszkodowanej sprawę wygrał. Na lekarzy zapadł wyrok, który w rezultacie opóźnił ich kariery. Proces był zupełnym ewenementem. Oto prywatny człowiek wygrywa z państwem. Bo wtedy, w latach siedemdziesiątych, nikt z państwem nie wygrywał.

Sprawa odżyła jesienią '93 z chwilą mianowania ministrem zdrowia, Jacka Żochowskiego. Podniósł ją reporter *Gazety Wyborczej* opisując zdarzenie i przypominając, że jednym z oskarżonych był obecny szef resortu, wówczas młody lekarz. W prasie zawrzało w obronie nowo mianowanego, tym bardziej, że w zgodnej opinii jest to wreszcie człowiek kompetentny. W listach i artykułach podkreślano, że wówczas Żochowski został w wyższej instancji niewinny a do procesu lekarzy dopuszczono w ramach pomarcowej rozgrywki z ówczesnym kierownikiem kliniki, prof. Askanssem (osobiście nie zamieszany w zdarzenie).

Nie neguję, że na pewno tak było, ale również na pewno pozwolono kobiecie umrzeć bez udzielenia odpowiedniej pomocy.

Nie wdając się w orzeczenie o winie, ośmielałam się postawić pytanie. Czemu o tym nie pisać, skoro w grę wchodzi osoba ministra zdrowia? Czemu on sam — w imię własnego dobra — nie miałby przedstawić własnej wersji wydarzenia? (Tym bardziej, że okoliczności były łagodzące). Zamiast tego ograniczył się do uniku, stwierdzając, że współ-

czuje wszystkim tracącym bliskich, uniku — powiedzmy nieco gruboskórnego (żyje rodzina) — a z pewnością niemądrego politycznie.

Co to jest takiego, co siedzi w naszych politykach, że jak tylko poczują wiatr w żaglach, arogancja zasnuwa im oczy mgłą? Czy nie wiedzą, że na dalszy dystans takie zachowanie nie popłaca? Że są to samobójcze strzały? Tak by w każdym razie wskazywała logika — ale może się mylę? Może wszyscy razem jesteśmy społeczeństwem „krótkiej mety”? Polityk nie stara się budować swojego obrazu na dłużej, bo myśli, że wyborca i tak nie zapamięta. Toteż przegrany nie odchodzi, a co gorsza, nie wyciąga wniosków z przegranej. Dalej jest taki sam.

Na całym świecie politycy są niestrudzenie „mili dla ludności”, i jeżeli perspektywicznie traktują swój fach, noszą się skromnie i nie ciągną zbytnio z państwowej kiesy. U nas odwrotnie: zaharapczyć co się da i w krzaki! A w następnej kadencji znów startować.

Stempelek

Polowanie — tak, to dosłowne — na zwierzynę jest od wieków atrybutem panujących, takim jak korona czy berło, jak u komunistów pierś wybita orderami. Komuna — wyrzucając tradycję na śmietnik historii — zostawiła sobie z niej zwyczaj polowania. Aparatczyk — gdy myśliwy — zyskiwał. Podciągano się więc do tej rangi, wzywając do pomocy zawodowców, byłych ziemian i arystokratów. Pamiętam, że gdy w pewnym tekście broniłam przed lokalną zwierzchnością nauczyciela z Bieszczad, wezwał mnie naczelny warszawskiej *Kultury*, Dominik Horodyński, i zwymyślał: „co pani wyprowadza, przecież to teren wojewody krośnieńskiego, a ja z nim poluję...”. Gdy kopano dziurę pod Jasną Górą, chcąc zmniejszyć przepływ narastających lawinowo w latach siedemdziesiątych pielgrzymek, I sekretarz Częstochowy, Grygiel, na zwołanej konferencji prasowej zręcznie przeszedł na temat polowań, zapraszając serdecznie panie i panów redaktorów na swoje tereny łowieckie...

Premier Pawlak też rozpoczął urzędowanie od polowania, na które wybrał się z pompą z min. Wachowskim, w tajemnicy, ale tak, żeby wszyscy wiedzieli, choć oganiano się od prasy jak od gawiedzi.

Drugim posunięciem premiera było szycie sobie na miarę

paradnego stroju górniczego z okazji Barbórki. Czy w testamencie zostawił życzenie, żeby być w nim pochowany — historia milczy.

W czasie swego pierwszego, trzydziestodniowego, premierowania Pawlak ujął ludzi postawą nieśmiałej uwagi wobec otoczenia, określił siebie: „jestem politykiem na dorobku...” Dziś traci punkt po punkcie — na własne życzenie — nie zdążywszy jeszcze podjąć niepopularnych decyzji. Po prostu, zachowaniem. W wystąpieniach publicznych przyjął postawę odgradzania się od otoczenia, patrzy w bok i unika kontaktu. Swój pogląd na media określił w pierwszym wywiadzie: krytyka tak, ale konstruktywna. Prasa powinna każdy negatywny obraz równoważyć pozytywnym, wtedy wizerunek rzeczywistości będzie prawdziwszy.

Zastanawiam się, jak ten młody człowiek zdążył pobierać lekcje od niegdysiejszego szefa propagandy KC, Łukaszewicza, który mówił kropka w kropkę to samo, wymuszając na mediach propagandę sukcesu w sytuacji, gdy wszystko się waliło? Ale widać, Pawlak zdążył. Doktryna naznacza ludzi swoim stemplem zza grobu.

Powtórka

Przyjście do władzy postkomunistów ma tę zaletę, że pozwala sprawdzić w sposób namacalny, ile z naszych podatków idzie na rozkurz. Za komuny mieliśmy doświadczenie tylko jednego ustroju, poza tym, posunięcia władz były utajnione, więc wszelkie matactwa siłą rzeczy musiały pozostawać w sferze naszych domysłów. Dziś, dzięki wolności słowa i naszym porównawczym obserwacjom, widzimy czarno na białym, jak wiele pożera biurokracja w państwie opiekuńczym. Ona pierwsza bierze, poczynając od wierzchołka po niższe szczeble, i dopiero to, co zostaje, skapuje tym, nad którymi roztoczono opiekę.

Nie chcę demonizować nowej ekipy. Zostało już wielokrotnie powiedziane przy obejmowaniu przez nich władzy, że w głębi serca są większymi kapitalistami od poprzedników, ponadto, niektórzy z nich to niewątpliwie ludzie światli i kompetentni. Niemniej, pierwsze posunięcia z dziedziny polityki socjalnej robią wrażenie zwykłej kalki z okresu komunizmu. Naturalnie, nie dotrzymali głównych obietnic, choćby ustawowej rewolucji emerytur, więc dla zaklepania biorą to, co tam łatwiejszego z brzozy zostało, bez przemyśleń i

korekty. A przecież mieli czas, szykując się do skoku!

Za Gierka ukuto powiedzenie „nowe wraca” na oznaczenie sprzedawania starych rozwiązań w nowym opakowaniu. Ówczesni władcy mieli wszak ambicje nowatorskie. Obecni, nawet się na to nie silą: po prostu: „stare wraca”.

Oto, przywołany już tutaj min. zdrowia deklaruje wszem wobec stare osiągnięcie świata pracy — zachowanie bezpłatnych sanatoriów. Szpitale giną, a on chce utrzymać sanatoria! Sanatoria, które są czystą fikcją i własną karykaturą. Prawda jest bowiem taka, że w sanatoriach budowanych niegdyś z pieniędzy, które zdrowiej byłoby przeznaczyć na fundusz płac, ale przecież ważny był pokaz — otóż w tych sanatoriach, dziś w ruinie, silnie trzyma się jedynie personel. Armia recepcjonistów, buchalterów, dietetyków, obliczających skrupulatnie gramaturę porcji mięsnych, itp. itd., a w rzeczywistości, darmowi pacjenci, gdy zwyczajnie braknie chleba i kartofli, potulnie dożywają się na mieście (przypadek mi znany).

Oto nowa pani minister budownictwa deklaruje dopłaty państwa do czynszów dla najuboższych. Już widzę tę piramidę urzędników zaopatrzonych w komputery, kwestionariusze, biura i komisje na szczeblach, całą tę machinę, która w końcu wyda wyrok komu dać, a komu nie dać. Nie ulega kwestii, że najbardziej potrzebującym trzeba pomóc, ale trzeba to robić inaczej, zaczynając od dołu, od środowiska znajdującego sytuację. Istnieją sprawdzone na świecie wzorce. Centralną pomoc już braliśmy.

Nie szkodzi, będziemy ją powtarzać.

Autodestrukcja

W roku 1991 Polska zaciągnęła kredyt z Banku Światowego w sumie ok. stu milionów dolarów (specjalnie piszę słownie) na projekt promocji zatrudnienia. Z tej pożyczki nie uzyskaliśmy nic — prócz spłacania długu z odsetkami. Wszystko poszło na gąże dla konsultantów zagranicznych. Oscylowały one między 500-700 mln zł miesięcznie (średnia krajowa wynosi *circa* 4,5 mln zł). Gwara warszawska przezywała tych speców Brygadą Marriotta. Snuli się po piętrach hotelu zastanawiając się, jak wydać pieniądze — ciężko jest przepuścić taką forszę.

Kontrolerka NIK-u pokazuje w telewizji wynik ich pracy: arkusik papieru z wykresami. Bynajmniej nie na miarę Einsteina. Przeciwnie, zawierający niechlujne błędy w liczeniu.

Kiedy nasi ministrowie wyczyniali łamańce, gimnastykując się, czy odjąć nauczycielom, żeby dodać pielęgniarcom, aż dziw bierze, że wzrok ich nie poszybował w tę stronę. Aż takie klapy na oczach?! Nie widzieli, że karmimy darmozjadów?

No dobrze — błąd, wpadka, pierwsze koty za płoty. Ale dlaczego to tak długo trwało?! Dlaczego nie ocknęliśmy się w porę? Były przecież precedensy, choćby skandale z pomocą Zachodu dla Trzeciego Świata.

Mamy ten dziwny zwyczaj, że masochistycznie czepiamy się tego, co dla nas mniej korzystne, gardząc rozwiązaniami, które są pod bokiem — jak w tym przypadku, sprawdzonymi fachowcami pochodzenia polskiego, którzy nieomal za darmo chcieliby pomóc.

Kompleks niższości? Amatorszczyzna? Nieudolność? Autodestrukcja?

Krótkowidztwo

Na spotkaniu przedwyborczym pewna emerytka spytała Jana Krzysztofa Bieleckiego, czy liberałowie w razie wygranej podniosą emerytom. Gdy zaprzeczył, powiedziała: „to nie będę na was głosować, choć was lubię”... Większość grzecznie zagłosowała „na obietnice”, jakby tknięta amnezją. Tymczasem, jasne jak słońce, że trzeba wybierać tych, co najmniej obiecują, bo najmniej kłamią.

Ale czy my to kiedykolwiek zapamiętamy? Jesteśmy społeczeństwem o chorobliwym krótkowidztwie. Niezmordowanie wierzymy obietnicom a obiecujący wierzą, że my wierzymy. I koło się zamyka.

Nasi politycy ani na jotę nie różnią się od reszty, a przecież z racji swego powołania powinni wybiegać myślą naprzód i zmieniać rzeczywistość nie tylko w sferze materii, ale i mentalności społecznej. Nic takiego się nie dzieje, toteż wszyscy razem kręcimy się wokół swego ogonu.

Przełom czy wołanie na puszczy

Donald Tusk, szef liberałów, powiedział, że polityk, który kłamie, nie ma szans na stanie się politykiem z prawdziwego zdarzenia; takim którego pamięć zostanie. Kłamca i lawirant ma żywot motyla, szybko ginie i trawa na nim porasta.

Jeżeli głos ten przyjąć za znak pokolenia, które wchodzi do polityki, można mieć nadzieję na przełamanie stereotypu. Ale może być to również głos wołającego na puszczy.

Mało u nas takich?

Grudzień 1993 r.

Ewa BERBERYUSZ

Po Kongresie Ekonomistów Polskich

W dniu 4 listopada 1993 r. miał miejsce w Warszawie przygotowywany od wielu miesięcy VI Kongres Ekonomistów Polskich. Przypadek sprawił, że data Kongresu zbiegła się — w wyniku wyborów parlamentarnych w Polsce (19 września) — z radykalną zmianą ekipy rządzącej i zapowiedziami dużych zmian w polityce gospodarczej. Społeczeństwo w wyborach objawiło wyraźnie swoje niezadowolenie z wyników gospodarczych minionych czterech lat. Jednak do tej negatywnej oceny nie należy przywiązywać nadmiernej wagi. Po pierwsze — niepowodzeniom gospodarczym towarzyszyły też pewne osiągnięcia: zanik kolejek do sklepów, duża poprawa w zaopatrzeniu rynku (zarówno pod względem asortymentu, jak i jakości towarów), rozwój usług itp. Po drugie — uzewnętrzniona w wyborach irytacja społeczeństwa nie wynikała zapewne tylko z powodu negatywnej oceny gospodarki, ale także szeregu innych niekorzystnych zjawisk, pojawiających się zbyt często w działalności administracji: nieporadności, nieuczciwości, niekompetencji itp.

W tej szczególnej sytuacji z zainteresowaniem można było oczekiwać, co będą mieli do powiedzenia występujący na Kongresie dyskutanci: czy pojawiają się tendencje raczej do zbliżenia stanowisk, czy też do dalszej ich polaryzacji? Odpowiedzi na tak stawiane pytania mogą być różne. Dziennikarka *Gazety Wyborczej* Danuta Zagrodzka w artykule pod wyraźnie egzaltowanym tytułem „Rozłam ekonomiczny” (*G.W.* nr 261 z 8 listopada) sugeruje powstawanie rosnącej przepaści między „rynkowcami” i „starą szkołą”. Do takiego

stwierdzenia skłania Autorkę nie tylko przebieg dyskusji ekonomicznych, ale przede wszystkim zamiar utworzenia przez grupę ekonomistów nowej organizacji pn. „Stowarzyszenie Ekonomistów Polskich” (której inicjatorami są m.in. prof. Balcerowicz, Beksiak, Wilczyński i Winiecki). Osobiście, nie wnikając w celowość tworzenia organizacji konkurencyjnej w stosunku do P.T.E., chciałbym wyrazić opinię całkowicie przeciwstawną, że — w świetle dyskusji na Kongresie — przepaść między reprezentantami poglądów skrajnych nie rośnie, lecz maleje. Do pewnego (przynajmy jeszcze nieznanego) zbliżenia poglądów skłania adwersarzy nie siła argumentacji, lecz obserwacja faktów. Przeciwnicy terapii szokowej muszą zauważyć, że w gospodarce sporo jednak się zmieniło i te efekty trzeba szanować. Natomiast zwolennicy terapii szokowej nie mogą lekceważyć głębokiego kryzysu jaki objął kraj, ani surowej lekcji udzielonej przez elektorat w niedawnych wyborach.

W dalszej części artykułu będę starał się zwrócić uwagę na niektóre przejawy owego zbliżenia poglądów. Na razie zaś ograniczę się do stwierdzenia, że — być może — to wyjaśnienie i zbliżenie choćby nieznaczne poglądów należałoby zaliczyć — obok normalnie zachodzących na kongresach konfrontacji poglądów i rozpowszechnienia nowych opracowań naukowych — do głównych osiągnięć Kongresu. Dyskusję cechował właściwy umiar; nie było w niej ani apologetycznych wtrętów, ani hiobowych prorocत्व. Nie zdarzyła się np. wypowiedź podobna do tej jaką prof. Jan Winiecki w przeddzień Kongresu uraczył czytelników *Gazety Wyborczej* (nr 257 z 3 listopada): „...wcześniej czy później od rządu katastrofy narodowej doczekamy się nie czego innego jak właśnie katastrofy gospodarczej”.

Referaty wprowadzające

Uczestnicy Kongresu otrzymali obfite i ciekawe materiały w postaci 41 referatów, pokrywających szeroki wachlarz tematów, które obejmowały zagadnienia ogólne rozwoju gospodarczego, zagadnienia rozwoju działów, branż i regionów gospodarki, bezrobocia, finansów i otoczenia zewnętrznego. Jednak doręczone uczestnikom w dniu Kongresu materiały te nie mogły być przedmiotem dyskusji. Zadanie wprowadzenia do dyskusji przypadło zatem, zgodnie z programem Kongresu, autorom dwóch krótkich referatów wprowadzających i

uczestnikom dwóch paneli. Po każdej dyskusji panelowej następowała dyskusja ogólna.

Pierwszy referat wprowadzający pt.: „Stan i perspektywy polskiej gospodarki” wygłosił prezes P.T.E., prof. Zdzisław Sadowski, drugi zaś pt. „Warunki zdynamizowania polskiej gospodarki” — przewodniczący Komitetu Nauk Ekonomicznych P.A.N., prof. Cezary Józefiak. Referenci stanęli przed trudnym zadaniem prezentacji swoich stanowisk w odniesieniu do skomplikowanych problemów w ciągu zaledwie ok. 20 minut i z tego zadania wywiązali się znakomicie. Poruszając się w kręgu bardzo zbliżonych problemów, przedstawili oni krańcowo różne propozycje ich rozwiązywania. Upraszczając, można powiedzieć, że prof. Sadowski optował za daleko idącymi zmianami metod transformacji gospodarki (krytykując tym samym metody dotychczasowe), prof. Józefiak zaś — za kontynuacją dotychczasowych metod (co było równoznaczne z ich aprobatą). W obu wystąpieniach dostrzegalna była jednak tendencja do pewnego wychodzenia sobie naprzeciw, a nie zaś nagłośniania różnic.

Wypowiedź prof. Sadowskiego miała szczególne znaczenie ze względu na to, że w pewnej mierze odzwierciedlała ona również wyniki prac Zespołu Analiz i Ocen P.T.E. (ujęte w 10 referatach), a także treści zawarte w projekcie wspólnego stanowiska czterech organizacji społecznych w sprawie programu gospodarczego. Te organizacje to Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Stowarzyszenie Księgowych R.P. oraz Zrzeszenie Prawników Polskich.

Prof. Sadowski zaznaczył na wstępie, że od maja br., to jest od czasu, gdy formułowano tezy „Jak zdynamizować polską gospodarkę?”, pojawiły się nieco wyraźniejsze tendencje wzrostowe w produkcie narodowym, w produkcji przemysłowej, a nawet w inwestycjach. To może skłaniać do częściowej rewizji tezy, dla których dziś odpowiedniejszy mógłby być tytuł np. „Jak utrwalić dynamizację gospodarki?” Sądzę, że w tym stwierdzeniu ujawnia się gotowość prof. Sadowskiego do kompromisu i chęć do dochodzenia do bardziej zgodnych ocen sytuacji. Chęć tym bardziej zasługująca na uznanie, że w dziedzinie rachunkowości produktu narodowego poruszamy się wciąż w obszarze o bardzo wysokim stopniu niepewności. Jeżeli np. saldo handlu zagranicznego za 1992 r. w ujęciu towarowym i płatniczym różnią się z nieokreślonych powodów o 3 mld dolarów, czyli ok. 40 bln zł, to to może oznaczać błąd w szacunkach produktu narodo-

wego brutto wielkości ponad 3%. W takiej zaś sytuacji lepiej kierować energię na jak najszybsze usprawnienie statystyk handlu zagranicznego i bilansu płatniczego, niż na pozabawione rachunkowego uzasadnienia dyskusje.

Nawiązując do trudności gospodarczych łączących się z niskim poziomem produkcji i dochodów ludności, z wysokim zużyciem majątku trwałego, z bezrobociem i patologią prywatnej przedsiębiorczości, referent wyraził przekonanie, że wszystkie te trudności da się przezwyciężyć pod warunkiem znalezienia w społeczeństwie szerokiej płaszczyzny porozumienia. W odniesieniu do kluczowego i wysoce kontrowersyjnego problemu pobudzania popytu przez budżet i politykę pieniężną, prof. Sadowski podtrzymał swój od dawna wyrażany pogląd, że nie można redukować popytu, gdy tyle sił wytwórczych pozostaje niewykorzystanych.

Prof. Józefiak, zgadzając się na wstępie z niektórymi przyczynami załamania gospodarczego, od razu zaznaczył jednak, że reprezentuje inną opcję, niż przedmówca. Jedną przyczyną załamania to szok strukturalny powstały na skutek niedostosowania posiadanych zdolności wytwórczych do zmienionej struktury popytu. Ok. 30% aparatu wytwórczego pozostaje niewykorzystanych, jednak dzieje się to nie z powodu realizowanej polityki gospodarczej, a z powodu zmian systemowych w Polsce i innych krajach Europy Wschodniej (usamodzielnienie przedsiębiorstw, odejście od dotacji, zliberalizowanie cen i handlu zagranicznego prowadzić musiało do zmian struktury popytu krajowego i zagranicznego).

Referent uważa, że nie było możliwości wolniejszej liberalizacji gospodarki, gdyż w warunkach załamującego się systemu gospodarczego pole wyboru staje się bardzo wąskie. Płytkie reformy okazują się nieskuteczne i radykalne zmiany pozostają jedynym wyjściem. Bezrobocie wymaga wzrostu inwestycji, a więc ewentualnie również przejściowego spadku konsumpcji.

Obok niedostosowania strukturalnego, drugą przyczyną załamania gospodarczego była inercja wewnątrz przedsiębiorstw, pogarszająca się efektywność ich działalności i brak finansowej dyscypliny. Droga do poprawy efektywności w przedsiębiorstwach wiedzie, zdaniem referenta, przez prywatyzację, wzrost zysków (czasem nawet kosztem płac) i inwestycje.

Dyskusje panelowe

Tematem pierwszej dyskusji były „Warunki zapewnienia trwałego rozwoju gospodarczego”. Prowadzący dyskusję prof. Bohdan Gruchman wyjaśnił, że przedmiotem dyskusji mogą być warunki do spełnienia na różnych szczeblach gospodarowania: na szczeblu makroekonomicznym (państwa), na szczeblu mikro- (przedsiębiorstw) i na szczeblu mezo- (regionalnym). Występujący kolejno uczestnicy panelu poruszyli szeroki krąg problemów, mówiąc m.in. o: potrzebie rozwoju i zadaniach organizacji samorządowych (prezes Krajowej Izby Gospodarczej A. Arendarski); konieczności stabilnych reguł gry, stabilnego pieniądza i wiarygodności polityki gospodarczej (prof. M. Belka); sposobach zwiększania konkurencyjności przedsiębiorstw (prof. A. Koźmiński); potrzebie jednoczesnego działania na popyt i podaż oraz o decydujących czynnikach wzrostu, którymi mają być — dynamizm prywatnej przedsiębiorczości, komercjalizacja przedsiębiorstw państwowych, kapitał zagraniczny, umiar płacowy i przełom edukacyjny (prof. J. Mujżel); potrzebie pragmatyzmu w kojarzeniu środków pobudzania aktywności gospodarczej z rygorami polityki finansowej (prof. L. Zienkowski).

Tematem drugiej dyskusji panelowej były: „Wyzwania wynikające z otwarcia gospodarki oraz ze stowarzyszenia ze Wspólnotą Europejską”. Prowadzący dyskusję prof. Jacek Saryusz-Wolski (pełnomocnik rządu do spraw integracji europejskiej oraz pomocy zagranicznej) podkreślił kluczowe znaczenie więzi integracyjnych z Europą Zachodnią, wskazując, że 60% obrotów handlu zagranicznego Polski przypada na kraje Wspólnoty. Jednocześnie stwierdził, że konieczność liberalizacji handlu z jednej strony i świadomość deficytu strukturalnego w bilansie handlowym z drugiej strony nakazują, aby sprawę wypracowania strategii eksportowej traktować jako szczególnie pilną. Teza ta znalazła potwierdzenia w wystąpieniach członków panelu, którzy poruszyli też m.in. takie sprawy jak: celowość wspólnych działań Grupy Wyszehradzkiej w stosunkach z Wspólnotą Europejską (prof. P. Bożyk); niezbędność tworzenia instrumentów służących aktywizacji eksportu (wicemin. w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą A. Łaganowski); przyspieszenie dostosowania naszej gospodarki do współpracy z Wspólnotą i wykorzystanie naszej roli jako potencjalnego pośrednika w handlu między Wschodem i Zachodem (dr J. Mulewicz);

konieczność opracowania strategii gospodarczej Polski do 2000 r. i podjęcia działań zmierzających do wzrostu eksportu niezbędnego dla obsługi zadłużenia (prof. U. Płowiec); konieczność zarezerwowania dłuższego czasu dla restrukturyzacji rolnictwa i przystosowania go do współpracy z Wspólnotą (prof. A. Woś).

W dyskusji ogólnej mówcy często łączyli tematykę obu paneli. Prof. J. Pajestka był chyba jedynym dyskutantem, który wyszedł daleko poza krąg problematyki obu paneli i sięgnął do szerszego problemu związków między ekonomią i kulturą. Zwrócił uwagę na rażący brak jedności i wzajemnego zrozumienia w społeczeństwie oraz — jak to nazwał — anarchizujący indywidualizm. Uważając, że nie są to cechy genetyczne, lecz kulturowe, wyraził pogląd, że bez rozwiązania spraw kulturowych, nie rozwiąże się spraw ekonomicznych. Ta wypowiedź przypominała mi niedawny artykuł prof. W. Wilczyńskiego („Cnoty Obywatelskie”, *Wprost*, nr 35/1993), w którym napisał on, że: „...całokształt stosunków politycznych i ekonomicznych w Polsce nie promuje solidnych, uczciwych, punktualnych i odpowiedzialnych”. Dostrzegam dużo wspólnego w obu wypowiedziach i myślę, że to jest dobrze, gdy podobne opinie pojawiają się w różnych środowiskach ekonomistów.

Wśród dyskutantów nawiązujących do tematyki obu paneli sporą grupę stanowili ci, którzy wskazywali na zagrożenia procesów transformacji. W tych wypowiedziach o charakterze ostrzegawczym wskazywano m.in. na: niebezpieczeństwo, że gospodarka zamiast do Europy zbliża się do Trzeciego Świata (prof. J. Dziewulski); trudności opanowania problemu bezrobocia wobec bardzo wysokiego przyrostu ludności w wieku produkcyjnym do 2000 r. (prof. M. Kabaj); ujemne skutki powstania w ostatnich latach strukturalnych deficytów budżetu i bilansu handlowego (prof. G. Kołodko); narastające w sposób społecznie nieuzasadniony zróżnicowanie dochodów ludności (prof. E. Łukawer); brak podstaw do obiektywnej oceny stanu gospodarki, a więc i wyników transformacji, wskutek braku co najmniej od dwóch lat wiarygodnych statystyk handlu zagranicznego i bilansu płatniczego (prof. S. Polaczek).

Zaproszony na Kongres premier Waldemar Pawlak w krótkim wystąpieniu mówił o zmieniającej się sytuacji na świecie, w której po Jalcie i Poczdamie tworzą się nowe strefy wpływów, następuje koniec epoki tradycyjnego przemysłu i zwiększa się monopolizacja świata. Stajemy wobec problemu, jak nadążyć za światem, zachowując własną tożsamość.

Kilka uwag na tle referatów

Nawet powierzchowny przegląd referatów przedstawionych na Kongresie wskazuje na daleko idącą zgodność poglądów ich autorów w odniesieniu do pewnych podstawowych kierunków działań. Takim najbardziej nie kwestionowanym przez nikogo, a popieranym przez wielu autorów, jest kierunek polityki proeksportowej. Wydaje się, że podwójna rola wzrostu eksportu, jako czynnika pobudzającego ogólny wzrost gospodarczy, a z drugiej strony jako czynnika niezbędnego dla zachowania równowagi bilansu płatniczego, znajduje szeroką akceptację. Również w wielu referatach wypowiadano się za koniecznością intensyfikacji procesów inwestycyjnych oraz podjęcia prac nad opracowaniem strategii rozwoju gospodarki do 2000 r. Te trzy kierunki działań pozostają zresztą w ścisłym logicznym związku, jak o tym można chociażby przekonać się z lektury interesującego referatu prof. M. Nasiłowskiego: „Warianty strategii rozwoju gospodarczego Polski do roku 2002”.

Oczywiście ważne jest nie tylko „co robić”, ale i „jak robić”, a w związku z tym pojawia się znany kontrowersyjny dylemat zakresu interwencyjnej roli państwa w gospodarce. M. Nasiłowski w swoim referacie pisze: „Akcentując potrzebę aktywnej roli państwa w kształtowaniu strategii rozwoju społeczno-gospodarczego oraz w budowie gospodarki rynkowej w Polsce, pragniemy mocno podkreślić, że państwo może i powinno być katalizatorem procesów rozwojowych, a nie ich dyrygentem”. Łatwo się zgodzę, że państwo nie może być dyrygentem, zwłaszcza, że gospodarka jest dużo bardziej skomplikowaną organizacją, niż orkiestra. Natomiast określenie, że państwo ma być (tylko?) katalizatorem procesów rozwojowych uważam za nieszcześliwe i błędne. Nieszczęśliwe dlatego, że trudno zdefiniować funkcje katalizatora w procesach społecznych. Błędne zaś dlatego, że sugeruje taką samą rolę państwa w każdym kraju, niezależnie od jego ustroju, poziomu cywilizacyjnego, zamożności, sytuacji koniunkturalnej itp.

Sądzę, że ten istotny dylemat roli państwa trafnie i precyzyjnie ujmuje w swoim referacie („Tezy o zasadach procesu transformacji”) prof. Jan Drewnowski. Jego tezy brzmią przekonująco i pozostają chyba w zgodzie z realiami gospodarki rynkowej, które może on na co dzień obserwować mieszkając w Anglii. W szczególności warto zacytować jego dwie tezy następujące:

— „W nowoczesnej gospodarce rynkowej interwencja państwa jest zawsze konieczna”.

— „W okresie przemian ustrojowych zasięg i efektywność polityki gospodarczej państwa nie powinny być ograniczone, lecz poważnie rozszerzone i wzmocnione”.

Wydaje się, że tę ostatnią tezę można by jeszcze rozszerzyć przez stwierdzenie, że w gospodarce słabo rozwiniętej rola państwa musi być relatywnie większa zawsze, a nie tylko w okresie przemian ustrojowych. Jest tak dlatego, że w krajach przemysłowych istnieją wielkie korporacje, często ponadnarodowe, które — każda w swoim zakresie — prowadzą studia strategiczne, podejmują decyzje inwestycyjne, dokonują wyboru struktury produkcji czy eksportu, wyręczając w tym państwo. W kraju słabo rozwiniętym, gdzie brak jest rodzimych wielkich korporacji, państwa nie ma kto wyręczać w podejmowaniu strategicznych decyzji gospodarczych.

Inny ważny dylemat — wysokości dopuszczalnego deficytu budżetowego — nie był przedmiotem szerszej dyskusji, ale został poddany rzetelnej analizie w referacie prof. Jana Lipińskiego: „O niektórych zagadnieniach makroekonomicznych polityki budżetowej”. Autor, bardzo ostrożny w swoich wnioskach, nie zawahał się jednak stwierdzić, że: „...nie ma żadnego rozsądnego uzasadnienia dla określenia z góry jakiegokolwiek pułapu dopuszczalnego deficytu budżetowego w stosunku do produktu krajowego brutto albo do kwoty wydatków państwowych”.

Istnieją problemy tradycyjnie omijane w dyskusjach. I tym razem tradycji stało się zadość: problem wymienialności zewnętrznej złotego: czy, kiedy i jak, nie znalazł miejsca w dyskusjach, ani w referatach.

Zamykając obrady, Przewodniczący Komitetu Honorowego prof. Stanisław Rączkowski syntetycznie przedstawił główne wątki dyskusji i stwierdził, że znaczny stopień zgodności stanowisk może ułatwić ekonomistom formułowanie wniosków dla polityki gospodarczej. Nawiązując do niedawnego jubileuszu 80-lecia Profesora, zebrani odśpiewali Mu „Sto lat”, co było niewątpliwie wyrazem sympatii i uznania dla Jubilata, a być może też pogodnego nastroju uczestników Kongresu.

23.11.1993

Stanisław POLACZEK

Dlaczego wygrali?

Dlaczego wrześniowe wybory wygrała lewica?

Nie można przecież powiedzieć, że lewica zdominowała aparat informacji i propagandy, a w kampanii wyborczej szanse nie były wyrównane.

Nie sądzę, aby kampania wyborcza odegrała większą rolę. Stan nastrojów społecznych, wykazywany w badaniach, był podobny zarówno przed kampanią wyborczą jak i w czasie kampanii, a wyniki wyborów potwierdziły tylko wyniki sondaży. Partie reformatorskie miały niski poziom akceptacji, nastroje społeczne były złe. Wyniki badań pokazywały nastroje, nie tłumaczyły jednak dlaczego te nastroje były takie złe. Czy tylko dlatego, że reformy przyniosły części społeczeństwa bezrobocie i biedę? Przecież prywatnym przedsiębiorcom, którzy w tak znacznym procencie poparli SLD, nie bieda podyktowała wybór.

Moim zdaniem, to nie bieda, a na pewno nie tylko bieda wywoływała stan powszechnego niezadowolenia.

Pewien psychoterapeuta powiedział, że nigdy w dotychczasowej pracy zawodowej nie notował tylu pacjentów ze stanami lękowymi, co w ciągu minionych trzech lat.

Ludzie zwyczajnie bali się. Bali się realnych zagrożeń i bali się swojej bezradności. Bali się, bo świat wokół nich zmieniał się szybciej, niż mogli to ogarnąć i zrozumieć. Nawet tego, że biedny, ale znajomy sklepik w pobliżu domu zmienił się w elegancki, ale obcy, *euroshop*. Z tym swoim zagubieniem i lękiem ludzie pozostawali samotni. Bo do kogo mogli się zwrócić? Do równie bezradnego sąsiada? Do kolegi z pracy, który stał się rywalem do miejsca pracy?

To było tak, jakby obdarto ludzi z ochronnej skorupy nawyków i przyzwyczajzeń, jakby z deszczu drobiazgowych regulacji wpadli pod rynną niesterowalnego wolnego rynku i niesterowalnej demokracji.

Bardziej, niż pieniędzy w budżecie, zabrakło chyba ministra informacji i przekonywania. Nie narodził się nikt na miarę ogromu przemian i związanych z tym szoków. Dlaczego? Elity polityczne nie doceniły wagi problemu. Może z powodu nadmiernej pychy i wiary we własne posłannictwo? Z przekonania, że komuniści nie są w stanie wygrać w demokratycznych wyborach przez dziesięciolecie? Może z wiary w słuszność dokonań, które powinny bronić się same? A może z powodu zbyt łatwej wiary w stereotypy, w to, że cały naród tylko marzył o tym kapitalizmie?

Z faktu, że ludzie nie lubili stać w kolejkach po kawałek mięsa, czy mydła wcale nie wynikało, że ludzie nie lubili socjalizmu. Owszem, nie lubili jego szeregu przejawów. Ale pamiętam te kolejkowe rozmowy, w których przekonywano mnie, że kolejki to jest cena za bezpłatne szkoły i tanie wczasy, za powszechne zatrudnienie. I niewola też tak powszechnie nie doskwierała. W czasach nam bliższych ta niewola bardziej zresztą dotyczyła ducha niż ciała.

Psychologowie zauważyli interesujące zjawisko. Otóż po rozwodzie byłym małżonkom bardziej brakuje zalet byłego męża czy żony, niż cieszy brak ich wad, albo zalety nowych współmałżonków. Chyba podobne zjawisko wystąpiło przy zmianie stroju. Wydaje się, że znacznej części ludzi bardziej brakuje zalet socjalizmu, niż cieszy zanik jego wad, czy też walory kapitalizmu. Może i socjalizm kojarzył się z bajorem, w którym nie dawało się pływać, ale też nie groziło utonięcie.

Realny socjalizm brzydki był i ponury, ale jakoś oswojony. Znałe były jego mechanizmy, niepisane reguły. Wiadomo było, jak się poruszać, aby przeżyć. Wiadomo było, że dla zdobycia czegokolwiek — mięsa, lekarstwa czy samochodu — potrzebne były znajomości, chody, dojścia, że ważniejszy był notes z telefonami niż wypchany portfel. Prywaciarze wiedzieli, komu dać łapówkę, aby zdobyć surowiec, komu zaś za zezwolenie na życie.

Była też WŁADZA. Nawet do milicjanta mówiło się „panie władzo”. Władza występowała w wielu postaciach, ale zawsze była jedną WŁADZĄ. Tej władzy jedni służyli, podlizywali się jej, inni jej złorzeczyli, inni jeszcze jawnie przeciw niej występowali. Władza była po prostu punktem odniesienia do uczuć i działań pozytywnych i negatywnych. Władza to byli ONI.

Przez parę dziesiątków lat funkcjonowało też socjalistyczne pojmowanie pracy. Musiała być ciężka w sensie fizycznym, mierzona ilością ton, kilogramów, metrów, godzin, sztuk, praca bez związku z tym, kto i za ile kupował owoce tej pracy. Ciężko pracujący górnik godzin był orderów, ciężko pracujący ogrodnik określany był pogardliwym mianem badylarza... Szanować należało ludzi ciężkiej pracy, pogardzać tymi z ciężką forsą. Niedawno w telewizyjnym reportażu pokazano górnika z likwidowanej właśnie kopalni, który mówił z goryczą „w butiku to nie jest praca”. Bo dla niego pracą było wydobywanie węgla, a nie handlowanie. I jak on ma się odnaleźć w systemie, w którym sprzedaż stała się ważniejsza od produkcji?

NOWE objawiło się najszybciej i najwyraźniej zapelnionymi półkami sklepowymi, ulicznym handlem, szaleństwem cen. Radości, że już WSZYSTKO można kupić, towarzyszyło prze-

rażenie, że na WSZYSTKO potrzeba pieniędzy. I to pieniądze prawdziwych. Już nie można było kupować spod lady i za grosze odrzutów z eksportu, ani samochodów na talony, które kosztowały taniej, niż sprzedawane na giełdzie stare. Przywykłym do tanich mieszkań, darmowych leków, zakładowych wczasów, biletów do teatru z rady zakładowej przyszło teraz płacić za wszystko wymienną walutą! Ważne stały się pieniądze. Wolny rynek odebrał wartość znajomościom, a nadał ją pieniądзом. Przecież to zmiana przyzwyczajzeń i zachowań na miarę rewolucji!

Okazało się też, że najcięższa nawet praca może być bezwartościowa, że nie sztuka wyprodukować, ale sztuką jest sprzedać. A przecież przez dziesięciolecia rozwijaliśmy instynkt zdobywania, kupowania a nie sprzedawania. W fabrykach najważniejsi byli zaopatrzeniowcy, zawód sprzedawcy był praktycznie nieznanym. Brak zbytu powodował upadek fabryki, często jedyne zakładu pracy w mieście. I nie można było strajkami zapobiec temu upadkowi. Można było strajkami obalać komunę, a nie dawało się strajkiem nikogo zmusić do kupowania wyrobów najbardziej nawet zasłużonych zakładów.

Dla niezadowolonych ludzi zabrakło adresata niezadowolenia. To nie była już dawna WŁADZA, która dawała coś pod naciskiem. To w ogóle nie była WŁADZA. Władzę zastąpiła demokracja z jej sporami, kłótniami w parlamencie, grammi politycznymi, walką o stołki. To, co w demokracji normalne, nam objawiło się w postaci karykaturalnej i odebrane zostało jako zjawisko groźne i zniechęcające.

W latach osiemdziesiątych mówiło się, że my Polacy zasady konspiracji wysysamy z mlekiem matki. Są kraje, gdzie z mlekiem matki wysysa się zasady demokracji, gdzie demokrację praktykuje się w różnych formach i miejscach przez pokolenia. Może dlatego z konspiracją szło nam nieźle, demokracja przyprawiała nas o zgrzyoty i łęki.

Na pewno musi upłynąć trochę czasu, aby ludzie obrośli w nowe przyzwyczajenia. Może niektórzy już obrośli? Jak przyjmowałoby dzisiaj kolejki w sklepach i brak papieru toaletowego?

Elżbieta MISIAK

Sprawy i troski

Koniec Wolnej Europy

W monachijskich barakach Wolnej Europy panuje grobowy nastrój. Wonieje trupim swądem. Już pogrzebano Węgrów, przyszła kolej na Czechów, a na trzecim miejscu w kolejce na pogrzeb czekają Polacy. Amerykańscy urzędnicy, którzy z wyjątkiem pierwszych lat pionierskich — kiedy szło o ideę a nie o kieszeń — z nikim z „tubylców” się nie fraternizowali, siedzą w swoich biurach pozamykani niczym w twierdzy. Unikają rozmów z kandydatami na stryczek. Stronią też od związków zawodowych, które im usiadły na karku i żądają sprawiedliwości społecznej zamiast gwałcenia podstawowych praw pracowniczych.

W stołowce, gdzie zawsze wrzało jak w ulu, trzy rzędy stolików stoją opuszczone. Pośrodku grupa najpierw zwolnionych Węgrów. Obchodzą ostatnie przedświąteczne spotkanie. Niedługo rozjadą się w różne strony świata, najmniej uda się do Budapesztu. Tam niechętnie widzą konkurencję z zagranicy. Część pozostanie w Monachium, a dzieci się zasymilują. Znajomy Węgier opowiada jak z nimi postąpiono. Ledwie prezydent Komitetu Radia Wolnej Europy i Radia Swobody, Eugene Pell skończył swe żalobne przemówienie o grożącej redukcji, jak służba wewnętrzna dozorująca pomieszczenia pozamykała wszystkie biura redakcji węgierskiej. A przecież każdy redaktor miał tam swoje ulubione książki, archiwa, osobiste rzeczy. Wtedy Węgrzy urządzili wiec protestacyjny. Do akcji przyłączyło się wielu pracowników z innych redakcji. Protest pomógł na tyle, że powpuszczano ich do biur na krótko a potem znowu wypędzono. Teraz mają jedną izbę na likwidację wszelkiej aktywności. A sam szef redakcji węgierskiej bryknął od razu do Budapesztu i dotychczas się nie pokazał.

Na pierwszy rzut do końca roku idzie grupa 340 osób, którym przekazano już wymówienia na takich samych blankietach i z identyczną treścią. Sposób tej masowej redukcji jest

sprzeczny z niemieckim prawem pracy. Należy się więc spodziewać, że w 1994 roku ruszy lawina procesów. Ukonstytuował się już komitet obrony praw pracowniczych. W jego pieczy leży przygotowanie procesów. Nie można tego załatwić wspólnie. Każdy wypadek musi być rozpatrzony osobno. W ciągu dwóch lat spośród 1540 pracowników ma pozostać 705. Co i gdzie oni mają robić — nikt nie wie dokładnie. Prezydent Clinton przeprowadził akcję błyskawicznie bez jakiegokolwiek dyskusji z ofiarą redukcji, ale wykluczył przede wszystkim obiektywnych ekspertów. Jest to niewątpliwie symptom ograniczonych horyzontów intelektualnych dzisiejszego szefa administracji amerykańskiej. Decyzja związana jest z niedostatecznym rozeznaniem w sprawach zagranicznych. Stąd ustawiczne gafy i potknięcia. Pewien redaktor wiedeńskiej gazety *Die Presse* uważa, że jest to objaw wyczerpania ideowych rezerw Zachodu, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Ale dochodzą jeszcze inne czynniki. Jednym z najgłośniejszych jest zmiana generacji w polityce amerykańskiej. Do władzy przyszło pokolenie protestu przeciwko wojnie wietnamskiej, które odrzucało antykomunizm jako groźne schorzenie demokracji. Reformy Clintona przypominające rooseveltofski *New Deal* połączone z dziecinny wręcz uwielbieniem Rosji Jelcyna mogą też stanowić klucz do zrozumienia polityki rozgromienia Wolnej Europy.

Z drugiej strony nie należy zapominać, że w łonie radia amerykańskiego zarysował się już dawno stan kryzysu ideologicznego. Tak jak w okresie zimnej wojny radio to odegrało podstawową rolę w rozbrojeniu komunizmu, tak w nowej erze świata postkomunistycznego nie zdołało znaleźć sobie należytych celów. Kierownictwo instytucji znalazło się w rękach rutyniarzy, „macherów” nastawionych raczej na ilość niż na jakość. Wyczerpana fizycznie i duchowo większość emigracji politycznej z Europy Wschodniej nie była w stanie zapobiec procesowi upadku tworzenia nowych programów i kreowania nowych koncepcji.

A tymczasem właśnie teraz po upadku imperium sowieckiego istnienie niezależnych radiostacji, szerzących informacje i dokumentację o systemie demokracji, podejmujących inicjatywy poprzez granice i zapobiegających niebezpieczeństwu nacjonalistycznych prowincjonalizmów, miałyby doniosłą rolę. Nikt się na to nie odważył. W atmosferze mieszaniny pomiędzy naiwnym triumfalizmem i rutyniarską łatwizną, w amerykańskiej biurokracji radiowej wzięły górę tendencje dorobkiewiczowskie. Tabuny niezdatnych do jakiegś bardziej twórczej działalności, przeważnie niedokształconych urzędasów, postanowiły dzielić między sobą dobra doczesne. Prasa niemiecka ogłasza obecnie niesamowite dane o podziale tych pieniędzy, o luksusowym życiu rzekomych

obrońców wolności. Oto stu kierowniczych biurokratów rozdzielało między sobą rocznie 4,2 miliony marek. Główny boss zarabia rocznie 500.000 marek. Zaś cała góra składająca się z 16 osób otrzymuje w Waszyngtonie oprócz wspomnianych dochodów ponad milion wyrównania podatkowego.

Przypomina to do żywego stosunki w dawnych imperiach kolonialnych. A więc do plajty programowo-umysłowej doszła, spowodowana samoobsługą dolarowo-markową, plajta materialna.

W polskim radio panuje nie tylko kompletne zamieszanie, ale i podział na coś tam kombinujących spryciarzy pod egidą szefa Mroczyka i jego kliki, która stale kursuje między Monachium i Warszawą, i pozostałą szarą masę zdezorientowanych ludzi. Działania kierowniczej grupy są nieskoordynowane, przeważnie mafijno-zakulisowe, pozbawione jakiegokolwiek koncepcji, poza czystą prywatą.

Ogólną degrengoladę pogłębił zagadkowy plan ewakuacji niedobitków Wolnej Europy i Swobody do Pragi. Otóż prezydent, Vaclav Havel zaproponował Amerykanom, że gotów jest dać im do bezpłatnego użytkowania dawny gmach Komitetu Centralnego partii komunistycznej i urządzenia radiofoniczne przygotowywane ongiś przez Moskwę jako centrala propagandy na Zachód. Zanim się z tym uporano załamało się imperium. Idea wyjazdu do Pragi nie wywołała jednak entuzjazmu. Tym bardziej, że byłoby to krótkotrwałe prowizorium. Tylko amerykańskim aparatczykom plan Havla się spodobał. Ale oni traktują swe zadanie jako płatną turystykę.

MONACHIJCZYK

Wolność słowa w III RP

Z pojedynczych a nieśmiałych głosów bardzo nielicznych czasopism krajowych można się było ostatnio dowiedzieć, że amerykańskie organizacje The Fund for Free Expression i Helsinki Watch wystąpiły z oficjalną krytyką polskich ograniczeń wolności słowa wynikających ze stosowania art. 270 k.k., na podstawie którego — także i po 1989 roku — dokonano licznych aresztowań i wysunięto wiele oskarżeń o szkalowanie państwa i jego najwyższych władz oraz wszczęto postępowanie karne przeciwko niektórym twórcom. A wszystko prawdopodob-

nie po to, aby ponownie wprowadzić w Polsce — tym razem „zdrową i patriotyczną” — cenzurę.

Moim zdaniem, a wolno mi chyba, jak każdemu obywatelowi, mimo wszystko takie mieć, prawdziwym ewenementem prawnym — na co nikt, jak dotąd, nie spojrział krytycznym okiem — jest jednak art. 178 k.k., który karalnością obejmuje wypowiedzi o charakterze czysto ocennym, co u nas w Polsce już w 1932 roku — ówczesny art. 255 k.k. — budziło logicznie uzasadniony sprzeciw prawniczych autorytetów, a co współcześnie zostało stanowczo odrzucone przez Konwencję Europejską wykluczającą wypowiedzi ocenne z zakresu zarzutów zniesławiających (Lech Gardocki „Europejskie standardy wolności wypowiedzi a polskie prawo karne”, *Państwo i Prawo* nr 3, 1993 r., str. 16-18).

Oskarżenie z art. 178 polskiego kodeksu karnego do sądu może wnieść — bez pośrednictwa prokuratora — każdy, kto w jakiś, nawet najbardziej humorystyczny czy absurdalny sposób poczuł się urażony wystawioną mu opinią czy oceną jego autentycznej działalności. Można dostać 3 lata bezwzględnego więzienia w procesie karnym z prywatnego oskarżenia bez — nawet chwilowego — udziału prokuratora, jeśli nie uda się przekonać sądu o swojej niewinności, albowiem art. 178 k.k. automatycznie zakłada winę każdego oskarżonego i biada temu, kto nie potrafi udowodnić, że jest inaczej. Każdy rozhisteryzowany osobnik może w procesie karnym z prywatnego oskarżenia zniszczyć każdego, kto w interesie społecznym skorzystał z przysługującego mu prawa do wolności wypowiedzi, nawet jeśli były one zgodne z historyczno-politycznymi faktami i adekwatne do naszej niedawnej przeszłości.

Jan A. TOMASZKIEWICZ

DRUKARNIA POLSKA Breitensteinstr. 33 • D-83071 Schlossberg-Rosenheim
(POLNISCHE DRUCKEREI) Telefon 08031 / 7777 • Telefax 49 8031 73113

KONTRAST

wykonuje: Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich, głównie w polskim i rosyjskim. Solidne wykonanie – ceny umiarkowane.

książki, broszury, katalogi, prospekty,
ulotki, blankiety, karty świąteczne oraz
wszelkie inne prywatne i komercyjne druki.

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Bohater powieści „My”, której akcja odbywa się w dalekiej przyszłości, śmieje się z przodków, którzy biorąc udział w wyborach nie znali ich rezultatów. W państwie, które opisał ironicznie Jewgienij Zamiatin wszyscy doskonale wiedzieli — jeszcze przed wyborami — kto będzie wybrany. Przypomniałem „My” gdyż jutro są wybory w Rosji, ale ich rezultaty są nieznane. Zresztą rezultaty wyborów są mniej ważne niż poglądy obywateli rosyjskich na temat Konstytucji. Jakikolwiek będzie skład rosyjskiego parlamentu bez wątplenia będzie on centrum opozycji. Od składu i od charakteru posłów będzie zależała intensywność opozycji i formy jej działalności. Konstytucja określi formy życia państwowego, ramy struktur, w których będą żyli obywatele rosyjscy po ostatecznym zlikwidowaniu sowieckiego ustroju — w październiku 1993.

Rosyjskie samodzielnictwo było po raz pierwszy ograniczone zasadniczymi ustawami 23 kwietnia 1906 roku. Był to rezultat rewolucji 1905 roku. Historycy i prawnicy dyskutowali i dyskutują na temat zasadniczych ustaw: czy mianowicie można je nazwać konstytucją. W tekście tych ustaw to słowo nie było użyte. Amerykański historyk Mark Steffel w 1976 roku doszedł do przekonania, że w 1906 roku „Rosja stała się konstytucyjną monarchią ograniczoną parlamentem, chociaż w porównaniu z innymi konstytucyjnymi monarchiami Europy była najmniej postępową”.

Pierwszą konstytucję, uchwaloną w 1918 roku, która właśnie nazywała się konstytucją, dali Rosji bolszewicy. Już jej 1-szy paragraf był oryginalny: Rosyjską federację nazwano nie państwem ale społeczeństwem. Autorzy konstytucji wiedzieli od Marksa, że państwo bardzo szybko zniknie po zwy-

cięstwie proletariatu. Wśród innych osobiwości pierwszej sowieckiej konstytucji była wprowadzona zasadnicza nierówność: robotnicy (było ich ok. 3 milionów) odgrywali znacznie większą rolę niż włościanie, których było około 130 milionów. W 1924 roku Konstytucja RSFSR stała się zasadniczym prawem dla ZSSR zachowując wszystkie cechy sowieckie. Wielki krok naprzód zrobiono w 1936 roku kiedy to Stalin podarował narodowi sowieckim nową konstytucję. Wszyscy piali z zachwytem: „My złotymi literami piszemy prawo stalinowskie”. Według oświadczenia ojca konstytucji, była ona najbardziej demokratyczna w świecie. I mówiąc prawdę, trudno było z nim dyskutować, nawet gdyby to komukolwiek przyszło do głowy. Konstytucja 1936 roku gwarantowała obywatelom wszystkie prawa. Z jednym zastrzeżeniem: jeśli te prawa nie przeszkadzają budowie socjalizmu. Bardzo odległy — 136 paragraf — krótko zaznaczał, że partia komunistyczna wszystkim kieruje i wszystko kontroluje.

Upłynęło wiele lat i słońce stalinowskie uległo zaćmieniu a w 1977 roku „złotymi literami” została napisana konstytucja Breżniewa. Główną różnicą w porównaniu z konstytucją stalinowską było przeniesienie (i rozszerzenie) paragrafu o KPSS, który znalazł się na 6-tym miejscu. Przez ostatnie dwa lata rosyjscy posłowie wnieśli do konstytucji Breżniewa 300 poprawek. Ale nawet po usunięciu 6-go paragrafu, zachowano najważniejsze: system sowiecki. Nie zmieniono zasady: najwyższa władza w kraju przypada sowietom — należy do Zjazdu Deputowanych Ludowych a w przerwie między zjazdami do Rady Najwyższej.

Władza ustawodawcza w okresie dwóch lat uważała siebie za władzę najwyższą. Dopóki faktyczna władza należała do kompartii nie miało to znaczenia. Kiedy jednak KPSS została rozwiązana powstał konflikt między władzami ustawodawczą i wykonawczą. Włączyła się do tego władza sądowa — Sąd Konstytucyjny popierający Najwyższą Radę.

Nowa konstytucja, której los zostanie zdecydowany 12 grudnia, daje pierwszeństwo władzy wykonawczej — władzy prezydenta. Przy opracowywaniu konstytucji Rosji posługiwano się modelami konstytucji USA i Francji. Prawa i kompetencje rosyjskiego prezydenta nie będą większe, niż te, którymi dysponuje prezydent Francji. W swoim czasie oskarżano De Gaulle'a o chęć przywrócenia monarchii. O to oskarżają, i będą zapewne nadal oskarżać, Borysa Jelcyna.

Ważne miejsce w nowej konstytucji zajmuje problem regionów. Rosja — Federacja: wchodzi do niej 21 etnicznych

republik. Jednym z najbardziej skutecznych środków, które pozwoliły bolszewikom zwyciężyć w czasie wojny domowej było hasło o prawie każdego narodu do samodzielności aż nawet do odłączenia się. Na tym fundamencie został zbudowany ZSSR, a także RSFSR. Stalin dobrze wiedział co robi kiedy wytyczał granice „etnicznych” autonomicznych republik: każda z nich, na równi z miejscową ludnością posiadała znaczny procent przedstawicieli innych narodowości. Dopóki KC KPSS decydował jaki naród jest ważniejszy, gdzie może i gdzie nie może wybuchnąć problem narodowy, uczucia nacjonalistyczne rzadko się uzewnętrzniały. Gdy zdjęto pokrywę, nacjonalistyczna zupa zaczęła się gotować. Wszystkie autonomiczne republiki (i rejony) Rosji chciały się stać niezależnymi. Ale trzeba pamiętać, że obok etnicznych republik w Rosji jest 67 administracyjnych rejonów, które również chcą być niezależne, a w każdym razie mieć tyle samo praw co republiki etniczne. Ural, Syberia, Daleki Wschód, też chcą płacić mało podatków i wykorzystywać swoje bogactwa naturalne u siebie.

Nowa konstytucja po pierwsze zrównuje w prawach wszystkie „subiekty” to jest wszystkie 88 administracyjnych jednostek, a po drugie deklaruje, że prawo federalne jest ponad prawem miejscowym. Inaczej mówiąc Moskwa w okresie „zamętu i wrzenia” próbuje przywrócić sobie znaczną część władzy.

Obecne wybory mają charakter tymczasowości. W myśli konstytucji delegaci będą wybierani na cztery lata. Ale obecnie wybrani są tylko na dwa. W zasadzie konstytucja będzie zatwierdzona na długo (do jej zmiany jest niezbędna większość 750 posłów w obu izbach), ale jest niejasne kiedy będą nowe wybory prezydenckie co zawsze jest brzemienne w nieprzewidziane wydarzenia.

Poczucie tymczasowości — to zasadnicza słabość przyszłego parlamentu i konstytucji. Bliskość wyborów prezydenckich (jeśli będą miały miejsce za dwa lata) osłabia działalność rządu w którym pełno jest kandydatów na kandydatów. To niewątpliwie odbije się na działalności rządu i jego stosunkach z parlamentem i prezydentem.

12 grudnia 1993 jest ważną datą w historii Rosji, która jednak pozostawia wszystkie problemy nie rozwiązane. Tym niemniej pojawia się lepsza niż wczoraj możliwość ich rozstrzygnięcia.

W chaosie wydarzeń i w wirze zwalczających się polityków nastąpiła w ostatnich miesiącach zgoda (dziś po rosyjsku

mówi się konsensus) odnośnie twardego punktu, który wielu uważa za punkt oporu. Mam na myśli politykę zagraniczną. W ostatnich latach pisałem często o braku polityki zagranicznej w Rosji, ale w ostatnich miesiącach rosyjska dyplomacja znów pojawiła się na międzynarodowej scenie. Teodor Roosevelt sformułował na początku naszego wieku zasadę skutecznej dyplomacji: „mów po cichu, ale trzymaj w ręku wielką pałkę”. Nieprzypadkowo zniknięcie rosyjskiej polityki zagranicznej miało miejsce razem z zanikiem armii sowieckiej. Próby zastąpienia jej armią Wspólnoty Niepodległych Państw nie udały się. Osierocona armia zaczęła dla siebie szukać kraju i bardzo szybko znalazła go — krajem tym jest Rosja. Dziś jednocześnie odbudowuje się rosyjską państwowość i rosyjską armię. Borys Jelcyn zaczął od wypracowania doktryny wojskowej: zanim powstanie silna armia należy znaleźć dla niej cele i środki. Zasadnicze punkty nowej wojennej doktryny podano do wiadomości niedawno (pełny jej tekst jest nadal tajny). Powstanie tej doktryny dało dyplomacji pałkę. Możliwe że w obecnej chwili rozmiary tej pałki nie są tak wielkie jak chciałby generałowie, a może i dyplomaci, ale jej istnienie pozwala rozpocząć rozmowy.

To co dziś wiadomo o nowej wojskowej rosyjskiej doktrynie pozwala przypuszczać, że jej autorzy zrezygnowali tymczasem z dalekich strategicznych celów, a zdecydowali się zaprowadzić porządek w „swojej zonie”. Właśnie dlatego planuje się stworzenie stosunkowo niewielkich wojskowych jednostek, które mogą być szybko przerzucane w rejony ewentualnych konfliktów. Wojsko to ma być profesjonalne i wyposażone w najnowsze uzbrojenie.

Jest jasne — jakkolwiek nie mówi się o tym otwarcie — że zona działalności nowej doktryny to w pierwszym rzędzie „bliska zagranica”, to jest terytoria ex-Związku Sowieckiego. „Bliska zagranica” to pierwszy koncentryczny krąg rosyjskich interesów. Drugi krąg to kraje ex-sowieckiego obozu. Jeśli idzie o pierwszy krąg to został on uznany przez kraje zachodnie za rosyjską sferę wpływów. Trudno sobie wyobrazić by ONZ mógł uzyskać zgodę na wysłanie „żołnierzy pokoju” do Pamiru czy Górnego Karabachu. Drugi krąg jest przedmiotem rozmów, które można nazwać pertraktacjami.

Aktywność rosyjskiej dyplomacji opiera się na wojennej doktrynie. Wszystkim jednak wiadomo (i Rosjanom również) że doktryna może być już gotowa, ale jak dotąd armii nie ma. Przede wszystkim brakuje żołnierzy, za to jest nadmiar oficerów i generałów. Według niektórych obliczeń chociaż ar-

mia rosyjska reprezentuje tylko 40% armii sowieckiej, to ilość generałów wzrosła. Obliczenia wydają się całkowicie realne — Parkinson zademonstrował jak rosła ilość pracowników Ministerstwa Kolonii Wielkiej Brytanii w miarę jak ilość kolonii zmniejszała się. Nie ma jeszcze tej profesjonalnej armii o której marzy wojenna doktryna. Nie ma też niezbędnego uzbrojenia: produkuje się ciągle stare rodzaje broni.

Armii jeszcze nie ma, ale są siły, by brać udział w wielu zbrojnych konfliktach, wybuchających na granicach Rosji. Trudno przeceniać znaczenie tych interwencji. Gruzja zapłaciła za rosyjską pomoc w walce między Szewardnadze i Gamsachurdia wstąpieniem do Wspólnoty Niepodległych Państw, czego nie chciała zrobić dwa lata temu.

Armia rosyjska jest potrzebna nie tylko dlatego, by mieszać się do miejscowych konfliktów i sprowadzać ex-sowieckie republiki do jednego związku. Sama wojskowa pomoc jest niedostateczna. Rosyjska armia dzisiaj jest potrzebna przede wszystkim samej Rosji. Bynajmniej nie w celach wojennych ale politycznych i, jakby to można powiedzieć, psychologicznych.

Po puczu w 1993 roku dużo pisano w Rosji i na Zachodzie o roli wojska i jego pretensjach. Jeden z amerykańskich specjalistów pisał, że armia rosyjska przypomina goryla, ważącego pół tony, którego należy karmić bananami, gdyż on je lubi. Jak wiadomo w Rosji jest wszystko z wyjątkiem bananów. Armie więc trzeba karmić marchewką. Ale mnie się wydaje, że w rozpowszechnianiu strasznego obrazu rosyjskiej armii, gotowej pójść za bananami wszędzie, zainteresowani są przede wszystkim działacze polityczni. Armia, albo mit potężnej armii, jest potrzebna politykom nie tylko dlatego, że „wielka pałka” zwiększa ich prestiż, ale i dlatego, że armia pozostaje symbolem państwa. Rosyjska armia pozostaje symbolem Rosji. W czasie wyborów wszyscy kandydaci prześcigali się w demonstrowaniu uczuć patriotycznych. Wielu obserwatorów przestrzega o możliwości niespodzianki ze strony Władimira Żyrinowskiego, rosyjskiego Tymińskiego, który w wyborach prezydenckich w 1991 roku zebrał 8% głosów. Jego nie można prześcignąć jeśli idzie o patriotyzm, ale obecność takiego kandydata zmusza wszystkich do wzmożenia demonstracji miłości do Rosji.

Jelcyn będzie musiał współpracować z nowym parlamentem, który, jak widać, będzie się składał z posłów takich samych poglądów, jakie mieli posłowie do Rady Najwyższej.

Nowych parlamentarzystów, tak demokratycznych jak we Francji czy Wielkiej Brytanii, nie ma. Nowi posłowie będą bardzo podobni do starych ale mimo wszystko nie będą to bliźnięta. Zmiany następują bardzo powoli, najwolniej jednak w mentalności. Jednym przykładem zmian jest pojawienie się wśród kandydatów ludzi bogatych, którzy chwają się swoim bogactwem i nim kokietują twierdząc, że zapracowane przez nich pieniądze są dowodem ich kompetencji.

Pieniądże rozkładają socjalistyczne przyzwyczajenia i tryb życia. Czy to jest dobrze czy źle — to inne zagadnienie. Kapitalizm wywołuje u większości społeczeństwa gniew i oburzenie, ale jednocześnie pociąga swymi możliwościami. Być może to jest wyjaśnieniem dlaczego prawdziwi komuniści, komunistyczna partia Genadija Ziuganowa, nie ma wielu stronników. Powrót na te same stare miejsca wydaje się niemożliwy. Wszystkie błędy komunizmu przypisuje się obecnemu rządowi, wszystkiemu są winni Jelcyn i Gajdar.

Zachodzące zmiany w mentalności (psycholodzy winni to badać) są związane z chęcią zapomnienia o przeszłości. Dzieci rosyjskie dzisiaj, gdy słyszą nie znane im nazwisko pytają: Kto to jest Lenin? A rodzice nie chcą im wyjaśnić mając nadzieję, że w ten sposób zniknie przeszłość.

11 grudnia 1993

Adam KRUCZEK

Ukraińska mapa polityczna

Zima przyszła niespodzianie w połowie listopada i uderzyła frontalnie w kraj bez ropy, gazu i waluty. Ukraina odziałła się w kozuchy, fufajki i ziemnie w niedogranych izbach, a tymczasem Rosja skraca dostawy energetyczne i żąda twardego pieniądza. Obalony, trzeci z kolei od odzyskania niepodległości, premier Kuczma oskarża swych adwersarzy, że zaniedbali sprawę utworzenia rezerw energii i rozsądnych układów z Rosją. Zdaniem byłego wicepremiera Juchnowskiego państwo postępuje od początku lekkomyślnie i chaotycznie. Ukraina ma niewykorzystane pokłady ropy i gazu ziemnego. Ale żaden z dotychczasowych gabinetów nie

zdobył się na strategiczną koncepcję uzyskania, choćby w przybliżeniu, uwolnienia kraju od jednostronnej zależności od Rosji. Wszystkie pertraktacje z Iranem, Kuwejtem i Bóg wie z kim — nie przyniosły szumnie zapowiadanych sukcesów. I gdyby obiecane rzeki ropy perskiej czy arabskiej popłynęły w kierunku portów ukraińskich nie byłoby gdzie przyjąć i przerobić dostaw. Wciąż jeszcze nie powzięto decyzji o budowie portu naftowego w Odessie. Czasami ma się wrażenie, że za kulisami działają siły, które świadomie i skutecznie torpedują koncepcję wyrwania się z energetycznych objęć Rosji. A dwie mafie: przemysłu węglowego i elektrowni atomowych — również robią swoje interesy. W parlamencie nigdy nie doszło do solidnej debaty o drogach ratunku państwa przed groźącym krachem w energetyce.

Zmęczone fałszywymi obietnicami i nieudolnością roz-zuchwalonej biurokracji, zubożeniem w warunkach nieprawdopodobnej inflacji, społeczeństwo jest niezdatne do wykrzesania efektywnych ruchów protestu. Najgorsze, że dawna klasa polityczna opozycji utonęła w nowym dygnitarstwie. W rekordowym czasie straciła żywy kontakt z masami i wyżywa się w dziwnej mieszaninie między kultem cierpiętnictwa i martyrologii a układaniem coraz to nowych manifestów i deklaracji. A prawdziwa, żmudna codzienna praca organiczna, stałe wyjazdy na prowincję, tworzenie społecznych struktur — wszystko to leży odłogiem. Są to niewątpliwie skutki systemu komunistycznego, który oduczył warstwy inteligencji od współpracy ze zwykłymi zjadaczami chleba.

Droga do wyborów

Ukraina ma więcej partii niż trzeba. Gdzieś około trzydziestu. W sztabach i zarządach zaczyna się akcje wyborcze. Obecny skład parlamentu — z tradycyjną komunistyczną nazwą Najwyższej Rady — pochodzi z marca 1990 roku czyli z końcowego okresu istnienia imperium sowieckiego. Wówczas nie było jeszcze — oprócz Komunistycznej Partii Ukrainy — żadnych stronnictw konkurencyjnych. Opozycję stanowili członkowie powstającej masowej organizacji Ukraińskiego Narodowego Ruchu na rzecz Przebudowy. Głosowano według starej ordynacji wyborczej w jednomandatowych okręgach. Komunistyczni kandydaci zdobyli niemal trzy czwarte głosów. Mieli więc solidną większość. Opozycyjna mniejszość powołała wewnątrz parlamentu nieformalną Radę

Narodową i usiłowała to drogą perswazji, to szlakiem protestów i bojkotu walczyć o reformy. Po nieudanym puczu moskiewskim w sierpniu 1991 roku nastąpił zakaz działalności komunistów. W atmosferze dezorientacji udało się bez trudu przeforsować najpierw deklarację o suwerenności, a następnie o niepodległości państwowej. Ale mimo to komunistyczne struktury, choć już nieformalne, pozostały przy życiu. Wewnątrz Rady powstały silne grupy interesów, głównie dyrektorów fabryk państwowych, przewodniczących kołchozów i byłych sekretarzy partyjnych.

W miarę upływu czasu i niemrawości powstałych grup demokratycznych, struktury komunistyczne okrzepły i podniosły głowę. Jedne utworzyły oficjalną Partię Socjalistyczną, inne przeforsowały zarejestrowanie przywróconej Partii Komunistycznej. Obecnie żerują na niezadowoleniu mas i obiecują sobie powtórzenie precedensu litewskiego i polskiego, tylko że w o wiele gorszym wydaniu, bo w odróżnieniu od swych eks-towarzyszy z Litwy i Polski, ukraińscy komuniści trzymają się kurczowo starych wzorców marksizmu-leninizmu i gospodarki planowej.

Zmarnowana szansa

Uchwalona ordynacja wyborcza jest reliktem starych czasów. Ani opozycji, ani niezależnym prawnikom nie udało się przeforsować reformy prawa wyborczego zgodnie z systemem wielopartyjnym. Większość posłów odrzuciła wszelkie warianty nowelizacji prawa większościowego. Nie zgodziła się na propozycje kompromisowe w postaci systemu mieszanego, polegającego na powiązaniu dwóch elementów systemu proporcjonalnego i większościowego. Nie udało się też znaleźć poparcia dla wniosków o wprowadzenie listy ogólnokrajowej.

Pozostanie więc — 450 jednomandatowych okręgów i kandydatów wybieranych absolutną większością głosów. Kandydatów mogą zgłaszać zarówno partie polityczne jak koalicje i bloki ale również — tak jak poprzednio — tak zwane „robocze kolektywy”. Jest to wynikiem zakulisowych machinacji tych wszystkich byłych dygnitarzy, którzy dzierżą władzę w przedsiębiorstwach i mają pieniądze. Liczą na to, że uda się im zdobyć wpływ na elektorat. Przeciwno tym potentatom i przypuszczalnej koalicji komunistów z „socjalistami” wystąpi kilka bloków — zapewne zgrupowanie Centrolewu „Nowa Ukraina”, wraz z socjaldemokratami i Partią

Liberalną, Kongres Ugrupowań Narodowo-Demokratycznych pod egidą Mychajła Horynia. Ruch pod kierownictwem Wiaczesława Czornowiła prawdopodobnie wystąpi raczej ze Związkami Zawodowymi niż z nacjonalistami, do których szef tej organizacji czasami się umizgał, ale później wycofywał. Nie wiadomo z kim się skuma Łarysa Skoryk, ambitna przywódczyni secesyjnej grupy Ruchu pod bombastyczną nazwą Wszzechukraiński Ruch Narodowy.

Skłóceni nacjonałiści

Czy nacjonałiści utworzą jakieś zjednoczenie wyborcze? Warto się zastanowić. Obecnie jest już co najmniej pięć stronictw mieniących się nacjonalistycznymi, o wspólnej genezie, wywodzącej się z imitowania włoskiego faszystwu z domieszką własnego wodzostwa. Ojcem ideologicznym początkowo jedynej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów był znakomity publicysta i polemista Dmytro Doncow, który wbrew prośbom swych uczniów nigdy nie wstąpił do owej organizacji i — mimo stosowania terroru przez nielegalny aparat OUN — był bardzo lojalnym obywatelem polskim. Na emigracji, podczas drugiej wojny światowej, w Bukareszcie poprosił o paszport polski tamtejszą ambasadę RP. Dzisiejsi nacjonałiści reprezentują nadal obydwie skłócone skrzydła „banderowców” i „melnykowców”. Ci pierwsi nadal bardzo rewolucyjni w retoryce a w polityce bezzębni i programowo zacofani — mniej więcej na poziomie lat trzydziestych — przyjęli obecnie ambitną nazwę Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów w skrócie KUN i prezydentem obrali nieco podstarzałą już, polityczną amazonkę, panią Sławę Stečko. Ich bardziej umiarkowani w stylu i programie konkurenci, okreśłani kryptonimem melnykowców i nazywający siebie prawdziwymi nacjonalistami-demokratami, występują pod starym znakiem PUN czyli Przewodnictwo Ukraińskich Nacjonalistów. Przywódcą jest dystyngowany pan — do czasu rozwiązania Centrum Państwowego na emigracji, prezydent tej instytucji Mykoła Pławiuk. Obydwie grupy zostały oficjalnie zarejestrowane w Kijowie i włączyły się do życia politycznego w kraju nie likwidując agend zagranicznych. Ani rząd ani parlament nie wypowiedziały się dotychczas na temat tego postępowania, jedyne w takiej formie, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie nowo powstałe na ruinach imperium sowieckiego państwa. Niewykluczone, że coś podobnego istnieje w Armenii w odniesieniu do tradycyjnej partii „dasznaków”. Nato-

miast trzecie ugrupowanie, które się wyłoniło podczas drugiej secesji już po drugiej wojnie światowej w postaci tak zwanych „Dwójkarzy” i jest po śmierci Darii Rebet dowodzone przez teoretyka i publicystę Anatola Kamińskiego, byłego szefa ukraińskiej redakcji w Radio Swoboda — nie angażuje się organizacyjnie w sprawy wewnętrzne Ukrainy i zastrzega sobie prawo doradcy i obserwatora. Ale to jeszcze nie koniec. Istnieje bowiem pod przewodnictwem Jurija Szuchewycza, ociemniałego syna legendarnego wodza Ukraińskiej Powstańczej Armii, Szuchewycza-Czuprynki, UNA czyli Ukraińskie Narodowe Zgromadzenie z paramilitarną organizacją Ukraińskiej Samoobrony UNSO, której członkowie walczyli najpierw w Naddniestrzu i to, dziwnym trafem, przeciwko zaprzyjaźnionej z Kijowem Mołdawii, a ostatnio po stronie gruzińskiej przeciwko Abchazji. Kilku z tych unsowców zginęło i zostało uroczyście pochowanych na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, gdzie zresztą mieści się sztab organizacji. Niedawno parlament uchwalił ustawę zabraniającą istnienia organizacji paramilitarnych. Kierownictwo UNSO odpowiedziało, że w razie jakichkolwiek akcji dyskryminacyjnych organizacja zarządzi zastosowanie terroru. Ale i ci mają konkurentów. Jest grupa młodych zapaleńców we Lwowie nazywających siebie narodowymi-socjalistami. Przewodzą im także młodzi lekarze psychiatrzy. Istnieją nacjonałiści-konserwatywni skupieni w grupie byłego dysydenta Kandyby, mieniący się oficjalnie Wszzechukraińskim Politycznym Zjednoczeniem oraz „Państwowa Niezawisłość Ukrainy” — z gazetą *Neskorena Nacija* („Nieusmierzony Naród”) pod pięknym hasłem: „Za wszystko przyjdzie dzień zapłaty”, i wreszcie niedawno zarejestrowana Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, krajowców, zarzucająca „nieproszonym gościom z emigracji” — sfałszowanie programu i celów nacjonalizmu. Szczególnie ostro atakują panią Stečko.

W całości niezły wianuszek, ale chyba jednak niezdatny do utworzenia wspólnego bloku wyborczego. A w pojedynkę żadna z wymienionych grup nie przeskoczy pięcioprocentowej poprzeczki w zasięgu ogólnokrajowym. Może jednak któreś z nich uda się gdzieś na galicyjskiej prowincji przepchać swojego człowieka.

Rozgardiasz w kościele prawosławnym

Nie najlepiej wygląda sytuacja w życiu kościelnym. Tylko kościół greckokatolicki wykazuje tendencję stabilizacyj-

ną a nawet ekspansywną. Tylko w strukturach świeckich panuje inercja. Kluby inteligencji katolickiej we Lwowie nie cieszą się poparciem hierarchii. Spogląda ona na próby modernizacji raczej karzącym niż sympatyzującym okiem. Nieliczni są duchowni, którzy sprzyjając takim tendencjom przyciągają do siebie środowisko inteligencji twórczej. Można to wyraźnie odczytać porównując skład uczestników nabożeństw niedzielnych. W katedrze Świętego Jura, gdzie panuje konserwatyzm, przeważa starsze pokolenie, i to głównie pochodzenia wiejskiego. Intelktualiści i studenci chodzą do Studytów.

Góra kościoła greckokatolickiego potrzebuje podwójnej odnowy: generacyjnej i duchowej. A tymczasem rezerwy są znikome, większość kleru wyszła z podziemia, była bogata w wierze przodków i wytrwałości patriotycznej, ale uboga w wiedzy teologicznej. A w diasporze nie było też różowo. Teologia na uczelniach unickich została gruntownie zaniedbana i gdyby nie garstka mnichów-Bazylianów, to obecnie byłaby kompletna pustka.

Mimo to, w sensie poszerzania wpływów, kościół katolicki obrządku bizantyjskiego na ostatnim Synodzie we Lwowie powziął decyzję o mianowaniu czterech nowych diecezji: Tarnopolskiej, Zborowskiej, Kołomyjsko-Czerniowieckiej, i Samborsko-Drohobyckiej. Poszerzono też skład Synodu przyjmując jako nowych członków biskupa Hrynczyszyna z Francji, biskupa z Iwano-Frankowska (Stanisławowa) Dmyterkę, z Przemyśla Martyniaka oraz wikariusza lwowskiego Kurczabę.

Abstrahując od wspomnianych przedtem słabości, kościół greckokatolicki jest dobrze zorganizowany i poza problemami w Użhorodzie nie ma wewnątrz swoich struktur podziałów i swarów. Zupełnie inaczej ma się rzecz w kościele prawosławnym. Tu panuje rozgardiasz, walka o dusze i pieniądze, nieufność, ambicje i fatalny stan ewangelizacji. Od śmierci Patriarchy Mstysława sytuacja się pogorszyła, jest w tej chwili zupełnie niemożliwa i kompromitująca religię, kler i państwo. Kościół prawosławny jest bowiem podzielony na trzy nawzajem się zwalczające struktury. Największe wpływy posiada wciąż jeszcze Ukraiński Kościół Prawosławny pozostający pod zwierzchnictwem Patriarchatu Moskiewskiego. Głową jego jest biskup Wołodymyr Słobodian z tytułem metropolity. Człowiek niewątpliwie światły i inteligentny, ale zwalczający anarchię. W tym kościele zorganizowana jest większość parafii, bo ponad 5 tysięcy. Drugim co do wielkości i wpływów jest Ukraiński Kościół Prawosławny — Patriarchatu Kijowskiego.

Posiada on ponad półtora tysiąca parafii. A powstał na skutek secesji głowy dawnego kościoła związanego z Moskwą — metropolity Filareta. Mstysław powitał początkowo tę inicjatywę a potem potępił i zadeklarował krótko przed śmiercią, że kontynuację w jego imieniu reprezentuje biskup lwowski Petro. Opróżnienie tronu patriarchy kijowskiego doprowadziło do walki o następstwo po Mstysławie. Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny obrał patriarchą popularnego w Galicji duchownego Jarekę, dając mu przydomek Dymitrija I. A konkurencyjny kościół Filareta w Kijowie obrał na patriarchę dawnego dysydenta z Wołynia, Romaniuka, który w międzyczasie wykonywał obowiązki biskupa czernihowskiego. Miaonowano go Patriarchą Wołodymyrem. Podczas Synodu wybuchła awantura z biskupem Antonim, niegdyś pupilem Mstysława. O włos otrzymalibyśmy jeszcze jednego patriarchę. W sumie sytuacja nie tak śmieszna, jak tragiczna.

Nic dziwnego, że wielu ludzi odwraca się od kościoła zanim do niego powrócili czy wstąpili. I zupełnie logiczne, że rośnie liczba sekt i ich zwolenników. Najnowszym wydarzeniem z tej nieprzejrzystej scenarii był spęd zwolenników Białego Bractwa, z piękną dawną komsomołką Maryną Zwyhun występującą dziś w roli Marii Devi Chrystus i będącą pod wpływem magii byłego psychiatry, Jurija Kriwonogowa, pracującego z ramienia KGB nad środkami obezwładniania woli ludzkiej, współczesnego Rasputina z Kijowa. Sekta przepowiadająca koniec świata i głosząca samobójstwo jako drogę do raju — rozwija się tylko na terenach należących formalnie do kościoła prawosławnego: na Ukrainie, w Rosji i na Białorusi, ale nie tam, gdzie istnieją kościoły greckokatolickie albo rzymski i nie na terenach islamskich.

Kijów, 6 grudnia 1993

Bohdan OSADCZUK

Kronika niemiecka

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: W pierwszej połowie roku wśród inwestorów zagranicznych na pierwszym miejscu pod względem inwestycji na terenie byłej NRD figuruje Szwajcaria, przed Wielką Brytanią i Austrią. Wskaźnik inwestycji

w nowych landach wzrósł o 30 %, zaś w starych landach zmalał o 6 %. ■ W minionych trzech latach Komisaryczny Urząd Powierniczy (*Treuhandanstalt*) dokonał przekształceń własnościowych 3151 przedsiębiorstw byłej NRD. Zachowano w nich 31 % miejsc pracy. ■ Zdaniem ekspertów Banku Federalnego (*Bundesbank*) zachodnioniemieckie gospodarstwa domowe skompensowały już straty spowodowane wojną i reformą walutową, czego wyrazem ma być ponad 8 bilionów marek oszczędności w bankach. Pod koniec ub.r. przeciętne zachodnioniemieckie gospodarstwo domowe posiadało 110 000 a wschodnioniemieckie 30 000 marek oszczędności. ■ W roku szkolnym 91/92 liczba uczniów cudzoziemskich w szkołach niemieckich po raz pierwszy przekroczyła liczbę 1 miliona. ■ W ub. r. z Kościoła katolickiego wystąpiła największa, od zakończenia wojny, liczba wiernych, tj. 200 000 osób. W roku 1991 ich liczba wynosiła 168 000. ■ Według danych Instytutu R+V-Infocenters w trzy lata po zjednoczeniu obywatele starych landów najbardziej boją się wzrostu kosztów utrzymania, przed ciężką chorobą, potrzebą opieki w wieku starszym oraz napięciami związanymi z napływem cudzoziemców i osób składających podanie o azyl. Podobnie jest w nowych landach, gdzie na drugim miejscu znajduje się strach przed uwikłaniem się Niemiec w wojnę. ■ Od roku 1980 liczba studentów w Niemczech uległa podwojeniu, a w roku 1990 przewyższyła liczbę uczniów szkół zawodowych. ■ Na rok przyszły prognozy przewidują wzrost liczby bezrobotnych w Niemczech do 4,2 mln osób. ■ Odbudowa nowych landów wymagać będzie jeszcze przez szereg lat transferu finansowego rządu ponad 100 miliardów marek rocznie z landów zachodnich. Obecnie wynosi ok. 5 % całości produktu socjalnego, tj. ok. 150 miliardów marek. ■ Siła nabywcza Niemców znajduje się nadal na drugim miejscu za Szwajcarią. ■ Niemcy znajdują się obecnie na czwartym miejscu wśród światowych eksporterów produktów rolnych po USA, Francji i Holandii, a co piąta marka w zarobkach rolników niemieckich pochodzi z eksportu. ■ Liczba bezrobotnych wśród absolwentów uczelni wyższych osiągnęła 117 000 osób. ■ Eksperti niemieccy przewidują, że w roku 2000 w branży ochrony środowiska pracować będzie w Niemczech ponad 1,1 miliona osób, tj. więcej niż w przemyśle elektrotechnicznym. ■ Zużycie energii elektrycznej w Niemczech Wschodnich spadło w okresie lat 89-92 o 60 % głównie na skutek upadku przemysłu. ■ Trzydziestu burmistrzów z miast niemieckich i polskich regionu nadodrzańskiego zabiega o większe wsparcie gospodarczej współpracy ponadgranicznej. ■ Dnia 21.09.93 roku podpisano pierwszy układ o utworzeniu przygranicznego obszaru współpracy gospodarczej tzw. Euroregionu między Polską a niemieckim landem Brandenburgią. Po stronie

polskiej obejmuje on 18 gmin z centrum w Zielonej Górze. Planuje się podpisanie dalszych tego rodzaju umów w najbliższym czasie. ■ POLITYKA: Większość Niemców odrzuca szybką przeprowadzkę rządu z Bonn do Berlina z powodu zbyt dużych kosztów. ■ Spośród 386 000 cudzoziemców żyjących w Berlinie na pierwszym miejscu są Turcy (139 000) przed obywatelami państw byłej Jugosławii (48 000) oraz Polakami (29 000) — nie licząc przesiedleńców z Polski, których liczbę w Berlinie ocenia się na 80 000. ■ W roku ubiegłym obywatelstwo niemieckie w Berlinie przyjęło 3100 obywateli Turcji przed obywatelami polskimi — 550 osób (bez przesiedleńców). ■ Prezydent Niemiec, Richard von Weizsäcker otrzymał honorowe obywatelstwo Gdańska. ■ Minister obrony, Rühle, podtrzymuje swe żądanie przyjęcia do NATO Polski, Czech, Węgier i Słowacji. ■ 1 września br. w Kassel przedstawiciele Niemiec, Wielkiej Brytanii i Rosji wzięli udział w uroczystości poświęconej wybuchowi II wojny światowej. ■ W ramach redukcji stanu osobowego, Bundeswehra zamierza w 1994 r. zredukować 44 000 stanowisk dla żołnierzy i 10 000 stanowisk dla pracowników cywilnych. ■ Zdaniem przedstawiciela Deutsche Bank, Georga Kruppa, Rosja posiada duże rezerwy dewizowe w wysokości 40 mld dolarów, co jego zdaniem usprawiedliwia wstrzemięźliwość rządu RFN w udzielaniu gwarantowanych przez rząd kredytów (*Hermeskredite*). ■ Rząd w Bonn wyraził zgodę na prolongatę części zadłużenia Rosji w wysokości 8 mld marek, które mają być zwrócone w ciągu najbliższych 10 lat. ■ W dramatycznym tempie zmniejsza się liczba członków demokratycznych partii w Niemczech wschodnich. W czterech z pięciu nowych landów najwięcej członków ma partia PDS zrzeszająca przeważnie komunistów i ich zwolenników z czasów NRD. ■ Zdaniem przewodniczącego Centralnej Rady Żydów w Niemczech, Bubisa, w Niemczech istnieje wyraźny trend do otwartego antysemityzmu. Uzasadnił on swój pogląd tym, że dawniej otrzymywał obelżywe listy anonimowo, zaś dziś z podaniem dokładnego adresu i nazwisk nadawców. ■ Według danych opublikowanych w gazecie *Frankfurter Allgemeine Zeitung* wrogość Niemców do cudzoziemców jest mniejsza niż przed 10 laty. Pytania ankiet odnosiły się przy tym głównie do tzw. *gastarbeiterów*, przeważnie Włochów i Turków. Większość ankietowanych Niemców odrzuca możliwość odgraniczenia się od cudzoziemców. Jedynie 4% ankietowanych stwierdziło m.in., iż nie chciałoby mieć za sąsiadów Włochów, a 17% — Turków i Polaków. ■ Kilka krajów związkowych RFN zakazało wywieszania tzw. flagi wojennej Rzeszy (*Reichskriegsflagge*) używanej demonstracyjnie przez neofaszystów. ■ Według danych opublikowanych przez *Institut für praxisorientierte Sozialforschung* w Moguncji 54 % obywateli USA obawia się powrotu

narodowego socjalizmu w Niemczech. ■ Władze niemieckie rozważają możliwość zakazu działalności dalszych partii i organizacji neofaszystowskich i skrajnie prawicowych, jak np. *Nationale Liste*, *Freiheitliche Deutsche Arbeiterpartei* (FAP), *Sozialrevolutionäre Arbeiterfront*, *Föderwerk Mitteldeutsche Jugend* i innych. ■ Zdaniem przewodniczącego Centralnej Rady Żydów w Niemczech, Bubisa, „w ostatnich czasach władze niemieckie nie brały pod uwagę wystarczająco poważnie niebezpieczeństwa wynikającego ze strony ekstremizmu skrajnie prawicowego”. ■ W miesiącach od lipca do września doszło znów do pobicia obywateli polskich na terenie nowych landów. Ofiarą brutalnego pobicia padło też kilku polskich studentów Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. ■ W lipcu 1993 oficjalnie pożegnano ostatnie oddziały kanadyjskie stacjonujące w Niemczech. ■ Rządzące partie CDU i CSU nadal są przeciwne wprowadzeniu tzw. prawa imigracyjnego. Przewodniczący tej frakcji, Gerster, powiedział, że i tak na skutek roszczeń, gwarantowanych konstytucją do Niemiec przybywać będzie rocznie 220.000 przesiedleńców, 250.000 członków rodzin żyjących w Niemczech obcokrajowców oraz 150.000 osób ubiegających się o azyl. „Więcej osób Niemcy nie są w stanie zintegrować”. ■ Liczba osób szukających azylu w Niemczech spadła w sierpniu o ponad połowę na skutek wejścia w życie nowego zaostrzonego prawa azylowego. ■ Najbogatszą partią w Niemczech jest partia PDS powstała jako następczyni partii komunistów enerdowskich SED, a jej majątek wynosi 964,2 miliona marek. ■ W domu urodzin byłego ministra spraw zagranicznych, Genschera, w Halle, powstać ma centrum historii niemieckiej i europejskiej. ■ W połowie września z inicjatywy ambasadora Polski w Niemczech, Janusa Reitera, parlamentarny sekretarz państwowy w niemieckim MSW, Horst Waffenschmidt, przyjął przedstawicieli naczelną organizację polskich w Niemczech. Poruszono problemy Polonii, między innymi sprawy nauczania języka polskiego w Niemczech. Następne spotkanie zaplanowano na początek 1994 r. ■ W niezwykle jednoznacznych słowach na dorocznym przyjęciu wydanym przez kanclerza Kohla przedstawiciele zagranicznych korpusów dyplomatycznych wyrazili swój niepokój o bezpieczeństwo żyjących w Niemczech cudzoziemców. W odpowiedzi na to Kohl stwierdził, że „kto podjudza do nienawiści przeciwko cudzoziemcom, nie może być uznawany za dobrego patriotę niemieckiego”. ■ Prezydent niemieckiej Służby Ochrony Konstytucji Wortebach przestrzegł przed możliwością tworzenia bloków wyborczych przez partie skrajnie prawicowe. Stwierdził on też fakt „intelektualizacji” tych ugrupowań, jak również rosnących powiązań między *skinhead*ami a ugrupowaniami neofaszystowskimi. Jakościowa zmiana w postępowaniu

tych ugrupowań dokonuje się też m.in. przez korzystanie z nowoczesnych urządzeń telekomunikacji i tworzenie komputerowych sieci informacyjnych. ■ W Niemczech pojawiła się wydana przez neofaszystów lista 250 osób uznanych za wrogie. Znajdują się na niej m.in. nazwiska i adresy a niekiedy również szczegółowe opisy życia osobistego 250 polityków, dziennikarzy, działaczy na rzecz integracji cudzoziemców, przeciwników neofaszystów i działaczy organizacji lewicowych. Publikacja zawiera też wezwanie do zwalczania tych osób we wszelki możliwy sposób. ■ W połowie listopada policja niemiecka odkryła dobrze zorganizowane konspiracyjne struktury organizacji neofaszystowskich w Niemczech. ■ Przyznaną po raz pierwszy nagrodę niemiecko-polską za działalność na rzecz zbliżenia obu narodów otrzymali były premier Tadeusz Mazowiecki oraz pośmiertnie były kanclerz Willy Brandt. ■ W tym roku 115.000 spośród tzw. Niemców Nadwołżańskich deportowanych przez Stalina do azjatyckiej części Związku Sowieckiego przesiedliło się na teren Rosji centralnej. ■ Organizacja Niemców Nadwołżańskich pragnie utworzyć swój własny parlament jako najwyższy organ reprezentujący interesy tej mniejszości etnicznej. ■ Podobnie jak prezydent Richard von Weizsäcker również federalny minister pracy Norbert Blüm wypowiedział się za wprowadzeniem obowiązku powszechnej służby wojskowej bądź zastępczej służby specjalnej dla mężczyzn i kobiet. ■ W połowie listopada 1993 w miejscowości Werder pod Poczdamem odbyła się trzydniowa konferencja dla dziennikarzy, zajmujących się problemem rozwoju stosunków niemiecko-polskich, poświęcona występowaniu stereotypów we wzajemnych relacjach. Udział w niej wzięło 115 przedstawicielek i przedstawicieli prasy regionalnej i ponadregionalnej z obu krajów oraz kilku rozgłośni radiowych. ■ W grudniu 1993 roku kierownik przedstawicielstwa Ambasady Polskiej w Berlinie minister pełnomocny Jerzy Sułek odznaczył dwóch byłych obywateli NRD Kawalerskim Krzyżem Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Mimo ogromnego niebezpieczeństwa ze strony enerdowskiej bezpieki odznaczeni Bernd Hille i Jürgen Kumpf pomagali „Solidarności” w okresie lat 1980-83 w zdobywaniu papieru i farby drukarskiej, którą następnie szmuglowano do Polski. ■ Z udziałem polskich i niemieckich osobistości życia politycznego dziesiątą rocznicę istnienia obchodziła istniejąca w Berlinie Polska Rada Socjalna. ■ W organizowanych przez Bundeswehre w Hamburgu-Blankensee kursach dowodzenia na szczeblu generałów i admirałów dla przedstawicieli armii byłego bloku wschodniego również w roku 1993 udział wzięli dwaj oficerowie z Polski (dotychczas ogółem 6). ■ **KULTURA:** Ufundowaną przez pisarza Güntera Grassa nagrodę im. Daniela Chodowieckiego otrzymała polska malarka Magdalena Hoffmann.

■ Rok bieżący po raz kolejny zaznacza się malejącą w Niemczech popularnością filmów produkcji niemieckiej. Udział filmów rodzimych w kinach w roku 1992 wynosił zaledwie 10%, zaś amerykańskich — 81%. Wskaźnik za rok 1993 do miesiąca sierpnia wyniósł 6% filmów niemieckich, 86% — amerykańskich. ■ W lipcu 1993 jedyna polskojęzyczna rozgłośnia radiowa w Niemczech, działająca wyłącznie w oparciu o środki rządowe, Deutschlandfunk, która nadaje docelowo na obszar Polski, weszła w skład rozgłośni Deutsche Welle pod kierownictwem Jürgena Vietiga i jego zastępcy, Huberta Wohla. ■ Przeciętny obywatel Niemiec powyżej lat 6 poświęcił w czerwcu 93 r. 2 godziny i 34 minuty dziennie na oglądanie telewizji. Najczęściej oglądano program stacji RTL (19,8%) przed ZDF (17,8%), ARD (16,8%) i Sat 1 (14,2%). ■ We wrześniu 1993 we Frankfurcie nad Odrą zorganizowano tydzień sztuki państw bałtyckich z udziałem 90 artystów z Litwy, Łotwy i Estonii. ■ Nabożeństwa kościelne w języku polskim odprawiane są regularnie w prawie 300 miastach Republiki Federalnej. ■ W stolicy Niemiec, za zgodą i przy pomocy berlińskich władz oświatowych, 180 dzieci z rodzin pochodzących z Polski uczęszcza regularnie na lekcje języka polskiego. Prowadzone są one przez 15 nauczycieli i nauczycieli z polskiej organizacji szkolnej „Oświata” w pomieszczeniach szkół niemieckich. W programie znajduje się nauka języka polskiego, polskiej historii oraz geografia Polski. Odnotowujemy się coraz większy udział w lekcjach dzieci z rodzin przesiedleńców. Działalność tych szkół wspierana jest również przez przedstawicielstwo Ambasady Polskiej w Berlinie.

Andrzej STACH

Spotkanie polsko-ukraińskie w Paryżu

Z inicjatywy paryskiego Stowarzyszenia Polsko-Ukraińskiego i Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbyło się w dniu 11 grudnia 1993 r. w Bibliotece Polskiej spotkanie z Danielem Beauvois profesorem Uniwersytetu Lille III. Profesor Daniel Beauvois, autor wielu książek m.in.: „Historia Uniwersytetu Wileńskiego”, „Oświecenie i społeczeństwa Europy Wschodniej w latach 1803–1832” oraz „Polacy na Ukrainie 1831–1863” (polski

przekład ukazał się nakładem Instytutu Literackiego) — prezentował swoją najnowszą pracę, która ukazała się po francusku: „Walka o ziemię na Ukrainie w latach 1863–1914. Polacy i konflikty społeczno-narodowościowe”.

Daniel Beauvois udowodnił, że drobną szlachtę czynszową wygnali z domów po Powstaniu Styczniowym właściciele majątków ziemskich. Czyli, że Polacy wygnali Polaków. Zdarzało się, że wywożono całe przysiółki, bo przecież nie było już sejmików szlacheckich i kreski „panów braci” do głosowania okazały się niepotrzebne. W archiwach rosyjskich i ukraińskich znajdują się całe stopy zażaleń i skarg owych nieszczęśników. O dramacie szlachty czynszowej nie pisał dotąd żaden z historyków polskich, ukraińskich lub rosyjskich.

Po odczycie Daniela Beauvois rozpoczęła się ożywiona dyskusja. Głos zabrali, m.in. Ambasador Republiki Ukrainy w Paryżu Jurij Koczubej, profesor Arkady Żukowski, prezes Instytutu Naukowego im. Tarasa Szewczenki.

Dyskusję podsumował Wołodimir Małynowicz, przewodniczący Stowarzyszenia Polsko-Ukraińskiego w Paryżu, podkreślając wagę tego rodzaju inicjatyw dla rozwoju współpracy polsko-ukraińskiej, która ma obecnie ogromne znaczenie.

Stowarzyszenie Polsko-Ukraińskie w Paryżu planuje w najbliższym czasie kolejne dyskusje i spotkania. Po Nowym Roku — dyskusję o nowej książce Józefa Darskiego o Ukrainie.

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Kronika kulturalna

Dni pamięci

SYMPOZJUM W WILNIE O SZEŚCIU WIEKACH OBECNOŚCI ŻYDÓW NA LITWIE

W czasach Związku Sowieckiego pamięć o Żydach na Litwie ulegała postępującemu zanikowi. Na miejscu, nielicznych ocalonych pozbawiało związku z własnymi korzeniami ciążenie pseudointernacjonalizmu proletariackiego, zaś w diasporze pamięć ta roztopiała się powoli w pamięci Szoa. Próba usunięcia z dziedzictwa europejskiego zbiorowości, która dała początek tylu ważnym ruchom i tylu wybitnym osobistościom, była jednak przedsięwzięciem z góry skazanym na klęskę.

Odzyskiwanie tożsamości towarzyszące rozpadowi Związku Sowieckiego pozwoliło, rzecz jasna, powiązać nici historii. Miało to miejsce m.in. w Paryżu, gdzie wspólnotę aszkenazyjską poruszyła rozprawa doktorska Henri Minczelesa „Vilna, Wilno, Vilnė: litewska Jerozolima”, wyróżniona nagrodą J. Buchmanna pamięci Szoa. Książka, która z niej wyrosła zyskała zasłużone powodzenie¹.

W następstwie tego wydarzenia, zarówno w Wilnie jak w Paryżu i Amsterdamie, zrodził się pomysł sympozjum o sześciu wiekach obecności żydowskiej na Litwie. Odbyło się ono w Wilnie od 10 do 15 października 1993, a jego organizatorem było muzeum żydowskie w Wilnie (Emmanuelis Singeris, Rachel Kostanian, Israel Lempertas i Rachel Margolis)² przy współpracy grupy francuskiej (Philo Bregstein, Henri Minczeles, Yves Plasse-

1. Henri Minczeles, *Vilna, Wilno, Vilnius, la Jérusalem de Lituanie*, La Découverte, Paris, 1993.

2. Państwowe Muzeum Żydowskie, Pamenkalnio 12, 232001 Vilnius, Litwa.

raud i Odile Suganas) oraz z pomocą ambasady francuskiej na Litwie i muzeum żydowskiego w Amsterdamie.

Sympozjum otwarli E. Zingeris, honorowy przewodniczący Wspólnoty Żydowskiej na Litwie, S. Alperavicius, jej przewodniczący, C. Jursenas, przewodniczący Sejmu litewskiego, pani H.E. Tova-Herzl, ambasador Izraela na Litwie, i Philippe de Suremain, ambasador Francji.

Sympozjum miało duże powodzenie: w obradach stale uczestniczyło około stu osób bardzo przejętych poruszonymi sprawami. Większość uczestników pochodziła, rzecz jasna, z Litwy — V. Landsbergis wygłosił poza programem wzruszające przemówienie — ale odnotowano też obecność wielu cudzoziemców, którzy specjalnie na tę okoliczność przyjechali do Wilna.

Byli wśród nich historycy z Izraela, przedstawiciele ośrodka Szymona Wiesenthala, Amerykanie, Belgowie, Holendrzy, w tym przedstawiciele muzeum żydowskiego w Amsterdamie (Ralph Levie) i Państwowego Instytutu Dokumentacji Wojny (Hans de Vries), Rosjanie i liczna delegacja francuska. W ciągu pięciu dni sympozjum poruszono wszystkie aspekty judaizmu litewskiego od filozofii Gaoua z Wilna do przyszłości małej wspólnoty żydowskiej na Litwie, której liczebność niestety szybko maleje.

Wśród wyróżniających się prelegentów wymienić należy Henri Minczelesa — „Sześć wieków obecności żydowskiej na Litwie”, Ralpa Leviego — „O pracy pamięci”, Dova Levina z uniwersytetu hebrajskiego w Jerozolimie — „Wspomnienia z getta w Kownie i z walk partyzanckich”, Rachel Margolis — „Żydowska organizacja bojowa FPO”, I. Lempertasa — „Żydzi w Wilnie przed holocaustem i po nim” oraz historyka litewskiego L. Trusca — „Litwini i Żydzi”.

Dyskusje dotyczące początków kultury Żydów litewskich i zbiorowości żydowskiej w przeszłości przebiegały w pogodnej atmosferze. Inny klimat panował jednak, jak sobie łatwo wyobrazić, podczas wystąpień, często improwizowanych, na temat drugiej wojny światowej i stosunków litewsko-żydowskich w jej toku oraz w okresie ją poprzedzającym. Przedmiotem sporu między historykami a ocalonymi nie były uzasadnione stwierdzenia dotyczące czynnego udziału pewnych elementów litewskich w urzeczywistnianiu „ostatecznego rozwiązania”, ale uznanie Litwinów za obciążonych zbiorową winą.

Niektórzy, jak D. Levin, A. Bubnys, M. Erenburg czy Y. Plasseraud, próbowali przedstawić spokojne odczytanie historii i głosili potrzebę pogodzenia. Inni, jak litewski pracownik naukowy, A. Jakubcionis czy dyrektor ośrodka Wiesenthala w Jerozolimie, Efraim Zuroff, skłonni byli raczej oskarżać wszystkich Litwinów i malować czarny obraz obecnej sytuacji.

Ta postawa „maksymalistyczna”, uważana przez wielu za niebezpieczną dla społeczeństwa litewskiego, spowodowała jednak dobre skutki. Po pierwsze, jest często pożyteczne, by niektórzy wyrażali głośno to, co wielu myśli po cichu. Nadto zaś miało to tę zaletę, że pozwoliło innym mówcom uniknąć krążenia wokół tematu uważanego przez większość uczestników za centralny. Dyskusje, często ożywione, ale zawsze w dobrym stylu, trwały niekiedy do późnych godzin.

Wieczory były zresztą zapełnione również przez naszych litewskich przyjaciół, którzy zorganizowali m.in. prapremierowy pokaz nowego filmu „Farewell Jerusalem” młodego i zdolnego reżysera (nie-Żyda), Sauliusa Berzinisa, pokaz krótkometrażowego filmu Dova Levina „Śladami partyzantów” czy wieczór pieśni Żydów litewskich w wykonaniu młodej grupy austriackiej „Goje”, która wzruszyła w najwyższym stopniu zarówno obecnych na sali ocalonych, jak samych muzyków.

Uczestnicy zwiedzili getto w Kownie, IX Fort i przeszli śladami Żydów kowieńskich, oprowadzani przez osobę, która uratowała się z getta; byli też w Ponarach (Panirai), gdzie zgładzono większość Żydów wileńskich. Mogliśmy być też świadkami powrotu niektórych uczestników sympozjum do stron rodzinnych. Piękna wystawa fotografii, zorganizowana w jednej z galerii w centrum Wilna, pokazywała zadziwiające odnalezienie przez rodzinę Bregstein jej historii.

Akta sympozjum mają niebawem ukazać się nakładem wileńskiego wydawnictwa Baltos Lankos. Ponadto prawie całe sympozjum zostało sfilmowane na video przez Sauliusa Berzinisa; kasetą będzie wkrótce dostępna w muzeum żydowskim w Wilnie i we francuskim komitecie dni pamięci³.

Tak oto stworzono podstawę dla dalszych badań historycznych i naukowych, i dla dalszej dyskusji. Kolejne sympozjum ma odbyć się od 6 do 10 lipca 1994 w Wilnie z inicjatywy Instytutu Historii Litwy Litewskiej Akademii Nauk. Ma ono traktować o stosunkach między Litwinami a Żydami w pierwszej połowie XX wieku⁴.

S. POURCHIER, Y. PLASSERAUD

3. c/o Odile Suganas, 56, rue Fondary, 75015 Paris.

4. Informacji udziela dr. Zalys, z-ca dyrektora Instytutu Historii Litwy, 30 T. Kosciuskos, 232600 Vilnius.

Prośba o opamiętanie

Debata, numer 1-szy wrzesień-październik, sprawia dobre wrażenie. Godne uwagi wydają mi się opinie Ryszarda Legutki w umieszczonym na pierwszym miejscu artykule „Rozterki konserwatysty w Polsce Niepodległej”: „Polscy konserwatyści pozwolili rozpuścić się konserwatyzmowi w polityczno-publicystycznej marności. W takiej postawie widzę coś więcej niż błąd; widzę chęć osiągnięcia łatwego zwycięstwa politycznego. Zwycięstwo polityczne prawicy — jeśli w ogóle możliwe i jeśli jest coś takiego, jak dający się zidentyfikować ruch prawicowy w Polsce — niczego nie zmieni, o ile nie będzie za tym, a raczej równocześnie z tym szła jakaś wyraźna formacja kulturowa. W przeciwnym razie prawica popadnie w obsesję lewicowego obłąkania. Symptomy tego stanu rzeczy są już widoczne”. Ten sam tekst Legutki ukazał się równocześnie w 46-tym numerze *Arki*, pisma, do którego się ta diagnoza najściślej stosuje. Przed rokiem pojawił się w *Arce* (nr 42) obszerny szkic Wiesława Pawła Szymańskiego „Maria Dąbrowska — uroki dworu”. Zamiar krytycznego rozważenia zarówno rangi literackiej „Nocy i dni” jak i autorytetu moralnego, jakim cieszyła się autorka, wydał mi się jak najbardziej na miejscu. Jednak Szymański swą negatywną opinię o piśmarstwie Dąbrowskiej opiera nie na analizie dzieła lecz uznaje za nieuchronną konsekwencję faktu, że miała nieuporządkowane życie osobiste. Tak więc wkrótce ktoś zechce zdeprecjonować twórczość Zygmunta Krasińskiego, który miał również bardzo nieuporządkowane życie osobiste. Znacznie więcej racji ma Szymański wyszukując w *Dziennikach* Dąbrowskiej fragmenty prawdziwie kłopotliwe. Uwaga ze stycznia 1950 o decyzji senatu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego zabraniającej studentom należenia do Związku Młodzieży Akademickiej (uniwersyteckiej filii ZMP): „Decyzja KUL-u jest odruchem samoobrony, ale i krępowania swobody osobistej studentów. Ale takie skrępowanie jest zgodne z całą procedurą funkcjonowania systemu katolickiego, mającego w praktyce i w filozofii duże podobieństwo do systemu marksistowskiego”, ta uwaga wyrażona na dodatek w chwili, gdy już żadne inne organizacje studenckie poza owym ZMP nie były dopuszczane, nie świadczy dobrze o inteligencji i słuchu społecznym autorki. Nie jest może postępowaniem w pełni przyzwoitym osądzanie kogoś na podstawie ocenzonego tekstu *Dziennika*, gdzie pozostało wszystko co świadczy o ustępliwości wobec władzy, a jak można sądzić wypadło to, co było władzy niemiłe. Inna rzecz, że Tadeusz Drewnowski ogłosił

niedawno w *Polityce* fragment kiedyś usunięty a jednak wystawiający złe świadectwo autorce. Była tam mowa o wyjeździe w składzie polskiej delegacji na jakąś propagandową imprezę obrońców pokoju. D. doskonale zdawała sobie sprawę, z charakteru tego przedsięwzięcia, przyznała się jednak sama przed sobą, że chodzi jej o odbycie podróży i zobaczenie innego świata. Powiedzmy, że w tamtych czasach każda podróż na zachód mogła być już ostatnią i pokusa była dostatecznie silna. Jednak podczas wyprawy D. zamiast oglądać świat i go opisać, zajmowała się głównie czynieniem afrontów innej uczestniczącej spotkaniu, Wandzie Wasilewskiej, z poczuciem swej absolutnej wyższości moralnej. Takie poczucie byłoby usprawiedliwione gdyby została w Warszawie, po przyjęciu zaproszenia wydaje się nieco wątpliwe. Po którymś cytacie Szymańskiego zaglądam do wydania „Czytelnika”, czy rzeczywiście Maria Dąbrowska mogła coś takiego napisać? Wygląda to tak: Szymański — „...D. akceptuje 'rzeczywistość' i podbudowując ją 'filozofię' — materializm-marksizm. «Marksizm to (...) płodny etap myśli ludzkiej; pomocny w poznawaniu wielu zjawisk życia zbiorowego i pomocny w urządzaniu go». Dąbrowska — Dzienniki t. 3 str. 134, 18 VI 1948 „Piątek. Rano przy śniadaniu, kiedy Anna powiedziała, że jest niewyspana a musi dużo dziś pracować, ja do niej: napij się kawy. Na to St. zaśpiewał ze 'Straszego Dworu': Zażyj tabaki!, odtąd picie kawy nazywamy: zażyj tabaki.

Wiarę w życie przyszłe zastąpiono wiarą w przyszłe pokolenia. Lecz z chwilą kiedy skreślamy nieśmiertelność człowieka indywidualnego i sens absolutny jego życia, z chwilą gdy nie mają nas obchodzić ludzie obecni, cóż mogą kogokolwiek obchodzić ludzie w ogóle, a więc i przyszłe pokolenia. Trudno wprost wyrazić, do jakiego stopnia marksizm jest systemem błędnych kół. A mógłby nie być, gdyby brano go skromnie za to, czym jest, za płodny etap myśli ludzkiej; pomocny w poznaniu wielu zjawisk życia zbiorowego i pomocny w urządzaniu go”. To ostatnie zdanie może być oczywiście przedmiotem sporu. Fakt, że profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego o nieposzlakowanej przeszłości, nie pochodzący z partyjnego awansu może tak nierzetelnie cytować budzi zdumienie. Na każde pięć cytatów z Dąbrowskiej, trzy prof. dr W.P. Szymański bądź przeinacza, bądź interpretuje z jaskrawo złą wolą. W ten sposób zdają się tracić znaczenie pozostałe dwa, wybrane nie bez pewnej racji. Przykładem małostkowego, nienawistnego zacietrzewienia Szymańskiego jest uwaga, że gdy D. napadała bezlitośnie i bezpardonowo na emigrację „basował jej Jerzy Stempowski”. Zwrotu, że Jerzy Stempowski komukolwiek basował, mógł użyć tylko człowiek, który bądź nie miał w ręku żadnego tekstu tego autora bądź jest całkowicie i nieuleczalnie głuchy na polszczyznę. A odbie-

ranie konsekwentnemu emigrantowi prawa do krytykowania emigracji wydaje się obłądne. Opinie Dąbrowskiej o emigracji były bardzo niesprawiedliwe. Skoro jednak wyrażała je tylko w rozmowach z emigracją, co zanotował Gustaw Herling-Grudziński, i w Dzienniku lecz nigdy w prasie reżimowej, można je uznać za niemądre. Szymański natomiast sugeruje, że były podłe. To jest charakterystyczne dla dzisiejszych polskich morderczych nie sporów lecz waśni. Gdy ktoś ma odmienne zdanie, nie dopuszcza się myśli o jego lub naszej pomyłce, którą można spróbować wyjaśnić. Odrzuca się nawet przypuszczenie głupoty drugiej strony, co można by łagodzić cierpliwą łagodną perswazją. Nie — są tylko wrogowie, podli i spiskujący, nasi Europejczycy i ciemnogród. „Kompromitacja, bez której język sprzeciwu nie potrafi się obejść — pisze w ostatnim, 46-tym numerze *Arki* Włodzimierz Paźniewski — rujnuje dzisiaj autorytety i wytwarza groźną dla kultury pustkę aksjologiczną, dlatego kompromitacją jako metodą posługiwali się komuniści. Dziś przoduje w niej gazeta pełna demokratycznych sloganów, kierowana przez byłego opozycjonistę”. Mnie przez chwilę nie było na tym podwórku i nie umiem uczciwie powiedzieć, który z chłopców zaczął pierwszy. Jeśli nawet *Gazeta Wyborcza* miała w tym obłąkanym wyścigu jakieś dni przewagi to *Nowy Świat* a dziś *Gazeta Polska* czy *Arka* nie dają się poważnie zdystansować. I oto *Debata* pismo poważne i umiarkowane, w którym artykuły Adama Strzembosza „Prawo bez obyczajów” i dominikanina ojca Macieja Zięby dotyczą najważniejszych problemów dzisiejszej Polski, otóż ta właśnie *Debata* zamieszcza już w pierwszym numerze felieton Cezarego Michalskiego „Nowa żdanowszczyzna” ściągający pismo na dno. Wiosną roku 93 Marek Jarosław Rymkiewicz ogłosił tekst, który spotkał się z gwałtowną repliką ze strony Marka Beylina na łamach *Gazety Wyborczej*. Tam gdzie Rymkiewicz zdaje się używać floretu, według wszelkich przyjętych reguł, jego polemista używa nieheblowanej deski, z której wysterczają zardzewiałe gwoździe. Mam zresztą wrażenie, że Rymkiewicz dobierając słowa, w części zastanawiał się nad ich sensem, a w części nad ich brzmieniem. Beylin zredukował tekst pisarza do prostej jednoznacznej deklaracji politycznej. Nie podzielać jego opinii można mu więc wyrzucać prostactwo czy prymitywizm. Cezary Michalski nazywa go „Wściekłym” funkcjonariuszem „nowej żdanowszczyzny”. W tym samym numerze Cezary Michalski zamieszcza także duży, rzeczowy artykuł na temat tendencji etatystycznych w gospodarce francuskiej przedstawiający bardzo klarownie i obiektywnie sprawy zawile. Człowiek bezsprzecznie inteligentny i porządnie wykształcony ulega w chwilę potem paroksyzmowi nienawiści. Marek Beylin był członkiem redakcji podziemnej *Krytyki*. Nazywanie go funkcjonariuszem jest grubą nieprzyzwoitością. W

końcu, bez żadnych teczek policyjnych na ogół wiadomo, kto był porządny, a kto awanse i dobra zawdzięczał donosom. Piotr Wierzbicki w swych najlepszych czasach pisał teksty pobudzające do sprzeciwu. Przed wojną tak zachowywał się Adolf Nowaczyński, traktowany jako pełnoprawny uczestnik gry. Wierzbicki, czując się przyperiany do muru i obrzucany obelgami na równi przez synów pułku im. 13 grudnia, umieszczających zgrabne felietony w *Polityce* i swych kolegów z obozu internowania, zaczął wykonywać ruchy szalone. Doświadczeni felietoniści podsycając zęcnie bójki zdołali sprawić, że zajęta wewnętrznymi porachunkami dawna opozycja odwróciła się plecami do rzeczywistości. Teksty zamieszczone w 1-szym numerze *Debaty* oparte były na założeniu, że po wrześniowych wyborach pozostanie rząd panu Suchockiej, który by warto przeciągnąć nieco na prawo. Konieczność przemyslenia wszystkiego na nowo jest najwyraźniej powodem zwłoki w wydaniu następnego numeru. Klęska przyczyniła się do pewnej poprawy *Gazety Wyborczej* przekształcającej się w przyzwoity dziennik opozycyjny. Tymczasem Ryszard Marek Groński skorzystał z okazji pojawienia się mojej książki „Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia” by znaleźć dla mnie miłe słowa, opowiadając o jego i mojej przyjaźni z Antonim Słonimskim. Nie wydaje mi się to uprawnione. Pamiętam jak boleśnie dał mi odczuć pan Słonimski, że źle znosi fakt mojej współpracy z podpisywanym przez Putramenta tygodnikiem *Literatura*, choć drukowało tam wielu ludzi przyzwoitych i uważających co piszą. Groński, awansujący z podrzędnych *Szpilek* do pierwszoplanowej *Polityki* dopiero w rezultacie uszczuplenia zespołu po 13 grudnia, nie mógłby z pewnością liczyć na tolerancję Antoniego Słonimskiego, do którego stolika był rzeczywiście dopuszczany w zamierzonej przeszłości, jako uzdolniony młody rymotwórca. Uznanie Grońskiego wydaje się być oparte na powierzchownej lekturze mojej książki. Gdy ja opowiadam o interesujących mnie dziewiętnastowiecznych książkach kucharskich, Groński sądzi że jest to pamflet na Gomułkę, o którego istnieniu pisząc ten szkic szczęśliwie zapomniałem. Tacy czytelnicy pojawiają się przy okazji każdej książki. W *Arce Grzegorz Hansen* twierdzi, że najlepszą książką Leszka Kołakowskiego jest „Świadomość religijna i więź kościelna”, którą odczytuje jako „Świadomość komunistyczną i więź partyjną”. Można się tylko dziwić, że ludzie gotowi wszystko spłaszczyć, czytają jednak, choć z niewielkim pożytkiem, książki tak grube.

Wynikająca z nieporozumienia dobra opinia *Polityki* na temat książki spokojnie antykomunistycznej pozwoliła mi uświadomić sobie jak bardzo jest to wpływowe pismo. Od kilku dni wciąż ktoś mi przysyła wycinek z tego pisma, a przyjmowanie gratulacji i kondolencji staje się męczące.

O poszukiwaniu i ratowaniu pamiątek związanych z J.E. Gilibertem

Ratowanie dziedzictwa kulturowego Pierwszej Rzeczypospolitej jest jednym z najważniejszych zadań polskiej polityki kulturalnej. Jest oczywiste, że do dziedzictwa tego może rościć prawa nie tylko Polska ale także Ukraina, Białoruś i Litwa jako pełnoprawni spadkobiercy dawnej Rzeczypospolitej. Jest również oczywiste, iż władze polskie powinny dołożyć wszelkich starań by odszukać, zewidencjonować i doprowadzić do powrotu dzieł sztuki i pamiątek historycznych zrabowanych i wywiezionych przez Rosję Sowiecką czy Trzecią Rzeszę. W przypadku gdy owe przedmioty znajdują się na terenie jednego z krajów spadkobierców Rzeczypospolitej pożądane jest, by Polska pomogła je odnaleźć i zważywszy na jakże trudną sytuację materialną tych państw starała się także dopomóc w konserwacji obiektów będących przecież częścią polskiej kultury i tradycji.

Pamiętki związane z historią nauki znajdują się w szczególnie delikatnej sytuacji. Zarówno urzędnicy państwowi jak i ludzie dobrej woli zajmujący się polskim dziedzictwem kulturowym na Wschodzie są z wykształcenia zazwyczaj historykami, artystami, historykami sztuki. Często obiekty o kapitalnym wprost znaczeniu dla historii nauki przedstawiają dla nich wartość jedynie jako przedmioty, druki czy też manuskrypty pochodzące z danej epoki. W dodatku jeszcze niedawno nie istniał w Polsce żaden zespół badawczy wyspecjalizowany np. w historii botaniki, nie wiem zresztą czy zgodnie z postulatami niektórych pracowników PAN zespół taki utworzono. Coraz starsze i coraz mniej liczne stają się wreszcie pokolenie przyrodników, wychowanków Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Z wielu względów pamiętki związane z pobytem Jean-Emmanuela Giliberta posiadają szczególne znaczenie dla historii środkowoeuropejskiej nauki. Gilibert przybywając do Wielkiego Księstwa przywiózł ze sobą bogate zielniki, bibliotekę i trzysta miedziorytów wykonanych przez Pierre de Bellevala (1564-1632). Z miedziorytami tymi jest zresztą związana interesująca historia. Pierre Richer de Belleval począwszy od 1593 roku wykładał botanikę na Uniwersytecie w Montpellier. Założył on, na wzór ogrodów włoskich, pierwszy w tym mieście ogród botaniczny.

Belleval sporządził także, co w owej epoce było nowością, pięćset miedziorytów przedstawiających słabo poznane rośliny Alp i Pirenejów. Wydrukowanie owych miedziorytów wraz z przygotowanymi opisami przyniosłoby z pewnością sławę ich autorowi i zapisałoby go pośród wielkich botaników — ilustratorów szesnastego wieku. Niestety, w rezultacie niesprzyjających okoliczności nie zostały one wykorzystane za życia autora. Spadkobiercy de Bellevala nie zdawali sobie sprawy z wartości miedziorytów i następne półtora wieku spędziły one w zapomnieniu na którymś ze strychów Montpellier. Gilibert w dniu swojego wyjazdu na Litwę przypadkiem odnalazł i zakupił 300 miedziorytów Bellevala. Bernoulli oglądał je i opisywał na Litwie w trakcie podróży do Petersburga. Gilibert wykorzystał je zresztą do zilustrowania swojej trzytomowej książki *Démonstration élémentaires de Botanique*. W korespondencji pozostawionej przez Antoniego Gouana, wybitnego francuskiego przyrodnika, nauczyciela i przyjaciela Giliberta znajduje się list wysłany przez tego ostatniego 10 września 1778 roku. Gilibert potwierdza odbiór wysłanych z Montpellier kopii manuskryptów Bellevala, tekstów Villarsa, i zakupionego dzięki hojności Stanisława Augusta Poniatowskiego zielnika-kolekcji roślin europejskich sporządzonych przez Gouana. Wiadomo, iż opuszczając pośpiesznie Litwę, Gilibert pozostawił w Wilnie swoje zbiory. Dzięki długim negocjacjom dotyczącym ewentualnego odszkodowania, emerytury, odzyskania zbiorów, część kolekcji — w tym miedzioryty (lub przynajmniej ich część) — dotarła do Lyonu w 1790 roku. Część kolekcji, w tym także miedziorytów de Bellevala, zaginęła. Nie wiadomo, czy utrata ta miała miejsce podczas wysyłki z Litwy czy może dwa lata później, podczas pośpiesznej ucieczki Giliberta z Lyonu, lub w okresie wielomiesięcznej tułaczki i ukrywania się. Być może kilka unikalnych miedziorytów, stanowiących uzupełnienie zbioru Uniwersytetu w Montpellier, jak i część korespondencji Giliberta znajduje się gdzieś na wschodzie Europy. Z całą pewnością wiadomo, że w Wilnie pozostały trzy zielniki Giliberta, *Hortus Grodnensis* zawierający rośliny z grodzieńskiego ogrodu botanicznego, *Herbarium Grodnense* lub *Herbarium Giliberti* z roślinami dziko rosnącymi z okolic Grodna, zielnik bez tytułu zawierający rośliny z okolic Wilna. Wszystkie trzy zielniki po zamknięciu Wileńskiej Cesarskiej Medyko-Chirurgicznej Akademii, w 1841 roku przekazane zostały Uniwersytetowi Świętego Włodzimierza w Kijowie. Na początku stulecia oglądał je i krytycznie opisał w *Pamiętniku Fizjograficznym* Józef Paczoski. Znajdowały się one w kolekcji uniwersyteckiej jeszcze w 1925 roku, gdzie odszukał je i opracował wybitny polski botanik i biograf Giliberta, Witold Sławiński. Może należałoby sprawdzić czy nadal znajdują się one w ki-

jowskiej kolekcji i ewentualnie czy nie wymagają przeprowadzenia prac konserwatorskich. Zielniki te posiadają niewymierną wprost wartość dla historii nauki i kultury środkowoeuropejskiej. Są to najstarsze zielniki z terenów Litwy, to na ich podstawie opracowana została *Flora Lithuanica* Giliberta, a częściowo także i *Opisanie Roślin Wielkiego Księstwa Litewskiego* Stanisława Jundziłła. Można zaryzykować stwierdzenie, iż sporządzenie tych zielników oznaczało narodziny nowoczesnej botaniki w Rzeczypospolitej. Są one w dodatku jedną z nielicznych w tej części Europy pamiątek związanych z wielką francuską myślą naturalistyczną osiemnastego wieku. Jest to prawdopodobnie także pierwsza kolekcja roślin Rzeczypospolitej, którą opisano stosując system Linneusza. Wykształciło i wychowało się na nich całe pokolenie kresowych przyrodników, często wybitnych europejskich botaników, jak choćby Józef Paczoski czy Władysław Skrobaczewski. Wśród zasuszonych roślin znajdują się prawdopodobnie holotypy (okazy, unikalne wzorce dla danego gatunku, obowiązujące wszystkich botaników) dla gatunków opisanych po raz pierwszy przez Giliberta.

Jean-Emmanuel Gilibert sporządził także pierwszą w Europie mapę fitogeograficzną. W *Exercita Phytologica* pisał „*Olim ab anno 1776 ad annum 1781, talem elaborandum protractu Grodnensi Mappam geographicum suscepi; a geometris regis oeconomiarum varia fragmenta hujus mappae delineata obtinui*”. Mapy tej nigdzie jednak nie opublikował. Na jej znaczenie dla historii botaniki zwrócił uwagę Witold Sławiński. Uczony ten prowadził poszukiwania w archiwach paryskich, lyońskich, wileńskich, warszawskich i kijowskich. Próbował kontynuować te poszukiwania w niektórych kolekcjach francuskich, niestety także bezskutecznie.

Myślę, że znaczenie prac Giliberta dla nauki i kultury Rzeczypospolitej spowoduje, iż pamiątki z nim związane zainteresują polskich urzędników, zajmujących się dziedzictwem kulturowym na Wschodzie.

Piotr DASZKIEWICZ

Paryska sesja historyków

W dniach 9 i 10 grudnia 1993 odbyła się w Paryżu sesja historyków polskich i francuskich, zorganizowana przez paryską Stację Polskiej Akademii Nauk i Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales (Wyższą Szkołę Badań Społecznych).

Ponieważ w roku 1993 wypada stulecie istnienia polskiej Stacji w Paryżu, dwudniowa sesja grudniowa była okazją do podsumowania, rzutu oka wstecz na stosunki między historiografią polską i francuską w okresie powojennym.

Ze strony polskiej w obradach uczestniczyli znani historycy starszego i średniego pokolenia, którym historiografia i kultura francuska były zawsze bliskie (z kraju: J. Tazbir, K. Modzelewski, S. Tabaczyński, E. Kaczyńska, A. Wyczański, J. Baszkiewicz, M. Kula, S. Meller; P. Wandycz z Uniwersytetu w Yale, E. Baczko z Uniwersytetu Genewskiego, K. Pomian z Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu i J. Borejsza — dyrektor Stacji). Ze strony francuskiej tylko w dwóch wypadkach można mówić o głębszym wtajemniczeniu w historię Polski: dotyczy to Jacques'a Le Goff, wielkiego badacza europejskiego Średniowiecza i Daniela Beauvois, który jest wybitnym specjalistą od tzw. „kresów wschodnich” w XIX wieku.

Każdy z dwu dni obrad miał odrębną fizjonomię. W dniu pierwszym dominowała postać zmarłego w r. 1988 Witolda Kuli, przywoływana jako przykład wzajemnych inspiracji polsko-francuskich w dziedzinie historii. W. Kula interesował historyków francuskich ze szkoły Annałów kładących nacisk na historię społeczną i ekonomiczną. Bliski był im również antropologiczny aspekt jego badań. Jednakże (jak wspominał w trakcie dyskusji Maurice Aymard) zaciekawienie to nie skłoniło Francuzów do poważnego przeanalizowania jego odkryć. Z głosu Marty Herling-Bianco (z Istituto Italiano per gli Studi Storici w Neapolu) dowiedzieliśmy się natomiast, że inaczej działało się we Włoszech. Wydawcy włoscy wczesnie opublikowali najważniejsze książki W. Kuli, w prasie specjalistycznej i na seminariach uniwersyteckich omawiano szeroko jego metody i tezy. (Podobna recepcja spotkała dzieła Kuli w Hiszpanii i w krajach Ameryki Łacińskiej).

Dzień drugi zderzył ze sobą dwie perspektywy w sposobie patrzenia na współzależności między historią społeczną i historią polityczną. Dyskutanci francuscy zafascynowani byli przede wszystkim metodologiczną stroną zagadnienia, wyzwaniem jakie obecnie rzuca historii semiotyka, zależnościami między makro i

mikrohistorią, próbami zbudowania „historii globalnej”, w której znajdzie odzwierciedlenie współczesna demokracja analizująca samą siebie. Z kolei polscy uczestnicy stanęli na solidnym gruncie: zajmował ich wiek XIX jako epoka formowania się nowoczesnych modeli działania i myślenia o społeczeństwie, matryca świadomości zbiorowej, z której czerpie zarówno nauka, pragnąca uchwycić wielowymiarowość i wieloznaczność faktu historycznego, jak i mentalność potoczna produkująca jednowymiarowe stereotypy.

O ile w historii Francji modelem który zaciążył na wszelkich próbach zrozumienia procesów zachodzących w XIX wieku była rewolucja 1789 roku, o tyle dla Polski takimi wydarzeniami były powstania, zaiste polska specjalność, kształtująca pewien obraz Polaka zarówno w naszych własnych oczach, jak i w oczach cudzoziemców. Na przykładzie uczonych takich jak Wereszycki, Kieniewicz, Kukiel zostało nam przypomniane, że historiografia polska drugiej połowy naszego stulecia powracała ciągle do problemu powstań, do pytania o ich rolę w życiu społeczeństwa.

W ten sposób w drugim dniu obrad ujawnił się wątek, który zasługiwałby z pewnością na obszerniejszą debatę, a mianowicie paralelizm między rewolucją francuską i powstaniami polskimi w ich funkcji formowania nowoczesnego narodu. Paralelizm ten stanowi przykład autentycznej komparatystyki historycznej, której zarys dało się odczytać w problematyce sesji. Wspomnijmy jeszcze o jednej sprawie, która przewijała się podczas obu dni obrad. Z wypowiedzi na temat dorobku polskich historyków ostatniego półwiecza — Manteuffla, Kuli, Wereszyckiego, Kieniewicza — wyłaniał się dylemat intelektualisty w obliczu totalitaryzmu, problem strategii, ale i problem zasad, z którymi każdy z nich musiał się uporać.

Jakie refleksje wzbudziła sesja — nakierowane już tym razem ku przyszłości? W dyskusji poruszono fakt, że tradycyjna „orientacja francuska”, więź między humanistyką francuską i polską od pewnego czasu wyraźnie się rozluźnia (wyraża się to w coraz rzadszej znajomości francuskiego wśród badaczy młodszego pokolenia). Od lat 1970 w środowisku historyków obserwujemy zbliżenie polsko-niemieckie, wywołane żywym zainteresowaniem naukowców niemieckich naszą przeszłością i teraźniejszością. Ostatnio coraz więcej projektów badawczych, seminariów i spotkań wypływa z inicjatywy Niemców, spychając na dalszy plan wymianę z Francją. Czy większa równowaga we współpracy z naszymi partnerami na Zachodzie nie byłaby czymś pożądanym? Ze dla nas — nie ma wątpliwości. Zaś co do Francuzów, przypomnijmy słowa Le Goffa, który mówił o Polsce jako bramie do Europy Środkowej i Wschodniej. Nie za-

pominajmy również, że z racji blisko dwustuletniej historii polskiej emigracji we Francji, znajduje się tutaj ogromna masa dokumentów do dziejów politycznych i dyplomatycznych, których ważność rozciąga się niejako na całą Europę.

E. B.

KOŁO NAUKOWE POLONISTÓW PRZY INSTYTUCIE
Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego ogłasza Konkurs
Literacki Młodych Twórców

Prace w kategoriach:

- A. POEZJA — zestaw do 10 wierszy;
B. Proza — o objętości nie przekraczającej 20 stron maszynopisu;
C. MAŁA FORMA DRAMATYCZNA — o objętości nie przekraczającej 30 stron maszynopisu;
D. PRZEKŁAD — w w/w kategoriach;
E. KOMIKS INSPIROWANY LITERATURĄ — o objętości nie przekraczającej 10 planszy.

Należy nadsyłać do dnia 1 lutego 1994r. (decyduje data dotarcia pracy do biura konkursu) na adres: Koło Naukowe Polonistów, Instytutu Filologii Polskiej UJ, ul. Gołębia 18, 31-007 Kraków, z dopiskiem: KONKURS.

Prace nie mogą być uprzednio publikowane.

Należy nadsyłać je w 3 opatrzonych godłem kopiach. W osobnej, opatrzonej tymże godłem i zaklejonej kopercie należy umieścić imię i nazwisko oraz adres autora.

W przypadku przekładu wskazane jest załączenie kopii tekstu oryginalnego.

Oficjalne ogłoszenie wyników konkursu oraz wręczenie nagród odbędzie się na przełomie kwietnia i maja 1994r.

W jury zasiadają m.in.: Jan Błoński, Stanisław Lem, Jerzy Skarżyński, Maciej Słomczyński, Jan Józef Szczepański i Józef Tischner. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwodruku w prasie i wydawnictwach książkowych nadesłanych na konkurs prac.

Ci, co odeszli

Wspomnienie o Waławie Jędrzejewiczu

Kiedy w 1974 roku osiemdziesięcioletni Waław Jędrzejewicz przemawiał nad trumną mego ojca, swego rówieśnika i kolegi-legionisty, mało kto mógł przypuścić, że przeżyje następnych dziewiętnaście lat. Przeżył swe pokolenie i swą tak bogatą w wydarzenia epokę. Urodzony pod carem, w czasie kiedy panowała jeszcze Królowa Wiktoria w Anglii, a Franciszek Józef w Wiedniu, gdy telewizja, komputery i podróże w kosmosie mogły być jedynie przedmiotem *science fiction*, umarł zaledwie kilka lat przed początkiem XXI wieku.

Waław Jędrzejewicz należał do pokolenia, które walczyło i wywalczyło niepodległość po długiej erze niewoli. Był dzielnym żołnierzem i oficerem POW i Pierwszej Brygady. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej i często wspominał epizod kiedy to wzięty do niewoli i rozebrany przez kozaków do bielizny doprowadzony został do dowódcy korpusu, słynnego Gaj-Chana, który powitał Go słowami *à la guerre comme à la guerre*. Podpis Jędrzejewicza widnieje na umowie polsko-ukraińskiej z Petlurą; był on też członkiem polskiej delegacji na konferencji ryskiej. W latach międzywojennych major a później podpułkownik Jędrzejewicz pełnił funkcję *attaché* wojskowego w Tokio, kierując przez jakiś czas poselstwem jako *chargé d'affaires*. Chciał koniecznie wrócić do służby czynnej, ale los a raczej Józef Piłsudski postanowił inaczej. „Tylko ja robię politykę w mundurze” oświadczył Marszałek Jędrzejewiczowi. I istotnie do wojska już nie wrócił, pełniąc szereg ważnych funkcji w służbie państwowej, między innymi jako minister Wyznań Religijnych i Oświecenia

Publicznego. Nazwisko Jego związało się z reformą szkolną Jędrzejewiczów. Był kawalerem najwyższych orderów polskich i zagranicznych, z *Virtuti Militari* i wielką wstęgą *Polonia Restituta* włącznie.

Nie chciałbym, aby to wspomnienie ograniczało się do wyczerpania suchych danych biograficznych, które można znaleźć gdzie indziej, a których garść tu podaję z kronikarskiego obowiązku. Wiele informacji czytelnik znajdzie w napisanych ze swadą i wydanych w tym roku nakładem Ossolineum *Wspomnieniach*. Opracowane i zaopatrzone przypisami przez Janusza Ciska, *Wspomnienia* Jędrzejewicza kończą się na wybuchu drugiej wojny światowej. Cisek uzupełnił je postawieniem, obejmującym lata 1939–1990.

Odsunięty jako „sanator” i przeciwnik Gen. Sikorskiego od działalności politycznej i wojskowej w Londynie, Jędrzejewicz dotarł w 1941 r. do USA. Nastąpił trudny emigrancki i samotny okres jego życia, gdyż najbliższa rodzina (żona, syn Tomasz i córka Ewa, zamężna później z Andrzejem Beckiem) po przeżyciu okupacji w Polsce przybyła do Ameryki dopiero w 1947 r. W Stanach Jędrzejewicz rozwinął ożywioną działalność, odgrywając między innymi ważką rolę w powołaniu do życia KNAPu (Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia). W 1943 r. był jednym z tych, którzy reaktywowali Instytut Józefa Piłsudskiego, istniejący przed wojną w Warszawie. Z biegiem lat stał się *spiritus movens* Instytutu, którym kierował jako dyrektor i prezes. Wielkie zasługi jakie położył przy stworzeniu i rozbudowie tej placówki sprawiły, że nazwisko Jego związało się nierozłącznie z Instytutem stając się niejako jego symbolem.

W 1948 r. objął katedrę języka i literatury rosyjskiej w Wellesley College, gdzie wykładał przez dziesięć lat z wielkim powodzeniem. Następnie został wykładowcą w Rippon College, w którym wprowadził kurs historii Europy środkowo-wschodniej. Dwie uczelnie, Kalamazoo i Rippon przyznały Mu honorowe doktoraty.

Jędrzejewicz nie był z wykształcenia historykiem i nie należał, jeśli chce się być pedantycznym, do „cechu” w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nie umniejsza to oczywiście w niczym Jego zasług dziejopisarskich i Jego szczególnej pozycji w historiografii. Będąc już w podeszłym wieku poświęcił historii gros ostatnich trzydziestu lat swego życia; dawny żołnierz, polityk, dyplomata stał się zamilowanym historykiem, który wniósł poważny wkład w tę dziedzinę nauki i dobrze jej się zasłużył. Jako dziejopis nie był zupełnym nowi-

cjuszem, gdyż wcześniej już spod Jego pióra wyszedł tom o POW, krótki zarys dziejów KNAPu, oraz niezwykle użyteczny trzytomowy wybór dokumentów z Hansarda pt. *Poland in the British Parliament 1919–1945*. Były to jednak prace bądź to o charakterze pamiętnikarskim, bądź sprawozdawczym. Punktem zwrotnym w sensie metodologiczno-naukowym były lata 1960-te, kiedy Jędrzejewicz rozpoczął pracę nad papierami ambasadora Józefa Lipskiego. Byłem obecny i trochę konsultowany przy „narodzinach” tego trudnego i wymagającego pełnego aparatu naukowego przedsięwzięcia.

Rozpoczął się najpłodniejszy okres dziejopisarstwa Jędrzejewicza, w którym koncentruje się na historii najnowszej czyli Mu współczesnej, łącząc metodologię badacza z doświadczeniami koronnego świadka. Wykorzystując bogate zasoby archiwalne Instytutu Piłsudskiego publikował artykuły i rozprawy w *Niepodległości*, *Wiadomościach*, *Zeszytach Historycznych*. Po ogłoszeniu drukiem książki w języku angielskim opartej na papierach Lipskiego (*The Diplomat in Berlin*) — ważnej i w pełni decydującej pozycji — opracował i wydał papiery ambasadora Juliusza Łukasiewicza (*The Diplomat in Paris*). Rozszerzone polskie wydanie tej pozycji ukazało się przy współpracy Henryka Bułhaka w 1989 r. pt. *Dyplomata w Paryżu*. Przyszła wreszcie kolej na *opus magnum*, dwutomową *Kronikę życia Józefa Piłsudskiego*, w której Jędrzejewicz kronikarz i Jędrzejewicz historyk, operujący krytycznym aparatem naukowym, osiąga pełną syntezę twórczą. Owoc kilkunastoletniej mrówczej pracy, dzieło to jest pionierskie i podstawowe dla badań nad Piłsudskim. Równocześnie odegrało ono wielką rolę dydaktyczno-polityczną, stając się bestsellerem (choć oczywiście zakazanym) w kraju. Biografia Piłsudskiego, którą Jędrzejewicz wydał następnie w wersji polskiej i angielskiej, odznacza się cechami, które zasługują na szczególne uznanie. Są to: dystans do osoby Marszałka, tak trudny do osiągnięcia dla bliskiego współpracownika i gorącego piłsudczyka, oraz niehagiograficzne podejście do tematu.

Postać Wacława Jędrzejewicza zaczyna nabierać cech legendy. Jest nie tylko wielkim autorytetem i uosobieniem Instytutu Piłsudskiego, otaczany tam weneracją i przywiązaniem, ale wobec zmian następujących w Kraju staje się symbolem Drugiej Rzeczypospolitej: ostatni oficer legionowy, ostatni minister Drugiej Rzeczypospolitej, ostatni współpracownik Józefa Piłsudskiego, „nestor polskiej irredenty niepodległościowej”.

Wacław Jędrzejewicz był człowiekiem bardzo skromnym

i samokrytycznym. Nie lubił, aby wynoszono Go na piedestał. Mawiał żartobliwie, iż hołdy Mu składane — jak na przykład podczas amerykańskiej wizyty chóru Wojska Polskiego — i sypiące się nań zaszczyty wynikały z faktu, że żyje tak długo. Kiedy otrzymał od Prezydenta Wałęsy nominację na generała brygady był tym wzruszony, ale i speszony. Mówił mi, że zupełnie wystarczyłby awans na pułkownika.

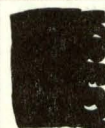
Ministra Jędrzejewicza, bo tak zwykle do Niego się zwracałem, znałem przez blisko czterdzieści lat. Oczywiście cenilem Go i szanowałem jak wszyscy, ale też po prostu bardzo lubiłem. On ze swej strony dawał mi wiele dowodów życzliwości. Najsilniejszą więź między nami stanowił kult muzy Clio. Gdy odwiedzałem Go czy to w Instytucie Piłsudskiego, czy w jego nowojorskim mieszkaniu, czy też w ostatnich latach, kiedy wycofał się już całkowicie z życia publicznego i przeniósł w sąsiedztwo swej córki i zięcia do miejscowości Cheshire w stanie Connecticut, nasza rozmowa schodziła automatycznie na tematy historyczne. Często nawiązywałem do Jego wspomnień z różnych okresów i prosiłem o charakterystykę osób, które znał w przeszłości. Mówił chętnie o wydarzeniach odległych, które zadziwiająco dobrze pamiętał. Aż do ostatnich lat zachował doskonałą pamięć. Czytał bardzo dużo, a więc mówiliśmy o nowych wydawnictwach i znanych historykach. Z wieloma, jak na przykład z prof. Zbigniewem Wójcikiem czy dr. Henrykiem Bułhakiem często korespondował. Zdumiewająca była ta jasność umysłu i fizyczna żywotność u dziewięćdziesięciokilkuletniego człowieka, który znosił stoicko takie dolegliwości jak pogarszający się słuch a następnie wzrok. Jeszcze podczas swego stułetniego jubileuszu, gdy zebrani w domu wnuczki goście przywitali Go „Pierwszą Brygadą”, był ożywiony, żartował i wspominał jak to Piłsudski śpiewał „Pierwszą Brygadę” na spotkaniach legionowych, ale „głosu to nie miał”.

Podczas ostatnich miesięcy w szpitalu, gdy nie mógł już chodzić i powoli gasnął, miał momenty irytacji na szpital, na chorych z którymi nie miał żadnego kontaktu i nie mógł rozmawiać o tym co Go interesowało, na to że nie mógł już czytać. W momentach kiedy czuł się lepiej mówiliśmy znów o historii tej przeżytej i tej pisanej. W sposób wzruszający i prawie ojcowski cieszył się, że dostałem doktorat *honoris causa*. W jednej z ostatnich rozmów z moją żoną zapytał ją „a na co ja właściwie choruję?”. Odpowiedziała impulsywnie, „na starość, Panie Profesorze”. Jędrzejewicz uśmiechnął się tym swoim ujmującym uśmiechem i powiedział: „chyba ma

Pani rację”. W dwa tygodnie później już nie żył, umarł nagle wkrótce po wizycie córki i zięcia. Zdaje się, że nie cierpiał. Odszedł, jak mówił kiedyś o mym ojcu, aby dołączyć do swych od dawna już nieobecnych na tym świecie towarzyszy broni z Pierwszej Brygady i do swego Komendanta.

13.XII.1993

Piotr WANDYCZ



KWARTALNIK LITERACKI „K R E S Y” Istnieje od 1989 roku

Jest pismem poświęconym literaturze i sztuce współczesnej
W ostatnich numerach m. in.:

POEZJA: Adam CZERNAWSKI, Kazimierz NOWOSIELSKI,

Witold WIRPSZA, Janusz PASIERB, Krzysztof KARASEK, Wiktor
WOROSZYLSKI, Maciej CISŁO

PROZA: Erwin KRUK, Zbigniew MACHEJ, Włodzimierz ODOJEWSKI,
Kazimierz ORŁOS, Janusz ANDERMAN

SZKICE: Wł. Bolecki o J. MACKIEWICZU i W. GOMBROWICZU

J. M. Rymkiewicz o Adamie MICKIEWICZU

A. Zawada o Jarosławie IWASZKIEWICZU

P. Czaplński o Aleksandrze JANTA-POLCZYŃSKIM

BLOKI o SCHULZU, HERLINGU-GRUDZIŃSKIM, CZAPSKIM

ROZMOWY z Jackiem TRZNADLEM, Tadeuszem KONWICKIM,
Adamem ZAGAJEWSKIM

„Kresy” podają wartościowy materiał literacki przeznaczony dla zaawansowanej publiczności czytelniczej. Każdy zeszyt liczy ponad 250 stron druku. W Polsce ukazuje się wiele pism literackich. Jeśli wybrali Państwo właśnie „Kresy”, zachęcamy do zaprenumerowania naszego kwartalnika dla siebie, dla szkoły, dla biblioteki.

Warunki prenumeraty w kraju: 120 tys. zł za rok 1994(4 numery)
za granicą: pocztą lotniczą 40 USD

Konto: Stowarzyszenie Literackie „KRESY” w Lublinie
Bank PKO BP II Oddz. Lublin, nr 43528-126175-132

Adres redakcji: ul. Chopina 5, II piętro
20-950 Lublin 1, skr. poczt. 383

Nagrody „Kultury” za r. 1993

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: KRZYSZTOF WOLICKI

Krzysztofa poznałem wczesną jesienią 1956. Zaprzyjaźniliśmy się niemal od razu. Przeżyliśmy razem Październik, „naszą małą stabilizację”, Marzec 1968, Grudzień 1970. Mieszkaliśmy niedaleko od siebie i spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Dyskutowaliśmy o filozofii i literaturze, matematyce i teatrze, również — bardzo dużo, rzecz jasna — o polityce i gospodarce. Przeszliśmy razem drogę, która prowadziła od poczucia więzi z PZPR przez sprzeciw wobec posunięć kierownictwa połączony wszelako z wiernością wobec ideologii do odrzucenia leninizmu i otwartego zerwania. Uczestniczyliśmy w seminarium Krzysztofa Maurina w Instytucie Fizyki, które było we wczesnych latach siedemdziesiątych jednym z niewielu miejsc na świecie, gdzie zajmowano się teorią katastrof. Później, po moim wyjeździe do Paryża, zachowaliśmy kontakt na tyle bliski, na ile to było możliwe i widywaliśmy się przy każdej nadarzającej się okazji.

Piszę o tym, by czytelnik wiedział, że jestem stronnicy nie tylko dlatego, że wymaga tego poetyka laudacji. Jestem stronnicy, bo piszę o przyjacielu — jednym z najbliższych. Znam jego wady. Gdybym chciał opisać je wyczerpująco, zappełniłbym z nawiązką ten numer *Kultury*. O jednej muszę wszelako wspomnieć. Krzysztof, który skądinąd dużo czyta i dużo wie, zna się na wszystkim. Potrafi wytłumaczyć paleontologowi, czym tyranozaur różni się od megaplejozaura, a status Tronów w hierarchii anielskiej wedle hiszpańskich komentatorów Dunsza Szkota nie ma dla niego tajemnic. Ile w tym charakteru, a ile zniekształcenia zawodowego, nie podej-

muje się rozstrzygnąć. Każdy dziennikarz jest przecież ponieważ besserwisserem. A Krzysztof uprawia dziennikarstwo od z górą czterdziestu lat.

Jest przy tym dziennikarzem nie tylko z zawodu. Również z temperamentu. Musi wiedzieć, co się dzieje. Musi w miarę możliwości być tam, gdzie się coś dzieje. I musi mieć odślonić kulisy zdarzeń, by zarazem wytłumaczyć je i ocenić. Jego dziennikarstwo jest w znacznej mierze demaskacją i wtedy, gdy demaskuje jest najsilniejsze. Ma w sobie coś z krytyki teatralnej: świat polityczny jest przez nie traktowany jak scena, gdzie zachowania aktorów nie są zrozumiałe dopóki nie zna się sztuki, w której występują. Z tym tylko, że Wolicki nie wierzy od dawna jakoby istniał reżyser, zdolny zaprogramować widowisko i pokierować nim zgodnie z swymi zamiarami.

Jako dziennikarz wypróbował wszystkie bez mała formy wypowiedzi. Pisał artykuły publicystyczne i korespondencje, komentarze i reportaże. Był wysłannikiem *Trybuny Ludu* na sesję ONZ, ale jako członek tej redakcji i ideowy komunista był również zaangażowany od 1954 w walkę o demokratyzowanie PZPR. W czerwcu 1956 znalazł się w Poznaniu, skąd przywiózł nie tylko relację dziennikarską ale i raport dla Biura Politycznego napisany wspólnie z Romanem Jurysiem i dopiero ostatnio wyciągnięty z tajnych archiwów. W listopadzie tegoż roku wylądował — wciąż jako specjalny wysłannik *Trybuny Ludu* — w Budapeszcie walczącym przeciw czołgom sowieckim, skąd wysłał serię znakomitych reportaży, z których żaden nie ukazał się w druku. Wrócił, obejrzał gazety z dni swojej nieobecności, wszedł do gabinetu redaktora naczelnego czy jego zastępcy, już nie pamiętam, i powiedział tylko: „Ty skurwysynu”. Po czym wyszedł trzaskając drzwiami i więcej nie wrócił. Wtedy właśnie, między Poznaniem, Budapesztem a Warszawą, zaczęła się ewolucja, która doprowadziła go pod koniec lat sześćdziesiątych do zerwania z PZPR, a później — do opozycji.

Nim jednak do tego doszło pisał w *Sztandarze Młodych*, w *Nowej Kulturze* i w *Polityce*, zapewne również w wielu innych gazetach, oraz m.in. w *Dialogu*, *Twórczości* i *Odrze*. Dużo tłumaczył. Wśród jego autorów byli Marks i Heidegger, Manfred Eigen i Konrad Lorenz, Bertold Brecht i Samuel Becket. W latach sześćdziesiątych powstały też eseje o teatrze, którym się pasjonował, i o dramaturgii; zebrały się z tego dwie książki. W latach osiemdziesiątych wrócił do dziennikarstwa pisząc korespondencje z Polski w prasie fran-

cuskiej — w *Le Matin de Paris*, a później w *Le Point* — i publikując w prasie podziemnej: w *Głosie*, w *Krytyce*, w *CDN*, w *Poglądach*. Od 1990 r. współpracuje z *Kulturą*.

Życiorysy polskie, zwłaszcza inteligenckie, są ostatnio tak powszechnie zakłamywane, że ktoś kto otwarcie i publicznie rewindykuje swoją przeszłość, powoduje sensację. Tak właśnie było z wywiadem udzielonym przez Wolickiego *Tygodnikowi Powszechnemu* (25 kwietnia br.). Autorzy wywiadu, odcinając się zarazem od tego stanowiska, zauważają, że w drodze Wolickiego z *Trybuny Ludu* do *Kultury* wielu ludzi zobaczy „historię utrzymywania się na fali”. Będzie tak na pewno: iluż oportunistów, którzy palcem o palec nie trącili przez czterdzieści pięć lat, załatwia dziś swe dawne porachunki z działaczami opozycji wypominając im komunistyczną młodość?

A przecież w drodze Wolickiego jest wierność samemu sobie i konsekwencja intelektualna. Jego ewolucję ideową dyktowała potrzeba sprawiedliwości społecznej, która początkowo doprowadziła go do komunizmu, później skłoniła do zwrócenia się przeciw niemu, gdy okazało się, że zastępuje dawną niesprawiedliwość nową, znacznie gorszą, a następnie pobudziła do zajęcia krytycznego dystansu wobec eks-opozycji antykomunistycznej, której przywódcy, ledwo doszli do władzy, wyrzekli się z gorszącą łatwością solidarności na rzecz rynku. Publicystyka Wolickiego konfrontuje rzeczywistość z deklaracjami, przykłada do obietnic miarę dokonań, nicuje złudzenia. Polityka jest dla niego przede wszystkim zderzeniem sił. Nie zjednuje mu to przyjaciół. Ale czyni bliskim tej wizji publicystyki, jaką Jerzy Giedroyc zarysowywał w listach do Mieroszewskiego oraz w wypowiedziach, które i mnie zdarzało się słyszeć: „Pisać trzeba tak, jakby siekierą w szczękę kuł”.

Krzysztof słynie z trudnego charakteru. Bycie jego przełożonym było wszystkim, tylko nie synekurą. Tym razem znalazł wreszcie redaktora na miarę swych wymagań.

Krzysztof POMIAN

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: ADAM ZAGAJEWSKI

W twórczości Adama Zagajewskiego wyróżnić można wyraźnie trzy etapy. Pierwszy wyznaczają boje z okresu „burzy i naporu” Nowej Fali — wiersze z takich tomów jak „Komunikat” czy „Sklepy mięsne” i szkice opublikowane wspólnie z Julianem Kornhauserem książki „Świat nie przedstawiony”. Pisarstwo to, silnie nacechowane etycznie, dopomina się przede wszystkim o prawdę, zmierza do odkłamania rzeczywistości, w której jest zanurzone. Pojawia się w eseistyce postulat „nowego paradygmatu kultury”, „nakaz mówienia wprost” o sprawach ukrywanych w aluzjach, napomknięciach czy maskujących metaforach. Nie brak tu i prowokacji, jak w wierszu „Nie czytajcie Jastruna”, będącym wyzwaniem wobec poezji, która chce „wstrzymać czas”. To poezja i eseistyka — także próby prozatorskie, jak choćby powieść „Ciepło, zimno” — oparta na przekonananiu, powtarzanym za Peiperem, że „zmieniła się skóra świata” i że trzeba tym właśnie przemianom dać świadectwo.

Wkrótce jednak następuje powolna zmiana tonacji, pogłębienie kulturowej refleksji. Poświadczają ją wiersze cyklu „Oda do wielości” czy eseje z tomu „Drugi oddech”. Tytuł nie jest wybrany przypadkowo: ta poezja zbuntowana niedawno przeciw nie radzącej sobie z rzeczywistością kulturze, przenikać zaczyna pod „skórę świata” w głębsze pokłady. Przestaje się tak bardzo przejmować tym, co na powierzchni, choć tego powierzchniowego życia nie ignoruje. Pisarz nie może być „artystą bez właściwości”. Nie może też jednak ulegać złudzeniom. Napisze wówczas: „Poezji w obecnej sytuacji może zależeć na odzyskaniu czystego głosu, odbudowaniu poważnego stosunku do samej siebie, na wytyczeniu niewielkiego lecz pewnego skrawka gruntu, na którym może się poruszać. Wziąć siebie poważnie, realistycznie widzieć swój los, swoje miejsce wśród ludzi”. W tym też okresie angażuje się Zagajewski w redagowanie *Zapisu*.

Niebawem, już po wyjeździe z kraju, odnajduje ów „niewielki lecz pewny kawałek gruntu” dla poezji. I mimo jego niewielkich rozmiarów nazwie go kontynentem (Miłosz powie później o „życiu na wyspach”). Jest nim wyobraźnia. Szkic o tym odkryciu — dokonany w analizie programów

poetyckich Józefa Czechowicza — publikuje w 1983 roku w *Kulturze*. Ten szkic też zaświadcza wkroczenie tej twórczości na kolejny etap — w przestrzeń suwerenności myśli. Nie znaczy to, że przestały go już zupełnie interesować sprawy związane ze społecznym kontekstem sztuki — swym prze-myśleniom na ten temat daje wyraz w tomie szkiców „Solidarność i samotność”, który — jeśli sądzić z wypowiedzi dzisiejszych debiutantów — stał się ważnym punktem odniesienia dla poszukiwań młodszych kolegów. Znamiennie, że to, co wielu widziało jako alternatywę, potrafił autor tomu „Jechać do Lwowa” zmienić w koniunkcję.

Żyjąc w kilku językach, współredagując *Zeszyty Literackie*, mieszka Zagajewski na swym ruchomym kontynencie wyobraźni, który jednak nigdy nie jest bezludną wyspą — jest zamieszkały przez tych tylko, dla których sprawą najistotniejszą nie są „zmiany skóry świata”, lecz tkanka wartości nieredukowalnych. Ten kontynent zamieszkują osoby, a nie postaci. Gdyż właśnie osoba staje się w tej twórczości wartością najistotniejszą.

Leszek SZARUGA

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY: KAZIMIERZ ROMANOWICZ

Jeżeli mnie pamięć nie myli poznaliśmy się prawie 50 lat temu w Rzymie, w naszej drukarni OGGI. W owym czasie, był to rok 1946, wszystkie jednostki 2 Korpusu chciały mieć pamiątkę z wojny. Wszystkie wydawały gazetki, książki a najchętniej tak zwane jednodniówki czyli rodzaj albumu z licznymi fotografiami i okolicznościowymi tekstami. Z makietą takiego wydawnictwa przyjechał z pułku do Rzymu Kazimierz Romanowicz i zgłosił się do drukarni, żeby je wydać. I to tam się spotkaliśmy. Jakie były dalsze losy tego wydawnictwa, nie wiem. W drukarni bywałam tylko od czasu do czasu. Na jesieni tegoż 1946 roku wszystkie jednostki zaczęły opuszczać Włochy. *Gros* jechało do Anglii, nieliczni do innych krajów Europy a jeszcze inni emigrowali do Brazylii, Argentyny czy Australii.

Institut Literacki powstał w 1946 roku. Wydawaliśmy książki własne oraz na zamówienie różnych oddziałów czy biur wojska, przede wszystkim Wydziału Społecznego, który dbał o strawę duchową dla żołnierzy. Po roku, kiedy już praktycznie nie było wojska we Włoszech i my zdecydowaliśmy się opuścić Rzym i przenieść do Francji. Naszym celem był kontakt z krajem, na który chcieliśmy oddziaływać poprzez nasze wydawnictwa. Rzym był wówczas zabita deskami prowincją. Poczta była chyba najgorsza na świecie (i taką pozostała) i praktycznie byliśmy odcięci od świata, Polski i wiadomości, co nam nie odpowiadało. Zwinęliśmy nasz dobytek, sprzedaliśmy (z zyskiem) drukarnię, zapłaciliśmy nasze długi i po różnych perypetiach dotarliśmy do Paryża 13 października 1947 roku. I od razu znaleźliśmy się w samym centrum największego strajku generalnego jaki nawiedził Francję. Wszystko stało! Jak tylko ten strajk się skończył zaczęliśmy myśleć o wydawaniu *Kultury*. Od razu okazało się, że uzyskanie odpowiedniego zezwolenia jest bardzo trudne i żmudne i wcale nie wiadomo kiedy je otrzymamy. Na szczęście także zaraz dowiedzieliśmy się, że istnieje już, w Paryżu na wyspie Św. Ludwika, polska księgarnia „Libella”, założona przez przedstawicieli 2 Korpusu, to jest m.in. przez Józefa Czapskiego i Józefa Zielickiego i że dyrektorem księgarni jest Kazimierz Romanowicz. Jednocześnie poinformowano nas, że we Francji istnieje takie prawo, że *każda* księgarnia ma prawa wydawnicze i może publikować pisma czy książki bez żadnego specjalnego pozwolenia. Bardzo nas to zainteresowało. Od razu skontaktowaliśmy się z Romanowiczem i poprosiliśmy o zgodę na wydawanie *Kultury* pod firmą „Libelli”, naturalnie na nasz rachunek i do czasu uzyskania zgody na wydawnictwo i pozwolenia, żeby tzw. „gerantem” był Jerzy Giedroyc. (W owym czasie cudzoziemcy zakładający jakieś firmy musieli mieć „odpowiedzialnego” Francuza! Na kupno domu czy mieszkania także trzeba było mieć pozwolenie. Na szczęście te obostrzenia później uległy złagodzeniu). W każdym razie w lutym 1948 roku ukazał się pierwszy (4-ty) numer *Kultury* pod firmą „Libelli” i potem przez dłuższy okres czasu współpracowaliśmy blisko, po czym rozdzieliliśmy się w zgodzie. „Libella” pozostała naszym przedstawicielem. Mieliśmy więc czas żeby się poznać dokładnie.

Pamiętam Zosię Romanowiczową, która wtedy nazywała się jeszcze Górską i kończyła studia na Sorbonie. Pamiętam nasze spotkania w Paryżu i długie rozmowy przy kawie. Pa-

miętam jak córka Romanowiczów, Basia, mająca właśnie dwa lata, bawiła się u nas w ogrodzie, na tzw. Korneju, z naszym Blackiem Nr 1. Bardzo się ze sobą lubili (mam na to dowody!) i kto by wtedy pomyślał, że mała Basia będzie kiedyś wysoko notowanym na świecie specjalistą od trzęsienia ziemi! Mój Boże, jak ten czas leci. Prawie się wierzyć nie chce ile przez ten czas zdołaliśmy równolegle wykonać. Kazik od początku wziął się ostro do roboty, a warunki miał bardzo ciężkie. Lokal księgarni był małeńki, mieszkania praktycznie nie miał. Wojsko dało mu książki i wynajęło ten lokalik, ale nie dało żadnego kapitału zakładowego, a jak można coś robić bez pieniędzy? Okazało się, że można. Po pewnym czasie odkupił księgarnię i otworzył obok galerię obrazów, która zdobyła sobie reputację międzynarodową. Naturalnie pomagała mu w tym Zosia, która już zaczynała być znaną pisarką. Niebawem księgarnia „Libella” i Galerie „Lambert” stały się miejscem do którego coraz częściej przychodzili Polacy, nie tylko paryscy, ale także ci, którzy przyjeżdżali z Polski. Wiedzieli, że tam można spotkać wiele osób, uzyskać pomoc w różnych sprawach i że na pewno dostanie się książki, na które w kraju czekano. Przychodzili tam także Francuzi, których interesowały sprawy polskie: „Libella” prowadziła specjalny dział poloników i była w tym sensie nieoceniona.

To właśnie tak, własną pracą zdobywa się jakieś miejsce w świecie i przechodzi do historii. Bo jednak te bez mała 50 lat pracy nie przejdzie bez śladu. „Libella” Romanowiczów pozostanie w pamięci Polaków, którzy bardzo żałują, że odchodzi. Niestety taki jest los nas, emigrantów. Nie zostawiamy spadkobierców. Ideałów i celu, które przyświecały nam przez tyle lat, nie mamy komu przekazać. To jest praktycznie niewykonalne. Emigracja to sprawa jednego pokolenia. Powinniśmy się cieszyć, Kaziku, jeżeli zostaje po nas jakiś ślad... Prawda?

Zofia HERTZ

Książki

Isaac Singer

Dla kilkuletniego chłopca polski był równie obcy, jak chiński.

Latem 1917 roku Isaac Baszewis Singer skończył w Bilgoraju trzynaście lat. Zapisał potem: „Zacząłem już wówczas czytać po polsku”. Po sześciu latach, gdy pakował swój dobytek, przenosząc się do galicyjskiej wioski, oprócz bielizny, skarpetek, podręcznika algebry i „Etyki” Spinozy po niemiecku, zapakował gramatykę języka polskiego. Niewiele później, w Warszawie, miał powiedzieć: „Ja właściwie nie potrafiłem mówić w żadnym języku prócz żydowskiego, chociaż umiałem czytać w kilku językach”. Podziwiał Melecha Rawicza, u którego wynajmował mieszkanie, bo mówił dobrze po polsku i po niemiecku. Sam najprawdopodobniej nigdy tej umiejętności nie posiadał.

„Nie byłem wysoki, ani przystojny — pisze Singer, próbując rozwikłać zagadkę swego powodzenia jako mężczyzny — i słabo mówiłem po polsku”. I dalej — „kobiety nieustannie poprawiały moją polszczyznę”. To nie przeszkadzało mu w licznych udanych podbojach, także wśród gojek, w końcu lat dwudziestych i w trzydziestych.

Wiadomo, że rozmawiał również po polsku ze swoim bratankiem, małym Josefe, a w dokumencie wjazdu do Stanów Zjednoczonych w 1935 roku podał znajomość polskiego w mowie i w piśmie. Własne przekłady z niemieckiego na żydowski (np. „Czarodziejskiej góry” Manna) robił najprawdopodobniej przy pomocy polskich tłumaczy.

„Nauczyłem się polskiego na tyle, by móc przeczytać książkę. Nawet napisałem coś w rodzaju poematu prozą po polsku (gdzie indziej wspomina o opowiadaniu dla warszawskie-

go *Naszego Przeglądu*, ale ciągle miałem trudności z mówieniem w tym języku. Nie mogłem przyzwyczać się do jego miękkich spółgłosek. Moi przodkowie mieszkali w Polsce tak długo, a ja wciąż byłem cudzoziemcem. Z obcym językiem, religią, ideologią. Czułem dziwność tej sytuacji i często myślałem o emigracji do Palestyny”.

Wielokrotnie pisał o szczególnym położeniu Żydów w Polsce, ich wielopłaszczyznowej odrębności.

„My Żydzi jesteśmy jednocześnie obywatelami Polski i obcymi w tym kraju. Mój ojciec na przykład nie znał polskiego. Ja mówiłem po polsku z silnym akcentem. Moi przodkowie żyli w tym kraju kilkaset lat, a ciągle byliśmy tu obcy. Zdawałem sobie sprawę, że żadna rewolucja nie mogła zjednoczyć, połączyć tych dwóch głęboko podzielonych i obcych społeczności”.

„Nawet w końcu lat trzydziestych było rzadkością, by Żyd mówił dobrze po polsku — pisał w artykule „Żydzi i Polacy” — żyli razem 800 lat, ale się nie zżyli”. „Z trzech milionów Żydów mieszkających w Polsce, około dwóch i pół nie potrafiło napisać po polsku najprostszego listu, a w mowie robili ordynarne błędy. Mój ojciec znał po polsku zaledwie dwa słowa i nawet by mu nie przemknęło przez myśl, że coś tu jest nie w porządku”.

W spisie powszechnym z 1931 roku, ponad 80% Żydów zadeklarowało jidysz jako ich język ojczysty. Niemożliwe jest ustalenie, jak wielu z nich faktycznie mówiło po polsku. Niemożliwe sprawdzenie biegłości posługiwania się tym językiem.

Niektórzy podkreślają znakomitą polszczyznę Singera, twierdzą, że po polsku mówił płynnie i z radością. Przeczył temu nie tylko on sam, ale niemal wszyscy jego żydowscy i amerykańscy znajomi. A przecież na pytanie: „Czy nigdy nie przyszło panu do głowy pisać po polsku?” — nie odpowiada, że to byłoby niemożliwe, bo nie dość znał język. Mówi: „Czym był język polski w Ameryce? Był także językiem o małym zasięgu”.

Jeden raz jego żona była świadkiem rozmowy, jaką prowadził po polsku. Miało to miejsce w pociągu w Szwajcarii, ale nie sądzi, by sprawiło to jej mężowi przyjemność. Przeciwnie. Z pewnym zniecierpliwieniem odpowiada na tego rodzaju pytania, uważając, że krytyczny stosunek Żydów do Polski jest oczywisty i nie wymaga ani dyskusji, ani komentarzy. Jednak zdania, iż Singer „nie chciał i nie umiał mówić po polsku”, gdyż kierowała nim nienawiść do tego kraju,

również nie da się obronić. Nie chciał zetknięcia z obecną Polską, nie chciał przyjechać, nawet w odwiedziny, bo nie było już świata, do którego mógłby wrócić. A przecież przez długie lata, chyba nie przypadkiem, używał dziennikarskiego pseudonimu Warszawski. [...]

Singer znał wiele nazwisk polskich pisarzy — Odyniec, Ujejski, Sienkiewicz, Gawalewicz. Adolfa Nowaczyńskiego nazywał największym antysemitą w całej Polsce. Wspominał wielokrotnie „But w butonierce” Brunona Jasińskiego, być może jedynie dając wyraz swej niechęci do poezji futurystycznej. Sądząc tylko z nazwisk i tytułów, które Singer wymienia, należałoby przyjąć, że wiedział sporo o polskiej literaturze.

Jednak wśród wielu recenzji książkowych, jakie przez lata publikował, najpierw w Warszawie, potem w Nowym Jorku, nie ma ani jednej z utworu polskiego autora. Nie ma również ani jednej polskiej książki między tymi, które w latach 1928–32 tłumaczył. W żadnej z wersji jego autobiografii — wśród książek ważnych dla jego duchowego rozwoju — nie pojawia się polski tytuł. Są Hamsun i Dostojewski, Tolstoj i Lermontow, France i Conan Doyle. Nie ma także śladów dotyczących kontaktów z polskimi pisarzami.

Baszewis twierdzi, że podobnie było z jego bratem. Mimo, że powieść Izraela Joszuy „Josie Kałb” przetłumaczono i wydano w Warszawie w 1934 roku, ów ceniony i szanowany pisarz żydowski nie utrzymywał żadnych stosunków z polskimi literatami. Isaac Baszewis Singer spotkał się po raz pierwszy z grupą polskich pisarzy dopiero wiosną 1966 roku w Nowym Jorku, na przyjęciu wydanym przez panią Kister, wdowę po właścicielu wydawnictwa Rój. O Brunonie Schulzu dowiedział się niewiele wcześniej. Nie czytał go do chwili wydania angielskiego przekładu w 1963.

Jak wobec tego wszystkiego wytłumaczyć fakt, iż w chwilach literackiej doniosłości powoływał się na polskich pisarzy? Czy był to jedynie akt szelmowskiej przekory?

Chcąc dać wyraz wadze wydarzeń, pisał, że są godne pióra Tolstoja lub, tu nie był zupełnie pewien, raz wymieniał Prusa, kiedy indziej znów Żeromskiego. „Nie sposób tego opowiedzieć ani opisać — wzdychał — nawet jeśli się posiadało talent Tolstoja czy Żeromskiego”. Wzmianki te znaleźć można w utworach, które nie powstały już w Polsce,

a więc nie były to nazwiska przypadkowo objijające się mu o uszy. A przecież zagadnięty o Prusa (polscy recenzenci bezstannie zestawiają jego powieściową twórczość z pisarstwem Prusa i Orzeszkowej), nie pamiętał tytułu „Lalka”. Udawał? „Jest mi wstyd przyznać, ale prawdopodobnie nie czytałem tej książki. Nie znam również ‘Nad Niemnem’ Orzeszkowej, ani ‘Meira Ezofowicza’. To poważna luka w moim czytaniu”. [...]

Może Norwid nie był jego pisarzem, ani Żeromski ani Prus. W końcu nie w ich języku się modlił. Ale Warszawa była niewątpliwie jego miastem. Po niej nie błądził.

Zadziwiająca jest topograficzna wierność jego prozatorskich szlaków. Jakby plan miasta odcisnął się gdzieś w pamięci jako podstawowy wzór literackiej sceny, ale także miejsca najgłębiej oswojonego, własnego, nazywanego czasem domem, a czasem ojczyzną. Tutaj czuł się u siebie. Na Krochmalnej, Twardej, Śliskiej, Gnojnej, gdzie „z szerokich pełnych pomyj rynsztoków, unosił się znajomy fetor”, a młodzi ludzie o potarganych pejsach, w długich chałatach, szli z księgami talmudycznymi pod pachą, do pobliskiego domu modlitwy.

To był świat z którego wyszedł. I który opisywał jak malarz realista, nie omijając jego brzydoty i nędzy. Świat powołany do istnienia raz jeszcze słowem, po całkowitej zagładzie.

Każda z warszawskich powieści może służyć za przewodnik po tym mieście. Mieście opisywanym od chwili, gdy postawiono synagogę na Tłomackiem, aż do pierwszych bomb eksplodujących jesienią 1939 roku.

Omnibus konny kursował z Dworca Wiedeńskiego na Pragę.

Zabia zasiedlona była przez kapeluszników.

Do jubilera chodzono na Chłodną.

Na Gęsiej mieściły się olbrzymie sklepy bławatne.

Kondukt pogrzebowy na Okopową jechał Twardą, Krochmalną i Gnojną.

Demonstranci z czerwonymi flagami upodobali sobie Dziką.

Na Franciszkańskiej handlowano skórą i wyrobami tekstylnymi, modlitewnikami i piórami.

Z czasem zerwano drewniane chodniki, zainstalowano kanalizację w elegantszych domach, ułożono szyny dla tramwajów konnych. Na Złotą jechało się już tramwajem.

Tramwaje były czerwone. Latarnie uliczne zielonkawoniebieskie. Złote kopuły prawosławnych cerkwi.

Na Świętokrzyskiej jakiś mężczyzna krzątał się przy nie-dużym przenośnym piecyku i sprzedawał pieczone ziemniaki. Był to nieomylny zwiastun zimy.

A na Nalewkach, jak dawniej, można było dostać wszystko. Koszule i trzcinę, bawełnę i guziki, parasolki i jedwab, czekoladę i plusz, kapelusze i nici, biżuterię i tałesy. Uliczni handlarze zachwalali placki ziemniaczane, prażony groch, arbuzy w kawalkach. Gałganiarz z workiem na ramieniu skupował rondle, patelnie, stare buty, spodnie, kapelusze, szmaty!!!

Meszulam Muszkat mieszkał na Grzybowie. Jasza Mazur na Freta koło Długiej. Abram Szapiro na Żłotej. Asza Heszlel na Pańskiej. Czy nadal tam mieszkają, po drugiej stronie księgi świata? Jeśli tak — na Krochmalnej pod 12 reb Rafel, szewc siedzi jeszcze w swojej suterynie i stuka młotkiem. Można ciągle obstalować u niego niedrogie zelówki. W mieszkaniu starego skąpca Zaruskiego na Marszałkowskiej, w pobliżu Próżnej, skarb w sejfie czeka na szczęśliwszego sztukmistrza. Żebrał wciąż śpiewa żalostną balladę o zatonięciu Titanica. Na balu z okazji sześćdziesiątych urodzin Wallenberga właśnie rozpoczęto tańce. Jaką godzinę wybił zegar na wieży dworcowej? Czy tę samą, co dzwonił koło św. Jana? Na przesiąkniętym zapachem moczu dziedzińcu domu modlitwy na Gnojnej, stoją skrzynki pełne kartek wydartych ze świętych ksiąg.

Nadszedł szames, w świetle wczesnego ranka wierni zbierają się na modlitwę. Recytują bezgłośnie Osiemnaście Błogosławieństw. Wkrótce kantor zaintonuje wysokim głosem: „Błogosławiony bądź, o Boże nasz i Boże naszych przodków, Boże Abrahama, Boże Jakuba i Boże Izaaka”...

Świat Singera nie jest fotografią w sepia. A jego skrupulatność w rejestrowaniu adresów, domów, miejsc, kształtów realnych, przenosi się także na barwy, dźwięki i zapachy. Zapachy, których pamięć „ukryta była w najgłębszych zakamarkach mojej duszy”. Jego świat jest niezwykle zmysłowy.

Jasza Mazur wjechał do Warszawy przez most praski. Powietrze pachniało „świeżo upieczonym chlebem, kawą, gnem końskim, dymem kolei i fabryk”. Max Barabander z „Szumowin” zapamiętał zapach Warszawy z minionych lat jako „mieszaniinę bżów, rynsztoków, smoły, zawiewających od lasów za Pragą wiatrów i czegoś jeszcze, nieokreślonego”.

Nie tylko miasto wydzielało swoją woń. Miała ją każda ulica. Kronikarz warszawskiego żydostwa ułożył swoisty katalog zapachów. Krochmalna to był smród śmieci, ścieków, ryn-

sztoka. Gnojna — woń oleju, końskiego nawozu, mydła i smaru do osi kół. Plac Grzybowski — zapach targowiska: nadpsutych owoców, cytryn oraz mieszaniny czegoś słodkiego i smołowatego. W synagogach pachniało kurzem i woskiem. Woń jedzenia na klatkach schodowych (barszczu, kotletów, pieczenia) wzmagała apetyt jego, tak często głodnych, bohaterów.

Singer był dziejopisem Warszawy żydowskiej. Był też realistą, dlatego nie brak w jego obrazie ani rosyjskich dekoracji miasta, które — w przeciwieństwie do polskich powieściopisarzy — zauważa i odnotowuje, ani też elementów polskich.

Obok pomnika króla Zygmunta, Azriel widział dawny Zamek polskich królów, zajęty przez rosyjskiego generał-gubernatora. Jasza zobaczył przed Zamkiem orkiestrę wojskową. Widocznie obchodzono jakieś święto, gdyż z każdego balkonu powiewała rosyjska flaga. „Historia Polski — pisał gdzie indziej — przemawiała z każdego kamienia i każdej cegły, lecz wszystkie szyldy i tablice z nazwami ulic miały napisy w języku rosyjskim”.

Tej konstatacji na próżno szukać w „Lalce” Prusa, omijającej w geście bojkotu rosyjską obecność w stolicy Priwislińskiego Kraju. Singer tymczasem pisze nie tylko o szyldach, prawosławnych soborach, galówkach, mundurach na ulicach i rosyjskich papierosach, ale także o stróżach-szpiclach na policyjnych posadach („stróż donosił do cyrkułu o każdym obcym wchodzącym do któregoś z mieszkań w jego domu”) i łapówkach, które stały się w Polsce „jedyną drogą załatwienia czegokolwiek”. Każdy „wyciąga rękę, od ministrów do żyrantów gwarantujących pożyczkę”.

Szkoła Główna, gdzie wstąpił na wydział medyczny Azriel Babad, bohater „Dworu”, przemianowana została przez Rosjan na Cesarski Uniwersytet Warszawski. Przy bramach Ogrodu Saskiego stali żandarmi zabraniający wstępu Żydom w chałatach. Z czasem zakaz zniesiono.

Rosyjskich wojskowych zastąpili polscy. Policjanci, żołnierze, oficerowie w rogatywkach, „ciągle zapinający guziki przy oddawaniu honorów wojskowych”. Przemalowano rosyjskie szyldy, zastępując polskimi. To wtedy zaczęto słuchać radia, telefony przestały być nowością, na ulicach pojawiły się taksówki. Nauczono się tańczyć shimmy, fokstrota i charlestona.

Singer nie pisze wiele o fakcie odzyskania przez Polskę niepodległości po 123 latach niewoli. Nie jest to jego niepod-

ległość. W swoim mieście czuje się sublokotorem. Ale jesienią 1939 roku, niedługo po ataku Niemców na Warszawę, rozpoczyna publikację serii historycznych artykułów, których bohaterami są Polacy — Stanisław August Poniatowski, Adam Mickiewicz, Ignacy Paderewski. I Berek Joselewicz, uczeń jesiwy walczący u boku „bohatera narodowego Tadeusza Kościuszki, w walce o wyzwolenie Polski”. To nie może być przypadek.

Niewątpliwie znał dzieje Polski. Pamiętał imiona polskich królów z rodu Piastów i Jagiellonów, Stefana Batorego i Jana Sobieskiego. Swobodnie poruszał się w płataninie rozbiorów, powstań i buntów. Bezbłędnie wymieniał i kojarzył nazwiska: Jana Kilińskiego, Bartosza Głowackiego, generała Zajączka, Jarosława Dąbrowskiego.

Znał dawne polskie rodziny arystokratyczne: Zamoy-skich, Radziwiłłów, Czartoryskich. Dziadek Akszy z „Korony z piór” mógł o nich opowiadać godzinami, jak o rabinach i cudach. Albo o kłótniach w polskim Sejmie. Wspomina o zwyczaju zabawiania gości na dworskich balach przez Żyda przebranego w skórę niedźwiedzia. W domu Wallenbergów mówiło się, że jeden z Potockich pracuje na Dworcu Wiedeńskim, jest kasjerem czy konduktorem. Dyskutowano również o polskich malarzach, mistrzu Matejce i współczesnym Zmurce.

Nie zapomniał nazwisk generała Mierosławskiego („szarlatan”), księcia Lubomirskiego („po prostu wyciąga ludziom pieniądze z kieszeni”), hrabiego Berga („namiestnik, który przyczynił się do poskromienia kraju”). Czy jak doktor Marian Zawadzki z „Dworu” uważał powstanie styczniowe za szaleństwo? „Polska jeszcze raz powstała do walki i przegrała. Jej najlepszych synów pędzono teraz do ponurej, skutej lodem tundry”. Pisząc o zsyłkach na Sybir, wspomina o dogorywających tam zesłańcach listopadowego powstania.

Co dobrego przyniosły dwa ostatnie powstania? — zastanawia się Azriel Babad. A Komuna Paryska, czy komuś pomogła? Był wyznawcą zasady Hipokratesa: nie szkodzić, tylko leczyć. „Nie rób nic, jeśli nie wiesz, co należy robić”.

„Patrioci, których po powstaniu Rosjanie posłali na Sybir w kibitkach, umierali setkami. Ginęli z powodu skorbutu, suchot, beri-beri, głównie jednak z nudy i tęsknoty za ojczyzną”. Bywalcy kawiarni, stwierdza Singer z przekąsem, „widocznie pogodzili się z rosyjskim najeżdżcą”.

Wiedział o noszonej żałobie za utraconą ojczyznę i o czarnej biżuterii. Felicja Jampolska z „Dworu” nosi pierścionek

z onyxem i wrytą datą — tragicznym rokiem 1863. Ślubowała chodzić w czerni, dopóki Polska pozostanie w jarzmie. Również Emilia utrzymuje żałobę po torturowanych męczennikach. Cenzurowane polskie gazety oczywiście o tym milczały.

A mimo to, były czytane, także przez polskich Żydów.

Jasza Mazur siedział w kawiarni u Lourse'a, popijając kawę i przeglądając czasopisma. Emilia i jej córka Halinka czytywały *Kurier Warszawski*, prenumerowała go też Barbara, kochanka Aszy Heszela, Żydówka. Klara, żona pobożnego Kalmana Jakobiego wołała *Kurier Poranny*, a bogacz Wallenberg, przechrzta — *Gazetę Polską*. Władek z „Szoszy” kupował później polsko-żydowski dziennik *Nasz Przegląd*.

Sztukmistrz z Lublina miał wystąpić w teatrzyku ogródkowym Alhambra na Lesznie. („Łatwo tam było poderwać jakąś służącą”, twierdził ktoś inny). Starał się też o kontrakt z innym teatrzykiem Palace. Lucjan Jampolski, dla zarobku, statystował w Rozmaitościach. Szlomo z Grzybowskiej chadzał z pannami nie tylko do żydowskiego teatru na Placu Muranowskim, ale też do Nowego i Letniego. Wydaje się, że i Singerowi nieobce są te miejsca, choć był zbyt biedny, by tam bywać.

Stanisław Kalbe zabierał Eduszę do opery, gdzie wysiadali w łoży, a potem spędzali czas w Ziemiańskiej albo Europejskiej. Kiedyś nawet poszli na Wyścigi. Bohaterka „Certyfikatu” lubiła mówić o zbawianiu proletariatu, ale „zachowywała się jak burżujka”.

Jego żydowscy bohaterowie równie łatwo znajdowali drogę do domów modlitwy, jak do Semadeniego na Placu Teatralnym czy do Ziemiańskiej. O tej ostatniej filozofujący Feitelzohn z „Szoszy” mawiał — „ludzie siedzą tam i gapią się drętwo w magazyny pełne zdjęć dyktatorów i wulgarnych kobiet”.

Singerowi znane jest nie tylko nazwisko gwiazdy warszawskiego teatru końca wieku, Heleny Modrzejewskiej, ale także o wiele mniej popularnej Marceliny Kochańskiej. Słyszał o kulcie aktorów „graniczącym z barbarzyństwem”, o istnych turniejach wielbicieli. Nieobcy byli mu również śpiewacy operowi, słynni tenorzy — Dygas i Gruszczyński, których arii z upodobaniem słuchała muzykalna Edusza. Jemu samemu towarzyszyły dźwięki marsza pogrzebowego Chopina, katolickie karawany przechodziły pod oknami wynajętego mieszkania na Zamenhofa. Może czytał wówczas prace z dziedziny kultury Juliana Ochorowicza albo podręcznik astronomii Flammariona w polskim tłumaczeniu?

Nie mylił się nazywając kobiety oddział warszawskiego więzienia Serbią, maszynkę spirytusową — prymusem, a psy na wsi Burkami. Kolejność przystanków na trasie kolejki Warszawa-Otwock wymieniał bezbłędnie. Jemu i jego bohaterom przypominały się polskie powiedzenia: „Co ma wisieć, nie utonie” albo „Nie dla psa kielbasa”. Pamięta i inne przysłowia wyhaftowane na zawieszanych na ścianach makatkach: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje” i „Gość w dom, Bóg w dom”. Nie zapomniał do końca piosenki „Wlazł kotek na płotek...”

Prawdopodobnie bywał w mieszkaniach u Polaków, kilkakrotnie opisuje typowe wnętrze domu prostej rodziny, ze stołem na środku pokoju, otoczonym krzesłami, z rogami jelenia na ścianie, z klatką z kanarkiem, maszyną do szycia i podobizną Chrystusa z kędzierzawą brodą i cierniową koroną na głowie, nad którą płonęła mała, czerwona lampka.

Mieszkanie polskiego generała wygląda jak muzeum. Ze ścian spoglądały twarze polskich bohaterów narodowych, wszędzie widać było medale, wstęgi honorowe, głowy wypchanych zwierząt, rewolwery i szable. Podobnie opisuje zamek hrabiów Pilickich, z portretami polskich królów, krzyżami, mieczami, nagimi posągami, obrazami bitew, turniejów, polowań. „Powietrze zamku przesiąknięte było gwałtami, bałwochwałstwem i lubieżnością”, konstatuje z taką samą pewnością, z jaką umieszcza w domach wieśniaków doniczki z pelargoniami na parapetach okien.

Upierał się, że pisać należy tylko o tym, co się najlepiej zna. Nie bez powodu. Trudno się oprzeć wrażeniu, że większość gojów zaludniających jego świat jest produktem demonicznej wyobraźni.

Jego Żydzi są prawdziwi. Nie tylko chasydzi, ortodoksi, tradycjonałści. Także ci, którzy odchodzą od wiary, a nawet szukający ucieczki przed żydostwem w asymilacji. Polacy przypominają często bohaterów marnych brukowych powieści. Są oczywiście wyjątki, szczególnie postacie kobiece są traktowane przez Singera z o wiele większą pobłażliwością i sympatią niż ich męscy współbracia. [...]

Warszawa polska i Warszawa żydowska żyją na kartach prozy Singera równolegle. Stykają się, ale rzadko przenikają, choć czasem łączą. Najczęściej są jednak obok. Wyprawa Szoszy, która właściwie nigdy nie wyszła poza okolice Krochmalnej, w Aleje Ujazdowskie, wydaje się przekroczeniem granic innego świata.

„Jesteśmy narodem bezdomnym i nie potrafimy z nikim

żyć — pisał w „Spuściźnie”. Pozostaliśmy obcy, stanowimy przedmiot ustawicznego szyderstwa i pośmiewiska. Nic się nie zmieniło. Dzisiaj warunki są równie złe jak przed tysiącem lat. A nawet gorsze: w owych czasach nie było oświecenia. Wtedy Żydzi zachowywali przynajmniej swoją wiarę...”

We wszystkich portretowanych przez Singera pokoleniach, przechrztów opłakiwano jak zmarłych. Tora wyznaczała życiową drogę rabinom i ich dzieciom. Stary Meszulam Muszkat był królem między Żydami. Jego synowie, przy wszystkich swoich błędach — też pozostali Żydami. Ale wnuki całkowicie zerwały z tradycją, właściwie niewiele się różniły od gojów.

Świat szedł naprzód. Młodych pochłaniały całkiem nieokreślone idee. Obok Boga Starego Testamentu, pojawił się Marks, Freud i Teodor Herzl. Swaci, mykwy, peruki i pejsy wydawały się potomkom cadyków relikami przeszłości. Świat gojów stanowił nieodpartą pokusę, symbolizował bliżej nieokreśloną wolność, czekającą na odważnych za bramą ortodoksji.

Pani Aronson w „Certyfikacie”, matka Miny, która żydostwa się wstydzi, przyznaje, że Żydom w Polsce nie jest dobrze. Ale czy kiedykolwiek było im dobrze? „Dopóki trzymaliśmy się judaizmu, jakoś potrafilismy przetrwać. Obecne pokolenie jest nie wiadomo czym — nie chcą być Żydami, a nie wolno im być chrześcijanami”.

Tylko chasydzi „złożyli swą ufność w Bogu, nie w człowieku, nie w ewolucji czy rewolucji”. Starali się pielęgnować w sobie ową moc, która przez cztery tysiące lat zachowała ich przy życiu.

„Mogę zaprzeczać istnieniu Boga, lecz nie mogę przestać być Żydem”, wyznawał Azriel, syn rabina z Jampola. Wiedział, że te słowa wydają się dziwne i sprzeczne. Żydostwo wielokrotnie mu ciąży, ale nie potrafi się go wyrzec.

Kiedy po raz pierwszy przyjechał do Warszawy, bogaty przechrzt Wallenberg powiedział chłopcu w chasydzkim ubraniu, że podstawowa rzecz, jaką musi opanować to polska gramatyka. Tłumaczył, że to absurdalne mieszkać w Polsce i szwargotać niemieckim żargonem, a jeszcze śmieszniejsze żyć w drugiej połowie XIX wieku, a zachowywać się tak, jakby się żyło w czasach starożytnych. „Polacy mają swoją religię, nie są w niej jednak całkowicie zasklepieni, dowodził. Nawet Beduini nie są tak ciemni jak chasydzi”. Był pewien, że ratunkiem dla Żydów jest stuprocentowa asymilacja, inaczej zostaną wypędzeni. [...]

Adela, pasierbica Meszulama Muszkata, idealistka, zwo-

lenniczka „wspólnego życia w obopólnym szacunku”, rozumiała odruchy niechęci Polaków wobec obcej żydowskiej społeczności, pragnącej prowadzić odrębne życie we własnej wierze i dla własnego Boga. „No cóż, mówiąc prawdę, kiedy się patrzy na tych wszystkich warszawskich Żydów, kiedy widzi się te ich długie chałaty i jarmułki, to ma się wrażenie jakby się nagle znalazło w Chinach. Nietrudno zrozumieć, dlaczego Polakom to się nie podoba”.

Żydowski świat, pełen tajemnic i osobliwości, był dla goja niedostępny. Istotnie, Polacy dostrzegali najczęściej jedynie jego zewnętrzne znaki — strój, dekoracje, niezrozumiały język. Nie znali i nie chcieli poznać treści ksiąg, które tamci studiowali z takim oddaniem. Żyd również niewiele wiedział o swoim nieżydowskim sąsiedzie. Żyli w całkowitej duchowej obcości.

Singer kilkakrotnie relacjonuje w swojej prozie dziennikarskie dyskusje i polemiki w sprawach wzajemnych polsko-żydowskich kontaktów. W „Spuściźnie” przytacza liczne przykłady z końca zeszłego stulecia. Jego bohaterowie dyskutują o gniewnych artykułach z polskich gazet protestujących przeciwko Żydom, którzy przechodzą do Doliny Szwajcarskiej w długich chałatach, szwargocą po żydowsku i nie używają chustek do nosa. „Różnica między Żydami i chrześcijanami jest taka, komentuje ktoś, że chrześcijanin, wycierający nos w palce, nie uczęszcza na koncerty. Żyd zaś robi i jedno i drugie”.

Inny tekst w tej samej *Gazecie Polskiej* wymierzony był przeciwko żydowskiemu żargonowi skojarzonemu ściśle z „niegodziwym Talmudem pouczającym Żydów, jak oszukiwać chrześcijan i bezcześcić hostię”. Tak zwany Żyd zasymilowany jest jeszcze groźniejszy niż jego staromodny brat w długim chałacie, z pejsami, dowodził jeden z bywalców „polskiego stolika” w taniej jadłodajni na Żelaznej. „Ten ostatni nie wychodzi przynajmniej poza getto, podczas gdy pierwszy wypycha się do każdej warstwy społeczeństwa polskiego i wszędzie prowadzi swą destrukcyjną działalność”. Te wywody brzmią znajomo. Na jakie dno upadku stoczyła się Polska — kontynuuje ktoś inny — skoro na czele głównej instytucji wydawniczej stoi dwóch Żydów — Lewental i Orgelbrand. Inny Żyd, Unger, sprawuje pieczę nad polską sztuką.

Takich rozmów odbyło się wiele. I zapewne jeszcze odbywa. Albo odbędzie.

Polacy z pewnością są antysemitami, powie Aharon, żydowski pisarz, brat tytułowego bohatera „Certyfikatu”, ale

mają rację, gdy twierdzą, że Żydzi szerzą komunizm. W gruncie rzeczy, Żydzi są zawsze pierwszymi ofiarami każdej rewolucji. Gdzie indziej, w rozmowie, ktoś inny powtórzy: „Żydzi rozpowszechniają teorie bolszewizmu na całej ziemi”. Należy zrobić tylko jedno, w „Rodzinie Muszkatów” oficer śledczy nie ukrywa przed Herszem Janowarem swojej niechęci: „Pozbyć się ich. Jak szczury! Do Wisły z tym wszystkim!”

Singer zawsze był od komunizmu daleko. Ale wśród jego bohaterów, szczególnie płci żeńskiej, idee równości i walki klas mają pewną popularność. [...]

On sam spotykał żydowskich komunistów w Biłgoraju. Zapowiadali, że gdy nastanie rewolucja, powieszą jego wuja i stryja za to, że są rabinami, zegarmistrza Todorosa za to, że jest burżujem, jego przyjaciela Nottego za to, że jest syjonistą, a jego samego, gdyż ośmiela się wątpić w nauki Karola Marksa. W imię rewolucji gotowi byli na wszystko, nawet na rozstrzelanie własnych rodziców. Dla Singera zebrania partii komunistycznych to jedyne miejsca, gdzie z całą pewnością nie gościł Bóg.

Pan Zarzycki z „Rodziny Muszkatów” nienawdził Żydów. Winił ich za wszystko, za zniszczenie Polski, własną astmę, ukrywanie żywności, którą polscy chłopcy wyprodukowali w pocie czoła. Nie chciał się zgodzić na małżeństwo swego syna Jana z Żydówką, nawet jeśli dziewczyna się nawróci. Jego żona codziennie pożyczala od dozorczy antysemitki „Dwa grosze”. Janek wiele razy chciał zerwać wszelkie kontakty z Żydami, na których narzekali i rodzice i ksiądz. Ale warszawskie ulice były ich pełne. W końcu zaczął się zastanawiać: skąd przybyli, kim są, co trzymało ich razem? „Skąd wzięty się u nich te kruczoczarne lub płomiennoczerwone brody, te dzikie oczy, blade, arystokratyczne twarze? Dlaczego ludzie nienawdzili ich z taką zaciętością? Dlaczego byli przeganiani z jednego kraju do drugiego?” I jeszcze dlaczego „właśnie oni dali światu Mojżesza, Dawida, proroków, Jezusa, apostołów, Spinozę, Karola Marksa?”

Jednak fascynacja przerodziła się w końcu w niechęć. Kiedy Piłsudskiego, którego nazywał Mesjaszem, wypuszczono z twierdzy w Magdeburgu i ogłoszono niepodległość Polski, Janek został majorem armii polskiej i częstym bywałcem Belwederu. Zaczął czytać antysemitki teksty. W chwilach wściekłości nazywał swoją żonę, Maszę, wnuczkę Meszulama Muszkata, „brudną Żydówką”.

„W Polsce powstała faszystowska organizacja, zwana Nara

(ONR). W Ogrodzie Saskim bito Żydów. Żydowscy studenci, by nie siedzieć w ławkowym getcie, stali na wykładach. Zgrzybiały Piłsudski udzielał wywiadów pełnych sprośności” — pisał Singer w „Tańcu”. „Nowaczyński ponownie odkrył, że Żydzi, masoni, protestanci, Stalin, Hitler i Mussolini zorganizowali spisek, by zniszczyć katolicyzm i powołać dyktaturę Mędrców Syjonu”. Gdzie indziej Baszewis wspominał o Rydzu-Śmigłym. „Był takim generałem, jak ja Turkiem. Wszystko co miał, to ozdobioną galonami czapkę z błyszczącym daszkiem”. Dobrze pamiętał ministra finansów Grabskiego, który obłożył Żydów „takimi podatkami, których nie byli w stanie płacić”.

Hrabia Jampolski był arystokratą i miał niewyparzony język, może dlatego mógł sobie pozwolić na stwierdzenie, że Polacy go nudzą. „Potrafią tylko płakać”, złościł się. „Żyd oszuka, wyciągnie z człowieka ostatniego rubla, ale nie jest chodzącym trupem ani nie chełpi się wiecznie jakimś głupim rodowodem”. Miriam-Libie, córce Kalmana Jakobiego powiedział nawet: „My, Polacy, powinniśmy się od was uczyć. Zamieniamy złoto na błoto, a wy zamieniacie błoto na złoto”.

Czego uczyć? — replikuje przez stulecia dziedzic Pilicki. „Jak okradać swego gospodarza? Zatrzuwać studnie? Jak używać krew chrześcijańską przy wyrobie macy? (...) Wasz przeklęty Talmud uczy was, jak oszukiwać chrześcijan. Wypędzono was ze wszystkich krajów, ale król Kazimierz otworzył wam na oścież nasze bramy. A wy, jak nam odpłacacie? Założyliście tu nową Palestynę. Wyśmiewacie i wyklinaacie nas po hebrajsku. Plujecie na nasze relikwie. Po dziesięć razy na dzień bluźnicie na naszego Boga. Chmielnicki dał wam lekcję, ale potrzebujecie jeszcze lepszej”.

Dawid Bendiger z „Certyfikatu” powiedział do swojego ojca: „Świat się zmienił, Polacy nas nie chcą. Jesteśmy dla nich jak cierń w oku. Robią wszystko, żeby nas wypędzić”.

Jak długo będziemy nieproszone gośćmi u stołu obcych ludzi? — pytają syjonisci na zebraniach. Jak długo będziemy znosić nasze wygnanie? Jak długo będziemy obywatelami drugiej kategorii? Musimy stać się narodem równym innym.

Agata TUSZYŃSKA

Fragment książki o Isaacu Baszewisie Singerze, która ukaże się w marcu 1994 roku w Wydawnictwie Marabut.

Wolny strzelec w potrzasku

Niewiele książek wydanych w kraju w ostatnich latach, omawiających powojenną przeszłość, zawiera zarazem podobną lekcję kultury politycznej. Główną zaletą niedawno wydanej książki Micewskiego („Katolicy w potrzasku”, BGW, Warszawa 1993), stanowiącej bilans osobistych doświadczeń politycznych — zaletą szczególnie wyróżniającą na tle licznych, jednostronnych i płytkich publikowanych świadectw — jest racjonalna metoda w podejściu i ocenie omawianych wydarzeń i postawy protagonistów. Uderza, w rzeczy samej, rzetelność autorskiej introspekcji, nie ukrywającej własnych popełnionych błędów i niedociągnięć. Wbrew panującej dziś modzie, której ulegają często luminarze środowisk postsolidarnościowych, zarówno lewicowych jak prawicowych, Micewski stara się być obiektywny, choć nie zawsze mu się to całkowicie udaje, zwłaszcza wówczas, kiedy pretensje i żale pod adresem byłych przyjaciół politycznych, którzy dopuścili się „zdrady”, biorą górę nad trzeźwą analizą. W tych przypadkach razić może u autora przesadny egocentryzm.

U podłożu licznych sporów, które miały miejsce w łonie środowisk katolickiej opozycji, widzi on wady nie tylko i nie tyle o charakterze politycznym, ile psychologicznym (małoduszność, zawiść, wygórowane lub sfrustrowane ambicje). W oparciu o udokumentowane fakty, publikacje i rozmowy, rekonstruuje kolejne fazy „potrzasku” w jakim znalazły się katolickie grupy koncesjonowane (Pax i secesja Frankowskiego, późniejsze ChSS), a następnie „Znak” — przed i po rozłamie w latach 70-tych — na skutek tarć wywołanych bezpośrednio lub pośrednio przez system totalitarny. Jak autor wykazuje, ten potrzask przebiegał nieraz równoległe ze zmianami taktycznymi i personalnymi w łonie partii, w następstwie prób wygrywania przez frakcje partyjne istniejących różnic pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami katolickimi. Od „dramatycznych błędów Paxu” aż do następnych kompromisów kiedy stawiał na „polską drogę do socjalizmu”, doznawał złudzeń, jak przyznaje, które skończyły się ostatecznie w latach 1968-1970. Samokrytycznie ocenia swój udział w rozłamie w środowisku „Więzi”, związanym z warszawskim Klubem Inteligencji Katolickiej. Przyznaje się do naiwności, bo liczył na narodowe skrzydło w partii, podczas kiedy

Stomma i Mazowiecki stawiali na „liberałów”, Gomułkę i Kliszkę, a potem na Gierka. Gorzej znacznie niż Stommę — któremu zarzuca, że ignorował przestrożę Kisielewskiego przed budowaniem przez środowisko krakowskie resentymentów antysemickich — potraktował Mazowieckiego. Zarzuca mu nadmierną pewność siebie i nienawistny stosunek do przeciwników w obrębie środowisk katolickich, to znaczy wady, które wytykają mu także inne wiarygodne osoby z różnych kręgów byleż opozycji demokratycznej. Uznając w pełni zasługi zespołu *Tygodnika Powszechnego*, z którym współpracował w ciągu 10 lat (nb. nie bez zgrzytów), podziela generalny zarzut Kisielewskiego dotyczący stwarzania wokół siebie wyidealizowanego oblicza, przesadnej opcji liberalnej i bezkrytycznego stosunku do nowinek z Zachodu. Równocześnie jednak autor książki, mimo doznanych zawodów i krytycznych sądów, tę swoją współpracę z *T.P.* uznaje jako „największy komfort moralny w całym okresie powojennym”.

Najbardziej brzemiennie w skutki, a przez to samo najbardziej aktualne, są jego wspomnienia z „peryferii polityki”, dotyczące „Solidarności” przed, w czasie i po stanie wojennym. Aczkolwiek afirmował główne idee i etos tego ruchu, był i jest daleki od powierzchownych zachwyty. Wytyka mu nieroztropność i fakt, że był kierowany przez „koła reprezentujące tylko jeden odłam opinii polskiej”. Lewica laicka i katolicka nie mogły strawić dobrych stosunków Micewskiego z kierownictwem episkopatu, zwłaszcza po ukazaniu się w 1982 r. w Paryżu u O.O. Pallotynów jego książki „Kardynał Wyszyński, prymas i mąż stanu”. Natrafił wtedy na trwającą do dziś dnia „zawiść ludzi małodusznych”, którzy robili wszystko co możliwe, by podkopać do niego zaufanie społeczne. Opisuje szczegółowo kontrowersję jaka wybuchła po ukazaniu się następnej książki pt. „Kościół wobec Solidarności i stanu wojennego”. Rozkład jaki nastąpił w „Solidarności” po 1989 r. potwierdza słuszność jego diagnozy o zacierzeniu i krótkowzroczności lewicowych kół opozycji. Jego teza o niereformowalności socjalizmu okazała się trafna, podczas kiedy — jak przypomina — A. Michnik jeszcze w latach 1980-81 dowodził, że ta teza jest „absurdalna i przestarzała”. Nie przecenia swych funkcji jako doradcy prymasa (były nb. niejasno określone i jak się okazało prowizoryczne) i precyzuje, że choć podzielał cały czas strategię prymasa Glempa, jako kontynuację jego wielkiego poprzednika, nacechowaną umiarem i rozważą, głos jaki posia-

dał niewiele ważył i stąd nie poczuwa się do współodpowiedzialności m.in. za znane potknięcia prymasa w postaci „niezręcznych wypowiedzi”. Jak pisze: „brakło mu finezji prymasa Wyszyńskiego”.

„Sam sobie sterem”, ta dewiza Kisielewskiego, którą starał się naśladować, poszukując skrzętnie syntezy pomiędzy romantycznymi wzlotami i dyscypliną myślenia, prowokowała ostracyzm, ale „dawała spokój sumienia”. Poczynając od lat 60-tych, w zasadniczym konflikcie pomiędzy Warszawą i Krakowem, zajmował postawę opowiadającą się na rzecz kierownictwa Kościoła, choć obecnie uważa, iż obie wizje katolicyzmu: „krakowska personalistyczno-wolnościowa i warszawska opcja na masowe jego przejawy w trosce o jedność narodu i Kościoła w walce przeciw totalizmowi” okazały się w rezultacie potrzebne, i wspólnie przyczyniły się do zwycięstwa. Kiedy era „katolików w potrzasku” dobiegła kresu, nasz „wolny strzelec” wybrał rolę umiarkowanego, rozważnego opozycjonisty. Nieznany jest dotąd fragment jego wspomnień z dwuletniego pobytu w Wiedniu (1987-88), gdzie redagował, z polecenia prymasa, miesięcznik *Znaki Czasu*. Była to impreza nieudana, chociaż pismo zawierało nieraz interesujący, nie podlegający cenzurze, materiał. Było pomyślane jako coś w rodzaju przeciwwagi dla paryskiej *Kultury*. Nie mogło jednak w żaden sposób konkurować nie tylko z *Kulturą*, ale i z publikacjami ukazującymi się w kraju w tzw. drugim obiegu. Nie chwyciło również na emigracji, co stanowiło zasadniczy cel tej inicjatywy. Micewski przypisuje ten edytorski niewypał zarówno brakowi jasnej koncepcji redakcyjnej, jak i — całkowicie bezpodstawnie — polemicznym reakcjom *Kultury* i „Wolnej Europy” oraz dywersyjnym wyskokom niemieckiego dziennikarza J. Goerlicha. W tym, jak i późniejszych epizodach starć z „przyjaciółmi” ze „Znaku”, już po powrocie do kraju, wstępuje ponownie w szranki przeciwko polskim emocjom w polityce. Ponośz jednak nieraz jego samego emocje, kiedy narzeka na postępowanie i czynienie mu krzywdy. Przeżył faktycznie nader boleśnie skreślenie go ze stopki redakcyjnej w *Tygodniku Powszechnym*, co było przejawem niechęci do *Znaków Czasu* i do prymasa, uchodzącego za nadmiernie kompromisowego wobec władz. To rozgoryczenie można co prawda zrozumieć, kiedy przytacza fakty znamionujące „zemstę doradców Solidarności”, jak Mazowiecki i Wielowieyski, którzy doprowadzili do wyeliminowania go z gry w okresie przygotowawczym i z samych rozmów przy „okrągłym stole”, oraz spro-

wokowaną przez nich nagonkę za granicą. W pomówieniach, szerzonych głównie na terenie Republiki Federalnej i Austrii, które nb. zakończyły się fiaskiem, odznaczył się zwłaszcza W. Bartoszewski, któremu wystawia świadectwo kontrastujące całkowicie z tytułem jego egocentrycznej książeczki „Warto być przyzwoitym”. Micewski nazywa tę akcję szkalującą „lin-czem moralnym”, bo faktycznie szło o świadome niszczenie adwersarza. Takich przykładów — dodać tu trzeba — w stylu „stalinizmu à rebours” było wtedy i nadal jest wiele. Micewski nie sprowadza zresztą tej nieuczciwej gry do samego siebie i przytacza nazwiska przedstawicieli opozycji ze środowisk innej orientacji niż „różowa”, skazanych w tym okresie na izolację. Temu niedobremu zjawisku („lewicy laickiej i katolickiej trzeba się podporządkować albo jest się wrogiem”, pisze) przeciwstawia postępowanie przywódców centroprawicy jak W. Chrzanowski czy A. Hall, z którymi jego stosunki, mimo politycznych różnic, układały się prawidłowo, były bowiem oparte na wzajemnej lojalności i przetrwały do dzisiaj. Kiedy na krótko wyszedł z izolacji, po objęciu funkcji szefa zespołu doradców Wałęsy (w czasie kampanii prezydenckiej) też nie miał lekkiego życia. Nie tak jak w 1981 r., kiedy Michnik i Kuroń storpedowali decyzję Wałęsy, który mianował go na stanowisko red. nac. *Tygodnika Solidarności*, tym razem podstawił mu nogę „przyjaciół” z własnego obozu, Z. Najder, któremu kilka lat przedtem przepowiedział, że wyleci z „Wolnej Europy”. Samego zaś Wałęsę ocenia trzeźwo jako „żywiół, który topi problemy rzeczowe” i dyskwalifikuje polityczne kompetencje jego najbliższych współpracowników. Podkreśla, że mimo populistycznych zagrań nie ma on jednak skłonności do sekciarstwa jak ludzie z tzw. „etosu Solidarności”.

Bardzo cenne wydają się jego refleksje związane z osobistymi doświadczeniami balansowania pomiędzy dwoma orientacjami w polskim katolicyzmie: nawiązującą do katolicyzmu otwartego, pluralistycznego oraz eksponującą wartości narodowe i odwołującą się do chrześcijańskiej roztropności, a więc do realizmu politycznego. Ani z jedną ani z drugą nie chciał się identyfikować i wiązać, wychodząc z założenia, iż należy wyluskać pozytywne treści w obydwu tych orientacjach, usuwając z nich plewy i poszukując tym samym syntezy wartości w istocie uzupełniających się, lecz niestety w polskiej praktyce wykluczających się nawzajem; w dużej bowiem mierze obciążonych kompleksami i przeciwieństwami historycznymi i kulturowymi. Przychodzi tu mi na myśl, jakże aktualne w tym kontekście wezwanie Jana Pawła II do „umiejętności róż-

nienia się, co oznacza też wzajemne uzupełnianie się”, a więc duchowe obopólne wzbogacanie się w klimacie tolerancji. Wybiórczy wciąż stosunek do magisterium papieskiego w krajowych środkach przekazu (łącznie i przede wszystkim w telewizji publicznej!) uniemożliwia polskim czytelnikom i widzom zapoznanie się z tego rodzaju apelami papieskimi, upowszechnianymi w całym cywilizowanym świecie.

W podsumowujących obserwacjach stwierdza, że „Solidarność” była największym społecznie ruchem niepodległościowym w tym wieku i nikt jej tej zasługi nie odbierze. Ruch ten jednak, czego nie da się ukryć, popełnił liczne błędy w strategii i taktyce, co wynikało w dużej mierze z wad narodowych, a co zachodni eksperci i komentatorzy nam wytykali i czego zarozumiali liderzy „S” nie byli gotowi uznać. Nie pozbawiony akcentów krytycznych jest również jego stosunek do instytucjonalnego Kościoła, oparty na przesądzeniu, że winien przejawiać wielką powściągliwość w rewindykowaniu własności oraz tolerancję i umiar wobec przeciwników. W Polsce bowiem — jak zauważa — zapóźnionej w rozwoju, problematyka wyznaniowa odgrywa w polityce nadmierną, większą rolę niż w państwach zachodnich. I dlatego wypomina Unii Demokratycznej jej wybiórczą lewicowość, ograniczającą się do spraw wyznaniowych i narodowościowych. Słusznie też uważa, że Kościół, główna siła oporu do 1976 r., w nowej sytuacji „w pewnej mierze słabnie społecznie”, bo materializm praktyczny wraz z inwazją wilczego kapitalizmu okazały się przeciwnikiem znacznie niebezpieczniejszym od marksizmu i realnego socjalizmu. Za dodatkową, lecz chyba niemniej ważną przeszkodę uważa — i piętnuje — swary i gorszące skłócenie wśród chrześcijańskich środowisk centroprawicowych. W sytuacji katolików w potrzasku szedł na wiele kompromisów, dopuszczalnych — to znaczy nie przekraczających dozwolonych moralnych barier, nieodzownych nawet w imię obecności społecznej świata katolickiego. Z tego potrzasku-systemu, jak przyznaje, nie zawsze wychodził cało i zwycięsko, nieraz poważnie nadzarpanięty w swym politycznym *image*. Ci, którzy go dobrze znają (czego piszący te słowa nie może stwierdzić) i obdarzają szacunkiem, podnoszą jego niewątpliwy talent publicystyczny i niecodzienną, jak na warunki polskie kulturę polityczną. Równocześnie jednak twierdzą, że jako polityk w działaniu nie sprawdzał się i nie miał szczęśliwej ręki. Świadczy o tym m.in. fakt, że jedyną grupą polityczną z jaką się związał w odrodzonych warunkach demokratycznych było Stron-

nictwo Pracy, które, jak wiadomo, stanowi grupę kanapową, całkowicie przegraną, przed wyborami związaną z pseudochadeckim Porozumieniem Centrum. Na łamach swych wspomnień określa zresztą siebie jako zwolennika centrolewicy, rozumianej jako polityczny wykładnik orientacji socjaldemokratycznej typu zachodniego. Nie dziwi więc jego nader pozytywna ocena Unii Pracy (Bugaja, Małachowskiego i Modzelewskiego) jako autentycznego wyrazu takiej właśnie orientacji. Tym samym nie zaskakuje jego drastyczny osąd politycznych elit postsolidarnościowych, zarówno lewicowych, jak i prawicowych. Te przeciwstawne bieguny łączy bowiem (*les extrêmes se touchent*), jak stwierdza, „bezwzględna walka kierująca się interesami partyjnymi i personalnymi, tak jakby nie zdawały sobie sprawy, że kraj znajduje się na skraju przepaści”. Może więc budzić zdziwienie fakt, że związał się przed wyborami z PSL, broniącym anachronicznego agraryzmu i klasowych interesów chłopskich. I to tym bardziej, że w konkluzji omawianej książki zarzeka się, iż porzuca uprawianie czynnej polityki. Tłumaczy zapewne tę nagłą decyzję okolicznością, że Unia Pracy proponowała mu kandydowanie do senatu, ale odmówił z uwagi na jej „zacięcie antyklerykalne”. PSL, natomiast skądinąd pozbawione ludzi o wysokich kwalifikacjach intelektualnych i politycznych, może stać się skuteczną przeciwwagą wobec tych tendencji oraz nostalgicznych zapędów b. nomenklatury z SLD. Micewski przy W. Pawłaku może odegrać ważną i konstruktywną rolę nie tylko jako doradca d/s kościelnych, czego należy mu życzyć.

Rzym, 10 październik

Dominik MORAWSKI

O książce M. Siwickiego

Jest to publikacja amatora-pasjonata przeświadczonego, że „będzie to pierwsza tego rodzaju praca w historiografii polskiej” i że „...już pierwszy tom niniejszych «Dziejów»* wywoła zacieklą

* Mikołaj Siwicki, „Dzieje konfliktów polsko-ukraińskich”. Redakcja techniczna — Andrzej Zabrowarny. Nakładem autora. Tom pierwszy, Warszawa 1992, s. 318; Tom drugi — Warszawa 1992, s. 336 [oba tomy drukowane w Łucku].

dyskusję" (T. 1, s. 7). Temu służy własny wykład autora oraz wybór dokumentów z polskich archiwów.

Publikacja dokumentów zawsze jest pożyteczna, niestety znaczna część ich jest publikowana przez Siwickiego właśnie po amatorsku, bez wystarczających metryczek, pozwalających się zorientować, w jakiej instytucji dokument powstał i do kogo był skierowany, nie sposób też zorientować się, czy dokumenty zostały opublikowane przez Siwickiego w całości, liczne klamry wskazują na opuszczenia, ale nie wiadomo przez kogo poczynione. Pragnących korzystać ze skrzętnie zebranych źródeł należy więc ostrzec, że mogą narazić się na wyciąganie wniosków ze zdań wyrwanych z kontekstu, o ile nie zniekształconych, bo i to się amatorom-pasjonatom zdarza.

Mniejsza jednak o dokumenty, uczta nie lada jest lektura Siwickiego zdań własnych. Mimo krytycznego stosunku do polskiej polityki ukraińskiej, trudno mi jest zgodzić się z sądem, że wszelka wina za nieudane stosunki spada na stronę polską, a „ojcem chrzestnym [polsko-ukraińskiej nienawiści] stał się Kazimierz Wielki, inicjator długowiecznej agresji" (T. 1, s. 5). Przyszłość natomiast, że rzeczywiście tak kategorię sądu w literaturze pretendującej do naukowości dotychczas nie spotkałem. Innymi słowy: autor jednak jakiś założony cel osiągnął.

Myślę, że nie ma sensu polemizować z autorem i dowodzić, że stosunki polsko-ukraińskie były różne, że przyłączenie Rusi Czerwonej przez Kazimierza nie było powodowane polskim imperializmem a normalną polityką dynastyczną, że chroniło Ruś przed najazdami tatarskimi, czego np. nie można powiedzieć o powstaniu dowodzonym przez Bohdana Chmielnickiego, że Polska coś jednak tej ówczesnej jak i późniejszej Rusi dała, że krwawe wojny kozackie, oderwanie lewobrzeżnej Ukrainy i przyłączenie jej do Rosji było wielką katastrofą nie tylko polską, ale i ukraińską, że apoteoza ruchów ukraińskich nie wytrzymuje najmniejszej krytyki. Nie ma sensu, bo autor wie najlepiej i nie da się przekonać.

Zdaje się, że Kazimierz Wielki został przez Siwickiego zaatakowany po to, by obraz polskiego imperializmu jak najbardziej ujednolicić i przedstawić jako nieprzemijający trend polityki. Cokolwiek Polacy by nie robili, to zawsze są zbrodniarzami, natomiast Ukraińcy toczą wyłącznie sprawiedliwą walkę. Bo w istocie rzeczy chodzi mu głównie o stosunki w okresie II wojny światowej. Posłuchajmy więc, co autor ma do powiedzenia na temat mordowania ludności polskiej na Kresach:

Polacy w mundurach niemieckiej policji, w szeregach sowieckiej partyzantki czy milicji, jak i 27 Wołyńskiej Dywizji AK stali się znowu nie mniej śmiertelnym wrogiem narodu ukraińskiego niż Niem-

cy czy bolszewicy. Jeśli na ziemi ukraińskiej najeźdźcy zrobili piekło, gdzie dniami i nocami ginęli gospodarze, to głównym zadaniem społeczności wołyńsko-galicyjskiej musiała stać się obrona, wypieranie z pola walki — za Bug i San — choćby najstarszego wroga, który zajął tę ziemię dwukrotnie — w latach 1349 i 1919. Musiało nabrać mocy rosyjskie przysłowie: «Jeśli wróg nie sdajot-sia, jewo uniczożajut». Słusznie mówił gubernator Wächter we Lwowie, że był to «nieuchronny rezultat przeszło 600-letniej polityki polskiej na tym terenie». To się toczyła normalna walka dwóch narodów o istnienie, w której silniejszy — gospodarz zwyciężał słabszego w tej chwili najeźdźcę. (T. 2, s. 19)

I dalej:

Większość społeczeństwa polskiego ma poczucie krzywdy i wcale nie uświadamia sobie, że akcja wyrzucania Polaków za Bug i fizyczna likwidacja opornych, prowadzona w obronie praw gospodarza tych ziem — narodu ukraińskiego, była słuszną i nieuniknioną. (T. 2, s. 20)

Równie smakowite cytaty można mnożyć, ale chyba i te wystarczają. Po tak szczerym wyznaniu wiary, po powołaniu się na Wächtera i na ulubioną maksymę Stalina nie sposób podejmować dyskusji. Nie wiem, kto to taki Mikołaj Siwicki, prawdopodobnie jest to człowiek żyjący w świecie imaginacji, którego czas i dokonujący się wokół postęp pojęć niczego nie nauczyły. Interesem swojego narodu oddaje jak najgorszą usługę. Smutne jednak, że wymieniony jako redaktor dzieła Andrzeja Zabrowarny ponoć jest znanym działaczem ukraińskim w Polsce, osobą z wyższym wykształceniem, pracownikiem naukowym. Jakąś pociechą jest, że w porównaniu ze szczerością Siwickiego prace polskich ukraińców, te przynajmniej które mam na półce, zdają się zgoła umiarkowane. Nawet dawne i nowe publikacje rzeczników egoizmu narodowego.

Miejmy nadzieję, że książka nie spełni tego co spełnić może i czego autor pragnie, nie przyczyni się do rozjątżenia ciągle delikatnych stosunków między dwoma narodami. Chociaż... w Warszawie widziałem ją w dziewięciu chyba księgarniach, więc jednak dociera do jakiegoś w miarę szerokiego kręgu czytelniczego. Niektórzy czytelnicy potraktują ją poważnie. Dla porównania: wydawane przez Instytut Literacki *Zeszyty Historyczne* znalazłem tylko w dwóch. Najnowszą pracę Ryszarda Torzeckiego „Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej” — w jednej.

Józef LEWANDOWSKI

Nowa bibliografia druków niezależnych

Gdy dotarł do mnie egzemplarz wydanej nakładem Uniwersytetu Wrocławskiego pracy Szczepana Rudki, nie mogłem uwierzyć oczom. Jej tytuł — „Wrocławskie pisma bezdebitowe 1973-1989”* — rozszerza bowiem przestrzeń istnienia niezależnej prasy na okres sprzed 1976 roku, który na ogół przyjmuje się za datę wstępną w dziejach publikacji wydawanych w PRL poza zasięgiem cenzury. Trzeba, oczywiście, pamiętać o tych biuletynach i gazetkach, które ukazywały się w Polsce po roku 1945, a których istnienie sygnalizowała swego czasu bibliografia Pileckiego. Niemniej dotąd nieznanne na ogół były — wyjąwszy może biuletyn *U Progu* — publikacje poprzedzające narodziny *Biuletynu Informacyjnego* KOR-u. Tym pilniej trzeba dziś — nim zatrażą się ślady i tropy — podjąć próbę możliwie szeroko zakrojonych badań w tej dziedzinie.

We wstępie do swej pracy pisze autor, że datę wyjściową (styczeń 1973) przyjął na podstawie publikacji *Organu Studia Kompozycji Emocjonalnej*. Podkreśla jednak: „Istnieje duże prawdopodobieństwo, iż takie pisma mogły ukazywać się znacznie wcześniej. Chodzi tu przede wszystkim o wystąpienia społeczne w latach: 1956, 1968 i 1970/71. Mogły to być również pisma, których wydawcy, decydując się na niezależność wobec cenzury, kierowali się niekoniernie politycznymi pobudkami”. Oczywiście — takie pisma i publikacje istniały. Przypominam sobie proces członków mijalowskiej KPP toczący się równoległe z „procesami marcowymi”, w trakcie którego mówiono o ich nielegalnym piśmie zatytułowanym *Czerwony Sztandar*. Były też niezależne publikacje artystyczne — niekoniernie pisma, nawet tomiki wierszy: poezji konkretnej Andrzeja Partuma w Warszawie. W 1969 Krzysztof Mrozowski opublikował własnym sump-tem tomik „Text”, w 1972 wyszły podobnie wydane książeczki Juliana Kornhausera „Zabójstwo” i Wita Jaworskiego „Zła wiara”. To, rzecz jasna, nie są czasopisma, lecz warto przy okazji te fakty przypomnieć. Do tego trzeba dodać niesłychaną ilość druków ulotnych. I tu, oczywiście, wyłania się problem ciąg-

* Szczepan Rudka: Wrocławskie pisma bezdebitowe 1973-1989. Bibliografia. Uniwersytet Wrocławski, Wrocław 1993, s. 174, ilustr., ISBN 83-900550-5-8.

łości tego ruchu wydawniczego oraz spistości i ciągłości środowisk, które go powołały do życia.

Bibliografia Rudki obejmuje 486 pozycji — od gazetki *A* poczynając, na piśmie *Z Partytury* kończąc. Mimo to autor zakłada, że udało mu się opisać jedynie 60-70 % istniejących w omawianym okresie pism pozacenzuralnych. Już ten fakt wskazuje, że badania tego obszaru muszą być zintensyfikowane — a w końcu rzecz dotyczy nie tylko Wrocławia, który był co prawda miastem w tej materii niesłychanie aktywnym, i nie tylko miast wielkich, ale przede wszystkim prowincji: tu ślady znikają dość szybko i warto już dziś zatroszczyć się o ich ocalenie.

Szczególnie interesująca jest bibliografia ubeckich fałszywek dołączona jako aneks do głównego tekstu opracowania.

Jedno nie ulega wątpliwości — tego rodzaju publikacje dokumentują nie tylko tytuły pism. Są najbardziej chyba wymierną dokumentacją społecznej aktywności opozycyjnej. Gdy bowiem zdać sobie sprawę z faktu, że za każdym z tych tytułów widzieć trzeba nie tylko zespół redakcyjny, lecz całą sieć „lokali” czy kolportażu, wówczas sens podobnych opracowań wykracza daleko poza obszar zainteresowania moli książkowych.

L. S.

Nadesłane nowości wydawnicze

- KUKIEL (Marian). *Dzieje Polski porozbiorowe (1795-1921)*. Wydanie Czwarte. Str. 726 i 8 nłb. (Wyd. PULS Publ. Ltd. Seria „Historia” poz. 10, Londyn 1993).
- DOBOSZ (Andrzej). *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia. Epoka „Współczesności”*. Str. 304. (Wyd. PULS Pub. Ltd., seria „Proza i eseistyka”, Londyn 1993).
- TYRMAND (Leopold). *Filip*. Str. 390 i 10 nłb. (Wyd. PULS Pub. Ltd., seria „Proza i eseistyka”, Londyn 1993).
- TYRMAND (Leopold). *Dziennik 1954*. Wydanie piąte. Str. 406 i 10 nłb. (Wyd. PULS Publ. Ltd. seria „Proza i eseistyka”, Londyn 1993).
- MACKIEWICZ CAT (Stanisław). *Dostojewski*. Str. 208 i 10 nłb. (Wyd. PULS Publ. Ltd., seria „Biografie”, Londyn 1993).
- SERCZYK (Władysław Andrzej). *Iwan IV Groźny*. Str. 202 i 4 nłb. (Wyd. PULS Publ. Ltd., seria „Biografie”, Londyn 1993).
- WARCHAŁ (Arnold). *Uderzenie skrzydła*. Wiersze. Str. 78 i 2 nłb. (Wyd. Grupa Poetycka Niezapłacony Rent, Chicago III USA 1993).
- Przez dwa stulecia XIX i XX w. Studia historyczne ofiarowane

- prof. Wacławowi Felczakowi. Str. 212. Kraków 1993).
- Wiatr nas nosi po świecie*. Antologia polskiej poezji żołnierskiej na obczyźnie 1939-1945. Str. 284 i 4 nlb. (Wyd. Baran i Suszczyński, Kraków 1993).
- NIETSCHKE (Bernadetta). *Adam Doboszyński — publicysta i polityk*. Str. 220 i 4 nlb. (Wyd. PLATAN, Kraków 1993).
- Przyczynek do bibliografii wydawnictw podziemnych lat siedemdziesiątych* (opr. Włodzimierz Gołąb). Zeszyt nr 1 Biblioteki Głównej Akademii Rolniczej w Poznaniu. Str. 32. (Wyd. Akademii Rolniczej, Poznań 1993).
- MIROSLAWSKI (Zbigniew). *Niebieska Góra*. Wiersze. Str. 44 i 2 nlb. (Oficyna Wydawnicza „Witek-Druk”, Tarnów 1993).
- DUBICKI (Tadeusz), ROSTWOROWSKI (Stanisław Jan). *Senatorzy kontra Sikorszczycy czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939-1940*. Str. 156 i 4 nlb. (Oficyna Wydawnicza „Adiutor”, Warszawa 1993).
- Polska cała*. Katalog starych książek, map i rycin XV-XIX wieku Polski dotyczących w zbiorach Muzeum Polskiego w Rapperswilu z kolekcji Romana Umiaśtowskiego. Str. 200 i 2 nlb. (Wyd. Muzeum Polskie, Rapperswil-Szwajcaria 1991).
- KŁOSSOWSKI (Andrzej). *Polskie oficyny wydawnicze na Obczyźnie*. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1993).
- WACŁAWSKI (Mieczysław). *Libierka*. Str. 260 i 6 nlb. Nakładem własnym autora oraz jego Przyjaciół ze Lwowa i z Drugiego Korpusu Polskiego we Włoszech i w Anglii, 1992.
- JACKIEWICZ (Mieczysław). *Wileńska Rossa*. Przewodnik po cmentarzu, Str. 237 i 3 nlb. oraz plan cmentarza. (Wyd. Książnica Polska, Olsztyn 1993).
- Zeszyty Historyczne WiN-u*. Nr 3, rok II, czerwiec 1993. Str. 216. (Wyd. Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”, Kraków 1993).
- PISKOZUB (Andrzej). *Rozwój horyzontu geograficznego*. Str. 212. (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1993).
- LEITGEBER (Sławomir). *Nowy Almanach Błękitny*. Str. 216 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza „Adiutor” i Towarzystwo Genealogiczno-Heraldyczne, Poznań-Warszawa 1993).
- W pejzażu ojczyzny i obczyzny*. Studia i szkice o literaturze polskiej XX wieku (pod redakcją Włodzimierza Wójcika). Str. 104. (Wyd. Uniwersytet Śląski w serii Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego nr 1201, Katowice 1991).
- Rosyjskie oficyny wydawnicze na obczyźnie*. YMCA Press i Żiżi s Bogom. Str. 18 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa), Warszawa 1993).
- KAZAN (Elia). *Dubler*. Tłumaczył z angielskiego Jan Aleksandrowicz. Str. 406 i 10 nlb. (Wyd. PULS Publ. Ltd., seria: „Nocny Marek”, Londyn 1993).
- IRVING (John). *Matężstwo wagi półśredniej*. Tłumaczyła z angielskiego Julita Wroniak. Str. 254 i 2 nlb. (Wydawnictwo MARABUT, Gdańsk 1993).
- MACKIEWICZ (Józef). *Nie trzeba głośno mówić*. Tom 8 „Dzieł” — wydanie trzecie. Str. 638 i 2 nlb. (Wydawnictwo KONTRA, Londyn 1993).
- MACKIEWICZ (Józef). *Fakty-Przyroda-Ludzie*. Tom 12 „Dzieł” — wydanie drugie (przedmowa Barbary Toporskiej). Str. 394 i 6 nlb. (Wydawnictwo KONTRA, Londyn 1993).
- ZAGAJEWSKI (Adam). *La trahison*. Przekład z polskiego Laurence Dyèvre. Str. 256. Wyd. Fayard, Paris 1993).
- TYMOWSKI (Michał). *Une histoire de la Pologne*. Przekład z polskiego Jean-Yves Erhel. Str. 176. (Wyd. Les Editions Noir sur Blanc. Librairie Polonaise, Montricher, Suisse, 1993).

Notatki Redaktora

Po podpisaniu Traktatu Ryskiego żołnierze armii atamana, Symona Petlury zostali internowani w Polsce. Niestety władze polskie zupełnie się nimi nie zaopiekowały, dopiero przed samą wojną p. Stefan Soboniewski, sekretarz premiera Sławoja-Składkowskiego, który został mianowany starostą kaliskim, zaopiekował się nieliczną już grupą, która jeszcze tkwiła w obozie. 12-go czerwca br. staraniem Związku Ukraińców w Polsce został poświęcony odbudowany Ukraiński Cmentarz Wojskowy w Aleksandrowie. W uroczystości brały udział kompania honorowa wojska ukraińskiego, delegacje z Ukrainy z ambasadorem Gienadirem Butowenko na czele. Niestety ta uroczystość została zbagatelizowana przez Polskę, którą w czasie tej uroczystości reprezentował jedynie wiceminister kultury Michał Jagiełło, Jerzy Milewski z kancelarii prezydenta i miejscowy wojewoda. Prezydent RP nie uważał za właściwe wzięcia udziału w tej uroczystości. Zapomniał widocznie, lub nie wiedział, że tych internowanych Ukraińców, którzy walczyli razem z nami z bolszewikami w 1920 r., odwiedził Marszałek Józef Piłsudski i ich przeproszał.

W ostatnim czasie była moda na sprowadzanie zwłok zasłużonych Polaków do kraju. Było to wszystko robione głównie pod kątem akcji wyborczej w sposób przypadkowy i dowolny. Zapomniano o sprowadzeniu szczątków Stanisława Augusta, mimo uroczystych obchodów 200-lecia Konstytucji 3-Maja, i zapomniano również o pierwszym prezydencie RP na wygnaniu, Władysławie Raczkiewicz. Odpowiedzialność za to ponosi przede wszystkim polska emigracja w Londynie.

Prasa polska podaje, że w Polsce istnieje 4 tysiące fundacji. Jest to liczba przerażająca, Pomijając już liczne wypadki, że te fundacje są przykrywką do takich czy innych interesów, to szereg fundacji zajmuje się tymi samymi zagadnieniami prowadząc nieskoordynowaną a często sprzeczną ze sobą politykę. Dotyczy to w pierwszym rzędzie fundacji zajmujących się problematyką wschodnią i Polakami w byłym Związku Sowieckim.

Niedobrze dzieje się z polską służbą dyplomatyczną. Placówki dyplomatyczne były obsadzane w sposób najbardziej przypadkowy, angażowano ludzi nie tylko niekompetentnych, ale takich którzy nie zamierzali pozostać w służbie dyplomatycznej po upływie ich kadencji. Ostatnio można zaobserwować powrót do złych obyczajów PRL-u, kiedy MSZ traktowano jako miejsce zsyłki czy emerytury dla dygnitarzy reżimu. Ilustracją jest obecnie powołanie do MSZ szefa Kancelarii Sejmu, Ryszarda Stemplowskiego. Powody, dla których p. Stemplowski ustąpił ze swego stanowiska w Sejmie, są bardzo słabą rekomendacją do jego służby w dyplomacji.

Niestety, zwraca się zbyt mało uwagi na szkolenie nowych i młodych kadr przyszłych pracowników służby dyplomatycznej. Przed wojną Min. Spraw Zagr. stworzyło organizację „Liga”, która szkoliła z wybranych spośród młodzieży akademickiej studentów przyszłe kadry — poprzez organizowanie specjalnych kursów, praktyk konsularnych, etc. Dało to znakomite rezultaty. Czasem jednak warto brać przykład z osiągnięć Drugiej Rzeczypospolitej.

Złe obyczaje. Profesor Jan Winięcki, który reprezentował Rząd RP w radzie nadzorczej Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, zrezygnował ze swego stanowiska, uzasadniając, że nowy rząd — jego zdaniem — doprowadzi kraj do katastrofy gospodarczej.

Rząd p. Pawlaka wprowadza politykę „łupów”. Mianowicie, rozpoczyna się czystka wśród wojewodów — usuwa się tych wszystkich, którzy nie należą do koalicji rządowej, uważa-

jąc, że na tym stanowisku mogą być tylko ludzie reprezentujący stronnictwo, które uzyskało większość na danym terenie. Zapomniano, że wojewoda jest urzędnikiem państwowym, który ma określone zadania administracyjne, a nie zajmuje się polityką. Powoływanie się na przykład francuski jest naciąganiem. Tu niewątpliwie układy partyjne mają duży wpływ, ale decydują kompetencje kandydata.

Pan Józef Garliński od dłuższego czasu wprowadził zasadę nietykalności swojej osoby. Osobliwa to zasada u człowieka pióra, który wszelkie uwagi polemiczne z oburzeniem odrzuca i z miejsca albo kieruje sprawę do sądu, albo nim grozi (korzystając z angielskiego, nadmiernie rozszerzonego prawa *label*, gdzie wszystko niemal można podciągnąć pod „potwarz” czy „oszczerstwo”). Ponieważ koszty procesu w W. Brytanii są ogromne, więc wszyscy ustępują, ale i tak muszą płacić duże sumy na pokrycie kosztów adwokata. Jest to swoisty terror.

Kultura rezygnuje ze współpracy z pisarzem, którego obyczaje odbiegają tak jaskrawo od profilu naszego pisma.

REDAKTOR

Polemiki

New York, 20.11.93

Wielce Szanowny Panie,

Omówienie książki Stanisława Beresia i mojej pt. *Rozdarta kurtyna* zamieszczone w *Kulturze* wydaje się w sposób wyjątkowy i zastanawiający odbiegać od poziomu, stylu myślenia i obyczajów pisarskich przestrzeganych zawsze przez *Kulturę*.

Spieszę więc zapewnić Pana o moim niezmiennym najwyższym szacunku, jaki zawsze żywiłem i ciągle żywię do Pana osobiście, oraz o moim niewzruszonym przekonaniu o ogromnych wartościach Pańskiego wielkiego dzieła jakim jest *Kultura*, wraz z *Zeszytami Historycznymi* i Biblioteką *Kultury*.

We wspomnianej wypowiedzi o *Rozdartej kurtynie* znalazły się tony i podteksty o charakterze „ad personam”, na które bym nie reagował a także teraz nie podejmuję z nimi dyskusji — ponieważ jednak sprawa jest publiczna, pozwalam sobie prosić o zamieszczenie tego krótkiego listu na łamach *Kultury*.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Kazimierz BRAUN

14.11.1993

Szanowny Panie Redaktorze,

Teraz dopiero przeczytałam felieton Rafała Węgrzyniaka na temat „Rozdartej kurtyny” Stanisława Beresia i Kazimierza Brauna. Piszę: „felieton”, gdyż zbiór pełnych niechęci uwag pod adresem Brauna trudno nazwać recenzją książki, która jest jedną z nielicznych relacji człowieka teatru „nieukąszonego przez Hegla”, a także wycinkiem historii powojennego teatru. Rejestracją, plastycznym opisem przedstawień, historią ich powstania.

Nie zamierzam pisać tu własnej recenzji „Rozdartej kurtyny”.

Recenzja moja zapewne niedługo ukaże się w Polsce. Chciałabym tylko (ze smutkiem, gdyż nie sądziłam, iż z tego typu pisarstwem, niegdyś praktykowanym w PRL, zetknę się kiedykolwiek w *Kulturze*) zapytać autora:

1. Co ma na myśli pisząc, iż Braun na studiach „odrzućć musiał znaczną część bagażu wyniesionego z ziemiańsko-inteligentkiego domu”. Skąd wiadomo, że odrzucił? Czy to zarzut?

2. Co znaczyć ma, iż Braun po roku 1975 „namiętnie oddaje się eksperymentom”? Czy to zarzut?

3. Co znaczy stwierdzenie, że dla Brauna „powstanie Solidarności musiało być szokiem i że z tym większą gorliwością poparł rodzący się ruch”. Czy to zarzut? Czy znaczyć to ma, iż Braun popierał był rządy PRL? To nazywa się w języku polskim pomówieniem.

4. Co oznacza sformułowanie, „bogooczyźniana formacja”? Wiem co oznaczało ono w słownictwie żurnalistów w czasach PRL. Nie jestem pewna co oznacza ono dla autora. Nie wiem więc dlaczego Braun powinien być wobec owej formacji krytyczny, a zwłaszcza nie wiem dlaczego brak owego krytycyzmu miałyby mu przeszkadzać w wystawieniu „Operetki”?

5. Co znaczy stwierdzenie: „Braun, jak się zdaje, nie podejmował pracy nad spektaklami granymi w kościołach, gdyż wolał unikać zdecydowanych deklaracji politycznych”. To kolejne pomówienie. Dlaczego autorowi nie wystarczają przyczyny podane przez reżysera. Czy tylko dlatego, iż łatwo w ten sposób przedstawić Brauna w niekorzystnym świetle? Odnoszę wrażenie, iż Rafał Węgrzyniak jest bardzo młodym człowiekiem. W przeciwnym razie nie zamieszczałby w swym felietonie stwierdzeń w rodzaju: (Braun) „chciał nawet wystawić 'Małą apokalipsę', ale uległ perswazjom Józefa Tejchmy i poprzestał na 'Kronice wypadków miłosnych'”. Nikomu, kto pamięta te niezbyt przecież odległe czasy tłumaczyć nie trzeba, iż Tejchma miał jakby decydujący głos w sprawach repertuaru. Tejchma, nie Braun. Krytyka eksperymentów w teatrze lubelskim zamieszczona w piśmie *Teatr* była zapewne jednak, lub również była atakiem politycznym. Napisałam w owym czasie do tegoż *Teatru* recenzję z londyńskiego, „eksperymentalnego” właśnie przedstawienia „Hair”. Cenzura artykuł zdjęła. Redaktor naczelny *Teatru* Jerzy Koenig przekazał mi wiadomość, iż recenzja mogłaby się ukazać, gdybym zgodziła się na dopisanie kilku zdań akcentujących iż podobna sztuka „jest NAM obca”. W owych czasach czerwony szalik, owłosiony Lenin, znaczek w klapie, lub jego brak, czy określony motyw muzyczny zwracały uwagę, bywały istotnymi elementami przedstawienia. Staff, Wyspiański, Mrozek i Mickiewicz bywali zaś „antyradzieccy”. A wystawianie sztuk „nie ignorujących rzeczywistości politycznej” bywało najczęściej niemożliwe. Aż głupio pisać o sprawach tak oczywistych.

Rafał Węgrzyniak jest miłośnikiem teatru tradycyjnego. Ma do tego prawo. Braun miał też prawo być w latach siedemdziesiątych

miłośnikiem teatru eksperymentalnego. Uważając, iż przedstawienia Brauna były nieudane — z pewnością je oglądał? — Węgrzyniak powinien był dokonać ich krytycznej analizy. Powinien był przynajmniej dokonać krytycznej analizy opisu przedstawień w książce. Skwitowanie zawartości niemal połowy książki, która obrazowo opisuje przedstawienia i ich genezę, określeniem „karkołomny eksperyment” niewiele chyba wnosi nowego i nie prowadzi do niczego.

Obiecałam nie pisać recenzji „Rozdartej kurtyny”. Nie chciałam też pisać recenzji felietonu Rafała Węgrzyniaka. Zakończę już tylko dwoma uwagami. Living Theater i Bread and Puppet Theater to było kiedyś naprawdę coś więcej niż „lewacko anarchistyczne przedsięwzięcie” (jak takie etykiety zubożają język!!). A żeby pisać o teatrze, historii i kulturze trzeba je „czuć”. A przede wszystkim trzeba coś o nich wiedzieć. Żeby zaś napisać recenzję nie wystarczy nie lubić bohatera książki.

Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciał Pan wydrukować mój list. Myślę, iż „Rozdarta kurtyna” zasługiwała na rzeczową recenzję. A człowiek żyjący w Polsce, nawet obecnie, bywa tak bardzo zmęczony zalem pomówień, niewyważonych sądów, gołosłownych stwierdzeń i, mam nadzieję nieświadomym, zafałszowaniem niedawnej przeszłości.

Załączam wyrazy szacunku

Janina HERA

Nieśwież, Białoruś, 26. 11. 1993

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Przypadkowo dostałem do rąk *Kulturę*, nr 7/550-8/551, 1993. Przeczytałem *ot kopku do kopku*.

W swoim liście chcę wyjaśnić niektóre aspekty napisane w artykule Adama W. Kulika, pt. „Rozmowy z egzarchą Filaretem” (str. 66-88). W tym artykule jest wspomniana moja parafia w Nieświeżu i egzarcha Filaret wspomina o mnie (str. 80). W Nieświeżu żył ksiądz Grzegorz — ze 40 lat był proboszczem. I nasz ksiądz Dymitr. Ojciec Grzegorz zmarł, przyjechał z Polski młody i zaczął jątrzyć przeciw prawosławiu...

Tymi słowami egzarcha Filaret wprowadził redakcję *Kultury* i wszystkich Szanownych Czytelników w BŁĄD! Czy zrobił to z umysłu — tego nie wiem. Otóż, tym księdzem, jakoby „przysłanym z Polski” jestem ja, Henryk Okołotowicz, urodzony 8. IV. 1960 r. w Nowej Myszy, Baranowicze Region, Brześć obłaść, republiki Białoruś.

Nie byłem zdziwiony przeczytawszy słowa egzarchy Filareta o moim „przyjeździe z Polski”. Za czasów komuny kierownictwo Związku Sowieckiego widziało w każdym obcokrajowcu szpiega Zachodu i swego wroga. Katolickich księży nazywano „agentami Watykanu”. Niestety, Cerkiew prawosławna teraz widzi w każdym katolickim księdzu „agenta z Polski”. Kierownictwo Cerkwi prawosławnej chciałoby podzielić terytorium byłego ZSSR na ziemie kanonicznie prawosławne i ogólnych wyznań, i tym samym utrudnić papieżowi mianowanie nowych biskupów, a biskupom wysyłać na te ziemie księży.

Przecież Chrystus, wysyłając apostołów, powiedział im: „...idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu”. (MK, 16, 15). Chrystus nie podzielił ziemi „dla apostołów” i „dla innych”. Papież, jako namiestnik Chrystusa, ma nieskrępowane i wolne ręce w mianowaniu biskupów na całej kuli ziemskiej. Biskupi również mają wolny wybór wysyłania księży do ludzi, gdzie by ci ludzie nie zamieszkiwali.

Dzieląc ziemie byłego ZSSR na „kanonicznie prawosławne” i „wspólnych wyznań”, prawosławna Cerkiew bierze na siebie funkcje byłego Ministerstwa do Spraw Wyznań, które za czasów komuny decydowało, gdzie ksiądz ma pracować. Po ukończeniu Seminarium Duchownego w Rydze, kardynał Wajwodzi mianował mnie wikariuszem księdza proboszcza w Mińsku. Ówczesny minister do spraw wyznań na Białorusi, p. Zaleski, przeczytawszy nominację na wikariusza, powiedział mi: „schowaj ten papier i zapomnij o kardynale Wajwodzie, bo tu na Białorusi dla księży ja jestem papieżem, kardynałem i biskupem, i gdzie ja poślę, tam ty pójdziesz pracować...”.

Również rozmija się z prawdą egzarcha Filaret mówiąc, że ja mówię „przeciw prawosławiu”. Ja nigdy nie mówiłem i nie mówię przeciw prawosławiu, bo liczę, że my bracia w wierze. Natomiast występuję przeciw niesprawiedliwej, niechrześcijańskiej decyzji kierownictwa prawosławnej Cerkwi na Białorusi.

Sprawa jest następująca. W odległości 20-28 km. od Nieświeża leży miasto Kleck. W tym mieście od dawna pracuje jedna prawosławna cerkiew i prawosławny duchowny. Kościół katolicki księży Dominikanów w Klecku do niedawna był zajęty przez fabrykę. Wielokrotnie władze świeckie obiecywały, że po przeniesieniu fabryki do innego budynku, kościół zostanie zwrócony katolickiej parafii, oficjalnie zarejestrowanej. Niestety, w związku z różnymi zakulisowymi intrygami kościół katolicki ks. Dominikanów ZABRAŁA prawosławna Cerkiew. Mimo moich protestów u egzarchy Filareta, mimo protestów miejscowej katolickiej parafii, budynek kościoła do dziś dnia nie został zwrócony katolikom. Gdzie tu jest mowa o ekumenizmie, kiedy egzarcha Filaret postępuje w ten sposób. Hierarchowie prawosławnej Cerkwi lubią mówić (prawda bez podstaw) o ekspansji katolicyzmu, a w tym wypadku Klecka, o czyjej ekspansji należy mówić?

Lud prawosławny w Klecku mówi, „że nam niepotrzebny ten 'pol-

ski' kościół Dominikanów, my mamy swoją cerkiew. To nie my zabraliśmy wasz kościół, to ci, którzy stoją nad nami". Takie są fakty. Jednak mam nadzieję, że sprawiedliwość zwycięży.

Szkoda, że dziennikarz *Kultury* nie przyjechał do mnie, do Nieświeża. Byłoby o czym porozmawiać.

Szanowny Panie Redaktorze!

Spodziewam się, że ten mój list będzie opublikowany w *Kulturze*, a kopie będą przesłane wszystkim członkom delegacji Ekumenicznego Forum Europejskich Katolików.

Przepraszam, jeśli to możliwe, to chciałbym stale otrzymywać *Kulturę*.

Łączę jak najlepsze pozdrowienia i wyrazy głębokiego szacunku dla *Kultury*.

Ksiądz Dr Henryk OKOŁOTOWICZ, proboszcz

Psków, dnia 13.11.1993 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Niedawno otrzymałem od moich przyjaciół w Londynie jeden numer paryskiej *Kultury* (7-8/1993), w którym na stronie 80 znalazło się moje nazwisko w niezbyt przyjemnym dla mnie naświetleniu, które padło w czasie rozmowy, którą prowadził Adam W. Kulik z Metropolita Mińska i Białorusi Filaretem.

Nie chcę w tym piśmie odnosić się do całego tego wywiadu, ale tylko do tych kilku zdań związanych z moją osobą. Może nie warto, było pisać tego listu, bo było i minęło, ale pomyślałem że odpowiednie wyjaśnienia z mojej strony mogą komuś być przydatne, zwłaszcza jeśli idzie o sprawy ekumenizmu.

Otóż metropolita Filaret podaje dwa przykłady niewłaściwych stosunków ekumenicznych. Ksiądz Grzegorz z Nieświeża bliżej nie znam, więc w jego sprawie się nie wypowiadam, a jeśli idzie o moją osobę, to się nie zgadzam z tym, co metropolita sugeruje.

Ja zawsze miałem dobre stosunki z księżmi prawosławnymi, a jeśli idzie o sprawę tego pogrzebu to sprawa wyglądała następująco. Otóż w maju 1992 roku w Duniłowiczach, w rejonie postawskim (a nie we wsi Postawy, powiecie orszańskim) umarł niejaki H.W. lat około czterdziestu. Przychodzi do mnie jego matka, mówi o jego śmierci i prosi na pogrzeb. Pierwszą moją czynnością było zajrzenie do spisu Parafii. Rzeczywiście był tam taki człowiek, ale nie był u pierwszej spowiedzi i Komunii Świętej, żył bez kościelnego ślubu, do kościoła wcale nie chodził (a nie „za rzadko chodził”!!!), po kołędzie księdza nie przyjmował, a ponadto był nałogowym alkoholikiem. Ponieważ wyżej wymienione fakty — w myśl Kodeksu Prawa Kanonicznego — pozwalają księdzu odmówić katolickiego pogrzebu, powiedziałem więc rodzinie, że nie zostaje im nic innego jak samym go pochować.

Zresztą cała Parafia już знаła moje postępowanie w takich wypadkach. Było ich kilka (3 czy 4). W tym nie pochowałem przewodniczącego kołchozu we wsi Wolki prawie za to samo.

Przypadek H.W. był jednak bardzo jeszcze osobliwy. Umarł, a może raczej powiesił się na skutek wcześniejszego pijaństwa. Jego ciało wynoszono z szopy i na jego szyi widziano pręgę. Poza tym przed śmiercią, gdy go pytano, co uczynić w razie jego śmierci, powiedział: „Włóżcie butelkę do trumny”. Co też, jak niektórzy twierdzą, rodzina uczyniła.

Oprócz tego jego nieżyjący ojciec wyłamał zamek z drzwi kościelnych i wstawił do swojego garażu. Gdy Komitet Kościelny przychodził do H.W. o oddanie tego zamka — ten odmówił.

I na koniec jeszcze, na kilka miesięcy przed swoją śmiercią uczynił mi podczas kołedy awanturę.

Parafia wszystkie te fakty znała, więc byłoby wielkie zgorzienie gdybym wziął udział w pogrzebie. Wszystkie wyżej wymienione fakty mogą okazać się śmieszne, gdyby nie były rzeczywistością. Takie jest jednak realne życie na Białorusi, w małych i zagubionych wsiach. Miejscowi księża od dawna praktykowali odmawianie takich pogrzebów. Ja tylko zastosowałem je w kilku wypadkach.

Gdy po raz drugi odmówiłem udziału w takim pogrzebie, rodzina pojechała po księdza prawosławnego do wsi Osinogródek. Ten wziął udział w tym pogrzebie, ale już w czasie pogrzebu zrozumiał, że niewłaściwie postąpił. W swojej cerkwi usprawiedliwił się za ten pogrzeb i mówił, że otrzymał nawet upomnienie od swojego biskupa.

Ten czyn tego batiuszki jest godny nagany i jego powinien potępić metropolita Filaret za to, że kler prawosławny wtrąca się w wewnętrzne sprawy Kościoła i zakłóca ekumenizm. Poza tym przez takie czyny niektórych księży prawosławnych podrywa się sam autorytet Cerkwi (popatrzcie jakich oni chowają i ile za to jemu dali).

Dziwi się też, że metropolita przytacza niesprawdzone i przeinaczone fakty. Nie było żadnego otoczenia domu zmarłego, ani tym bardziej kocię muzyki w domu umarłego, bo wtenczas byłby dopiero skandal.

Dla mnie osobiście cała ta sprawa była nieprzyjemna, bowiem siostra zmarłego H.W. pracowała w urzędzie finansowym w rajspalkomie w Postawach. I już na pogrzebie „wpływowe” kobiety z władzy rejonowej zaprzysięgły mi zemstę i wszystko czyniły w tym kierunku aby mnie usunąć z Duniłowicz. Po kilku dniach ukazał się na mnie paszkwil w rejonowej gazecie, przygotowujący moje wydalecie. Gdy parafianie zaczęli mnie bronić, konflikt z władzą rejonową pogłębił się do tego stopnia, że moją „sprawę” zajął się prokurator. Byłem dwa razy przesłuchiwany, w końcu prokurator zauważył bezpodstawność zarzutów i je wycofał.

I mógłbym dalej pracować na Białorusi, ale po rozmowie z arcyb. K. Świątkiem (na którego władze też silnie naciskały), postanowiłem przejść do pracy w Rosji. Obecnie jestem proboszczem cze-

rech parafii w północnej Rosji: Psków, Nowgorod, Archangielsk i Murmańsk. Do tych dwóch ostatnich parafii latam już samolotem. I wszędzie tam, gdzie jestem, zawsze z szacunkiem i uważaniem podchodzę do Cerkwi Prawosławnej. Mam także liczne kontakty z księżmi prawosławnymi.

Z wyrazami szacunku

ks. Krzysztof POŻARSKI

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najsmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16.10.93

W Warszawie odbyła się sesja polsko-ukraińskiej konferencji politologicznej pt. „Elity i masy”. Referaty wygłosili: prof. Michaił Paszko — „Formowanie się wielopartyjności na Ukrainie”, dr Sergei Vlasov — „Anatomia politycznej sceny Ukrainy”, prof. Wiktor Niebozenko — „Polityczna przyszłość Ukrainy”, Jekatierina Babakina — „Specyfika kultury politycznej elity regionalnej wschodniej Europy”, Ludmiła Vasilielwa — „Zagadnienie narodowe na Ukrainie”, Oleg Kokoshinsky — „Ukraińska polityczna elita”.

19.10.93

W Lublinie miała miejsce międzynarodowa konferencja na temat „Samoidentyfikacja narodowa i religijna a sprawa mniejszości narodowych i religijnych w Europie Środkowo-Wschodniej”. Konferencja została zorganizowana przez Instytut Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie. Poza sesją plenarną konferencja pracowała w następujących sekcjach: sekcja atlasowo-statystyczna, sekcja historyczna, sekcja prawno-politologiczna, sekcja psychosocjologiczna.

10.11.93

W kościele św. Aleksandra przy Placu Trzech Krzyży w Warszawie została wmurowana tablica dla uczczenia pamięci księcia Zdzisława Lubomirskiego, prezydenta Warszawy w latach 1915-1917, a następnie członka Rady Regencyjnej. Tablica została ufundowana przez wnuków Zdzisława Lubomirskiego i odsłonięta w przededniu 75 rocznicy przekazania przez niego władzy Józefowi Piłsudskiemu, powracającemu z więzienia w Magdeburgu.

19.11.93

Nagroda Fundacji im. Ksawerego i Mieczysława Pruszyńskich została przyznana za rok bieżący ks. prof. Józefowi Tischnerowi (za twórczość i postawę wierną prawdzie). ■ Tegoroczne nagrody Polskiego PEN-Clubu za twórczość eseistyczną, prozatorską i poetycką otrzymali: ks. prof. Józef Tischner, Jadwiga Żylińska i Bogusława Latawiec. Ponadto nagrodą edytorską PEN-Clubu wyróżniono Jadwigę Czachowską z Instytutu Badań Literackich PAN. ■ Nagrodę specjalną 10-lecia *Arki* otrzymali prof. Zbigniew Brzeziński w dziedzinie polityki i Jarosław Marek Rymkiewicz w dziedzinie literatury.

20.11.93

Francuski magnat prasowy Robert Hersant opanował szereg pism w Polsce, a mianowicie: *Rzeczpospolita* 49 % udziałów za 19 mld zł plus 23,75 mld zł na modernizację; *Dziennik Baltycki* — 51 % udziałów za 12 mld zł; *Wieczór Wybrzeża* 39 % udziałów za 5 mld zł; *Dziennik*

Łódzki 46 % udziałów za 25 mld zł; *Express Ilustrowany* 72 % udziałów za 13 mld zł; *Dziennik Zachodni* 60 % udziałów za 40 mld zł; *Gazeta Krakowska* 51%; *Trybuna Śląska* 51%; *Tempo* 70 % za 0,5 mld zł. Jednorazowy średni nakład tych gazet sięga miliona egzemplarzy, co stanowi ok. 18 % nakładu polskiej prasy codziennej.

1.12.93

Z inicjatywy Episkopatu Polski powstała Katolicka Agencja Informacyjna. KAI jest jedną z 20 istniejących na świecie agencji katolickich i pierwszą tego typu instytucją w Europie środkowo-wschodniej. Działalność agencji została umożliwiona dzięki pomocy amerykańskiego Kościoła katolickiego. Agencja posiada w każdej diecezji sieć korespondentów wyznaczonych przez biskupów. Posiada także korespondentów w Watykanie, Pradze, Moskwie, Bratysławie i Bukareszcie. Szefem agencji jest Marcin Przeciszewski, były współpracownik *Spotkań i Ładu*.

2.12.93

Przyznano nagrody Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich za rok 1992. Otrzymali je: Zygmunt Kubiak za całokształt twórczości przekładowej, Czesław Biel za „Dziewięćdziesiąt dziewięć dzieci, czyli miłości pewnego gospodarza” Guillaume’a Apollinaire’a (fr.), Danuta Żmij-Zielińska za sztukę „Peepshow u Holzerów” Markusa Koebeliego (niem.), Jacek S. Buras za sztukę „Oferty” Rolfa Schneidera (niem.), Adam Grobler za „Eseje logiczno-filozoficzne” Jaakko Hintikki (ang.), Zbigniew Rau za „Dwa traktaty o rządzie” Johna Locke’a (ang.), Włodzimierz Galewicz za „Filozofię jako ścisłą naukę” Edmunda Husserla (niem., wyróżnienie) oraz Adam Chmielewski, Tadeusz Włodarczyk, Bogdan Kamiński i Władysław Kozina za przekłady dzieł naukowych. Przyznano też nagrody za tłumaczenia słowa żywego — Irenie Sikorze-Chmielewskiej i Andrzejowi Kopczyńskiemu. Uderza, że nie zostało wyróżnione żadne tłumaczenie z języków rosyjskiego, ukraińskiego, litewskiego i białoruskiego.

5.12.93

W rządzie Hanny Suchockiej było w końcu sierpnia br. w Urzędzie Rady Ministrów i ministerstwach 102 sekretarzy stanu, podsekretarzy i dyrektorów generalnych. Jak dotąd premier Pawlak odwołał ze stanowisk około 25 osób, a na ich miejsce mianował 28. Liczba tych dygnitarzy zapewne znacznie wzrośnie, gdyż nie ma jeszcze nominacji np. w Ministerstwie Edukacji Narodowej.

15.12.93

Zmarł w Warszawie w wieku 64 lat ks. Janusz Stanisław Pasierb, profesor historii sztuki, pisarz, dr archeologii chrześcijańskiej, dr teologii w zakresie sztuki kościelnej, profesor zwyczajny Akademii Teologii Katolickiej, autor licznych publikacji, członek wielu instytucji kościelnych i świeckich. ■ Roman Taborski, historyk literatury i teatru, autor m.in. pracy pt. „Wśród poloników wiedeńskich” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974), został mianowany dyrektorem Instytutu Poloniki w Wiedniu.

ZACHÓD

1.11.93

Prasa amerykańska podaje informację opartą na źródłach łotewskich o Waffen SS w czasie ostatniej wojny. Formacja ta składała się z 39 dywizji. Oprócz rodowitych Niemców służyli w nich Holendrzy — 40 tysięcy, Węgrzy — 40 tysięcy, Ukraińcy — 30 tys., Kozacy — 30 tys., Belgowie — 25 tys., Łotysze — 25 tys., Rosjanie — 18 tys., Estońscy — 15 tys., Francuzi — 10 tys., Białorusini — 10 tys., Włosi — 10 tys., Tatarzy — 10 tys., Norwegowie — 8 tys., Duńczycy — 6 tys., Słowacy — 6 tys., Czesi — 5 tys., Hindusi — 5 tys., Rumuni — 5 tys., Finowie — 4 tys., Serbowie — 4 tys., Albańczycy — 4 tys., Bułgarzy — 3 tys., Ormianie — 3 tys., Gruzini — 3 tys., Uzbegy — 2 tys., Grecy — 1 tys., Szwajcarzy — 700, Szwedzi — 300, Anglicy — 100.

5.11.93

Miesięcznik *Nasza Gazetka* wydawana przez Towarzystwo Dom Polski w Zurychu obchodziła 20-lecie swojego istnienia. Obecny redaktorem pisma jest p. Paweł Strumiłło.

6.11.93

Na dorocznym zebraniu Fundacji Kościelskich wybrano zarząd na 1993/4. Prezesem został Jacek Woźniakowski, wiceprezesem Zygmunt Marzys, sekretarzem D. Rosset, skarbnikiem Michel Kowalski. W skład zarządu weszli Jan Błoński, Andrzej Vincenz i Ewa Bieńkowska. Do jury dokooptowano Włodzimierza Boleckiego i Jerzego Jarzębskiego.

21.11.93

Klub „Polonia-Nord” w Lille zorganizował szereg odczytów a mianowicie: 21 listopada odczyt prof. Kazimierza Ozoga z Uniwersytetu Jagiellońskiego pt. „Jan Matejko, malarz polskiej tradycji”, 12 grudnia ks. Jana Bojdy pt. „Czy dziś można wierzyć w cuda”, a 6 lutego 1994 brat prof. Rampelberg będzie mówił na temat „Ewolucja rodziny w Polsce i Ukrainie Zachodniej”.

23.11.93

W Galerii OCDE w Paryżu odbył się wernisaż pt. „Pierres vives”. M.in. swoją rzeźbę wystawiła Beata Czapska. ■ Tegoroczne Nagrody Kościelskich zostały równorzędnie przyznane Marzannie Bogumile Kiełlar za zbiór wierszy „Sacra conversazione” oraz Arturowi Szlosarkowi za tomiki: „Wiersze napisane” i „Wiersze różne”.

28.11.93

Zmarła w Lailly-en-Val (Francja) w wieku 93 lat Janina Zabięto, długoletni pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP, sekretarka ambasadorów Łukaszczyka i Morawskiego w Paryżu.

30.11.93

Zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 101 lat Wacław Jędrzejewicz, żołnierz 1 Brygady; w okresie międzywojennym był ministrem w kilku resortach, m.in. jako minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przeprowadzał reformę oświaty. W Stanach Zjednoczonych, dokąd wyjechał w 1941 r., utworzył Instytut Józefa Piłsudskiego, którego był pierwszym dyrektorem. Był autorem kilkuset publikacji naukowych, m.in. „Kroniki życia Józefa Piłsudskiego”. ■ W Montrealu (Kanada) odbyły się uroczystości jubileuszowe Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie i Biblioteki, która stanowi zasadniczą część Instytutu.

4.12.93

Zmarł w Belgradzie w wieku 69 lat Petar Vujčić, niezmiernie zasłużony popularyzator literatury polskiej XX wieku. Przełożył ponad sto książek i dwa tysiące tekstów w czasopiśmie i w radio oraz szereg sztuk teatralnych. Zmarł po ciężkiej chorobie. Jest to ogromna strata dla poszerzania kultury polskiej.

11.12.93

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego oraz Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego odbył się odczyt Daniela Beauvois, prof. na Uniwersytecie Charles de Gaulle'a w Lille, który przedstawił swoją ostatnią pracę pt. „Walka o ziemię na Ukrainie (1863-1914)”, która ukazała się we Francji. Wydanie polskie ukaże się w kraju w ciągu 1994 r.

13.12.93

Zmarł w Londynie w wieku 83 lat Paweł Hęciak, długoletni prezes Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, jak również wieloletni redaktor *Dziennika Polskiego* i *Tygodnia Polskiego*, jeden ze współzałożycieli Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

14.12.93

Zmarła w Paryżu w wieku 77 lat Maria Weronika Pobóg-Malinowska, wdowa po wybitnym historyku polskim, Władysławie Pobóg-Malinowskim.

Kronika kanadyjska

Obok licznych występów zespołów artystycznych i pojedynczych artystów w ciągu października i listopada 1993, z inicjatywy Konsulatu Generalnego w Toronto odbył się koncert pianistki Ewy Bukojemskiej, z którego dochód przeznaczony został na szpital w Gdańsku. W konsulacie odbyły się ponadto: wystawa prac artystki Beaty Goik i kiermasz książki polskiej. ■ Staraniem ambasady RP odbyła się w Ottawie w okresie od 17 do 27 listopada wystawa prac czternastu współczesnych artystów pod hasłem: Poland-Canada Visual Dialogue. ■ Niezależnie od placówek oficjalnych odbyły się w polskich kościołach parafialnych w Toronto dwa występy chóru archikatedry warszawskiej pod dyr. ks. A. Filabera. ■ Ks. prof. Zygmunt Zieliński z KUL, w ramach akcji odczytowej Fundacji A. Mickiewicza wygłosił na Uniwersytecie Carlton w Ottawie odczyt w języku angielskim pt. „Kościół katolicki w okupowanej Polsce i Żydzi” oraz powtórzył go 22 listopada 1993 w SPK w Toronto. ■ Bohdan Budurowycz, profesor uniwersytetu w Toronto na wydziale slawistyki publikuje w języku angielskim obszerną pracę o Kościele greckokatolickim w Galicji w okresie 1914-1944, a więc w czasie kiedy metropolią był ks. Andrzej Szeptycki. Metropolicie prof. Budurowycz poświęcił pracę ogłoszoną w dziale zbiorowym pt. „Morality and Reality”, a obecnie rozszerza, uzupełnia swoje wywody odnośnie Metropolity. Pozostaje on wprawdzie główną postacią historyczną, ale nie jedyną. Budurowycz, m.in. w oparciu o nowe źródła zarówno archiwalne jak i opublikowane, analizuje sytuację wewnątrz metropolii, a więc stosunki z biskupami diecezji przemyskiej i stanisławowskiej. Metropolita Szeptycki był wprawdzie głową Kościoła, ale nie ograniczał uprawnień biskupów. Różnice i rozbieżności występowały zarówno w sprawach kościelnych, liturgicznych, organizacyjnych jak i politycznych — w stosunkach z władzami polskimi oraz ukraińskimi organizacjami społecznymi. Profesor Budurowycz jest zdania iż celem Metropolity był jeden, wielki Kościół obrządku wschodniego w powszechnym Kościele katolickim. ■ Zbiórka na katedrę historii Polski na uniwersytecie w Toronto została pomyślnie zakończona. Rozpoczęta się teraz zbiórka na fundusz badawczy tej katedry i na inne prace z nią związane. Potrzebna jest suma w wysokości 300 tys. dolarów kanadyjskich. Na ten cel Fundacja im. Reymonta złożyła 15 tys. dolarów, a p. Czesław Sadowski 10 tys. ■ Fundacja im. Reymonta przyznała w ostatnim roku 15 stypendiów studentom polskim, studiującym na kanadyjskich uczelniach. Wysokość stypendiów jest różna, gdyż fundacja administruje również kilkoma dotacjami prywatnymi. ■ Po raz pierwszy w uroczystości polonijnej wzięła udział grupa sześciu oficerów czynnej służby z Polski, którzy są na kursie językowym w Can Borden. Szef grupy, płk Korcz, przekazał Stowarzyszeniu Weteranów Armii Polskiej im. Gen. Sikorskiego w Oshawie proporzycy Wyższej Szkoły Oficerskiej Łączności. W roku bieżącym na kursy językowe do Can Borden przybędą trzy grupy oficerów; pierwsza w kwietniu.

Komunikaty

UNIwersYTET KULTURY POLSKIEJ RZYM 1994

Fundacja Jana Pawła II oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski organizują od 20 czerwca do 9 lipca 1994 r. w Domu Polskim Jana Pawła II, Via Cassia 1200 w Rzymie, Uniwersytet Letni Kultury Polskiej.

Program:

historia Polski, myśl religijno-moralna Jana Pawła II, analiza życia społeczno-religijnego polskiego społeczeństwa, społeczno-gospodarcza sytuacja Polski, literatura polska, sztuka polska, polski film i teatr, muzyka polska, polska literatura i sztuka na emigracji, Kościół na emigracji, panorama Polonii świata.

Wykłady w języku polskim i angielskim.

Studenci mogą uzyskać 5 punktów (credits).

Przewidywana jest audyencja u Ojca Świętego, zwiedzanie Rzymu i Muzeów Watykańskich oraz wycieczki do Asyżu, Orvieto, Monte Cassino i Pompei.

Uniwersytet Letni jest otwarty dla wszystkich pragnących pogłębić znajomość problematyki kultury polskiej. Koszt uczestnictwa łącznie z mieszkaniem i wyżywieniem w Domu Polskim oraz wycieczkami wynosi 850 dolarów USA (Studenci 700 dolarów); przejazd do Rzymu na koszt uczestnika. Przy zapisie obowiązuje przedpłata w wysokości 300 dolarów USA lub równowartość w innej walucie, którą potrąca się od kosztów uczestnictwa. Pozostałą kwotę uczestnicy wpłacają po przyjeździe do Rzymu.

Zgłoszenia należy kierować do dnia 31 marca 1994 wraz z czekiem lub M.O. wystawionym na adres:

POLSKI INSTYTUT KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Via di Porta Angelica 63

00193 Roma, ITALIA

tel./fax 39/6/686-18-44

Osoby, które chcą przyjechać wcześniej lub pozostać dłużej, mogą zatrzymać się w Domu Polskim Jana Pawła II, rezerwując pokój na trzy miesiące przed przyjazdem.

LAUREACI NAGRODY IM. ŚW. BRATA ALBERTA ZA 1993 R.

Jury Nagrody im. św. Brata Alberta — Adama Chmielowskiego, pracujące pod przewodnictwem ks. prof. dr. Bolesława Przybyszewskiego, przyznało po raz 18 doroczne nagrody, tym razem za 1993 rok, za szczególne osiągnięcia w dziedzinie kultury, sztuki sakralnej oraz działalności społecznej i ekumenicznej. Otrzymali je:

Bp Zdzisław Tranda, Zwierzchnik Kościoła Ew.-Reformowanego — w zakresie działalności społecznej i ekumenicznej; Markiza Salisbury Hatfield z Anglii — za ogromną pomoc charytatywną okazaną szczególnie dzieciom polskim; prof. Stanisław Kulon — w dziedzinie rzeźby religijnej; Uniwersytet III wieku w Krakowie — za owocną działalność w dziedzinie kultury, oświaty i nauki oraz za skuteczną akcję charytatywną; Jerzy Giedroyc i Zofia Hertz z paryskiej *Kultury* — za całokształt działalności na rzecz wolnej kultury polskiej oraz pomocy udzielanej środowiskom literackim w minionym okresie; Maciej Oczkowski, działacz ewangelicki — za działalność społeczną oraz w zakresie ochrony zabytków rejonu miasta Wisły; Krystyna Sienkiewicz — za działalność społeczną i charytatywną w dziedzinie służby zdrowia; dr Marek Kotański — za realizację idei miłosierdzia św. Brata Alberta.

Uroczystość rozdania nagród odbyła się w Warszawie 15 grudnia 1993 r.

Jesteśmy wieloletnimi pracownikami Rozgłośni Radia Wolna Europa. Pragniemy poinformować opinię publiczną w Polsce, że RWE nie ma nic wspólnego z nowo powstałą spółką Antena 1, której celem jest stworzenie sieci telewizji komercyjnej i że nie byliśmy przez nikogo ani powiadomieni, ani konsultowani w tej sprawie. O założeniu spółki Antena 1 dowiedzieliśmy się... z polskich środków przekazu. Uważamy więc za niezbędne sprostowanie sugestii, przekazywanych także w informacjach telewizyjnych, jakoby Antena 1 była założona „przez zespół Rozgłośni Polskiej RWE” lub miała jakiegokolwiek związki z Radiem.

Alina GRABOWSKA
Jacek KACZMARSKI
Tadeusz NOWAKOWSKI
Włodzimierz ODOJEWSKI
Józef PTACZEK

Redakcja *Tabletu*, której uprzejmości zawdzięczamy możliwość przedrukowania w nr. 12 (1993), w tłumaczeniu na język polski artykułu O. Bernharda Haeringa, prosi nas o poinformowanie czytelników, że ten artykuł był tylko jednym z dłuższej serii artykułów na temat ostatniej encykliki papieskiej w kolejnych numerach *Tabletu*. Artykuły te w sumie prezentują bardzo różne oceny tej encykliki.

REDAKCJA

Zbieram materiały do książki o losach aktorów w czasie ostatniej wojny i tuż po jej zakończeniu. Będę bardzo wdzięczna za wszelkie informacje, wspomnienia, dokumenty i fotografie dotyczące ich życia, nie tylko występów. Interesują mnie relacje zarówno samych aktorów, jak i osób postronnych.

Janina HERA
Elektoralna 19 m. 8
00-137 WARSZAWA
tel. 665 16 85

Listy do Redakcji

Kraków, 15 listopada 1993 roku

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kartce ze skażonej strefy” (*Kultura z października br.*) Ewa Berberyusz pisze: „Warto przypomnieć, że taczki jako element dosłowny w grze politycznej wprowadziła Solidarność. Taczki zaistniały na pierwszym heroicznym, związkowym Zjeździe w hali Olivia w r. 1980. Oto solidarnościowcy pewnej kopalni wywieźli na taczkach kolegę-komucha...”.

Nie jest to zgodne z prawdą. Praktyka wywożenia na taczkach poza bramę fabryki jej dyrektora lub też niekiedy sekretarza organizacji partyjnej, na którym skupiał się gniew załogi, pojawiła się w Polsce po październiku 1956 roku; w ówczesnym klimacie rozruchowym. Znalazła też odbicie w literaturze. Stała się osią kompozycyjną jednego z lepszych opowiadań Leona Kruczkowskiego „Szkice z piekła ucziwych” napisanego w 1957 roku.

Z wyrazami szacunku

Marian STĘPIEN

LIST OTWARTY LAUREATÓW NAGRODY KISIELA w sprawie rządowego projektu ustawy o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej

Rządowy projekt ustawy o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej jest wymierzony w wolność słowa, którą gwarantuje Konstytucja RP oraz Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych.

Uznając respektowanie prawa do swobodnego dostępu do informacji oraz wolnego nią dysponowania za jedną z kardynalnych zasad demokratycznego państwa, stanowczo domagamy się odrzucenia rządowego projektu ustawy, jako niezgodnego z interesami narodu i państwa.

LAUREACI NAGRODY KISIELA

Otrzymują:

- Józef Oleksy Marszałek Sejmu RP
- Adam Struzik Marszałek Senatu RP

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.B., Francja — Krótkie opowiadanie „*Kto się w opiekę*” pozostawia w czytelniku uczucie niedosytu, jakby ktoś zaczął opowiadać i natychmiast urwał. Podobne wrażenie wywołuje wiersz *Miłość*.

M.S., Polska; K.Z., USA; W.B.-M., Polska; J.M.B., Dania; L.B., Polska — Z wierszy nie skorzystamy.

M.B., USA — Wybraliśmy do druku wiersz *Rzeki dojrzewają*.

A.L., USA — Wybraliśmy do druku wiersz *To czego potrzebuję*.

B.T., Anglia — Wybraliśmy do druku wiersz *Es gibt keinen jüdischen Wohnbezirk*.

A.L., Polska — Łoża wolnomularska *Kultury* (bo o to przecież Pan nas podejrzewa) na zamkniętym posiedzeniu postanowiła odrzucić Pana artykuł.

E.S., Kanada — Podoba nam się Pana pochwała ciszy, nie sądzimy jednak by cisza (jak Pan pisze), mogła pomóc w rozwiązaniu polskich problemów politycznych.

S.M., Holandia — Nazywa Pan dekonstrukcjonizm „świeżą modą”, więc może sensowniej byłoby postać szkic o nim do żurnalu *mód?* *Żarty na bok*. Oba Pana pracowite szkice (*Deridda* i *Lytard*) nadają się, bardziej niż do *Kultury*, do jakiegoś pisma filozoficznego lub półfilozoficznego (jak *Znak*). Nie bardzo rozumiemy, dlaczego powinni nam się szczególnie podobać „Szatańskie wersety”.

NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1993

Krzysztof Pomian:	<i>Nagroda Publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego — Krzysztof Wolicki</i>	172
Leszek Szaruga:	<i>Nagroda Literacka im. Zygmunta Herta — Adam Zagajewski</i>	175
Zofia Hertz:	<i>Nagroda Przyjaźni i Współpracy — Kazimierz Romanowicz</i>	176

KSIĄŻKI

Agata Tuszyńska:	<i>Isaac Singer</i>	179
Dominik Morawski:	<i>Wolny strzelec w potrzasku</i>	192
Józef Lewandowski:	<i>O książce M. Siwickiego</i>	197
L. S.:	<i>Nowa bibliografia druków niezależnych</i>	200
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	201

NOTATKI REDAKTORA	203
-------------------	-----

POLEMIKI

Kazimierz Braun:	<i>Na marginesie omówienia książki „Rozdarta kurtyna”</i>	206
Janina Hera:	<i>W związku z omówieniem książki „Rozdarta kurtyna”</i>	206
Ks. dr Henryk Okołotowicz:	<i>W związku z artykułem A.W. Kulika pt. „Rozmowy z Egzarchą Filaretem”</i>	208
Krzysztof Pożarski:	<i>W związku z artykułem A.W. Kulika j.w.</i>	210

—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kronika kanadyjska</i>	213
---	--	-----

Komunikat:	<i>Uniwersytet Kultury Polskiej Rzym 1994</i>	218
Komunikat:	<i>Laureaci nagrody im. Św. Brata Alberta</i>	219
Komunikat:	<i>Pracownicy Radia Wolna Europa</i>	219
Redakcja:	<i>W związku z artykułem O. Bernharda Haeringa</i>	220
J. Hera:	<i>Apel do czytelników</i>	220

M. Stępień, Laureaci nagrody Kisiela:	<i>Listy do Redakcji</i>	221
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	222

Dr Adam Krakiewicz, Kleve (Niemcy):
 — na Fundusz *Kultury* po raz 2-gi — DM 100 F. 340,00
 — na pomoc Polakom w Rosji DM 100 F. 340,00

C. Waluk, Kitchener, ON., (Kanada) — na pomoc Polakom w
 Rosji F. 255,00

DZIĘKUJEMY!

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
 Commission Paritaire N° 60789.
 Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
 42, av. de Wagram, 75008 Paris
 Imprimé en France.
 N° d'imprimeur 2280-1993

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
 Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
 FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1994			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 3401 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95

TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Str. 312

Cena F. 120

TOM 482 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SZÓSTY

zawiera opracowania: — Zdzisław A. Siemaszko: *Wileński „Goniec Codzienny”*; Jan Skórzyński: *Odwilż 1987*; Grzegorz Mazur: *Wytyczne BIP-u w sprawie ukraińskiej płk. dypl. Jana Rzepeckiego*; Hanna Świdorska: *Drobiazgi jałtańskie: — Z angielskiej działalności Stefana Litauera — O „sterowaniu” gen. Sikorskim przez Aliantów*; Gen. W. Anders: *Poufny rozkaz*; Marek Kielasiński: *Raport o zabijaniu*; Michał Romer: *Dwie teorie o Polakach litewskich*; Mirosław Supruniuk: *O prasie polskiej emigracji wojennej (na marginesie pracy Stanisławy Lewandowskiej)*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Józef Lewandowski: *Wakacyjne lektury*; Z.S. Siemaszko: *Elita, której już nie ma*; Halina Grudzińska-Zakrzewska: *Niepodległość będzie twoją nagrodą*; Norbert Żaba: *Finowie i Polacy w 1944 r.*; Jacek Trznadel: *Kazimierz Więcek*; Hanna Świdorska: *O Retingerze w archiwum Foreign Office*; Grzegorz Mazur: *Przyczynek do dziejów BIP-u KG A.K.*; Janusz Rakowski: *Grobowiec rodziny Mościckich*. LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 90 F